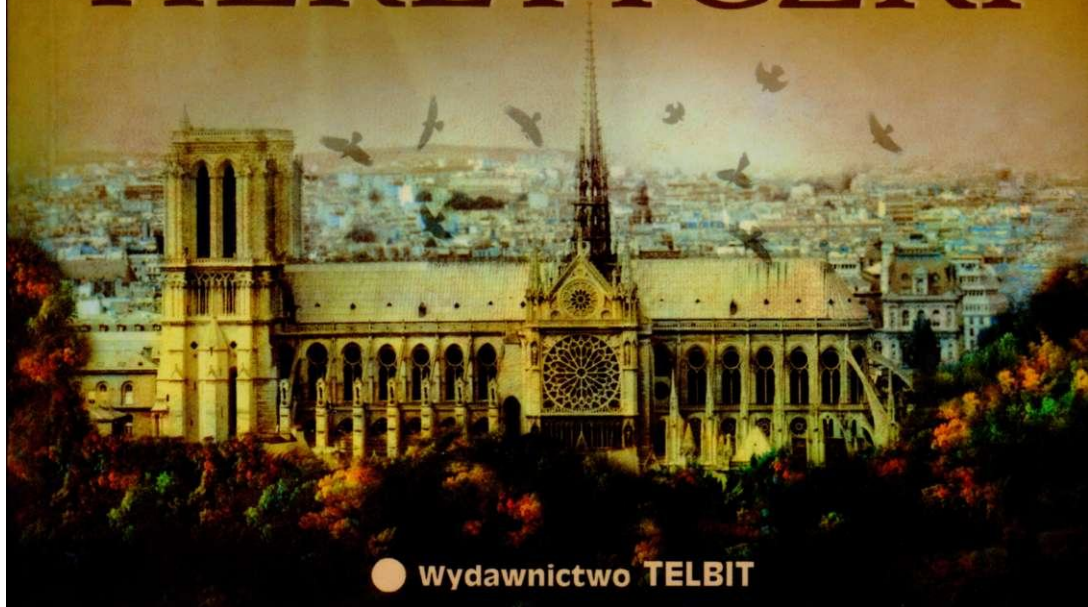


A romantic couple embracing in a white, ethereal setting. The man is on the left, leaning towards the woman on the right. They are both wearing white, flowing garments. The background is a soft, golden-brown glow.

Martina Kempff

KATEDRA HERETYCZKI



Władza, religia, miłość i dwie kobiety, których los wyznacza historia...

Południowa Francja, czerwiec 1219 roku. Trwa krucjata przeciwko katarom. Klara, nieślubna córka hrabiego Tuluzy, zaufana dama dworu Blanki Kastylijskiej, w drodze do Paryża napadnięta zostaje przez oddział rycerzy krzyżowych. Ranną opiekują się członkowie wspólnoty katarów i tym samym Klara znajduje się teraz w poważnym niebezpieczeństwie.

Tylko cudem udaje się jej uratować z piekła Marmande. Zakochana bez wzajemności w swoim wybawcy, którym jest hrabia Szampanii, szukając samotności opuszcza pałac i niespodziewanie znajduje się w miejscu budowy katedry Notre-Dame. Spotkany tu przez nią Felicjan oczarowuje ją i wprowadza w środowisko katarów. Gdy Blanka odkrywa tajemnicę swojej damy dworu, jest przerażona, lecz ma jednocześnie osobiste zobowiązania wobec wspólnoty.

W tym samym czasie ukochany małżonek Blanki staje na czele zwycięskiej krucjaty, zakończonej podbojem większości ziem południowej Francji. Jednak w dziwnych okolicznościach dochodzi do tragicznej śmierci króla. Pojawiają się pogłoski o otruciu...

Czy spełni się przepowiednia Franciszka z Asyżu?
Czy królowa zdoła umocnić tron
i położyć kres walkom religijnym w kraju?

● **Wydawnictwo TELBIT**
www.telbit.pl

Patronat medialny:

SECRETUM.PL

Cena: 39,90 zł (w tym VAT)

ISBN: 978-83-62252-92-3



9 788362 252923

Martina Kempff

KATEDRA HERETYCZKI

Przekład:
Jolanta Janicka



● **Wydawnictwo TELBIT**

Nadejście nowego stulecia obwieszczały bijące na alarm dzwony, rejestrujące ruchy religijne niczym sejsmograf. W królestwach i miastach całej Europy dochodziło do zamieszek i przewrotów... Nigdzie już rządów nie sprawowali udzielni władcy. W Langwedocji o władzę i wpływy walczyli królowie Aragonii, Francji i Anglii, a także rodzimi książęta, jak hrabiowie Tuluzy i Prowansji; we Francji żelazną ręką rządziła córka króla Kastylii. Liczne, oparte na małżeństwach, sojusze i walka o sukcesję, czy to zakończona powodzeniem, czy klęską, utrzymywały w ruchu tę karuzelę. Moźni panowie i damy wchodzili w coraz to nowe związki małżeńskie, co sprawiło, że sytuacja polityczna stała się zbyt zawiślana, by można ją było krótko przedstawić. Z każdym mariażem zmieniały się skomplikowane, regionalne i ponadregionalne układy i zależności władzy; był to chaotyczny system, w którym nikt nie potrafił się w pełni zorientować i który w pewien sposób rządził się własnymi prawami.

Johannes Fried *Średniowiecze*

Osoby

<i>Blanka Kastylijska</i>	królowa Francji, żona Ludwika VIII
<i>Klara</i>	nieślubna córka Rajmunda VI, hrabiego Tuluzy, dama dworu Blanki
<i>Ludwik VIII</i>	król Francji, mąż Blanki Kastylijskiej
<i>Tybald hrabia Szampanii</i>	najznamienitszy wasal Ludwika VIII, utalentowany trubadur
<i>Filip II August</i>	król Francji, ojciec Ludwika VIII
<i>Ingeborga Duńska</i>	królowa Francji, wypędzona, a następnie znów przywrócona do łask żona Filipa
<i>Rajmund VI hrabia Tuluzy</i>	władca Oksytanii, ojciec Klary
<i>Rajmund VII hrabia Tuluzy</i>	brat Klary, przeciwnik króla Francji
<i>Felicjan</i>	kataryjczyk
<i>Lisette</i>	sobowtór królowej Blanki
<i>Antoine</i>	kamieniarz, mąż Lisette
<i>Ermine</i>	<i>perfecta</i> , „doskonała”
<i>Etienne</i>	trubadur z Oksytanii
<i>Pierre Isarn</i>	biskup kataryjczy z Carcassonne
<i>Piotr I Mauclerc</i>	książę Bretanii z anglosaskimi koneksjami, przeciwnik rodziny panującej
<i>Joanna</i>	córka hrabiego Rajmunda VII z Tuluzy
<i>Aleksander</i>	<i>perfectus</i> , wychowawca Joanny
<i>Franciszek z Asyżu</i>	

Prolog

*I rycerzy, i damy, i dziecięcki drobne,
Imięzów, i niewiasty z szat odartych, gołych,
Wszystkich tną i sieką swym żelazem ostrym,
A wszędy krew i ciała, mózgi i tułowia,
I członki odrąbane, trupy powalone,
Wydarte, rozplątane serca i wątroby
Leżą na plecach jakby deszczem przyniesione,
Bo od krwi ich rozlanej, co ciecze dokoła,
Ziemia poczerwieniała, moczary i pola.
Ani mąż, ni niewiasta, ni stary, ni młody,
Nie ostał się człek żaden, jeśli się nie schronił,
A miasto spustoszone i ogniem już płonie.*

Anonimowy XIII-wieczny trubadur o rzezi w Marmande,

Pieśń o wyprawie krzyżowej na albigensów

Koniec maja 1219

- Czyś ty całkiem rozum postradała?

Rajmund z Tuluzy chwycił córkę, którą przed siedemnastu laty jedna z jego kochanic wcisnęła mu do rąk ze słowami: „Bierz dzieciaka albo go utopię”, i potrząsał nią.

- Tutaj toczy się wojna, Klaro! - grzmiał hrabia. - Co ci przyszło do głowy, by opuścić bezpieczny francuski dwór i w tych niespokojnych czasach przyjeżdżać do nas na południe?

- Przecież Szymon z Montfort już nie żyje - szepnęła Klara. - Myślałam, że wojna się skończyła.

- Nic się nie skończyło! - zagrział hrabia Rajmund. Cofnął swoje potężne łapy zaciśnięte na ramionach Klary. - Musisz natychmiast wrócić do Paryża!

Klara rzuciła błagalne spojrzenie swemu przyrodniemu bratu, który został poczęty w małżeńskim łożu i otrzymał po ojcu nazwisko i tytuł szlachecki. Gdy zjawiła się na zamku, szepnęła, że pięknie rozkwitła. Uradowało ją tak serdeczne powitanie, jednak nie dane jej było rozkoszować się dłużej tym wspomniałym uczuciem. Gwałtowność ojca przeraziła Klarę. Powinien wziąć dawno niewidzianą córkę w ramiona, a nie nią potrząsać!

- Nie mogę zostać w domu?

Zagryzła wargi. Pytanie zabrzmiało nazbyt żałośnie. Prawdopodobnie dlatego że słowa te nie płynęły z serca. W końcu jej domem był właściwie dwór królewski w Paryżu, gdzie przebywała od dziecięciu lat pod opieką żony następcy tronu, Blanki Kastyljskiej. Czter-

naście lat starsza od niej przyszła królowa Francji w pewnym sensie zastępowała Klarze matkę, która tak szybko zniknęła z jej życia.

Ale Blanka miała również liczne własne potomstwo. Los chciał, że nieustannie któreś z jej dzieci umierało, z czym Blanka w widoczny dla wszystkich sposób nie potrafiła się pogodzić. Gdy niedawno opuścił ten świat jej ulubieniec, dziewięcioletni Filip, wielka nadzieja angielskiego i francuskiego tronu, zamknęła się w swoich komnatach na osiem tygodni, odmówiła do nich wstępu Klarze i pozwalała się pocieszać jedynie ukochanemu małżonkowi, następcy tronu Ludwikowi. Ten czynił to tak sumiennie, że już wkrótce Blanka znów była przy nadziei i żyła w świecie, do którego Klara nie mogła za nią podążyć.

Na królewskim dworze zapanowały smutek i nuda. Wiele towarzyszek Klary powychodziło za mąż, a większość niegdyś tak wesołych młodzieńców wyruszyła na krucjatę, by wytępić heretyków w sąsiedniej Oksytanii, ojczyźnie hrabiego Rajmunda i Klary. Przyświecała im radosna perspektywa otrzymania odpustu za grzechy bez konieczności udawania się na pełną niebezpieczeństw wyprawę do Ziemi Świętej. Przy okazji wysyłano również na tamten świat prawiernych chrześcijan.

- Jesteśmy w samym środku wojennej zawieruchy, Klaro, a będzie jeszcze gorzej - odezwał się jej przyrodni brat, Rajmund. - Syn Szymona, Amalryk, walczy zaciekle jak jego ojciec i nie spocznie, dopóki nas wszystkich nie wygubi. Cieszymy się, że udało nam się odbić Tuluzę.

- Jakież to nieodpowiedzialne ze strony mojej bratanicy, że pozwoliła ci wyruszyć w tę podróż! - pomstował stary hrabia. Przesuwał dłonią po krótkiej stalowosiwej czuprynie, która po chwili sterczała niczym korona z kolców. Najchętniej wrywałyby sobie jeden włos po drugim. Nie zmieniłoby to jednak smutnego faktu, że jego córka mogła być bezpieczna jedynie wśród tych, którzy chcieli zniszczyć jego kraj i jego samego.

Klara spuściła oczy.

- Blanka nie wie, że tutaj jestem - szepnęła ledwie słyszalnie.

- Oddaliłaś się z dworu bez pozwolenia?

Klara hardo uniosła podbródek.

- A ty bez pozwolenia bronisz heretyków? - odpowiedziała wyzywająco pytaniem na pytanie.

Ojciec zamachnął się lewą ręką. Klara skuliła ramiona, spodziewając się uderzenia, które rzuci ją w głąb komnaty, hrabia jednak przesunął drzącą, uniesioną dłoń obok niej i pchnął drzwi.

- Wypraw ją natychmiast z powrotem do Francuzów! - ryknął w kierunku syna i z hukiem zatrzaskał drzwi za sobą.

Godzinę później Klara dosiadała już czarnej klaczy, na której wczesnym rankiem przybyła do Tuluzy. Obok Rajmund trzymał swego konia za cugle.

- Gdzie są ludzie, którzy ci towarzyszyli? - zapytał.

Klara wdychała głęboko słodki zapach białawych kwiatów kapryfolium, pnącego się po murach twierdzy. Kilka godzin później będzie pachnieć jeszcze bardziej odurzająco. Do Klary nagle powróciły wspomnienia rześkich wiosennych dni dzieciństwa. W maju kapryfolium rozsiewało mocniejszą woń niż lawenda w lipcu.

- A zatem, gdzie są twoi rycerze? - dopytywał się niecierpliwie Rajmund.

Nie ucieknie przed tym pytaniem. Klara spojrzała z wysokości konia w dół na brata, a jej milczenie było wymowniejsze niż słowa.

Piękne, ciemne oblicze Rajmunda sposepniało.

- To nie może być prawda! - wykrzyknął z niedowierzaniem.
- Pozwoliłaś, aby przebrani krzyżowcy dostali się do miasta?

Właśnie to uczyniła i zaczęła się czuć z tego powodu winna. Jednak szukając na królewskim dworze ludzi, którzy mogliby ją chronić w czasie podróży, nie myślała o wrogach i przyjaciołach. Cho-

dziło jej przede wszystkim o to, by Blanka się o nią martwiła, gdyż pragnęła ukarać przyszłą królową za jej obojętność. Ponadto ciemne i chłodne zimowe miesiące w Paryżu rozbudziły w niej tęsknotę za ciepłem i radosnym urokiem południa. Klarę, która wyrosła pośród jego lśniących barw, szara monotonia pałacu na wyspie Cite wprawiała w przygnębienie i melancholię. Cuchnące zgnilizną wody Sekwany budziły w niej taki sam wstręt jak deszcz, którego strugi pędziły nieprzerwanie przez cały marzec ulicami miasta odchody, martwe szczury i gnijące odpadki. Jeśli nawet za Garonną nie czekała na nią ukochana matka, rodzinna siedziba w Tuluzie wydawała się Klarze prawdziwym rajem.

Klara nie interesowała się polityką i nie znała się na niej. Wiedziała tylko tyle, że Anglia broni się nieugięcie przed francuskim panowaniem oraz że jacyś kacerze sprzeciwiają się papieżowi i dlatego należy ich zwalczać. Wszystko to nie miało nic wspólnego z jej życiem, pragnieniami, tęsknotą i jej przyszłością.

Ku swemu przerażeniu po przybyciu do Tuluzi odkryła jednak, że taki związek istnieje. Ledwie przekroczyła ze swymi pięcioma towarzyszami bramy miasta, ci wywrócili swe okrycia na drugą stronę, ukazując wyszyte na prawym ramieniu czerwone krzyże. Z szczerą uprzejmością podziękowali córce hrabiego za ochronę, którą zapewniło im jej nazwisko, i ruszyli galopem do miasta.

- Sprowadziłaś tu naszych wrogów? - dopytywał się natarczywie Rajmund. Jego zwykle miły dla ucha i dźwięczny głos był teraz ostry jak brzytwa.

- A któż inny mógł mnie eskortować? - odparła butnie Klara. - To chyba oczywiste, że nasz ród nie ma już przyjaciół na północy. Również z tego względu pragnęłam wrócić do swojej prawdziwej rodziny. Miałam wyruszyć w podróż całkiem sama?

- W ogóle nie powinnaś tu przyjeżdżać.

- I z pewnością już nigdy więcej tego nie uczynię! - odparła gniew-

nie Klara. - Nigdy więcej nie ujrzycie swojej siostry i córki, którą przepędziliście z rodzinnego domu niczym parszywego psa! Za nic nie chciałabym umrzeć, bo z pewnością byście mnie nie opłakiwali, lecz świętowalibyście koniec mojego życia!

Zalała się łzami.

- Zsiądź z konia, Klaro - powiedział cicho Rajmund. Siostra potrząsnęła głową i szlochała dalej: - Nie zostanę tam, gdzie nie jestem mile widziana.

Rajmund westchnął głęboko, nawet nie będąc świadomym słodkiego zapachu kapryfolium.

- I nie powinnaś tu zostawać. Chcę tylko porozmawiać z tobą twarzą w twarz, Klaro - odrzekł stłumionym głosem. - Wygląda na to, że nie masz najmniejszego pojęcia ani o tej wojnie, ani o niebezpieczeństwie, na jakie naraziłaś innych i samą siebie. Prawdopodobnie nie wiesz nawet, że w zeszłym roku wszyscy przez sześć tygodni broniliśmy tego miasta przed krzyżowcami. - Jego głos przybrał na sile: - Krzyżowcy! Ha! Powiedz mi, jak rycerze, którzy mordują innych wiernych, mogą mienić się chrześcijanami?

Klارا ponownie potrząsnęła głową; na to pytanie nie miała odpowiedzi.

- Ale kacerze... - szepnęła niepewnie, myśląc o wzbudzających grozę, mrocznych postaciach, oddających w księżycowe noce hołd diabłu i składających mu w ofierze maleńkie dzieci, których krew wcześniej pili. To źli ludzie, i należy ich zwalczać, wykorzystując moc krzyża.

- Nie jesteśmy kacerzami, Klaro, zostawiamy tylko w spokoju tych, którzy żyją tu uczciwie, chcą pracować i nikomu nie wadzą. Kościół ma to nam za złe, gdyż obawia się o swoją władzę i dziesięcinę. Dlatego wypowiedział wojnę całej naszej prowincji.

Jego słowa wywołały w umyśle Klary jeszcze większy zamęt. Milczała, nie znajdując odpowiedzi. Rajmund zsadził ją z siodła, deli-

katnie pocałował w głowę i mówił dalej: - Najwyraźniej zupełnie się nie orientujesz, o co tutaj naprawdę chodzi i czym kierował się papież, gdy wzywał rycerzy do tej... - zamilkł na chwilę, a potem dokończył z goryczą przez zaciśnięte zęby - ...wyprawy krzyżowej.

W stojącej już obiema nogami mocno na ziemi Klarze ponownie zbudził się buntowniczy duch, z którego powodu Blanka tak często robiła jej wyrzuty.

- Ojciec Święty bez wątpienia miał powód, by dwukrotnie ekskomunikować naszego ojca! - odparła wojowniczo. Pomimo - a być może właśnie z powodu - jego ostrego języka podziwiała właśnie tego ze swoich braci - o bardziej imponującej posturze i łagodniejszym sposobie bycia niż jakikolwiek rycerz, którego znała. Nie chciała, by uważał ją za głupią, dodała więc: - Ojciec Święty jest przecież namiestnikiem Boga na ziemi i nie popełnia błędów, czyżbyś w to wątpił?

- Nawet gdyby tak było, z pewnością bym cię o tym nie powiadał - odrzekł Rajmund, przywołał jednego z rycerzy i szepnął mu coś do ucha. Potem ujął dłoń siostry.

- Życie nie jest proste ani sprawiedliwe, Klaro - powiedział, prowadząc ją w stronę kamiennej ławki pod murami zamku i sadowiąc się obok siostry. Powiódł wzrokiem po rozkwitającym wokół kraju, ciągnących się w dal winnicach, gdzie pracowały niezliczone gromady ludzi wielkości mrówek, po dolinie, porosłej kwitnącym urzeczem barwierskim, z którego liści uzyskiwano barwnik indygo, błękitne złoto, rozsyłane na cały świat i przynoszące Tuluzie ogromne bogactwo. Bogactwo, w którym człowiek w Rzymie również pragnął mieć swój udział.

- Ciebie zapewne również ktoś już kiedyś rozczarował - rzekł Rajmund. Klara pomyślała o Blance, która odwróciła się od niej, i energicznie skinęła głową.

- A więc widzisz sama. Ojciec Święty jest również tylko człowiekiem. Nie potrafi zajrzeć w przyszłość, ani ocenić, w jakim kierunku pójdzie świat. Kiedy przed dziesięciu laty wzywał do krucjaty przeciwko albigensom, z pewnością nie przewidywał, że zostaną wymordowani wszyscy mieszkańcy Beziers, nawet ci, którzy szukali azylu w kościele.

W oczach Klary pojawiło się przerażenie. - I oni wszyscy byli kacerzami?

Rajmund roześmiał się gorzko. - Cała ludność miasta w liczbie siedmiu tysięcy i mieszkańcy okolicznych wsi, którzy schronili się w Beziers? Oczywiście, że nie. To byli chrześcijanie, tacy jak ja i ty. Francuscy baronowie mieli początkowo jeszcze pewne skrupuły. Zapytywali Kościół w Rzymie, jak mają odróżnić kacerzy od chrześcijan i Żydów, gdyż w mieście wszyscy żyją ze sobą i pracują w zgodzie. Wówczas przedstawiciel namiestnika Boga nakazał twoim tak zwanym rycerzom krzyżowym wyzbyć się tego rodzaju małostkowego sposobu myślenia i wyróżnić całą ludność, mężczyzn, kobiety i dzieci, mówiąc im: - Zabijcie wszystkich. Bóg rozpozna swoich. - I wówczas nie mieli już żadnych oporów. Wymordowano wszystkich mieszkańców, Beziers przestało istnieć. Tuluzie grozi ten sam los, jeśli otworzymy bramy miasta krzyżowcom, tak jak ty to uczyniłaś.

Klarę przeszedł dreszcz. Dokąd ona przybyła? Zerwała się z ławki.

- Chcę stąd wyjechać!

- Właśnie nie mam zamiar o to zadbać. - Rajmund wstał i skinął na rycerza, który postąpił ku nim z trzema ludźmi u boku.

- Przykro mi, Klaro, ale nie mogę ci dać liczniejszej eskorty. Bez wątplenia jednak rozumiesz, że potrzebujemy tu każdego człowieka, który umie obchodzić się z bronią. Szczęśliwej podróży, siostrzyczko, niech cię Bóg błogosławi i strzeże przed wszelkim złem i niewiedzą!

Zatopiona w myślach Klara nie zwracała uwagi ani na krajobraz ani na wędrówkę słońca po niebie. Dlatego też uszło jej uwadze, że mężczyźni zamiast podążać prosto na północ obrali kierunek na północny zachód. Towarzysze młodego Rajmunda wykorzystali powierzoną im misję, aby wypełnić zadanie pilniejszej natury - a mianowicie schwytać trzech z pięciu krzyżowców, którzy w południe spalili dwa domy w Tuluzie, pozbawiając życia tuzin kobiet i dzieci. Jeden z krzyżowców zginął pod płonącą belką, kolejnego zatrzymał podczas ucieczki z miasta starzec, który po prostu rzucił się pod końskie kopyta. Koń stratował starego człowieka, ale tymczasem rozwścieczony tłum natarł na niegdyś tak świetnego paryskiego dworzanina i po kilku minutach pozostał z niego jedynie okrwawiony kadłub. Pozostali trzech krzyżowcy zdołali zbiec; za ich schwytnie wyznaczono sowitą nagrodę.

Towarzysze Klary byli przekonani, że Francuzi spróbują przedrzeć się do królewskiej armii, spięli więc konie ostrogami. Wiedzieli bowiem, że paryski następca tronu, Ludwik, wyruszył na południowy zachód, by w końcu wypełnić papieski nakaz i dołączyć do krucjaty przeciwko heretykom.

Ojciec Ludwika, król Francji Filip II August, aż do tej pory trzymał się z daleka od trwającego już dziesięć lat sporu pomiędzy papieżem a heretykami i mimo nacisków Ojca Świętego odmówił wzięcia udziału w pierwszej krucjacie przeciwko kacerzom. W końcu zbrojne zmagania z Janem bez Ziemi, królem Anglii, przyprawiły go o większy ból głowy niż albigensi, których uważał za nieszkodliwych, egzaltowanych głupców - w jego mniemaniu niewartych tego, by czynić wokół nich takie zamieszanie. Niemniej jednak obciążał heretyków winą - choć z innych powodów - za obecną postawę papieża, który go już raz ekskomunikował, doprowadzając tym samym kraj na skraj przepaści.

Miał pewne problemy z niektórymi papieżami, jednakże nigdy nie kwestionował autorytetu Stolicy Apostolskiej. Gdy Jan bez Ziemi miał czelność oddać przed śmiercią Anglię w opiekę papieżowi, rozwiało się wprawdzie marzenie króla Filipa o rządzonej przez Francuzów Albionie, jednak nadal pozostawała mu nadzieja na znaczne powiększenie terytorium królestwa. I tak oto teraz znęcała go sposobność włączenia ze świętym błogosławieństwem do francuskiej Korony dawnej Septymanii, o którą toczyli już zaciekle boje Karol Wielki i jego następcy. Ponadto „wyprawa zbrojna przeciwko kacerzom” brzmiała wznioślej niż „wojna zaborcza” i była o wiele bardziej atrakcyjna dla chciwych francuskich baronów, których wsparcia król potrzebował, ponieważ w zamkach sprzyjających he-retykom Oksytańczyków należało się spodziewać bogatych łupów.

- Hrabiowie Tuluzy od dawien dawna są dla nas groźni. Jeden z nich pozwolił nawet niegdyś na rozpad państwa Karolingów - oznajmił król Filip w obecności swego syna Ludwika. Ten natychmiast oświadczył, że jest gotowy stawić czoła obecnemu hrabiemu Tuluzy, stryjowi jego małżonki Blanki. Stary, niegodziwy Rajmund powinien odpokutować za udzielenie schronienia kacerzom, zagrażającym chrześcijaństwu. Należy odebrać mu jego prowincje, a tym samym dochody, które przynoszą bogate ziemie na południu, oraz wszelkie urzędy. Z błogosławieństwem papieża, dziesięcioma tysiącami łuczników i sześciuset rycerzami Ludwik, w radosnym nastroju, wyruszył na południe.

Klarę ogarnął niepokój, gdy jej towarzysze nie kwapili się, by znaleźć stosowną kwaterę na nocleg, mimo że zapadł już zmierzch. W drodze do Tuluzy nocowała w klasztorach, oberżach, chłopskich obejściach, a raz nawet w stodole, zawsze pod dachem. Jej prośby trafiały jednak w próżnię, a wskazówki dotyczące odpowiedniego

miejsca zostały przez jej towarzyszy całkowicie zignorowane. I tak Klara musiała się zadowolić obozowiskiem pod gołym niebem u stóp jałowca, nad rzeką, której nie zapamiętała z podróży do rodzinnego zamku. Owijając się w płaszcz podróżny, poprzysięgła sobie, że od jutra nie pozwoli już się tak traktować. Jeszcze długo w noc wpatrywała się w czyste, rozgwieżdżone niebo, które rzadko miała okazję podziwiać w zadymionym Paryżu, rozmyślając nad tym, jak następnej nocy nakłonić swych towarzyszy do poszukania gospody.

Lecz z następnej nocy Klara niczego nie pamiętała, podobnie jak nie była w stanie przypomnieć sobie napastników, którzy nazajutrz na skraju pola wcześniej rozkwitłych kwiatów lawendy otoczyli nagłe grupkę wędrowców z uniesionymi lancami i obnażonymi mieczami. Atak nastąpił błyskawicznie. Gdy Klara runęła z konia, poczuła dojmujący ból w piersiach, a potem w środku słonecznego dnia ogarnęła ją czarna jak smoła ciemność.

Nad jej głową brzęczała mucha. Oszołomiona Klara otworzyła oczy. Leżała na miękkim posłaniu w skromnej izbie. Przez niewielki otwór okienny przedostawały się nieliczne promienie słońca; wąska smuga światła, w której wirowały drobinki kurzu, padała na czarno odzianą starą kobietę.

- Nie smuć się, Bóg jest z tobą, moje dziecko - powiedziała starszka, przesunęła dłonią po czole Klary, jakby ją błogosławiąc, i ostrożnie uniosła jej głowę.

- Musisz teraz coś wypić. Zaczekaj, pomogę ci usiąść. Powoli, powoli, jesteś wciąż jeszcze bardzo słaba.

- Gdzie ja jestem? Co się stało? - wychrypiała niewyraźnie Klara, opróżniwszy kubek, który stara kobieta przytknęła jej do ust. Spojrzała po sobie. Nigdy dotąd nie położyła się do łóżka w ubraniu, a już na pewno nie w sukni z ciemnego lnu. I dlaczego miałyby się

smucić? Przegoniła wielką, czarną muchę, siedzącą jej na piersi. Owad odleciał z głośnym brzęczeniem.

- Jesteś w bezpiecznym miejscu. W Marmande, u dobrych ludzi - odparła staruszka, uśmiechając się przyjaźnie. Ostrożnie pomogła Klarze złożyć głowę na poduszce i wygładziła prześcieradło. Potem artretycznymi palcami chwyciła pusty kubek i błyskawicznym ruchem nakryła nim muchę, spacerującą po małym stoliku z ciemnego, grubo ciosanego drewna, który stał obok łóżka. Zdumiona Klara obserwowała, jak kobieta ostrożnie przesuwając kubek na brzeg stolika, a potem na swoją dłoń, i wolno podchodzi z nim do wąskiego okienka, gdzie pozwoliła musze odfrunąć.

- Miejmy nadzieję, że teraz jest bezpieczna - powiedziała staruszka. - Tak jak ty. Ludzie króla byli pewni, że nie żyjesz, i wrzucili cię do Garonny. Akurat w pobliżu łowiło ryby dwóch naszych *credentes*, „wierzących”. To oni wyciągnęli cię z wody, na szczęście udało im się przedrzeć przez oblężone miasto. Opiekowała się tobą pewna dobra kobieta. Mnie wezwano tutaj, abym mogła ci udzielić *consolamentum*, gdybyś sobie tego życzyła. Jestem *perfecta*, „doskonała”. Wiesz, mam przy sobie Ewangelię Jana.

Wskazała na wąski rulon papieru, przytroczony do paska.

Ludzie króla? Klara usiłowała zrozumieć sens słów, wypowiadanych przez starą kobietę. Marmande, *credentes, perfecta*, oblężenie, *consolamentum* - te nieznanne słowa brzęczały w jej głowie niczym muchy krążące po izbie. Co się stało ze światem, który znała do tej pory?

- Gdzie są moi ludzie? - zapytała, dodając niepewnie: - Ludzie hrabiego Tuluzy?

Wyblakłe niebieskie oczy staruszki, otoczone siateczką zmarszczek, zwilgotniały.

- Niech Bóg czuwa nad naszym wybawcą, szlachetnym hrabią Tuluzy - rzekła, pozostawiając pytanie Klary bez odpowiedzi.

- Gdyby nie on nie moglibyśmy głosić nauk Boga Miłości i przygotować dusz do wejścia w światłość sfery niebieskiej.

- Mój ojciec - szepnęła Klara, która z wysiłkiem usiadła i uniosła rękę, aby się przeżegnać. Stara kobieta szybko pochwyciła jej dłoń.

- Zaniechaj znaku szatana - poradziła jej przyjaźnie. Klara spojrzała na nią ze zdumieniem, z powrotem opadła na poduszki i zamknęła oczy.

Wciąż jeszcze nie wiedziała, co się właściwie wydarzyło, kto ich zaatakował, ile czasu minęło od napadu, gdzie się znajdowała, co się stało z jej świtą i dlaczego nie może uczynić znaku krzyża. I czemu stara kobieta darowała życie musze, owadowi, który przypuszczalnie został stworzony tylko po to, by dręczyć ludzi. Po chwili jednak ogarnął ją spokój. Do czasu, gdy odzyska siły, wszystko się wyjaśni. Na powrót odnajdzie znany jej świat i dołączy do pierwszego orszaku, kierującego się w stronę Paryża.

Już następnego dnia zorientowała się, że o podróżowaniu nie może być mowy. Królewskie wojska okrążyły Marmande i upadek miasta był tylko kwestią czasu. A więc to była wojna, z której Klara nic nie rozumiała, wojna, o której mówił Rajmund i która miała jakiś związek z krucjatą przeciwko heretykom, zwołaną przez papieża. Wojna, która nigdy jej nie interesowała, aż nagle okazało się, że osobiście jej dotyka. Jakim sposobem się w to wplątała?

- Wszystkich nas wymordują, tak jak mieszkańców Beziers - zauważyła opiekująca się Klarą młoda kobieta z taką obojętnością, jakby mówiła o pogodzie. Podniosła z ziemi małe dziecko, raczkujące po izbie, i przytuliła je do piersi.

Beziers! To tam, gdzie wyróżniono siedem tysięcy ludzi, nie zważając na ich wiarę - Klara przypomniała sobie słowa Rajmunda. Zrobiło jej się ciemno przed oczami. Gdy próbowała podnieść się z łóżka, jej głos się załamał: - Tutaj rozpęta się prawdziwe piekło!

Nie możemy dopuścić, by nas znalezione! Musimy natychmiast stąd uciekać!

- Tak, przyjaciółko moja, już wkrótce znów będziemy w domu, w królestwie niebieskim. A teraz połóż się, jesteś jeszcze zbyt słaba, żeby wstawać.

- Nie chcę umierać!

- Módl się i znajdź w sobie spokój! Tylko poprzez śmierć możesz zniweczyć moc szatana! To on uwięził twoją duszę w ciele. Ten niedoskonały świat będący siedliskiem zła należy do niego, nie do Boga, który ma na względzie dobro naszych dusz, dla którego ważne jest współczucie, prawdziwe poświęcenie i przemiana duchowa człowieka. Nie obawiaj się śmierci, moja przyjaciółko. Przyniesie ci wybawienie, prawdziwe życie w królestwie Pana. Pozwól, by stara Marta udzieliła ci *comolamentum*, ażebyś nie musiała już wracać na ten świat cierpienia i nędzy.

Klara nie odezwała się. Młoda kobieta mówiła przedziwne rzeczy, ale również słowa staruszki były dla niej niezrozumiałe. Wydawało się, że ludzie, którzy ją uratowali, żyją w jakimś innym świecie, mają nader osobliwe wyobrażenie Boga i bez sprzeciwu godzą się na własną śmierć. Prawdopodobnie to ci niegodziwi kacerze zamęcili im w głowach.

- Dlaczego po prostu nie wydacie heretyków ludziom króla? - zasugerowała szeptem. - Z pewnością moglibyście dzięki temu uratować życie niewinnych dzieci i swoje własne!

Młoda kobieta przez dłuższą chwilę wpatrywała się w Klarę, a potem uśmiechnęła łagodnie i zauważyła przeciągając słowa: - Tak, to są nazwy, którymi się nas określa, a z których nic sobie nie robimy: heretycy, katarzy, albigensi, kacerze, bogomiłowie, tkacze. A przecież nie ma w nas nic wyjątkowego i nie zasługujemy na to, aby obdarzać nas tyloma różnymi mianami. My po prostu staramy się być dobrymi ludźmi, żyć uczciwie, kochać bliźnich, modlić się w sku-

pieniu i rzetelnie pracować. Jest to wystarczająco ciężkie w tych trudnych czasach.

Powiedziawszy to, bezszelestnie zniknęła z izby, zostawiając przerażoną Klarę samą. Trafiła do domostwa heretyków! „Domostwo heretyków” - powtarzała w myślach; te budzące grozę słowa nie znajdowały jednak odzwierciedlenia w rzeczywistości. Wcześniej wyobrażała sobie ich siedzibę jako ciemną pieczarę, pełną złowieszczych postaci, kraczących kruków, przemykających w mroku czarnych kotów i konterfektów szatana. Rozejrzała się po skromnej, schłodzonej izbie o pobielonych ścianach i z barwnym dywanem na podłodze i potrząsnęła głową. Ci ludzie o współczujących sercach, którzy wprawdzie się nie żegnali, ale ją, zupełnie obcą osobę, otoczyli niezwykłą troską i zadawali sobie trud, by uratować życie owada, mieli by stanowić dla chrześcijaństwa równie poważne zagrożenie jak wzbudzający grozę muzulmanie?

„A jednak muszę stąd zniknąć - pomyślała Klara - z domostwa heretyków i z Marmande. Należę do królewskiego dworu! Rycerze króla nie powinni mnie zabijać, lecz chronić! Jednak jego ludzie wrzucili mnie do Garonny. Po prostu nie wiedzieli, kim jestem, uznali mnie za heretyczkę. Lecz kim ja właściwie jestem? Sama chyba tego nie wiem. Jestem córką hrabiego Tuluzy. I dworką Blanki, jej protegowaną. To w oczywisty sposób nie idzie ze sobą w parze. Muszę stąd uciec - do ludzi Ludwika. Następca tronu, zwany Lwem, jest mężem Blanki; z pewnością mnie stąd wydostanie i ustrzeże przed niebezpieczeństwem”.

Klara zerwała się z łóżka, lecz nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Po dwóch krokach skierowanych w stronę drzwi potknęła się o własne stopy i runęła na ziemię, stracając z gzymsu ciężki dzban z wodą.

Do izby wbiegła młoda kobieta.

- Musisz się oszczędzać - stwierdziła i odsunęła stopą potłuczone skorupy na bok.

- Nie! - krzyknęła Klara. - Nie powinno mnie tu być! Muszę stąd odejść i odejść! Natychmiast!

Jej oczy płonęły dzikim ogniem. Opierając się całym ciężarem ciała na ramieniu o wiele młodszego od niej kobiety, postąpiła kolejny krok ku drzwiom. Potem obie przewróciły się na podłogę.

- To „natychmiast” - powiedziała zadyszana młoda kobieta - musimy przesunąć na później.

Mówiła coś jeszcze, jednak jej słowa zagłuszył niski, dudniący dźwięk, który naraz przeszedł w potworny huk. Odgłosy pękania, trzaski, ogłuszające gwizdy, którym towarzyszył ryk, wydobywający się z niezliczonych gardeł ludzi i zwierząt. Zgiełk przybliżał się, zlewał w jeden piekielny krzyk, który mroził krew w żyłach. Ziemia pod stopami kobiet zadrżała, jakby runęło niebo. Stały, obejmując się trwożliwie i z przerażeniem spoglądając w małe, rozświetlone łuną ognia okienko, przez które wpadały już iskry.

- Moje dziecko! - krzyknęła młoda kobieta. Uwolniła się z objęć Klary i wybiegła z izby, podnosząc wysoko spódnicę.

Gdyby miała czas na bodaj jedną myśl, Klara modliłaby się o cud. Nie zważając na jeszcze tak przed chwilą miękkie nogi, skoczyła do drzwi, pomknęła wąskim, ciemnym korytarzem i zbiegła, podtrzymywana napierającymi na nią ciałami, po stromych schodach do bramy.

Nie wiedziała, dokąd zmierza; dała się porwać rzece uciekających. Zachwiała się, tłum nie pozwolił jej jednak upaść, obracając ją niczym wiatr zwiędłym liściem. Klara czuła w gardle gryzący dym; kaszląc potykała się raz po raz, aż w końcu została zepchnięta do małej niszy, gdzie stanęła przyparta plecami do ściany budynku. Szorstki mur zdarł jej skórę na ramionach i dłoniach.

Nad głowami przelatywały płonące strzały, które odbijały się od murów i raziły uciekających. Wszystko to przypominało gorączkowe majaki. Jaskrawe światło raz po raz ustępowało miejsca ciemno-

ści; słyhać było ogłuszające trzaski, łoskot i syk ognia, w nozdrza uderzał żrący fetor i swąd palącego się ciała.

- Ocal mnie, Boże! Nie chcę umierać!

Zamknęła oczy. Otworzyła je dopiero wówczas, gdy napór tłumu nieco zelżał. Zataczając się poczyniła krok naprzód. Nagle coś runęło z góry, uderzając tuż przed nią o kamień. Na twarz Klary bryznęła krew. Zmartwiała z przerażenia wpatrywała się przez czerwona mgiełkę, przesłaniającą jej oczy, w roztrzaskane ciało maleńkiego dziecka - być może dziecka jej opiekunki.

W uszach Klary rozbrzmiewał jeszcze jej własny krzyk, gdy natarł na nią człowiek z obnażonym, wzniesionym ku górze mieczem. Jego kolczugę okrywała tunika w królewskich barwach. W oczekiwaniu na śmiertelny cios Klara ponownie zamknęła oczy. Poczowała podmuch powietrza, usłyszała uderzenie klingi o kamień - i swoje imię. Uniosła powieki.

- Klara!

Garniec hełmu zniekształcał głos, lecz wszędzie rozpoznalaby fiołkowe oczy, które teraz patrzyły na nią przez szczeliny w metalu z nieopisanym zdumieniem.

- Tybald! - wykrztusiła, wyciągając ramiona ku mężczyźnie.

- Ratuj mnie, Tybaldzie!

A potem osunęła się na ziemię.

Rozstanie

Blanka Kastylijska jest dla nas tak niedostępna, tak odległa, że jawi się niczym postać z baśni. Swymi długimi palcami rozsuptywała nieskończony węzeł konspiracji. Blanka jest mitem, symbolem siły i łaski, żywym pomnikiem w żelaznej koronie.

Blanka - „biała” - od stóp do głów. Spowita welonem z marmuru i wykuta z marmuru, lekkiego jak welon. Monolit przejrzystości. Rwąca woda; płynny kryształ, którego grzbiety fal wieńczy biała piana. Blanka jest kobietą pozbawioną barw, obmył ją z nich czas. Jest niczym kamienna lilia.

Jean Cocteau

14 lipca 1223

Nie były to wesołe czasy. Muzykanci grali jedynie spokojne melodie, a wszyscy trubadurzy, z wyjątkiem Tybalda z Szampanii, który, jak się zdawało, znalazł stosowny do tych czasów ton, zamilkli.

W Mantes, oddalonym zaledwie o dzień jazdy konnej od Paryża, król Filip August w czterdziestym trzecim roku swego panowania walczył ze śmiercią. Monarcha, który nigdy nie poniósł klęski w starciach ze świeckimi władcami i kościelnymi dostojnikami, chwycił rękę swego syna. Ludwik już od wielu tygodni czuwał przy łożu śmierci króla, ukochanego ojca.

— M i e j bojaźń bożą w sercu - nakazał umierający synowi słabym, lecz wyraźnym głosem. - Bądź sprawiedliwy dla swego ludu, chroń go przed butą możnych, sądz jednak wielkich i małych, bogatych i biednych.

Zakaszłał. Ludwik uniósł dłoń. - Błagam cię, ojcze, oszczędzaj siły - zaklinał. W piersiach króla nadal grało, jednak na jego ustach pojawił się ledwie dostrzegalny uśmiech.

- Synu, nigdy nie przyczyniłeś mi troski. I za to ci dziękuję.

Zamknął oczy i zapewne odszedłby w spokoju z tego świata, gdyby z gardła mnicha, klęczącego w odległym rogu komnaty, nie wyrwał się przeraźliwy krzyk.

- Szatan! - zawył. - Widzę go! Dociera do mnie jego wstrętna woń! Czy nie czujecie jego obecności? Szatan jest wśród nas! Przybył po króla!

Kardynał, przejęty zdumieniem i grozą, skoczył ku zakonnikowi. Ten rzucił się na podłogę i wijąc w konwulsjach, bronił się przed pochwyceniem z niebywałą siłą. Prócz Ludwika, który całą swą uwagę poświęcał blademu jak wosk, lecz pogodnemu obliczu ojca, wszyscy w komnacie patrzyli na mnicha; nieszczęśnik miał tak wyrócone oczy, że widać było tylko białka.

- Święty Dionizy! - wycharczał zakonnik. - Zbliża się! Jest ogromny, otoczony świętą światłością. Jego oczy lśnią jak gwiazdy. Walczy z panem ciemności. Wydziera króla z jego objęć! Ratuje go! Bogu niech będą dzięki!

Ostatni spazm i mnich znalazł się po tamtej stronie, gdzie ani świeckie, ani kościelne władze nie mogły już go osiągnąć.

Kardynał odebrał od wszystkich obecnych - prócz Ludwika oczywiście - przysięgę, iż zachowają milczenie o wizji zakonnika.

Jednakże wieść o cudownym ocaleniu króla w ostatniej sekundzie jego życia rozeszła się lotem błyskawicy. Do bazyliki Saint-Denis ze wszystkich stron kraju ciągnął lud, by wysławiać patrona świętyni i wznosić dziękczynne modły za zwycięstwo nad diabłem. Nigdy nie ustalono, kto z obecnych złamał przysięgę, ale księżom wobec istnej powodzi datków było to całkowicie obojętne.

Hrabia Tybald, zażywający odpoczynku w wielkiej, mrocznej sali pałacu na wyspie Cite, sądził, że jest sam. Sięgnął po lirę korbową i cicho zaśpiewał:

***Tron Piotrowy ozłocony,
Za przyczyną króla grzechu;
tajemnicze ścieżki Pana
czasem warte są uśmiechu.***

Nagle przerwał, wyczuwając przed sobą jakiś ruch. Gdy z cienia rzucanego przez ściany wyłoniła się kobieca postać, serce zamarło mu w piersiach. Jakież wymówki uczyniłaby mu za tę pieśń Blanka, pani jego serca, być może nawet kazałaby mu opuścić dwór!

- Śmiałe słowa, mój panie - rozległ się głos, którego Tybald jeszcze nigdy nie słyszał. Zerwał się na równe nogi. Kobieta, spowita welonem, o kształtach znacznie pełniejszych niż Blanka, nakazała mu gestem, by na powrót usiadł, i z westchnieniem spoczęła obok niego.

- Powiedz, panie, co rozumiesz przez przewinienie króla? - zapytała tonem niezobowiązującej pogawędki.

Tybald przeraził się. Powszechnie wiedziano o wielkim grzechu króla, ale nigdy głośno o nim nie mówiono - przed wielu laty monarcha nazajutrz po nocy poślubnej wypędził bez podania powodów swą drugą małżonkę, Ingeborgę, z pałacu i zamknął ją w wieży, a kilka lat później, nie mając błogosławieństwa Kościoła, pojął za żonę Agnieszkę z Meranu. Sprowadził w ten sposób na cały kraj wieoletni interdykt - ale o tym w żadnym wypadku nie wolno było wspomnieć choćby słowem. W końcu król ugiął się pod presją Kościoła, oddalił Agnieszkę, która wkrótce potem zmarła ze zgrzyoty, i skruszony uznał ponownie Ingeborgę za swoją żonę. Odtąd prawowita królowa żyła w oddaleniu od męża, przebywając w Orleanie lub, najczęściej, w Corbeil. Na paryskim dworze pokazywała się niezmiernie rzadko.

Tybald odzyskał rezon.

- Trudno było mi pogodzić się z jego śmiercią - odparł pośpiesznie. - Ukochany władca, nasz król, opuścił nas; oto jego przewinienie. Temu, niestety, nie da się zaprzeczyć.

Siedząca obok niego kobieta wydała dźwięk, który zabrzmiał jak cichy śmiech.

- Bardzoż zmyślny, hrabio Tybaldzie - rzekła. - To mi się podoba. - Po czym nieco ostrzejszym tonem dodała: - Mimo że ty również, panie, jesteś od niedawna winny tego samego grzechu. Cóż ci uczyniła twoja małżonka? A może po prostu miałaś jej dość, panie?

Tybald czuł coraz większy niepokój. Kim była ta kobieta? Skąd wiedziała, że dwa dni wcześniej w Troyes oddalił od siebie swoją żonę, Gertrudę? Wieść o tym nie mogła jeszcze dotrzeć do Paryża. Blanka miała to usłyszeć dopiero z jego ust; tylko dlatego popędził niczym strzała ze stolicy Szampanii na królewski dwór. Otrzymał przyrzeczenie, że miłościwa pani przyjmie go dzisiaj w ciągu dnia i właśnie wtedy chciał ją powiadomić o zmianie w swoim życiu i zapewnić, że tylko ją darzy prawdziwą miłością, a jego serce nie może służyć dwóm paniom. Jakkolwiek było to zgodne z prawdą, o wiele większy wpływ na decyzję Tybalda miał fakt, iż jego małżonka Gertruda, córka Alberta z Egisheim, hrabiego Metz, nie wniosła w posagu, tak jak tego oczekiwał, hrabstwa swego ojca.

- Jestem zbyt prostym człowiekiem, by pojąć sens twoich słów, szlachetna pani - odparł. - Pozwolisz jednak, że zapytam, kto skrywa się za tym welonem żałoby, która żelaznym uściskiem obejmuje nasze serca?

Kobieta podniosła się.

- Pozwolisz, hrabio, że to ja zapytam: którą to szlachetną damę zamierzasz poślubić teraz, gdy oddaliłeś swoją małżonkę?

Tybald również wstał, pochwycił lirę i zaśpiewał: - ***Smutek obwieszczają przestłonięte welonem oczy, ukryta piękność, niechętna światłu...***

- Jesteś nader rezolutnym i utalentowanym trubadurem, hrabio Tybaldzie - przerwała mu nieznajoma, kładąc obleczonej w czarną rękawiczkę palec na jego ustach. - I doskonale opanowałeś sztukę uchylania się od niewygodnych odpowiedzi. Doprawdy, jesteś godnym następcą Wilhelma Akwitańskiego. Lecz tak jak on, ty również,

panie, unieszczęśliwisz wszystkie kobiety w swoim życiu. Nie jest to twoją winą - taka jest twoja natura.

Odwróciła się i oddaliła majestatycznym krokiem, udaremniając mu dalsze pytania. Tybald włożył lirę pod ramię, ruszył za nieznaną, zachowując pełną szacunku odległość, i opuścił komnatę, w której, niezauważona, w mroku wnęki okiennej kryła się jeszcze jedna postać.

„To mnie - pomyślała uszczęśliwiona Klara - to mnie poślubi! Jak dobrze, że ukradkiem za nim podążyłam! Niebawem moja tęsknota dobiegnie kresu. Zawsze wiedziałam, że jego wszystkie bez wyjątku pieśni miłosne poświęcone nieosiągalnej przyszłej królowej, w rzeczywistości były przeznaczone dla mnie! Tybald mnie kocha, zawsze mnie kochał, już od czasów wspólnego dzieciństwa na dworze królewskim, i tylko ulegając żądaniom swej okropnej matki, wziął za żonę tę starą, szpetną Gertrudę”.

Przepełniona uczuciem błogości położyła się na ławie okiennej i oddała słodkim marzeniom. Już wkrótce jako hrabina zamieszka z Tybaldem w Szampanii, po śmierci jego wuja Sancha być może zostanie nawet królową Nawarry, będzie miała wspaniały dwór, obdarzy swego ukochanego małżonka licznym potomstwem i w końcu będzie wiedziała, gdzie przynależy, nareszcie znajdzie swą ojczyznę!

Taki był boży plan; to dlatego przed czterema laty Wszechmogący przysłał do niej Tybalda, aby ten wyratował ją z piekła Marmande.

A zatem ścieżki Pana nie zawsze są tak niezbadane, jak zwykło się mawiać!

I jak wiele łączyło ją z Tybaldem! Oboje przybyli na dwór króla Filipa jako małe dzieci, a piękna i łagodna Blanka wybrała ich na swoich szczególnych towarzyszy. Wspólnie cierpieli, gdy żona następcy tronu oddalała się od nich, by spędzać czas ze swoim mężem

lub ukochanymi dziećmi. Oboje narazili się na niebezpieczeństwo, by zyskać przychylność Blanki - Tybald po zwycięskiej walce o sukcesję w Szampanii zgłosił gotowość wzięcia udziału w krucjacie przeciwko heretykom i udał się w pełną niebezpieczeństw podróż na tereny objęte pożogą wojenną.

Przez ciało Klary przebiegł dreszcz. Między ich wyprawami na południe istniała jednak zasadnicza różnica. Tybald wiedział, że ryzykuje życiem i gotów był je poświęcić dla sprawy, ona natomiast uciekła stąd jak małe, rozpuszczone dziecko tylko po to, by zwrócić na siebie uwagę. A potem musiała opuścić swoją rodzinę i została rzucona w sam środek krwawej wojny, która omal nie zabrała jej życia.

Szybko zmówiła „Zdrowaś Mario”, w nadziei, że zdoła przepędzić straszliwe obrazy, które wciąż stawały jej przed oczami. Obrazy, które od czterech lat prześladowały ją zarówno na jawie, jak i we śnie, i nad którymi nie miała władzy.

Wysoko strzelające płomienie, gęste kłęby dymu, okaleczone trupy, roztrzaskane dziecięce ciała u jej stóp, spłoszone konie, które trawowały kopytami uciekających zrozpaczonych ludzi, i rozszalali krzyżowcy, w zapamiętaniu zabijający wszystko, co znalazło się w zasięgu ich mieczy.

Nigdy jej własne imię nie brzmiało tak słodko, jak w tym potężnym miejscu. Tybald działał błyskawicznie; zerwawszy z siebie wierzchnią tunikę, okrył nią Klarę i przerzucił jej ciało przez ramię. Klara zacisnęła mocno powieki, gdy jej wybawca przedzierał się przez piekło płonącego miasta do Garonny, gdzie położył ją w niewielkiej łodzi. Gdy znów rozwarła oczy, wzrok jej spoczął na własnych zakrwawionych dłoniach z trzema zdartymi paznokciami. Rozpaczliwie wczepiła się w kolczugę Tybalda. W tym momencie zemdląca; ból poczuła dopiero później.

Odzyskując przytomność, jakby z oddali usłyszała głos następcy tronu: - Zawieź ją niezwłocznie do mojej ukochanej żony, Blanki.

Blanka. Imię, które oznaczało wybawienie i bezpieczny dom.

Z samej podróży Klarze pozostała w pamięci jedynie czuła tro-ska Tybalda. Podczas jazdy, usadowiona przed nim na koniu - bar-dziej leżąc niż siedząc - tuliła się do niego i upajała ciepłem jego silnego ciała i poczuciem bezpieczeństwa, jakie dawała jego bliskość. Szorstka broda Tybalda rozkosznie łaskotała ją w kark, przyjemność sprawiały jej nawet gwałtowne ruchy rumaka, które wstrząsały rów-nocześnie obojgiem na nierównych ścieżkach i sprawiały, że byli jesz-cze bliżej siebie. Jak troskliwie strzegł ją przed osunięciem się z ko-nia na górskich drózkach, z jaką uwagą dbał o to, by chronić jej głowę od słońca.

Również gdy zsiadali z konia, nie odstępował jej ani na krok, zmieniał bandaże na rękach, śpiewał do snu i nocą spoczywał obok niej. Nigdy nie zapomni chwili, gdy zatrzymali się w pagórkowatej okolicy przy źródle i Tybald przyniósł jej wodę w dłoniach, by mo-gła ugasić pragnienie. Na wspomnienie jego skóry przy swoich ustach Klarę zawsze przechodził rozkoszny dreszcz.

W dniu przybycia do Paryża Blanka w nagrodę za odważny czyn podarowała mu złoty łańcuch, który od tej pory zawsze nosił.

Krótko po powrocie z południa kłopoty we własnym kraju od-wołały Tybalda do Szampanii. Kiedy Klara dowiedziała się o wymu-szonym przez jego matkę małżeństwie, zalała się gorzkimi łzami. Jednakże ilekroć w następnych latach zjawiał się na francuskim dworze, nigdy jej nie zaniedbywał, podsycając ogień, który i tak płonął nieustannie, karmiony wyobraźnią Klary. Gdy zeszłego roku Tybald stał się pełnoletni i przejął od matki władzę nad swym dziedzictwem, obawiała się, że straci go na zawsze. Była tym bardziej poruszona, kiedy regularnie zaczął się pojawiać w Paryżu z nowymi pieśniami dla swej damy, Blanki, a także z drobnymi podarkami i przyjaznym słowem dla jej damy dworu.

Spijała słowa z jego ust, gdy mówił o szczególnym porozumie-

niu, jakie między nimi panuje, jak zbliża ich wspólna przeszłość i uwielbienie dla Blanki. Jak bardzo się cieszy, że w jej osobie znalazł na królewskim dworze pokrewną duszę. Tych słów strzegła niczym kosztowności. Każdy skierowany do niej uśmiech dowodził w jej mniemaniu pełnej szacunku przychylności, każde poświęcone jej słowo wzbudzało wewnętrzny odzew, a każdy przyjazny gest świadczył o jego gorącym uczuciu.

Ubolewała jednak nad tym, że nazbyt ją poważyła, by mieć śmiałość bardziej się do niej zbliżyć. Jego małżeństwo nie było przeszkodą, której nie można by pokonać. Od czasu do czasu wspominał z rezygnacją w głosie o tym obmierzłym związku, który został mu narzucony, kiedy był jeszcze niepełnoletni, i do którego czuł niechęć. Klara nie słyszała od niego ani jednego dobrego słowa o żonie. Dlaczego po prostu się nie rozwiódł? Ojciec Klary, zmarły przed rokiem Rajmund z Tuluzy, był pięciokrotnie żonaty, dwie ze swych żon odprawił, a ponadto miał gromadkę dzieci z nieprawego łoża - nie tylko z matką Klary, lecz także z wieloma innymi kobietami. Wielkim panom okazywano w takich sprawach pobłażliwość.

Klara zastanawiała się, jak mogłaby zachęcić Tybalda, by zebrał się na odwagę i w końcu otwarcie wyznał jej miłość. Jak pomóc mu pozbyć się zahamowań i pokonać nieśmiałość, jaką wykazywał w stosunku do niej? Jak odsłonić przed nim swe kochające serce, jednoznacznie dać mu do zrozumienia, że z rozkoszą przyjmie jego sekretne wyznanie? Dlaczego temu nieustraszonemu trubadurowi zabrakło w tym przypadku odwagi, by przyznać się do swych prawdziwych uczuć?

Usiłowała wprawdzie przemawiać do niego językiem spojrzeń i gestów, lecz rycerski hrabia zapewne z szacunku do niej nie śmiał odczytać ich prawdziwego znaczenia. Teraz pozostawała jej tylko jedna droga, by położyć kres miłosnym cierpieniom, bezpośrednia - ona sama musi wymówić te słowa, oznajmić mu wprost, że go kocha.

Musiała tylko poczekać na okazję, kiedy znajdą się sami we dworze, nie niepokojeni przez nikogo, o co z uwagi na ciągłą krzątanie dworzan w niezamykanych pokojach było niezwykle trudno. Ponadto damie dworu nie wypadało rozmawiać z mężczyzną sam na sam. Klara przypomniała sobie jednak, że Tybald miał zwyczaj ćwiczyć nowe pieśni w wysokiej sali pałacu na wyspie Cité i postanowiła tam się zacząć.

Kiedy więc w tydzień po złożeniu króla do grobu w bazylice Saint-Denis ujrzała Tybalda krocącego długim korytarzem z lirą pod pachą, pośpieszyła do sali, by znaleźć się tam przed nim. Ukryła się w niszy okiennej i z bijącym sercem wyczekiwała chwili, która na zawsze odmieni życie ich obojga.

Pojawienie się w komnacie jeszcze jednej osoby wzburzyło ją niepomierne. W przeciwieństwie do Tybalda znała zasłoniętą welonem kobietę. Pojęła to jednak dopiero wówczas, gdy ta przemówiła do trubadura. Była to królowa Ingeborga, wdowa po zmarłym królu, ta sama, którą Filip odprawił następnego dnia po uroczystościach weselnych i dopiero wiele lat później na powrót uznał za żonę.

Blanka, której rodzice zmarli przed dziewięcioma laty w dalekiej Kastylii, kochała tę kobietę jak matkę i często ją odwiedzała w towarzystwie Klary. Głosu Ingeborgi nie sposób było pomylić z żadnym innym. Nawet trzydzieści lat spędzonych na południu nie mogło z francuskiej wymowy starej królowej usunąć chrzęstu srogiej północnej zimy.

Ukryta w niszy okiennej Klara przysłuchiwała się rozmowie ukochanego mężczyzny z kobietą, której niegdyś odmówiono miłości. Król nigdy nikomu nie wyjawiał, dlaczego - błąd jak śmierć i drżącym liść osiki - nazajutrz po nocy poślubnej i namaszczeniu Ingeborgi na królową nakazał odesłać piękną, rudowłosą duńską księżniczkę, o której rękę tak usilnie się starał. Nikt nie znał powodu, dla którego zamknął ją w wieży. Na francuskim dworze wciąż jeszcze

krażyły na ten temat przeróżne, mniej lub bardziej dziwaczne opinie; insynuowano nawet, że królowa jest hermafrodytą.

Jednakże gdyby było to zgodne z prawdą, król mógłby wystąpić do papieża o unieważnienie małżeństwa i uniknąć obłożenia kraju interdyktem, z którego powodu tak mocno ucierpiał jego lud. Francuzi pozbawieni byli przez wiele lat wszystkich świętych sakramentów; umilkły także dzwony kościelne, które nadawały rytm codziennej egzystencji, wzywały do pracy i modlitwy, a także obwieszczały dni świąteczne oraz oznajmiały zarówno szczęśliwe zdarzenia, jak i czas żałoby. Wszystko wypadło z kolein, ponieważ pierwszy człowiek w kraju poczuł odrazę do świeżo poślubionej żony i odesłał ją do klasztoru.

Czym Dunka przeraziła króla, który wcześniej patrzył w nią jak w obraz? Co wydarzyło się między nimi dwojgiem w królewskiej alkwie podczas nocy poślubnej?

Prawdopodobnie Ingeborga wygadywała jakieś banialuki, zupełnie tak samo jak teraz. Dlaczego to właśnie Tybald miałby unieszczęśliwiać wszystkie kobiety w swoim życiu - człowiek, który uratował życie Klary i nadał mu sens!

W każdym razie królowa wdowa, która - co wiele razy stwierdziła zdumiona Blanka - pojmowała więcej niż inni ludzie, mówiła o jego rozwodzie i przewidywanym powtórnym ożenku. Był to zaisie powód do radości! Kogo Tybald miałby wybrać, jak nie ją, Klarę, która czuła, że jest z nim związana duszą i ciałem? Z pewnością przygotowywał ten plan już od dawna. Serce biło jej jak oszalałe - niebawem nadejdzie ta szczęśliwa chwila! To był wielki dzień w jej życiu.

Stało się zupełnie inaczej niż ona sobie to wyobrażała. Tego samego wieczoru dowiedziała się, jak bardzo myliła się względem tego człowieka i jego rzekomych uczuć. Kilka godzin po usłyszanej roz-

mowie wkroczyła na ścieżkę, która gruntownie i na zawsze odmieniła jej życie, jak również zdecydowała o losie wielu innych ludzi.

Pierwsza dama dworu Blanki, Agnieszka z Beaujeu, bliska przyjaciółka Klary, dygnęła przed swoją panią, która siedziała na wyściełanym fotelu pogrążona w głębokim zamyśleniu.

- Hrabia Tybald prosi uniżenie, aby najjaśniejsza pani uczyniła mu tę łaskę i go przyjęła.

Blanka uniosła powieki, odpędziła smutek z oczu, obdarzyła Agnieszkę przyjaznym uśmiechem i skinęła głową.

- Niech wejdzie.

Skory do śmiechu Tybald ze swymi błahymi piosenkami z pewnością poprawi jej humor. Potrafił jak nikt odegnąć myśli o śmierci i rozłące. Być może zdoła obudzić w niej trochę radości podczas uroczystości w Reims, gdzie ona i jej małżonek mają za dwa tygodnie zostać koronowani i namaszczeni na władców Francji. Może uda mu się przepędzić jej obawy, że nie sprostą wysokim oczekiwaniom dworu i nie upora się na czas z przygotowaniami. Martwiła się, że nie może opłakiwać króla, który był dla niej jak ojciec, tak, jakby należało, gdyż było zbyt wiele spraw do ustalenia.

Zachęcająco uśmiechnęła się do Tybalda, gdy ten skłonił się przed nią głęboko, podniósł lirę i dźwięcznym głosem zaśpiewał:

*Jakżeś piękna w smutku, w mej piersi wali sera
w błogiej nadziei, pani, że ty swoje oddać mi zechcesz.
Żonę mi niemiłą odesłałem precz,
skini tylko głową łaskawie, a twój będę - wiadoma rzecz.*

Blanka nie skinęła mu łaskawie głową. Jej piękne brązowe oczy zwęziły się niebezpiecznie.

- Hrabio Tybaldzie!

Trubadur drgnął. Jeśli Blanka przemawia do niego tak oficjalnym tonem, może to tylko oznaczać, że jest naprawdę zagniewana. Niczego bardziej się nie obawiał.

- Czy nie pozwalasz sobie, hrabio, na zbyt wiele?

Zerwała się z fotela i drżącą ze wzburzenia dłonią wskazała na taki sam mebel obok.

- Właśnie zaszczyliła mnie swą obecnością szlachetna pani Ingeborga. Siedziała tutaj, w tym fotelu, królowa, której wyrządzo- no wielką krzywdę. A ty, panie, ośmielasz się stanąć przede mną i żałosną piosenką obwieszczą oddalenie swej szlachetnej mał- żonki?

Tybard często opiewał słodczy głos Blanki, lecz tak gniewnego jeszcze nigdy nie słyszał. Blanka była niczym urażona Junona.

- Odejdź natychmiast! Precz stąd! Zejdź mi z oczu, nikczemny zdrajco!

Klara, która przepełniona radością zmierzała do komnaty Blan- ki, zatrzymała się strwożona i spojrzała na stojącego pod drzwiami dworzanina wielkimi jasnoszarymi oczami.

- Hrabia Tybard - szepnął do niej. - Zdaje się, że nieszczęśnik ściągnął na siebie gniew miłościwej królowej.

- Nie! - krzyknęła Klara. Zapomniawszy o etykiecie dworskiej, rzuciła się do drzwi i zawołała, podnosząc ręce: - Wybacz mu, Blan- ko, on nic na to nie może poradzić, on spełnia tylko nakaz swego serca!

Tybard posłał jej pełne wdzięczności spojrzenie, od którego serce Klary stopniało. Kolana drżały jej tak, że musiała obiema rękami przytrzymać się futryny, zagradzając wejście do komnaty.

Tybard padł przed Blanką na kolana.

- Łaski - wyszeptał. - Nie odprawiaj mnie, pani! Przebacz mi! Moja przyjaciółka Klara mówi prawdę. Miłość wzięła mnie w posia- danie, nie potrafię umknąć przed kochaniem.

W duchu przeklinał rymy, które jakby same spływały mu z ust - tak nieodpowiednie w chwili prawdziwej rozpacz. Bez zastanowienia dodał prędko: - Dlatego też proszę cię, pani, abyś raczyła dać mi swe łaskawe błogosławieństwo dla powtórnego ożenku.

Klara wpiła się palcami w drewnianą futrynę tak mocno, że pobielaly jej kostki. Rumieniec stopniowo rozlewał się po jej twarzy; miała wrażenie, że zaraz umrze ze szczęścia.

- Wstań, nieszczęsny hrabio - nakazała Blanka Tybaldowi, po czym zwróciła się do niego bez ogródek: - Zdradźże nam, kim jest twoja wybranka.

Tybałd podniósł się powoli z kolan niczym zniedołężniały starzec. Długo patrzył ukochanej królowej w oczy, które nagle stały się lodowato zimne. Potem westchnął głęboko, przeniósł wzrok na stojącą obok Blanki dworzkę i zaimprovizował bezdzwięcznym głosem: - Oto i ona, szlachetna panna Agnieszka z Beaujeu - jeśli tylko jej czcigodny ojciec na to zezwoli, ty, pani, i twój małżonek dacie mi wasze błogosławieństwo, a ona sama będzie tego pragnęła.

Łagodna Agnieszka z Beaujeu spoglądała na niego tak samo zmieszana jak on.

„Odmów mi swej ręki!” - błagał ją wzrokiem. Ona jednak opacznie zrozumiała spojrzenie Tybalda. Energicznie skinęła głową, milcząco wyrażając swą zgodę. Żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie odrzuciłaby oświadczyn tego urodziwego trubadura ze szlachetnego rodu, najznamienitszego wasala króla. Słowa Tybalda tak jej pochlebiły, że postanowiła nie łamać sobie głowy nad tym, dlaczego wcześniej nie zabiegał o jej względy.

Bezradność w oczach Blanki niemal całkowicie wynagrodziła Tybaldowi pośpieszną decyzję, która bez wątpienia okaże się brzemienne w skutki. Szybko obrzucił spojrzeniem postać dopiero co wybranej narzeczonej i uznał, że bywają mniej powabne białogłowy, na przykład ta niedawno przez niego porzucona.

Nikt nie zwracał uwagi na Klarę, która rozpaczliwie chwytając powietrze, bez zmysłów osunęła się w progę na ziemię.

Nie potrafiła później powiedzieć, kiedy znów odzyskała poczucie rzeczywistości i jak wydostała się z pałacu na paryską ulicę. Zapadał już zmrok, gdy na chwiejnych nogach przystanęła przed jakąś przeszkodą, zagradzającą jej drogę. Uniosła wzrok. Była wciąż półprzytomna; nagle zdało jej się, że widzi tuż przed sobą na Sekwanie potężny statek. Padła na kolana, dziękując Bogu, że go zesłał, by zabrał ją daleko od miejsca niedoli i hańby.

- Kościół nie jest jeszcze poświęcony, siostró - usłyszała za sobą przyjazny męski głos. - Niektórzy sądzą, że Bóg dopiero po ceremonii konsekracji dokonanej przez kapłana zajmuje swój nowy dom, gdzie będzie wysłuchiwał wiernych. Ja natomiast myślę, że Bóg jest wszędzie na wieczne czasy. Nie potrzebuje imponującej budowli, by słuchać naszych modlitw, a już na pewno nie wymaga tak kosztownego kamieniarstwa. Dopóki jednak nie pozwolisz, by rozproszyła cię doskonałość barw i linii, Bóg z pewnością nie odmówi ci rozmowy również tutaj, pod przyszłym oknem rozetowym.

Zdezorientowana Klara uniosła głowę. Jej spojrzenie napotkało najpierw dobrotliwe, brązowe oczy, a potem podążyło za podniesionym ramieniem mężczyzny, wskazującego na olbrzymi, okrągły otwór w dziobie rzekomego statku, który okazał się ogromną budującą się katedrą na wyspie pośrodku Sekwany.

W okrągłej luce między podporami poruszał się rój ciemnych owadów. Klara z wdzięcznością ujęła wyciągniętą teraz ku niej dłoń mężczyzny, który pomógł się jej podnieść. „To dzień wielkich pomysłów” - przemknęło jej przez głowę.

- Znam cię - powiedział mężczyzna - chociaż nie wiem, jak się nazywasz. Wybacz mi, ale to pytanie malujące się na twojej twarzy zwróciło moją uwagę już na zebraniu przed kilkoma laty. Chciałem

do ciebie przemówić, jednak byłoby to niestosowne. Potem już nigdy nie widziałem cię wśród naszych.

- Pytanie? - Klara była zdecydowana od tej chwili z miejsca wyjaśniać każde ewentualne nieporozumienie. Jej umysł powoli odzykiwał sprawność. W okrągłym otworze we frontonie niezwykle wielkiego kościoła nie brzęczały owady, krzżeli się tam robotnicy, którzy dopasowywali barwne szybki, aby utworzyć kolistą rozetę. Klara wzięła głęboki oddech, wdzięczna, że znów może jasno myśleć.

- Kim jestem, skąd przychodzę, dokąd idę i jakie jest moje zadanie tutaj? - odrzekł mężczyzna, zsuwając na lekko zbrązowiały kark czarny pilśniowy kapelusz, przypominający orientalne nakrycia głowy. - Ten, kto potrafi czytać, z łatwością dostrzeże te pytania, wypisane na twoim czole. Zbyt długo sam szukałem odpowiedzi, by nie rozpoznać pokrewnej duszy.

Klara szybko otarła dłonią czoło, jakby rzeczywiście widniał tam znak skreślony węglem. Nie mogła przypomnieć sobie tego młodego człowieka, doskonale natomiast pamiętała zgromadzenie nieznanym jej ludzi, na którym znalazła się przypadkiem przed dwoma laty i które głęboko ją poruszyło.

- Chciałam się wówczas jedynie pomodlić w ciszy i spokoju - rzekła. - Ale w niewielkiej kaplicy bywało w tych trudnych czasach zbyt wielu ludzi. - Zmarszczyła czoło. - Oni również się modlili. W prawdziwym kościele - dodała ze stanowczością w głosie. Nie zapomniała, jak osobliwe wydały jej się te modlitwy, jak była zdumiona, gdy nagle jedna z kobiet odważyła się zabrać głos. Nikt jej nie zgromił, lecz wszyscy, nawet mężczyźni, przysłuchiwali się w skupieniu wypowiedzanym przez nią słowom. Klara dokładnie pamiętała, z jakim przerażeniem uciekła z kaplicy, gdy nagle uzmysłowiła sobie, że ci ludzie mówią tak samo jak dwie ciemno odziane kobiety w Marmande. Tej nocy dręczyły ją koszmary o Marmande, a potem za dnia nie dawało spokoju nieczyste sumienie. Przemil-

czała przecież, że w pobliżu pałacu jacyś ludzie wyprawiają takie bezeceństwa. Dopiero gdy to wydarzenie zatarło się nieco w jej pamięci, ośmieliła się znów przystąpić do spowiedzi.

Ubrany na czarno mężczyzna uśmiechnął się serdecznie i zauważył: - A dlaczego nie mógłby to być prawdziwy kościół, jeśli modlić się do Boga można wszędzie. Spotykamy się w różnych miejscach. Chętnie również w kościołach, gdyż najczęściej tam jesteśmy bezpieczni przed prześladowaniami.

Przeżrana Klara stwierdziła, że wciąż jeszcze trzyma w swej dłoni dłoń nieznajomego. Cofnęła rękę i zachnęła się: - Heretycy!

- Przecież już wtedy to zauważyłaś - odparł bez cienia wyrzutu w głosie. - Mogłaś nas wydać i stać się dzięki temu bogata. Dlaczego tego nie uczyniłaś?

Z twarzy Klary zniknęły wszystkie kolory. Żeby tego dnia przypomniano jej jeszcze rzeź w Marmande - to już było ponad jej siły. Wzięła się jednak w garść i wyszeptła: - Twój ludźmi uratowali mi kiedyś życie, byłoby więc niewłaściwe, gdybym ja odebrała wam wasze.

Znów ujrzała przed sobą obraz roztrzaskanego o bruk małego dziecięcego ciała. Zasłoniła twarz rękami i rozpłakała się.

Mężczyzna w czerni delikatnie dotknął jej ramienia.

- Mam na imię Felicjan - rzekł - i doprawdy nie chcę ci się narzucać. Ale niektórych smutków nie można się tak po prostu pozbyć, zostawiając je przed kościołem, choćby był on poświęcony Najświętszej Maryi Pannie... - odchrząknął i mówił dalej: - ...naszej umiłowanej Pani, na którą powinniśmy przysięgać przed świecym trybunałem, by ratować życie. Nigdy tego nie uczynimy, gdyż z zasady jesteśmy przeciwni przysięgom, chociaż czcimy i wielbimy Matkę Boską.

- Zechciej mi pomóc, Najświętsza Panienko - zaczęła się modlić Klara, wdzięczna, że podczas rozmowy o Matce Boskiej żyły przestały płynąć jej z oczu.

Felicjan otworzył usta, lecz po chwili na powrót je zamknął. Nie chciał zbyt wiele wymagać od tej najwyraźniej znajdującej się w opresji młodej kobiety. Być może w stosownym czasie wspomni jej jeszcze o swoich wątpliwościach dotyczących dziewictwa Maryi.

Musiał ją znów zobaczyć. Ponieważ szukała zbawienia dla swej duszy, szybko znalazł pretekst, który nie obciążał jego sumienia.

- Czy pozwolisz, bym ci towarzyszył w drodze do domu? - zapytał. - Spójrz, robotnicy schodzą już z rusztowań. Niedługo zapadnie zmrok, a dla samotnej kobiety nocny spacer po ulicach miasta jest niebezpieczny.

Dom. Już samo to słowo znów wycisnęło jej łzy z oczu. Potrząsnęła głową.

- A dokąd ty idziesz? - zapytała. Przestraszona własnymi słowami przyjrzała się dokładniej mężczyźnie o imieniu Felicjan. Powszechnie uważano, że heretycy są podstępni i przebiegli. Lecz szczerze oczy w szczupłej, gładko wygolonej twarzy budziły zaufanie. Biło z nich to wewnętrzne, pochodzące z serca ciepło, o którym tak chętnie śpiewał Tybald i którego na próżno u niego szukała.

- Czy możesz mi wyjawić swe imię? - zapytał. W jego głosie brzmiało autentyczne zakłopotanie.

Felicjan jeszcze nigdy nie odważył się przemówić do tak pięknej, wytwornej damy - ba, nawet przez myśl mu nie przeszło, że mógłby to uczynić. Ośmieliły go nie tylko jej bezsporne zagubienie i smutek, lecz również fakt, że ją rozpoznał. Od tamtego zgromadzenia przed prawie dwudziestoma czterema miesiącami wciąż, na jawie i we śnie, widział przed sobą twarz tej dziewczyny, która tak pośpiesznie opuściła kościół. Marzył o tym, by jeszcze raz spojrzeć w te jasnoszare oczy, które tak osobliwie wyglądały w obramowaniu kruczoczarnych włosów. Pragnął usłyszeć głos, zamieszkujący jej powabne ciało, dotknąć tak kurczowo i bezradnie splecionych ze sobą białych dłoni; nie tylko tego pragnął - po prostu musiał to uczynić.

Aby ugasić płomień, którego nigdy do tej pory nie doświadczyło jego serce, musiał odważnie mu się przeciwstawić i odgadnąć, co go rozpaliło, aby nigdy więcej nie wystawiać się na takie niebezpieczeństwo. Próbował wszystkiego, co było w jego mocy - starał się odwrócić myśli od nieznanego, umartwiał się, całymi dniami pościł, odmawiał sobie snu i bezustannie się modlił. Jednak bez względu na to, co czynił, lub czego zaniechał, drobna, blada twarz o jasnoszarych oczach okolona prostymi, czarnymi włosami, z pytaniem wypisanym na czole wciąż na nowo pojawiała się przed oczami jego duszy. Przeświadczony, że może go uleczyć ponowne spotkanie z kobietą z krwi i kości, wszędzie jej szukał. Bowiem dopiero wówczas, gdy zapanuje nad swymi pragnieniami, będzie mógł pomyśleć o przejściu do stanu „doskonałych”. Dopóki marzy o kobiecie, istnieje obawa, że szatan go zaślepi i weźmie w niewolę, musi zatem pozostać *credem*, zwykłym „wierzącym”.

- Klara - brzmiała odpowiedź na jego pytanie.

- Klara. Przepiękne imię!

„Tak piękne, jak ty sama” - dodał jeszcze niegdyś Tybald, gdy skarżyła się, że jest zbyt pospolite. Nie usłyszała tych słów z ust Felicjana, lecz odczytała je w jego spojrzeniu. Zrobiło jej się źlej na sercu.

- Ja idę na zgromadzenie - powiedział i dodał cicho: - Jesteś zaproszona, jeśli masz ochotę pójść ze mną. Może to ci dobrze zrobi.

„A jej obecność może się okazać zbawienna dla mnie”.

Gdy podała mu ramię, Felicjana ogarnęło niezwykle uniesienie. W ciągu minionych miesięcy nawet nie śmiał marzyć o takiej przychylności. W jednej chwili zapomniał, że chciał ponownie ujrzeć Klarę, by przestać ciągle o niej myśleć. Teraz najchętniej nigdy by jej nie opuszczał. Gdy podążał brudnymi, wąskimi uliczkami Paryża, po raz pierwszy nie czuł fetoru gnijących odpadków i ludzkich ekskrementów. U boku Klary zdawało mu się, że czuje zapach lawendowych pól swojej ojczyzny.

Gdy Klara wiele godzin później wemknęła się z powrotem przez tylne wejście do pałacu, królowa Blanka wkroczyła właśnie do niego przez główną bramę. Uczestniczyła w modłach kapituły generalnej zakonu cystersów z Citeaux, do których została dopuszczona na swoją usilną prośbę. Już przed laty obrała sobie świętego Bernarda za wzór do naśladowania, gdyż jego łagodność, rycerskość, zdolności dyplomatyczne i krasomówcze wywarły na niej wielkie wrażenie.

Kierując swe kroki do pokojów Ludwika, napawała się nocną ciszą panującą w długim korytarzu, oświetlonym skąpo kilkoma lampkami oliwnymi migoczącymi przy ścianach. Bez względu na porę, nie potrafiła zasnąć bez bodaj jednego pocałunku swego małżonka.

Zaskoczona, że o tak późnej porze słyszy jeszcze głosy w jego sypialni, przystanąła pod drzwiami.

- Musisz go niezwłocznie oddalić z dworu, Ludwiku! I to do odwołania!

Blanka skamieniała. Jeśli królowa Ingeborga, macocha króla Ludwika, podnosi głos, sprawa musi być poważna. Nigdy dotąd nie wysuwała żadnych żądań w stosunku do młodej pary, nigdy nie skarżyła się na dworzan lub swój własny los. Nigdy też nie wyrzekła nawet jednego słowa przeciwko swojemu małżonkowi, który przez długie lata więził ją w wieży.

Zaniepokojona, kto mógł wzbudzić w królowej taką niechęć do siebie, Blanka zapukawszy krótko, otworzyła drzwi.

Ludwik, który siedział na szerokim kastylijskim drewnianym krześle naprzeciw Ingeborgi pochylając się ku niej, odwrócił głowę. Przygnębienie i troska zniknęły z jego oczu. Gdy zrywał się z krzesła, długi, jasny kosmyk włosów opadł mu na czoło. Odgarnął go, odsłaniając urodziwą młodzieńczą twarz, która wciąż na nowo tak wzruszała Blanę.

- Spójrz tylko, ukochana żono, kto dzisiaj wieczorem zaszczycił nas swoją wizytą!

Blanka złożyła ukłon przed Ingeborgą, objęła męża, popchnęła go z powrotem na krzesło i usiadłszy mu na kolanach, z miejsca przeszła do rzeczy: - Kto powinien zostać na zawsze wydalony z dworu?

- Hrabia Tybald - głuchym głosem odparł Ludwik.

- Dlaczego? - spytała zaskoczona Blanka. Mimochodem pomyślała o zajściu w swojej komnacie. Przykry incydent, jednak zbyt błahy, aby z jego powodu zakazać wiernemu wasalowi wstępu na dwór. Przywołała młodego hrabiego ostro do porządku, niemniej wciąż trudno było jej postrzegać Tybalda jako władcę Szampanii. Dla niej zapewne już na zawsze pozostanie marzycielskim chłopcem o okrągłej buzi, którego ambitna matka - zresztą również o imieniu Blanka - przysłała niegdyś na francuski dwór, by mógł nawiązać znajomości, które w przyszłości mogły okazać się przydatne. W końcu nie bez powodu został chrześniakiem króla Filipa. Było jej żal trzyletniego dziecka, które żadna sławy matka z czystego wyrachowania wyrwała ze znajomego otoczenia, toteż zaopiekowała się nim troskliwie. Później dostrzegła jego talent śpiewaczy i z radością go wspierała. Przystała na to, by Tybald pozostał na dworze jako trubadur i z przyjemnością słuchała jego pieśni. Był niezwykle wesołym kompanem; w jakież więc sposób miałyby stanowić niebezpieczeństwo dla dworu?

Rozluźniła przechodzący pod brodą, ciasno i nieprzyjemnie napięty pasek podwijki, by lepiej słyszeć.

- I cóż takiego miałyby nam uczynić Tybald? - zapytała ze zdziwieniem. Przytuliła się mocniej do męża i uszczypnęła go zalotnie w ucho.

- On może wam poważnie zaszkodzić - odparła z naciskiem Ingeborga.

- Ty bałd nas przecież kocha! - wykrzyknęła skonsternowana Blanka i zwróciła głowę ku Ludwikowi, domagając się potwierdzenia.

Ten skinął głową.

- A przede wszystkim ciebie - zauważył swobodnym tonem. Ostrożnie zdjął jej z głowy całą podwijkę, rzucił ją na stojącą obok skrzynię i z czułością pogładził lśniące, brązowe włosy Blanki, opadające teraz swobodnie na ramiona. - A tego ani jemu, ani nikomu innemu nie można wziąć za złe. Czy jest na tym świecie ktoś, kto mógłby cię nie kochać?

Nie zważając na obecność macochy, mocno przytulił do siebie żonę i nie skąpił jej pieszczot. Ingeborga uśmiechała się łagodnie, nie zdradzając smutku, jakim ją przepełnił widok tej gorąco kochającej się pary.

Ach, gdybyż jej wiedza o przyszłych zdarzeniach w przypadku tych dwojga okazała się błędna! Jakże wspaniale byłoby, gdyby jej wizje tym razem się nie sprawdziły! Gdybyż tylko jej interwencja mogła zapobiec najgorszemu!

Powzięła decyzję, by przekazać to ostrzeżenie, w nikłej nadziei, że Blanka jako prawowita królowa być może zdoła odwrócić nieszczęście, które Ingeborga tak wyraźnie ujrziała oczami swej duszy. Blanka bardzo wczesnie intuicyjnie wyczuła jej szczególne zdolności. Teraz Ingeborga miała nadzieję, że posiada moc, która jej samej nie była, co prawda, obca, ale którą sama nigdy nie będzie w stanie porządzać. Moc stawiania czoła złu i oddalania go.

Gdy Blanka przed wieloma laty zapytała nieśmiało, czy król Filip oddalił ją od siebie dlatego, że lękał się jej daru jasnowidzenia, Ingeborga tylko potrząsnęła przecząco głową, była jednak winna Blance odpowiedź. Ta wszakże sprawiłaby jej samej zbyt wielki ból.

Czyż miała odrzec Blance: ze strachu przed miłością, miłością tak wielką, że król obawiał się o swój rozum, swoją zdolność rządze-

nia, a tym samym o swój kraj? Ze strachu przed miłością podobną tej, jaka łączy ciebie i Ludwika, i której mimo to wy dwoje nie potraficie się wyrzec?

Podczas nocy poślubnej Ingeborga zabrała Filipa w podróż, którą mógłby opisać jedynie słowami „uczucie niewymownego szczęścia” - z pewnością nieoddającymi w pełni tego, co przeżył. Filip August, który przed nią znał wiele kobiet i sądził, że wie już wszystko o rozkoszach miłości, został tej nocy pokonany przez dziewicę z północy. Serce, radujące się spełnieniem, którego istnienia król wcześniej nawet nie przeczuwał, na nieszczęście wyrwało się ku pięknej Ingebordze również podczas uroczystości namaszczenia jej na królową w Reims owego sierpniowego dnia 1193 roku. Jego pożądanie sięgało zenitu. Nadludzkim wysiłkiem zdołał powstrzymać się przed tym, by w czasie ceremonii nie rzucić się na nią, nie zerwać z niej szat i nie posiąść na oczach wszystkich.

Rozkazał swym stopom, by wrosły w ziemię, lecz nie był w stanie opanować silnego drżenia nieposłusznego ciała. Na tak niszczycielską słabość, na to niepojęte szaleństwo - gdyż inaczej nie potrafił nazwać swych uczuć - nie może sobie pozwolić żaden monarcha. Musiał wyrwać z serca tę zakazaną miłość, usunąć ze swego życia zbyt umiłowaną niewiastę. Nie przyszło mu nic innego do głowy, jak tylko zamknąć ją w wieży klasztoru S a i n t - Maur-des-Fosses - z dala od siebie i wszystkich innych mężczyzn na świecie. Tylko tak mógł się uwolnić od uroku tej kobiety, która potężnego króla uczyniła najsłabszym stworzeniem na ziemi.

Teraz, dokładnie dwadzieścia lat później, Ingeborga gestem dłoni odegnała wspomnienie jedynej miłości swego życia. Jakież to wspomniała, że oto tych dwoje królewskich dzieci okazuje sobie czułość i oddanie bez żadnych skrupułów czy obaw! Na ustach królowej błąkał się lekki uśmiech, gdy myślała o tym, jaką grozą napawało Filipa

oczywiste uczucie, łączące tę parę. A przy tym Ludwik o mały włos nie został wyswatany z inną kobietą, siostrą Blanki, Urraką.

Tak umyśliła sobie początkowo babka Blanki, Eleonora Akwi-
tańska. Lecz gdy osiemdziesięcioletnia wdowa po dwóch królach
zimą 1200 roku ogłosiła w sali rycerskiej w Palencii, iż Urakka po-
ślubi francuskiego następcę tronu, Blanka wykrzyknęła bez namy-
słu: - Urakka! I jak Francuzi mają wymówić to imię?

Eleonora obróciła się ku niej, zmierzyla ją chłodnym wzrokiem,
a potem odparła, przyznając jej rację: - Masz słuszność. Urakkę
powinien wziąć za żonę Portugalczyk. Mąż i język tego kraju dopraw-
dy lepiej do niej pasują. Do *Blanche* natomiast Francuzi łatwo przy-
wykną. A zatem to ciebie zabiorę ze sobą do Francji, moja mała, re-
zolutna Blanko.

I w taki oto sposób Blanka wraz ze swą wiekową babką pożegna-
ła łagodną kastylijską zimę i wyruszyła w podróż na chłodną pół-
noc, by zostać przedstawioną nieznanemu narzeczonemu. Wyobra-
żała sobie Francję jako nieprzyjazny, wiecznie pokryty śniegiem kraj
i w czasie podróży przeklinała swój niewyparzony język. Jakież to
żałosne, wpaść w tarapaty przez imię, które łatwo wymówić! Nawet
Francuzom! Nie przybyła wprawdzie na śnieżną pustynię, jednak
podczas pierwszych miesięcy marzła nieustannie. Nie było to wszakże
winą jej oblubieńca, lecz pełnych przeciągów pałacowych komnat.

Blanka i Ludwik śmiali się teraz na wspomnienie ich pierwszego
spotkania. Dwunastolatka i trzynastolatek spojrzeli tylko na siebie
i odetchnęli z ulgą, tak głośno manifestując swoją radość, że cały
dwór osłupiał. Na żadnym królewskim dworze nie brano nigdy
w rachubę miłości od pierwszego wejrzenia. Reakcja przyszłej pary
królewskiej była czymś wyjątkowym. A nawet odrobinę nieprzystoj-
nym. Królewskie dzieci zawierały małżeństwo z przyczyn czysto
dynastycznych, a nie dlatego że miały się ku sobie, czy wręcz czuły

do siebie namiętność. Jednak właśnie te uczucia rozkwitły błyskawicznie w sercach dorastających młodych ludzi, którzy wychowywali i uczyli się razem, nie mogąc doczekać się chwili, by w końcu zezwolono im skosztować małżeństwo.

Ojciec Ludwika, król Filip, był przerażony. Pełen obaw, że jego syn może przeżywać w przyszłości podobne rozterki jak on sam, robił Ludwikowi wymówki i pouczał go o jego obowiązkach, do których należała miłość do małżonki, lecz wyłącznie ta potwierdzona w dokumentach, w żadnym zaś wypadku prawdziwa. Ostatecznie Ludwik przez matkę, Izabellę z Hainaut, wywodził się w prostej linii od Karola Wielkiego. Powinien brać przykład ze swego wielkiego antenata, który wielce cenił sobie ród żeński i uszczęśliwił wiele kobiet, dobrze przy tym wiedząc, że jedna wybranka może posiadać o wiele większą władzę niż wszystkie białogłowy razem wzięte. Karol Wielki nigdy nie pozwolił sobie na uczucia do jednej jedynej kobiety.

- Ewa jest wszędzie; wystrzegaj się jej, gdyż sprowadza nieszczęście na mężczyzn - wszystkich mężczyzn! To diabeł ją przysłał, by cię wypróbować. Oprzyj się tej próbie! Masz kochać swój kraj, a nie żonę!

Ludwik uważał niepokój swego ojca za mocno przesadzony. Brzmiało to tak, jakby miłość do kobiety była bardziej niebezpieczna niż wojna z Anglią! A Blanka? To Bóg go z nią połączył. Człowiek nie powinien być sam na tym świecie. A miłość Blanki była najlepszą rzeczą, jaka przytrafiła mu się w życiu.

Cztery lata po ślubie królewska para mogła wreszcie oficjalnie żyć ze sobą jak mąż i żona. Potajemnie czynili to już od dawna - zbyt przemożną czuli tęsknotę, zbyt wielkie pragnienie, by zjednoczyć się z umiłowaną osobą.

Ludwik cierpiał wraz z Blanką nad stratą ich pierwszych dzieci. I tak jak ona przyjął to jako karę boską za ich cielesne obcowanie przed oficjalnym zezwoleniem. Lecz nie tylko za to.

Nigdy o tym nie mówili, ale Ludwik wiedział, że Blanka po miesiącu pełnego trwogi oczekiwania odwiedziła pewną mądrą kobietę, heretyczkę, która za pomocą ziół wywołała u niej naturalne dla niewiast krwawienie. Czy rzeczywiście była wówczas brzemienna, a interwencja zielarki udaremniła przyjście dziecka na świat, tego Blanka sama nie wiedziała. Czerpała później pociechę z przekonania, iż w chwilach pełnych zamętu i napięć krwawienie może ustać samoistnie; w taki sposób matka natura chroni kobiety przed ciążą w niesprzyjających czasach.

Mimo to Blanka często się modliła za duszę nienarodzonego dziecka, a liczne poronienia w pierwszych latach małżeństwa traktowała jako znak bożego gniewu. Również ta obawa przywiodła ją do cystersów.

Gdyby to zależało tylko od Ludwika, po tylu bolesnych stratach zrezygnowałby z dalszych prób. Zapewniał Blankę, że wytrwa we wstrzeźliwości, która nie zniszczy ich związku, gdyż kocha ją ponad życie. Jednak Blanka nie chciała o tym słyszeć.

- Potrzebuję twojej bliskości jak powietrza - rzekła - i to nie tylko dlatego, byś miał dziedzica, na którego zasługujesz.

I w końcu udało im się doczekać potomków. Obecnie mogli się już pochwalić całą gromadką - małym Ludwikiem, Robertem, Janem, Alfonsem i drugim Filipem. Jakież znaczenie miał w obliczu tego fakt, że wcześniej stracili pięcioro dzieci? To była kara boża i jego wola, ale w końcu Bóg przyjął pokutę Blanki. Życie toczyło się dalej. Objęła ramionami łono, w którym znów rozwijało się nowe życie. Ludwik położył rękę na jej dłoni.

Blanka westchnęła głęboko.

- Jakiego zła unikniemy, oddalając Tybalda z dworu? - spytała mocnym głosem i spojrzała badawczo na Ingeborgę.

Stara królowa wzruszyła ramionami.

- Tego nie wiem - przyznała szczerze. - Ale to jedyna rada, jaką wam mogę dać. Odprawcie go tak szybko, jak to tylko możliwe.

- Czy zamierza nam zaszkodzić umyślnie, czy też to przez niego dotknie nas nieszczęście? - nieustępliwie wypytywała ją Blanka.

Królowa Ingeborga uśmiechnęła się ze smutkiem. - Przecenisz mój dar, droga córko - rzekła do Blanki. - Nie potrafię zajrzeć w przyszłość, w najlepszym wypadku mogę ją jedynie przeczuć...

- Przyjaźń to największe dobro - zauważyła Blanka. - A Tybald jest nie tylko wyjątkowym przyjacielem, ale także najznamienitszym wasalem króla. Jest wystarczająco wielu baronów nieprzyjaznych naszej rodzinie, którzy choćby dziś z chęcią wydarliby nam koronę; wielce nierozsądne byłoby zatem uczynić sobie wroga z hrabiego Szampanii. - Przemogła się i dokończyła wypowiedź: - Ale posłucham twego ostrzeżenia, droga matko. Tybald wzbudził dzisiaj mój gniew. To posłuży za pretekst, aby oddalić go z dworu. A czy na zawsze, o tym możemy zdecydować później.

Również to ceniła Ingeborga u Blanki - umiejętność podejmowania szybkich decyzji w oparciu o dalekowzroczne przemyślenia przy równoczesnym uwzględnianiu potrzeby chwili.

- Hrabia winien pozostawać z dala od dworu jak najdłużej - stwierdziła chłodno.

- A więc tak się stanie, czcigodna matko - zawyrokował Ludwik.

- Nawet jeśli nie do końca wierzę we wróżby dotyczące przyszłości. Astronomowie zbyt często się mylą. I dlaczego nie przewidziałaś, że na zawsze stracimy prawa do tronu Anglii?

Ingeborga stłumiła gorzki uśmiech. Przepowiedziała to niegdyś Filipowi z najdrobniejszymi szczegółami, on jednak zaśmiewał się do łez, słysząc, że papież nawet nie będzie musiał toczyć wojen o Anglię, gdyż otrzyma ją w podarunku.

- Czy to powstrzymałoby cię, aby o nie walczyć?

- Oczywiście, że nie!

- Pani...

Tybald klęczał u stóp Blanki, błagając, by okazała mu łaskę i pozwoliła zostać na dworze.

- Zejdź mi z oczu! - odparła ostro Blanka. - J e d ź do domu, przedstaw Agnieszkę swojej zacnej matce, ożeń się i bądź szczęśliwy!

- Ale żałoba...

- Nie musisz jej zachowywać - przerwała mu Blanka. - Powinieneś teraz zatroszczyć się o własny kraj. Jak słyszałam, źle się w nim dzieje. Powinieneś też zająć się matką i Agnieszką. - Skinęła przyjaźnie głową dworce i dodała pojednawczo: - Jest wielu trubadurów, ale tylko jeden hrabia Szampanii, Tybaldzie. Musiałeś długo walczyć o tę pozycję, wykonuj zatem sumiennie swe obowiązki i zadbaj o to, by już nikt nigdy nie kwestionował twoich praw do dziedzictwa po ojcu. Przesyłaj mi piękne pieśni, mój przyjacielu, a ja przyrzekam, że będą je dla mnie wykonywać najbardziej utalentowani śpiewacy.

Stojąca obok Blanki Klara była zdumiona, że Tybald nie poświęcił swej narzeczonej, pięknej Agnieszce, ani jednego spojrzenia. Nawet na moment nie spuścił oczu z Blanki, a przy słowach „mój przyjacielu” jego źrenice rozszerzyły się z zachwytu.

Dopiero teraz Klara zrozumiała to, co od dawna powinno być dla niej jasne. Tybald zawsze kochał jedynie Blankę. Był tak samo opętany miłością do niej, jak ona, Klara, niegdyś do niego. Niegdyś? Przecież to było zaledwie wczoraj! Klara chwyciła się za głowę. Cóż to za miłość, która dzisiaj wydaje się nierzeczywista - ze zdumieniem pytała samą siebie. Trwająca całymi latami tęsknota nagle zniknęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Czyżby zastąpiła ją tęsknota, o której mówił Felicjan i jego ludzie? Tęsknota, która nie miała nic wspólnego z marnością cielesnego pożądania, tęsknota nie za człowiekiem, lecz za życiową ostoją, dającą uczucie błogości, za niezniszczalnym związkiem szczęśliwych dusz?

„Nie do końca” - przyznała w duchu Klara. Gdyby Felicjan był

o dwie głowy niższy, garbaty, pomarszczony ze starości lub tak grubo i brzydko woniejący jak królewski błazen, nie słuchałaby tak chętnie u jego boku słów tych przyjaznych ludzi. Wciąż spoglądała na niego ukradkiem, ciesząc wzrok jego jasnymi, brązowymi oczami, prostą postawą i dołeczkami w policzkach. Zauważyła także, że próbował pochwycić jej spojrzenie równie często jak ona jego.

Przez całe życie bała się ciasnych, ciemnych lochów, lecz u boku Felicjana z lekkim sercem zstąpiła po zwietrzałych kamiennych stopniach opuszczonego zamku nad brzegiem Sekwany, przecisnęła się przez wąski, nieregularny otwór i przekroczyła próg małej okragłej krypty, gdzie tego wieczoru spotykała się grupa katarów, „dobrych ludzi”. Mrok rozświetlały jedynie dwie małe lampy stojące na występie muru, pod którym umocowano żelazne pierścienie. Przez szczeliny w kamiennych ścianach przenikały krople wody, tworząc wąskie strumyki, które niezdecydowanie szukały swoich ścieżek, ściekając po murze z grubo ciosanych głazów i w końcu przemieniały się w małe, czarne kałuże na nierównym, kamienistym podłożu. Światło lamp i cienie na ścianach drgały w dochodzącym skądś lodowatym podmuchu powietrza. Nie było tu ani ołtarza, ani żadnego innego przedmiotu, który miałby religijny charakter. Felicjan wskazał w górę. Gdy Klara zmrużyła oczy, miała wrażenie, że rozpoznaje żelazne kraty, przykryte kamieniami.

- Wcześniej spuszczałyśmy się po linie przez ten otwór na górce - wyjaśnił szeptem. - Dopiero w zeszłym roku zrobiliśmy boczne przejście do tej piwnicy.

- A do czego ona służy? - zapytała Klara.

- Dawniej były tu tylko kamienie używane jako pociski - odparł Felicjan. - Zbierano je i gromadzono tutaj na wypadek oblężenia. To bardzo bezpieczne miejsce; nikt nie zdoła nas tu wysledzić.

Odziana na czarno kobieta zerknęła na Felicjana i jego towarzyszkę w dziwnie tu wyglądającej jasnej sukni, po czym głośno chrząk-

nęła. Nie brzmiało to jak wyrzut, lecz prośba. Felicjan przeprasza-
co skinął głową w jej kierunku.

Stojąca tuż obok niego Klara musiała walczyć ze sobą, aby się na
nim nie wesprzeć. Nie dlatego, że potrzebowała ochrony czy też po-
prostu się bała, lecz dlatego, że znalazłszy się w tym obcym jej świe-
cie, szukała oparcia. I ciepła, które promieniowało od tego męż-
czynny.

Po ostatniej modlitwie, w której zwrócono się do Boga, by zlito-
wał się nad zagubionymi duszami, Felicjan ujął dłoń Klary. Poczowała
na przemian zimno i gorąco, gdy palcem wskazującym drugiej ręki
niezwykle delikatnie narysował na jej dłoni małe kółeczko, a pośrodku
niego krzyż, mówiąc przyciszonym głosem: - To jest inny znak
krzyża, Klaro, krzyż katarów, jeśli tak wolisz. Symbolizuje on zie-
mię, wodę, powietrze i ogień. To jest prawdziwy krzyż, a nie ten rzym-
ski, na którym Jezus umarł męczeńską śmiercią i który wzniesli dla
niego wrogowie! Sam Pan Bóg musi pałać nienawiścią do tego krzy-
ża i z pewnością go nie uznaje. W każdym, kto kocha Boga, winien
on budzić odrazę, gdyż symbolizuje straszliwe cierpienie.

Klara nie w pełni wiedziała, co się z nią dzieje. Wiedziała tylko,
że modlitwy i rozmowy z tymi osobliwymi ludźmi, heretykami,
w wilgotnym podziemiu nad Sekwaną poruszyły w niej jakąś nie-
znaną strunę i jej myśli zaczęły krążyć wokół czegoś większego niż de-
speracka miłość do człowieka, który nigdy nie zabiegał o jej względy

W końcu, gdy już odzyskała panowanie nad sobą i opadły emo-
cje, musiała przyznać sama przed sobą, że całymi latami goniła za
ułudą, za miłością, która nią nie była. Znajomość z hrabią Szampa-
nii nie była źródłem wzniosłych doznań, powołała tylko do życia
wyobrażenie Tybalda, które - podobnie jak jego rzekome uczucia
- istniały wyłącznie w jej wyobraźni. Widział w niej jedynie przyja-
ciółkę; zrozumiałszy to, Klara przeżyła ogromny wstrząs. Z jego stro-
ny nie było niedomówień, od początku traktował ją jak przyjaciół-

kę, jedną z wielu. Jak towarzysza, z którym dzielił dobre i złe chwile. Ale nie wszystkie - i nie wszystko. A już z pewnością nie swoje serce. Z niezwykłą lekkomyślnością oszukiwała samą siebie w kwestii prawdziwej natury ich związku.

I nagle znalazła się wśród ludzi, którzy otwarcie mówili o wszystkim, co ich poruszało, o bólu, jaki odczuwali, o trudnym do zniesienia, paraliżującym lęku, i którzy snuli rozważania, jaki sens nadają życiu wszechobecne cierpienie i troski. Jak nic nieznaczący był w porównaniu z tym jej własny ból z powodu nieodwzajemnionej, wymyślonej miłości!

W Klarę wstąpiło nowe życie.

- Dusza ludzka jest zbuntowanym duchem, wygnanym na początku świata z nieba, który tam powróci, gdy tylko rozpozna swą prawdziwą naturę - nauczano w ciemnej piwnicy.

Nie rozumiała tego zdania, ale towarzyszyło jej ono przez cały następny dzień. Zupełnie, jakby te słowa kazały jej przypomnieć sobie coś, co wprawdzie należało już do odległej przeszłości, ale co musiała przywołać z pamięci, gdyż miało ogromne znaczenie dla jej dalszego życia, dla jej przyszłości. Zastyszane zdanie niosło ze sobą obietnicę, nadzieję na nowe jutro.

Poprosi Felicjana, aby ją pouczył, przekazał jej swoją wiedzę na temat tego ekscytującego, nieznanego świata, który tak nagle wtargnął w jej życie, wzburzył wszystkie uczucia i myśli i poruszył jej duszę.

Na myśl, że już tego wieczoru dowie się więcej o tym niezwykłym świecie, jej serce przepełniła radość. Felicjan miał czekać na nią przy rozetowym oknie powstającej katedry. Przyrzekła mu, że przyjdzie, jeśli tylko uda jej się po raz kolejny wykraść. Wykraść... Uczynić coś zakazanego...

Ależ nie, to przecież nie mogli być prawdziwi kacerze! Ostatecznie Felicjan modlił się do tego samego Boga co królewski dwór. Był głęboko wierzący. Dobry człowiek, który pomógł jej w potrzebie

i z pewnością nie oczekiwał za to wynagrodzenia w postaci klejnotów czy miłosnych pieśni.

Wszystkie te myśli sprawiły, że omal nie umknęły jej pożegnalne słowa Tybalda:

***W twych oczu morzu szarym
z radością bym zatonął,
niegodnym jest wszak tego,
zbyt jesteś oddaloną.
Dla ciebie, przyjaciółko, katedry pragnę wznosić,
lecz ważę się tylko o jedno spojrzenie cię prosić.***

Takich słów jeszcze nigdy jej nie poświęcił; źrenice Klary rozszerzyły się, a wspomnienie utraconej miłości znów zapukało do jej serca. Jednakże następnym wersom towarzyszył drwiący błysk w tak niegdyś ukochanych, fiołkowych oczach:

***Zaiste, to przypadek zawsze sprawia,
w którą stronę mężczyzny wzrok zabłądzi,
którą z dam prosi ze sobą, a którą zostawia,
i jak wybór ów o losie obu dam przesądzi.***

Klara zrozumiała, że Tybald nigdy nie zbudowałby dla niej katedry. A już na pewno nie chciał utonąć w szarym morzu jej oczu. Otrzeźwienie jednak było zadziwiająco bezbolesne; gdyby to ona poprzedniego dnia stała obok Blanki, gdy Tybald wyznał słowami pieśni, że oddalił swoją żonę, jego wybór padłby na nią, nie na Agnieszkę.

Klara rzuciła szybkie spojrzenie na Agnieszkę, z którą od dziecięcych lat dzieliła sypialnię. Jej oczy błyszczały; cynizm Tybalda i jego niezbyt subtelne aluzje zupełnie umknęły jej uwadze.

Klarę ogarnął głęboki smutek. Delikatna skóra przyjaciółki zwiędnie pod pozbawionym miłości dotykiem jej przyszęłego małżonka. A jej dusza będzie cierpiała.

- *Adieu* - powiedziała krótko Klara i opuściła powieki.

2

Decyzja

Właściwością serca jest, że nie jest zgodne w sobie. Biegnie od jednej myśli do drugiej, zmienia decyzje, czyni rzeczy nowe, niszczy stare, odtwarza to, co rozbiło się w kawałki, chce i nie chce, jak gdyby nie mogło wytrwać przy jednym, zachwyci się tu i ówdzie widoma rzeczami i szuka, gdzie mogłoby wypocząć. Próżność przynosi mu rozczarowanie, ciekawość pozbawia spokoju, pożądliwość wabi, rozkosz oszałamia, rozwiąźłość - kala, zazdrość bierze na męki, złość - wprowadza zamęt, smutek o gniew przyprawia.

Ze *Zwierciadła duszy*, rękopisu poświęconego królowej Blance

5 sierpnia 1223

- Czyżby brakowało ci tutaj, w Reims, twego tajemniczego kochanka, a może przyjechał z tobą na koronację? - zapytała Blanka przez zaciśnięte wargi. Królowa musiała uważać na mimikę, gdyż papka z rozgniecionego grochu i białka na jej twarzy zdążyła już zaschnąć i w żadnym wypadku nie mogła popękać.

Klara zamarła z przerażenia. Na szczęście jej twarz była zakryta ręcznikiem, pochylała bowiem głowę nad parówką, która wcześniej posłużyła królowej do oczyszczenia cery. Spoglądając na sfatygowane fiołki, pływające po powierzchni już nie tak gorącej wody, siąknęła głośno nosem, udając, że wydany przez nią dźwięk zagłuszył pytanie. Podniosła głowę znad miski, wytarła starannie ręcznikiem nos i policzki, po czym oparła się z powrotem na krześle. Pokojówka pośpiesznie roztarła w garnuszku kruszące się resztki papki z odrobiną wody różanej na jednolitą masę. Nim jednak zdążyła nałożyć mazidło na twarz Klary i unieruchomić ją, Blanka uniosła dłoń.

- Słyszałaś mnie - powiedziała, nie zważając na własną maseczkę, która natychmiast pokryła się niezliczoną liczbą pęknięć.

- Nie ma nikogo takiego - zapewniła ją Klara.

- Powiedz mi zatem, dokąd wykradasz się nocami. Inaczej będę musiała posłać za tobą kogoś, by cię śledził.

Pokojówka z zatroskaniem spoglądała na białe okruszki, sypiące się na halkę Blanki, i podała królowej gorącą gąbkę, nasączoną zapachem lawendy

Klara zdrząła. Szpieg z pewnością nie składałby relacji królowej Blance, lecz wykorzystał okazję, by niewielkim kosztem uczynić coś dla zbawienia swej duszy. Nie musiałby zdobywać stroju krzyżowca ani planować trasy wyprawy. Człowiek ten nie potrzebowałby nawet konia, aby otrzymać odpuszczenie wszystkich swych grzechów - jeśli tylko złożył ślubowanie i w ciągu obowiązkowych czterdziestu dni służby zadenuncjował wszystkich heretyków w okolicy. Prawdopodobnie dostąpiłby też wielu zaszczytów, ujawniając, że kacerze, o których sądzono, że żyją jedynie na południu, działają również w Paryżu. A w dodatku jedną z nich jest najbliższa powiernica królowej!

„Ale ja nie jestem heretyczką - pomyślała Klara. - Ja przecież tylko...”

- Modłę się - powiedziała głośno. - Nocą często odczuwam pragnienie, by się pomodlić. - Było to przynajmniej częściowo prawdą.

- Ale dlaczego opuszczasz pałac? - spytała Blanka. - Możesz się modlić w naszej kaplicy lub rozmawiać z Bogiem w swoim łożu.

Klara zdecydowała się ponownie wyjawić część prawdy.

- Ciągnie mnie do tej wielkiej katedry - wyjaśniła mocnym głosem i z błaganiem w oczach skinęła na służącą, aby ta wreszcie posmarowała jej twarz uniemożliwiającą rozmowę papką. Gest ten umknął uwadze Blanki, która sprawdzała w lusterku, czy na jej obliczu nie pozostały resztki grochowej maseczki.

- Ale katedra nie została jeszcze poświęcona Bogu! - zaprotestowała, opierając się ponownie w fotelu, by pokojówka mogła delikatnymi, okrężnymi ruchami palców wetrzeć w jej skórę olejek z pestek brzoskwini.

- J e d n a k Pan już tam zamieszkał - odrzekła Klara. Zabrzmiało to tak przekonująco, że królowa zamilkła na chwilę, poddając się błogiemu uczuciu odprężenia podczas masażu twarzy. Klara odważyła się wypowiedzieć na głos myśl, która przyszła jej do głowy, gdy

zwiedzała już teraz robiącą ogromne wrażenie budowlę. Katedra powoli rosła pod niebo - wprawdzie za sprawą ludzkich rąk, jednak bez wątplenia kierowała nimi Najwyższa Istota. Inaczej nie sposób było wytłumaczyć jej zdumiewających rozmiarów, perfekcyjnych łuków, wyniosłych kamiennych murów i wzbudzających nabożny szacunek rzeźb. Jednak chęć modlitwy i podziw dla monumentalnej budowli nie wyjaśniały zmian, jakie minionego miesiąca zaszły w zachowaniu Klary. Blanka zbyt dobrze znała swoją protegowaną, by zadowolić się tą odpowiedzią.

- Czy to tam spotykasz się ze swym kochankiem?

Klara powoli potrząsnęła głową i podniosła rękę niczym do przysięgi. Blanka zorientowała się, że z papką na twarzy nie może teraz mówić.

Felicjan nie był jej kochankiem. W każdym razie jeszcze nim nie był. W ciągu ostatnich tygodni stał się jej najbliższym przyjacielem, ufała mu bardziej niż jakiemukolwiek innemu człowiekowi na świecie. Otworzyła przed nim serce i w czasie wielogodzinnych wypraw do tajemnych miejsc spotkań katarów, w podziemiach, kościołach, stodołach, prywatnych mieszkaniach czy opuszczonych domach, opowiedziała mu wszystko o sobie.

Był pierwszym człowiekiem, z którym mogła mówić o Marmande, o „dobrych ludziach”, którzy ją uratowali i opiekowali się nią, o ataku na miasto, o swym śmiertelnym strachu i roztrzaskanym ciałku dziecka, które tak długo i bezlitośnie nawiedzało ją w koszmarach sennych; o całej tej grozie.

Z Tybaldem nigdy o tym nie rozmawiała. Nawet wtedy, podczas długiej podróży do Paryża. Poprzestawała na półprawdach, gdyż nie chciała zdradzić ani ojca, ani brata, nie miała też odwagi wypowiadać się życzliwie o heretykach i wstydziła się własnej niewiedzy.

Tybaldowi, a później Blance, powiedziała tylko, że wybrała się z krótką wizytą do rodziny, a kiedy wracała, napadnięto ją i wywie-

ziono do Marmande. Milczała zmieszana, gdy Ludwik dał **wyraz** swemu oburzeniu faktem, że kacerze ośmielili się wziąć w niewolę królewskich dworzan, by ich wykorzystać jako tarczę obronną podczas szturmów na miasto.

Aby uspokoić sumienie, Klara usilnie przekonywała samą siebie, że wymyślone przez nią kłamstwo mogłoby być prawdą. Ostatecznie nie wiedziała przecież, co się z nią wówczas rzeczywiście działo. Po upadku z konia ocknęła się dopiero w domu „dobrych ludzi”. Wymazała z pamięci obrazy serdecznych gospodarzy, którzy zostali później pomordowani. Dopiero gdy spotkała Felicjana, dopuściła do swojej świadomości prawdę - i w jakiś cudowny sposób wyrzuciła na bruk dziecko przestało się pojawiać w jej snach.

Być może zawierzyła Felicjanowi, gdyż w jego mowie słyszała dźwięki z rodzinnych stron. Głos Felicjana ożywił w jej pamięci niemal już całkiem zapomniane sceny z dzieciństwa - jak starszy brat Rajmund po raz pierwszy posadził ją na małym, białym koniku i uczył jeździć, jak ojciec skarcił dziewczkę służebną, która nazwała ją dzieckiem przeklętej kobiety, jak pewien żebrak zaniósł ją do domu po upadku do strumienia, opowiadając po drodze cudowne historie. Ten głos przenosił Klarę w przeszłość, przywracał wspomnienie słodkiego zapachu krainy dzieciństwa, który musiała zamienić na ciasnotę cuchnącego miasta. Wspomnienie czasów, kiedy miała rodzinę.

Chłonęła każde jego słowo, czekając na wielki cud - że powróci także wspomnienie matki, jej postaci, zapachu, głosu i dotyku, które zniknęły w mrokach niepamięci. Nie wiedziała nic o kobiecie, która ją urodziła.

Jako mała dziewczynka częstokroć wyobrażała sobie, że jej matka była piękną księżniczką z dalekiego kraju, której ojciec - zły król, ma się rozumieć - stanął parze kochających się ludzi na drodze do szczęścia, zmuszając swą córkę, by pozostawiła nieślubne dziecko

na dworze hrabiego Tuluzy. Kiedy później Klara nauczyła się liczyć, przeżyła ogromne rozczarowanie. W chwili jej poczęcia i narodzin Rajmund już od dawna był w związku małżeńskim ze swą piątą żoną, Eleonorą Aragońską.

Jej pytania o matkę pozostawały bez odpowiedzi. Dopiero później Klara zorientowała się, że na dworze hrabiego Tuluzy pod żadnym pozorem nie wolno było wspominać o dwóch kobietach, o jej matce oraz o siostrze hrabiego, która mniej więcej w tym samym czasie zniknęła z zamku i nigdy już nie powróciła.

Dzień przed swoim wyjazdem do Paryża błagała ojca, by powiedział jej przynajmniej, jak matka miała na imię.

- Tak mi jej brakuje!

- J a k może ci brakować kogoś, kogo w ogóle nie znasz? - zirytował się hrabia Tuluzy.

Klara pamiętała jeszcze, jak nieustępliwie trwała przy swoim:
- Ale przecież każdy ma matkę.

- Nie ty! - odparł niebezpiecznie cichym głosem.

Klara nie wiedziała nawet, kiedy jej matka zniknęła. Miała więc cichą nadzieję, że w jakimś zakamarku jej serca ukryte są strzępy wspomnień o matce, które trzeba jedynie odnaleźć, niczym zagubiony klejnot. Przez długi czas żyła marzeniem, że pewnego dnia zjawi się piękna, nieznana kobieta, a ona w jakiś sposób od razu będzie wiedziała, iż to jej matka. Kobieta, którą spotka przypadkowo i którą natychmiast rozpozna. Klara wyobrażała sobie, jak zalane łzami padają sobie w objęcia i jak w końcu otrzymuje odpowiedź na wszystkie swoje pytania. Jak spędza resztę swojego życia z matką. Nic takiego się jednak nie wydarzyło.

Lecz teraz spotkała Felicjana, mężczyznę pochodzącego z południa, który wydobyl na jaw tyle, zdawałoby się, na zawsze pogrzebanych w zapomnieniu wspomnień. Dlaczegoż by nie miało powrócić również to wspomnienie, które dla niej było bezcenne jak skarb?

O własnej przeszłości Felicjan mówił niewiele. Klara dowiedziała się tylko, że pochodził z Carcassonne, gdzie wciąż jeszcze żyje jego stara matka. Po odbiciu miasta przez brata Klary ruszył przed sześcioma laty na północ, by tam szerzyć wiarę „dobrych ludzi” i ćwiczyć się w pokorze przed osiągnięciem rangi „doskonałego”.

Jednak bardziej niż jego swojsko brzmiąca mowa ujęło Klarę to, że nigdy nikogo nie osądzał i nie miał nikomu nic do zarzucenia. Okazywał nawet zrozumienie dla Francuzów, „postępujących tak, jak im powiedziano, i niezających sobie sprawy, że mogłoby być inaczej”. Nigdy nie potępiał swoich wrogów, a nawet ani razu nie wyraził się o nich w ten sposób.

- Świat widzialny jest dziełem szatana - tłumaczył. - Uwięził on upadłe anioły, a więc wszystkie ludzkie dusze, w stworzonym przez siebie ciele, które przykuwa nasze dusze do niego i które może wedle swego uznania dręczyć. Nic nie ma znaczenia. Człowiekowi nie dano wolnej woli, by mógł czynić dobro lub zła

W odpowiedzi na sprzeciw Klary, że to Bóg Wszechmogący stworzył cały świat w ciągu siedmiu dni, zapytał, jak dzieło może być doskonałe, jeśli jego twórca ukończył je w takim pośpiechu.

- Dobre drzewo nie może wydać złych owoców - wciąż podkreślał. Dlaczego na tym świecie jest tak wiele ułomności i chorób, dlaczego wciąż dochodzi do zbrodni, klęsk głodu, trzęsień ziemi, powodzi i wojen, jeśli Bóg jest wszechpotężny i nieskończenie dobry? Dlaczego nie odpowiada na wołanie cierpiących niedolę? Dlaczego człowiek jest skazany na śmierć? Dlaczego Bóg w ogóle godzi się na zło?

- Ponieważ poddaje nas próbom - odparła Klara; można to było jasno odczytać z przypowieści o Hiobie.

Felicjan przyznał, że przy tworzeniu tej części Starego Testamentu musiał współuczestniczyć dobry Bóg, podobnie jak w przypadku Księgi Mądrości, Księgi Psalmów i Księgi Przysłów. Księga Hio-

ba ukazuje, jak potężny jest diabeł, przeciwnik dobrego Boga. Poza tym cały Stary Testament jest bez wątpienia dziełem diabła. Występujące w nim postaci są o wiele bliższe szatanowi niż miłującemu Bogu. Na Mojżeszu, którego określił jako człowieka bezwzględnego i opętanego żądzą władzy nie zostawił suchej nitki. Cytował ustęp z Księgi Wyjścia, mówiący o tym, jak Mojżesz staje w bramie obozu i zbiera wokół siebie lewitów: ***Każdy z was niech przypasze miecz do boku. Przejdźcie tam i z powrotem od jednej bramy w obozie do drugiej i zabijajcie: kto swego brata, kto swego przyjaciela, kto swego krewnego.***

Abrahama Felicjan nazwał lubieżnikiem, a Noego gorszącym dzieci opojem. Stwierdził, iż Dawid był mordercą, który w dodatku zabijał z niskich pobudek, i na potwierdzenie swych słów przytoczył wersety z Księgi Samuela: ***...powstał Dawid i wyruszył ze swym wojskiem, i zabił dwustu mężczyzn spośród Filistynów. Dawid przyniósł z nich potem napletki w dokładnej liczbie królowi, aby stać się żęciem króla.***

Klara z przerażeniem słuchała, jak Felicjan powołuje się na ustęp z Księgi Jeremiasza, by jej udowodnić, że przemawia w niej szatan, a nie Bóg miłości i przebaczenia: ***Byłeś dla mnie młotem - narzędziem wojny. Miażdżyłem tobą narody, burzyłem tobą królestwa. Miażdżyłem tobą konia i jeźdźca, miażdżyłem tobą wóz i jego woźnicę. Miażdżyłem tobą męża i kobietę, miażdżyłem tobą starca i dziecko, miażdżyłem tobą młodzieńca i dziewicę. Miażdżyłem tobą pasterza i jego trzodę, miażdżyłem tobą rolnika i jego zaprzęg, miażdżyłem tobą rzadców i kierowników.*** Ach, Klaro, to nie Bóg kreślił te słowa, lecz sam szatan.

W uszach Klary brzmiało to jak największa herezja, on jednak nadal cytował kolejne wersety ze Starego Testamentu i zdawało się, że potrafi uzasadnić wszystkie swoje osady. I tak poznała poglądy Felicjana na Jezusa z Nazaretu, które wprawiły ją w głęboką konsternację.

Felicjan czcił i wielbił Jezusa. Nie uważał go jednak ani za człowieka, ani również za Syna Bożego, lecz za najdoskonalszego ze

wszystkich aniołów, który zstąpił na ziemię, by uwolnić ludzkie dusze z więzów ciała i zaprowadzić je z powrotem do nieba. Wiedział jednak, że nie zdoła uratować wszystkich ludzi, o czym również można przeczytać w Biblii. I tak w Ewangelii według świętego Mateusza jest napisane: ***Bo przyszedłem poróżnić syna z jego ojcem.*** Każdy człowiek musi sam podjąć decyzję, czy pójdzie za Jezusem, czy zostanie w świecie, stworzonym przez diabła.

Dlatego też ten anioł, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nigdy naprawdę nie spożywał pokarmów, nie pił, nie cierpiał, nie umarł i nie został pogrzebany, nie odniósł całkowitego zwycięstwa w walce z szatanem, ale dał ludziom przykład i wskazał drogę do zbawienia. Ci, którzy za nim pójdą, otrzymają królestwo niebieskie.

- Powinnaś już zmyć z twarzy papkę z grochu - myśli Klary przerwał głos Blanki. - Teraz nastąpi najgorsze, a mianowicie nasze włosy.

Istotnie. Potrwa wiele godzin, zanim z długich, sięgających bioder włosów zostanie spłukana mieszanka oliwy z oliwek, miodu, ałunu i rtęci, którą nałożono na nie przed wieloma godzinami. Pokojówki przydźwigały już sporo cebrów z gorącą wodą do komnaty, w której Blanka przygotowywała się do koronacji, by wystąpić na niej jako olśniewająca piękność. Poprosiła Klarę, aby ta dotrzymała jej towarzystwa podczas tych rytuałów, gdyż inaczej zanudziłaby się na śmierć.

Klarze przemknęło przez głowę, że przecież nigdzie nie pisze, iż najważniejszym przymiotem królowej jest uroda. Naturalnie chodziło o Stary Testament.

Ciągle była w nim mowa o przepięknych królowych, jak gdyby była to ich najbardziej pożądana cecha. Lecz cóż wspólnego miała uroda z byciem dobrym czy bogobożnym człowiekiem? Jakaż to korzyść ludowi przynosi piękność królowej? Czy uwalnia ich od nę-

dzy i cierpienia? Z pewnością nie, lecz na widok urodziwej władczyni w oszałamiających szatach i klejnotach ludzie mogą przynajmniej na krótko zapomnieć o swoim ciężkim położeniu. „I przestają dążyć do zbawienia” - pomyślała Klara.

Przeraziła się, kiedy zdała sobie sprawę, jak heretycka była to myśl. Nawet nie chciała sobie wyobrazić, z jaką pogardą potraktowałyby Felicjan te wszystkie starania dotyczące powierzchowności, która jest przecież związana z ciałem, dziełem szatana. No cóż, w końcu nie musiał wiedzieć o tym, że cały dzień swojego życia poświęciła na zabiegi upiększające. Zresztą uczyniła to, by zadowolić królową, która z urzędu miała obowiązek olśnić swój lud blaskiem tak ciężko wypracowanej urody.

- Ale w twoim życiu z pewnością jest jakiś mężczyzna - kontynuowała Blanka, podczas gdy pokojówka zdjęła jej ręcznik z głowy i złotym grzebieniem o rzadkich zębach zaczęła rozczesywać ciemniejsze teraz, jasnobrązowe włosy królowej.

Klara odjęła od twarzy gąbkę, która pachniała cytryną i lawendą, zapachem drzew i pół wczesnego dzieciństwa, być może także matką, której nigdy nie znała.

— Tak - usłyszała swój głos i w tym samym momencie przekłęta swą nieodpartą chęć zwierzenia się swej ukochanej pani. Jakżeż byłoby wspaniale, gdyby po prostu mogła jej powiedzieć prawdę! Że jest pewien mężczyzna, którego darzy względami, gdyż jest prostolinijny, mądry, prawy i - no tak, to także - wielce urodziwy. Ponieważ pochodzi z południa i przypomina Klarze o jej korzeniach. Ponieważ wspierał ją w godzinie rozpacz. Ponieważ niezwykle delikatnie skłonił ją do rozmyślań o Bogu i świecie i nie rezygnował z dysputy, gdy stawała się trudna. Ponieważ kochał jej duszę i czuł, że należy do niej jak prawa ręka. Ponieważ tutaj, w Reims, straszliwie jej go brakowało i niczego nie pragnęła goręcej, niż wymówić jego imię.

Nie mogła jednak tego wyjawić, podobnie jak i innych rzeczy, które łączyły ją z katarami. Blanka była nie tylko jej matką z wyboru, lecz także jedną z najpotężniejszych i najbardziej pobożnych kobiet świata. Ale nie miała żadnych tajemnic przed swym małżonkiem, a ten prowadził krucjaty właśnie przeciwko temu mężczyźnie, który pojawił się w życiu Klary. Mówić o Felicjanie znaczyło skazać go na śmierć.

- Jezus - odparła krótko Klara. Nie było to do końca kłamstwem. Ku swemu zdumieniu Klara dowiedziała się, że katarzy inaczej niż Kościół rzymski, postrzegali postać Jezusa. Czy był on jedynie aniołem, czy też naprawdę Synem Bożym?

„Dobrzy ludzie” byli przekonani o jednym - że Jezus nie umarł na krzyżu za nasze grzechy i że nikt nie może oczyścić się ze swych grzechów poprzez spowiedź. I inaczej niż Ubodzy Rycerze Chrystusa i Świątyni Salomona w Jerozolimie, zwani też templariuszami, o których tak często mówiono przyciszonym głosem, nie uznawali relikwii. Każdy katar, gdyby tylko mógł publicznie przemówić, chętnie zaprzeczyłby pogłoskom, że kacerze strzegą w skarbcu twierdzy Montsegur Świętego Graala, kielicha, z którego Jezus pił wino podczas Ostatniej Wieczerzy. Nikomu, kto rzeczywiście znał „dobrych ludzi”, nie przyszłoby do głowy, że mogliby oddawać cześć jakimkolwiek martwemu przedmiotowi.

- Jezus? - wykrzyknęła Blanka.

Gestem dłoni oddaliła pokojówkę, nachyliła się i spojrzała na Klarę, która unikając wzroku przyjaciółki, nacierała sobie policzki olejkiem z pestek brzoskwini.

- Zostaw to!

Klara opuściła rękę. Jedna ze służących zdjęła jej ręcznik z głowy i kruczoczarne włosy Klary opadły na ramiona, rzucając cienie na lekko zaróżowioną twarz. Blanka spojrzała jej głęboko w oczy i roz-

poznała w ich blasku to samo religijne uniesienie, które dostrzegła jedynie u cystersów.

- Droga przyjaciółko, czy rzeczywiście chcesz wstąpić do klasztoru?

Klara głęboko zaczerpnęła powietrza.

Znowu jej się udało. Felicjanowi również.

- Oddałam się całkowicie sprawom wiary - powiedziała krótko.

- Wszyscy to czynimy - odparła z zadumą Blanka. Skinieniem głowy dała znak pokojówce, by znów zajęła się jej włosami. - Zwłaszcza że papież Honoriusz zatwierdził właśnie regułę nowej wspólnoty, trzeciego zakonu franciszkanów. Chętnie poznałabym kiedyś tego Franciszka z Asyżu. Wiesz, że jego matka była Francuzką, a ojciec mającym kupcem, handlującym sukniami? O ile pamiętam, był on nawet przyjmowany na dworze mojego ojca. A mimo to syn z miłości do Pana wyrzekł się wszelkiej własności, pielęgnuje trędowatych i głosi Ewangelię. Myślę, że jest świętym, który wędruje po ziemi i naśladuje Jezusa. Czytałam pewną pieśń o nim, w której ubóstwo nazywa panią Biedą. Podobało mi się to.

Klara wydała głośny okrzyk, gdyż służka zbyt mocno szarpnęła złotym grzebieniem jej włosy.

- Tobie to nie odpowiada? - spytała zaskoczona Blanka. - Twoja rodzina na południu myśli zapewne podobnie jak ja. O heretyckich katarach bez wątpienia można powiedzieć wiele złego, ale nie to, że lubują się w bogactwie - choć mówi się, że gromadzą je dla innych. Ogromne skarby, które wedle wszelkiego prawdopodobieństwa należą się Koronie i za które nie płacą podatków.

- Moi bliscy nie są kacerzami - odrzekła Klara, uradowana, że uniknęła dalszej rozmowy o mężczyźnie w jej życiu. - Są równie pobożni i bogobojni jak my Powinnaś o tym wiedzieć, zwłaszcza że mój brat Rajmund jest blisko spokrewniony również z tobą.

- Tak - rzekła Blanka, odchylając głowę mocno do tyłu, by jej włosy sięgnęły cebra. - Jego matka i moja były siostrami, córkami Eleonory Akwitańskiej, naszej babki. Ale Rajmundowi wypaczyło charakter najpierw to, że wychowywał się w Anglii, a potem obcowanie z kacerzami.

- Nikt nie jest mniej znieprawiony niż Rajmund! - zaprotestowała gwałtownie Klara. - Powinnaś go poznać, Blanko. Na twoim dworze nie spotkałam jeszcze szlachetniejszego i bardziej ujmującego mężczyzny - pomijając, rzecz jasna, Ludwika - dodała pośpiesznie.

Podczas gdy pokojówka spłukiwała ciepłą wodą z dodatkiem rumianku tłustą warstwę mieszanki z włosów Blanki, Klara mówiła dalej: - I Rajmund został niesłusznie ekskomunikowany! Ojciec Święty powinien zrozumieć, że mój brat nie jest heretykiem, cokolwiek by to miało znaczyć. Blanko, błagam cię, wpłyn na Ludwika, aby bronił Rajmunda przed papieżem! I chociaż jestem pogrążona w smutku z powodu śmierci ojca, cieszę się, że teraz mój brat będzie rządził Oksytanią. Z pewnością go kiedyś spotkasz, Blanko, i wówczas sama się przekonasz, jak bardzo jest do ciebie podobny. Jaki jest dworny, szlachetny, szczerzy i prawy. I jaki przystojny.

I znów to samo, uroda, zewnętrzna powłoka. Dzieło szatana, jak mówił Felicjan. Ale czy równie czule odnosiłby się do niej, gdyby była niskiego wzrostu, pokaźnej tuszy lub miała szkaradną chorobę skóry? „Możliwe” - pomyślała skonfundowana, gdy przypomniała sobie szpetną, niewidomą kobietę, którą pewnego wieczoru spotkali z Felicjanem i która najwyraźniej zabłądziła. Mimo że padał ulewny deszcz i Klara głośno skarżyła się na przemoczone nogi, dla Felicjana ważniejsze od ratowania jej bucików i zyskania sobie przychylności Klary było odnalezienie domu tej nieszczęsnej kobiety. Felicjan ujął ją pod ramię i prowadził, ostrożnie omijając rwące poto-

ki wody, które płynęły ulicami Paryża, niosąc cuchnące odpadki. Klara z podkasaną spódnicą i gniewną miną podążała w milczeniu za nimi w przemoczonych trzewikach, dopóki Felicjan nie odprowadził niewidomej do jej rodziny, mieszkającej w dzielnicy nędzy. Klara, która nie chciała być posądzona o samolubstwo, narzekała, że opuścili ważne wieczorne zebranie.

- Ten uczynek ma taką samą wagę jak uczestnictwo w zebraniu
- odparł Felicjan łagodnie i skierował się wraz z Klarą w kierunku katedry, odprowadzając ją pod rozetowe okno. Przedłożył los szpetnej niewidomej kobiety nad życzenia Klary. A jednak jej uroda musiała robić na nim wrażenie. Jako dziecko francuskiego dworu bez trudu odczytywała w jego oczach podziw, który niezwykle ją cieszył.

Blanka wyprostowała się gwałtownie. Woda z mydłem pociekła jej po twarzy i królowa mocno przetarła oczy.

- Skoro twój brat Rajmund, mój kuzyn, jest tak szlachetny i prawy, powinien w swoim kraju prześladować kacerzy i nie występować przeciwko naszym krzyżowcom!

- Nigdy tego nie robił! - zawołała Klara.

- Twierdzisz zatem, że jego - twój! - ojciec nie kazał przed wielu laty podstępnie zamordować legata papieskiego, Piotra z Castelnuau? To właśnie ten nikczemny czyn zapoczątkował całe to nieszczęście!
- zawołała Blanka ze wzburzeniem.

- Tego memu ojcu nigdy nie dowiedziono! - z równą gwałtownością odparła Klara. A ponieważ zabrzmiało to nieco pokrętnie, dodała zaraz: - Mój ojciec nigdy by nie przyzwolił na morderstwo. Życie każdego człowieka było dla niego ogromną wartością. Poza tym nie ma to nic wspólnego z moim bratem i doprawdy działa się już dawno temu.

Jednak Blanka miała rację - istotnie to właśnie od tej zbrodni wzięło początek całe zło. Ze względu na to niewyjaśnione zabójstwo

aroganckiego legata papieskiego, który miał wielu utytułowanych wrogów, papież Innocenty powołał do życia instytucję zwaną Inkwizycją, wskazał winnych i wezwał chrześcijański świat do krucjaty nad Garonne: - ***Powstań wojownik Chrystusowy, krew sprawiedliwych woła do ciebie, abyś tarczą wiary zasłonił Kościół przeciwko jego wrogom, straszliwszym niżli Saraceni, powstań i przypasz miecz do boku!***

Beziers, Marmande. Klara wzdrygnęła się.

- Ale teraz trwa nareszcie zawieszenie broni - dodała cicho i usiadła na niskim krzeselku z mocno odchylnym do tyłu długim oparciem, prosząc wzrokiem pokojówkę, by ta ustawiła za nią ceber.

- Dlatego że król Filip leżał na łożu śmierci! - wykrzyknęła Blanka. - To tylko kwestia czasu, kiedy znów zostanie podjęta krucjata przeciwko kacerzom...

- Kiedy to ma nastąpić? - zapytała Klara ochrypłym głosem, zastanawiając się, jak mogłaby ostrzec Felicjana.

- Po koronacji musimy jeszcze odwiedzić nasze włości i pokazać się ludowi. A potem Ludwik udowodni, że nie bez kozery nazywają go Lwem, i ostatecznie rozprawi się z heretykami! Sprowadzają tylko nieszczęście na ten świat. Ciebie również o mały włos nie pozbawili życia - choć jesteś córką hrabiego Tuluzy!

Klara rozważała dwie możliwości. Mogła wykorzystać ten fakt jako dowód, że władcy Tuluzy nie bratają się z kacerzami i są przez nich zagrożeni w równym stopniu jak wszyscy inni prawdziwie wierzący, lub w końcu powiedzieć prawdę o zajściach w Marmande. Jeśli zdecyduje się na to pierwsze, będzie dalej żyła w kłamstwie; w drugim przypadku musiałaby odwołać swoje wcześniejsze kłamstwa i narazić się na bardzo niewygodne pytania. Oba wyjścia wydały jej się nie do przyjęcia.

- Tybald uratował mnie przed ludźmi Ludwika, nie przed kacerzami - odrzekła w końcu, odchylając głowę mocno do tyłu, by słuchająca mogła spłukać jej włosy.

Poprzez szum lejącej się wody usłyszała, jak Blanka głośno po-
mstuje: - Dlatego że ci nędzni, podstępni, przekłęci heretycy rzucili
cię im na pożarcie, jak niegdyś Rzymianie chrześcijan lwom!

Klara milczała, dopóki znów nie usiadła prosto, a służąca nie
owinęła jej głowy świeżym ręcznikiem. Gdy pokojówka czyściła Blan-
ce uszy, szepnęła: - To było całkiem inaczej.

Chociaż królowa nie mogła usłyszeć tych słów, Klara przynaj-
mniej trochę uspokoiła swoje sumienie.

Ku jej ogromnej uldze Blanka nie podjęła już tematu kacerzy czy
ewentualnego kochanka Klary, nie wróciła do niego też później, kie-
dy obie siedziały w sąsiedniej komnacie przy kominku, w którym
rozpalono ogień, mimo że był ciepły letni wieczór. Ostatecznie nie
było innej możliwości, aby przed udaniem się na spoczynek wysu-
szyć długie włosy. Obie kobiety rozmawiały o błahostkach, dopóki
Blanka nie powiedziała czegoś, co znów przyprawiło Klarę o dreszcz
niepokoju: - Czy mogłabyś zadbać jutro o to, by hrabia Tybald za-
nadto się do mnie nie zbliżał?

Długoletnie przyzwyczajenie staje się drugą naturą; Klara mu-
siała od nowa przekonywać swe nagle szybciej bijące serce, że dawna
miłość już dawno wygasła.

- To wolno mu w ogóle zjawić się na koronacji? - spytała, zado-
wolona, że jej zaskoczenie jest zupełnie szczere. O tym, że Tybald
popadł w niełaskę, wiedzieli wszyscy na królewskim dworze, nawet
jeśli nikt nie znał przyczyny jego wygnania.

Krażyło wiele pogłosek na ten temat. Przebąkiwano, że uwiódł
dworkę Blanki, Agnieszkę z Beaujeu, i został zmuszony, by ją poślubić.
Inni o zdradzie stanu, o tajnym pakcie hrabiego z angielskim
wrogiem. Szeptano również po kątach, że chciał usunąć króla, by
móc rzeczywiście zdobyć obiekt swych tak często opiewanych uczuć,
a mianowicie królową we własnej osobie. W bardziej umiarkowanych
wersjach mówiono o politycznym sporze z królem lub zaniedbywa-
niu obowiązków wobec własnego kraju.

Naturalnie Klara wypytywała królową, ta jednak odparła tylko, że tym razem Tybald posunął się za daleko, i ucięła temat, nie zamierzając wdawać się w dłuższą dyskusję.

- J a k o hrabia Szampanii, a więc wasal króla, jest oczywiście zobowiązany do pojawienia się na naszej koronacji - odrzekła Blanka.
- Nie mam jednak najmniejszej ochoty, aby spotkać go osobiście.

- To jego miasto i będzie mieszkał u nas na zamku; spotkanie wydaje się więc nieuniknione - stwierdziła Klara.

- To nasz kraj, a zatem nasze miasto - przywołała ją do porządku Blanka. - A ponieważ nie chcę go widzieć, zadbałam o to, by przygotowano mu odpowiednią do jego stanu kwaterę w mieście. Nakazuję ci, Klaro, trzymać go z dala ode mnie i od króla. Z pewnością coś wymyślisz; to nie powinno być zbyt trudne.

„Łatwiej jednak to powiedzieć, niż zrobić” - pomyślała Klara następnego dnia, gdy w kościele dołączyła do innych dam dworu. Nawet mocno wyciągając szyję, nie była w stanie dojrzeć klęczącej pary królewskiej. Zbyt wiele biskupich mitr zasłaniało jej widok, zbyt wielu dostojników zgromadziło się wokół króla i królowej. Klara nie mogła zobaczyć z tej odległości, czy pośród nich znajduje się również Tybald. Nie pozostało jej nic innego, jak szukać go po koronacji, ale wątpiła, czy zdoła go powstrzymać, gdyby chciał zbliżyć się do Blanki i Ludwika.

- J a k ż e piękna jest nasza królowa - szepnęła w zadumie stojąca obok dworka, która podobnie jak Klara ledwie widziała dostojnych małżonków. Tak, królowa miała obowiązek wyglądać pięknie podczas koronacji i Blanka uczyniła wszystko, by nie rozczarować swych poddanych. Poeci mieli później opiewać szlachetną błądź jej lica, nie zdając sobie sprawy - podobnie jak Klara - z tego, jak wielkiej ilości trującej bieli ołowiowej użyto, by ją wyczarować; mieli sławić

lśniące włosy Blanki, nie wspominając jednak o złotych niciach, które w nie wpleciono.

Pominęli również arabski złoty pył, choć był on naprawdę godny wzmianki. Jego drobinki osypały się z włosów Blanki i dostały do jej prawego oka, które natychmiast zaczęło łzawić. Królowej jednak w żadnym przypadku nie wypadało pocierać powieki!

Z całej siły ścisnęła złożone do modlitwy ręce, nie mogła jednak zapobiec ich drzeniu, gdy arcybiskup Wilhelm z Joinville podniósł do góry ampułkę, zawierającą święty olej do namaszczenia. Zgodnie z legendą przyniósł ją na ziemię gołąb na ceremonię chrztu króla z rodu Merowingów, Chlodwiga I.

Blanka cierpiała coraz bardziej - ból w prawym oku stawał się nie do zniesienia. Modliła się żarliwie, błagając cicho Boga, aby uwolnił ją od tej męki, i przysięgając, iż odtąd wyrzeknie się próżności i już nigdy nie obsypie włosów pogańskim pyłem.

Ponieważ miała zacisnięte powieki, nie zauważyła, jak święty olej zmieszano na pateniu z krzyżmem. Usłyszała jednak słowa: *Ungo te in regent*, wiedziała zatem, że klęczący obok niej Ludwik został namaszczony. Mimo to wzdrygnęła się, gdy poczuła na ciemieniu dotykanie prawego kciuka arcybiskupa.

- Spokojnie, moja córko - mruknął kapłan, który przyłożył teraz złotawo lśniący palec do przeznaczonego do tego celu otworu w jej sukni, a potem oświadczył głośno: - *Ungo te in reginam*.

Dopiero od tej chwili była namaszczonej władczynią Francji. Gdy poczuła na głowie koronę i z włosów osypały się kolejne drobiny złotego pyłu, po jej policzkach spłynęły gorące łzy. Głębokie uniesienie Blanki poruszyło nawet tych z dostojników, którzy pozbawieni byli wszelkich uczuć. I tak niemal wszyscy płakali, gdy jej ramiona okryto błękitnym, obszytym złotymi liliami królewskim płaszczem, a Ludwik otrzymał insygnia władzy. Jak zapewniał później sędziwy

doradca króla Ludwika, jeszcze nigdy żadna francuska królowa nie wykazała podczas swej koronacji takiej żarliwości. A był przecież świadkiem namaszczenia na królową zarówno matki obecnego władcy, jak również Ingeborgi Duńskiej oraz Agnieszki z Meranu.

Klara nie musiała szukać Tybalda po ceremonii, gdyż podszedł do niej sam przed wejściem do kościoła. Skłonił się, pozdrowił ją ceremonialnie, a potem rzekł: - Jestem naprawdę zrozpaczony, Klaro, królowa nie chce mnie przyjąć; wygląda nawet na to, iż wydała polecenie, aby nie dopuszczać mnie w jej pobliże. Wypędziła mnie z własnego zamku i skazała na położoną gdzieś daleko kwaterę! Zaklinam cię, moja droga stara przyjaciółko, porozmawiaj ze swą panią, wstaw się za mną, powiedz jej, że nigdy nie znajdzie wierniejszego sługi ode mnie!

Jego błagalne spojrzenie zmiękczyłyby nawet kamień.

Klara potrząsnęła głową.

- To nie miałyby sensu, Tybaldzie. Ja przecież nawet nie wiem, dlaczego popadłeś w niełaskę.

- Ja również nie wiem. I to jest najgorsze! - wykrzyknął, biorąc Klarę za rękę. - Dowiedz się przynajmniej tego, uczyni to dla mnie. Będę mógł wówczas całą rzecz rozważyć i znaleźć jakiś sposób, aby na powrót zdobyć łaski u dworu. Nie zniosę dłużej, że królowa traktuje mnie jak powietrze!

Ciepło jego dłoni zdawało się przenikać wprost do serca Klary. Pełne rozpaczego spojrzenie fiołkowych oczu Tybalda sprawiało jej ból. Najchętniej pocieszyłaby go, gładząc z czułością po policzku. Ach, jak wspaniale byłoby dotknąć mężczyzny, którego obraz tak długo nosiła w sercu! Jakież to wspaniałe uczucie, być dotkniętą! Dotkniętą przez mężczyznę.

Natychmiast przyszedł jej na myśl Felicjan. Zawsze uważał, aby jej nie dotknąć, czasami tylko ujmował ramię Klary, kiedy groziło

jej potknięcie na pokrytych nieczystościami paryskich ulicach. Czuliła, że kocha ją tak samo jak ona jego, i miała mu za złe, że walczy ze swymi uczuciami. Być może nawet sądził, że to diabeł go zaślepił. Jakim sposobem jednak ta słodka tęsknota mogła być dziełem szatana?

Żądze cielesne, jak usłyszała na jednym z zebrań katarów, to narzędzie złego ducha, który próbuje przywiązać człowieka do tego nikczemnego świata, gdzie jest niepodzielnym władcą. Płodzeniem dzieci pragnął omamić ludzi, tak by nie wyrzekali się swych śmiertelnych powłok i pozostali w nich uwięzieni już na wieczność.

- Czy rodzaj ludzki ma całkiem wymrzeć? - zawołała wówczas ze wzburzeniem Klara. Przemawiająca kobieta zwróciła się ku niej, spojrzała przyjaznym wzrokiem na odzianą w barwną suknię dziewczynę i odparła: - Czyżbyś nie wiedziała, co czeka cię po śmierci?

- A któż to może wiedzieć!

Przestraszyła się dopiero, gdy usłyszała szmer, który przeszedł wśród zgromadzonych, a potem odpowiedź: - Na twoją duszę, gdy tylko uwolni się z obumarłego ciała, czekają diabły powietrzne i będą ją męczyć dopóty, dopóki nie znajdzie schronienia w następnym ciele.

Przerażająca wizja.

Żadne okrucieństwo z krytykowanego przez katarów Starego Testamentu nie wydało jej się tak potworne jak myśl, że nawet po śmierci będzie musiała znosić męki. Ale czy było to prawdą tylko dlatego, że o tym mówiono? Jednakże, zastanowiła się, byłoby dobrze, gdyby w ostatniej godzinie czuwała w pobliżu *perfecta*. Tak na wszelki wypadek. Nigdy przecież nic nie wiadomo.

W drodze powrotnej do pałacu Felicjan wyjaśnił, że diabły powietrzne należą do szczególnej kategorii upadłych aniołów, które nie zostały uwięzione w ciałach, lecz dręczono je w powietrzu. Człowiek mógł zostać wybawiony od ziemskiej niedoli jedynie poprzez śmierć po udzielonym mu *consolamentum*.

- W innym przypadku będziemy wciąż na nowo przychodzić na świat, jako ludzie albo zwierzęta, i po wieczne czasy cierpieć, odczuwać ból i umierać. Ta klątwa musi zostać złamana, człowiek winien przezwyciężyć swą słabość i pokazać szatanowi, gdzie jego miejsce. To nasze zadanie, Klaro. Będę je wypełniał aż do ostatniego tchnienia.

- A zatem czy mogłabyś mi pomóc? - Mocny uścisk dłoni Tybalda sprowadził Klarę z powrotem do teraźniejszości. Otrząsnęła się z myśli o straszliwych diabłach powietrznych i z ożywieniem odwzajemniła uścisk.

„Jakim szalonym wyobrażeniem dałam się omamić - przemknęło jej przez głowę. - Felicjana, o którego rodzinie i życiu nic nie wiem, znam zaledwie od miesiąca, Tybalda, jednego z najszlachetniejszych panów w tym kraju, niemal całe życie! Zawsze go kochałam. Zawód, jaki mi sprawił, z pewnością należy uważać za próbę. Jak również spotkanie z urodzonym Felicjanem. Został przysłany, by wodzić mnie na pokuszenie! Dlaczego dopiero teraz to dostrzegłam? Bóg chce wypróbować moje serce - czy szybko zbłądzi, czy też zdolne jest do bezwarunkowej wierności. Czy mimo wszelkich przeciwności będzie w stanie wytrwać przy tym, czego zostało nauczone i co zawsze uznawało za słuszne. Jest to miłość do Tybalda, który uratował mi życie, i miłość do Boga, który od dzieciństwa jest mi bliski. Ach, jakże słabe jest serce, jakże łatwo można je zwieść! Namiestnikiem Boga jest Ojciec Święty w Rzymie. Od ponad tysiąca lat jego słowo jest prawem. Przed nim zgina kolana nawet cesarz i królowie. Kimże jestem ja, nic nieznacząca dusza, aby poddawać to w wątpliwość? Jakże niewiele wobec tej potęgi ważą szalone słowa kacerzy, którzy w swoim „Ojcie nasz” modlą się o *panem supersubstantialem*, chleb nadmaterialny, co rozumieją jako prawo ogłoszone przez Chrystusa! Przecież nikt się takim chlebem nie nasyci!”

Umysł Klary szukał schronienia w znanym jej świecie. Ogarnął ją lęk, lęk przed tym, że poznała idee Felicjana, przed samym Felicjanem, lęk, że zagubi się w niepojętej dla niej dali, że straci wszystko, lęk przed niewiedzą, gdzie zaprowadzi ją podróż do nieznanych brzegów i co zastanie, kiedy przybędzie do celu.

W obliczu uroczystej koronacji - z łaski bożej! - pełnej podniosłych słów, kościelnego splendoru i świeckiego przepychu, w obecności potężnych dostojników, dążenia „dobrych ludzi”, którzy modlili się i prowadzili dysputy w wilgotnych paryskich piwnicach i ciemnych stodołach, wydały jej się raptem żałosne i pozbawione sensu.

Zrozpaczony Tybald szarpnął ją za rękaw.

- Proszę, pomóż mi, Klaro, sam nie dam rady! Otwórz mi drogę do naszej pani!

- Spróbuję - odrzekła wymijająco.

Szybko rozważyła, jak mogłaby pogodzić polecenie Blanki, by trzymać Tybalda z dala od niej, z jego pragnieniem ponownego zbliżenia się do królowej. W tym momencie uprzytomniła sobie, że istnieje jeszcze jedna poważna przeszkoda.

- Gdzie jest twoja żona? - zapytała.

Tybald nadął policzki i wypuścił powietrze z głębokim westchnieniem.

- W domu, w Troyes. Moja matka wprowadza ją w sprawy rodziny.

- Kochasz ją?

- Moją matkę?

- Nie błaznuj.

Klara poczuła się silna. Jakaż to rozkosz, móc skarcić Tybalda, wiedzieć, że jest mu potrzebna! Felicjan nie szukał u niej pomocy. Miał swoją kacerską wspólnotę. I jeden cel - zostać „doskonałym”, który żył jedynie po to, by czynić dobro, dokonać żywota i nigdy nie urodzić się na nowo. Ona, Klara, przeszkadzała mu tylko w urzeczy-

wistnieniu tych planów, gdyż nie wolno mu było jej pokochać tak, jak mężczyzna kocha kobietę. Nie, oddanie serca takiemu mężczyźnie byłoby niegodne i zupełnie beznadziejne.

Zdecydowanie bardziej interesujący był jednak ten świeżo poślubiony trubadur, który utrzymywał, że kocha inną niewiastę, również zamężną i nieosiągalną dla niego.

Uczucia powróciły z pełną mocą, jak gdyby nigdy nie wydarzyła się ta scena w komnacie Blanki. Scena, która, o ile Klarze było wiadomo, poprzedziła wygnanie Tybalda i prawdopodobnie była jego bezpośrednim powodem. Scena, która wprawiła ją w rozpacz i przywiodła pod rozetę katedry. Tak, bez wątpienia Bóg poddawał próbie jej serce, chcąc wy badać jego niestałość.

Klara wzięła Tybalda za drugą rękę.

- Trzymaj się blisko mnie - szepnęła. - Wtedy przynajmniej cię zobaczy. Co będzie dalej, okaże się później.

Uroczystości trwały do białego rana. Klara, która od czasu spotkania z Felicjanem nie jadała mięsa, pozwoliła sobie tego wieczoru na łabędzią wątróbkę, gęsie udka i pieczeń z jelenia. Wypiła również więcej ciężkiego słodkiego wina niż zazwyczaj. Spoglądając niekiedy na ustawiony na podwyższeniu stół, przy którym ucztowała królewska para, wprost nie mogła uwierzyć, że zaledwie dzień wcześniej wspólnie z tą nieprzystępną, piękną, bladolicą kobietą smarowały sobie twarze papką z grochu.

Dobrze rozumiała rozpacz Tybalda. On także był wcześniej traktowany przez Blankę jak jej własne dziecko, a potem z dnia na dzień, bez podania powodu, wypędzono go z dworu. W pewnym sensie utracił swój dom. Klara nie potrafiła sobie wyobrazić, jak bardzo nieszczęśliwa byłaby ona sama, gdyby Blanka pozbawiła ją pewnego razu swych względów. Co z pewnością by uczyniła, gdyby doszło do jej uszu, że jej protegowana uczestniczy w zebraniach heretyków. „Ale

z tym już koniec - pomyślała z zadowoleniem Klara - i nikt się o niczym nie dowie". Jak to dobrze, że poprzedniego dnia nie uległa nieodpartemu pragnieniu, by wymówić imię Felicjana.

Zadrzała, gdy uprzytomniła sobie, jak bliska była tego, by wszystko stracić. Jak lekkomyślnie ryzykowała życie, swoją przyszłość, a być może nawet duszę! Wszystko dlatego, że Tybald nie wyznał jej miłości.

Jeden z trubadurów zaintonował nową pieśń. Tybald się skrzywił. Śpiewak słabym głosem zapowiedział najnowsze dzieło poety Gillesa z Paryża:

- *Carolinus!*

Karol Wielki.

- A cóż on tam skrzeczy - szepnął Tybald do Klary. - Ten chłopina jest takim samym urodzonym trubadurem jak Ludwik cesarzem.

- Ale Ludwik przez matkę, Izabellę z Hainaut, wywodzi się od wielkiego cesarza. Kto wie, może kiedyś rzeczywiście zostanie wyniesiony do tej godności - również szeptem odparła Klara, położyła mu palec na ustach, by go uciszyć, i przysunęła się bliżej.

Podczas nadzwyczaj pozbawionego wyrazu i nużącego popisu Tybald stawał się coraz bardziej niecierpliwy. Wiercił się na ławie i mrużąc cicho pod nosem, przedrzeźniał dyszkant trubadura. Klara co chwilę trącała go w bok i nakazywała milczenie. Tybald niewzruszenie podśpiewywał dalej. Występ sprawiał mu niemal fizyczny ból.

W kulminacyjnym punkcie pieśni przeciążony głos trubadura nie wytrzymał i przy przepowiedni świętego Waleriusza przeszedł w falset:

***Kiedy nadejdzie siedem pokoleń człowieczych i przeminie,
z Carolinusa nasienia królestwo potężne na nowo powstanie.***

Tybald nagle wstał. Zaniepokojona Klara usiłowała pociągnąć go z powrotem na ławę, lecz trubadur wyrwał się jej. Wskoczył na stół, zrzucił nogą nie całkiem jeszcze pustą misę z zupą, która uderzyła o ziemię z głośnym brzękiem, utkwił spojrzenie w Blance i zaśpiewał dźwięcznym, choć nabrzmiałym wściekłością głosem:

Pieśń pochwalna, dobywająca się z zabiej gardzieli, raduje jeno ropuchy, ogłasza wszem i wobec trubadur, który w tej chwili wolałby być głuchy.

Zgłębi serca hołd składa szlachetnej parze...

Już przy pierwszych słowach w komnacie zapadła cisza, dało się słyszeć jedynie kilka zduszonych parsknięć. Wszyscy z napięciem patrzyli na królewską parę. Blanka nie namyślała się ani chwili. Niebudzącym wątpliwości gestem nakazała bezzwłocznie usunąć awanturnika z sali. Kilku silnych mężczyzn rzuciło się na Tybalda i ściągnęło go ze stołu, strącając przy tym kilka innych naczyń.

- ***...prośbę o wybaczenie zuchwalstwa kładąc na ołtarze*** - dociągnął Tybald do niezbyt szczęśliwego końca swój utwór, leżąc na ziemi przytrzymywany przez czterech mężczyzn, którzy po chwili wynieśli go z komnaty, uwalanego od stóp do głów resztkami jedzenia. Jego oczy nie oderwały się ani na moment od oblicza królowej.

Pohańbiony przez mistrza w swoim fachu trubadur posłał Blance rozpaczliwe, pytające spojrzenie. Królowa przywołała go do siebie, uśmiechając się życzliwie, przypięła złotą szpilkę do kaftana i dała znak muzykantom.

Gdy zaczęli grać skoczną melodię, Klara wymknęła się z sali. Tybald siedział na posadzce oparty plecami o ścianę i usuwał ze swego odświętnego odzienia kawałki tłuszczu, mięsa i jarzyn.

Klara przykucnęła obok niego.

- To nie było zbyt mądre - zganiła Tybalda.

Oczy trubadura błyszczały szczęściem.

- Przez cały czas na mnie patrzyła, zauważyłaś to?
- Wszyscy na ciebie patrzyli - odparła, potrząsając głową.
- W tym stanie nie możesz się nigdzie pokazać.
- Może w kuchni jest woda - mruknął.
- Wstawaj - nakazała mu Klara. Starała się nadać swemu głosowi stanowczy ton, gdyż pomysł, który przed chwilą przyszedł jej do głowy, sprawił, że ugięły się pod nią kolana. - Idziemy na królewskie pokoje.

- Co takiego? - Tybald w mgnieniu oka poderwał się na nogi.

- Nikt nie może cię zobaczyć, Tybaldzie. Trzymaj się za mną.

Okrężną drogą, wspinając się po tylnych schodach, dotarli niewidziani przez nikogo do komnaty, w której Blanka i Klara oddawały się poprzedniego dnia upiększaniu urody. Klara otworzyła drzwi do bocznego pokoju.

- W kominku powinien być jeszcze żar. Podsyć go.

Tybald spoglądał na nią, nic nie rozumiejąc. - I bez tego jest mi wystarczająco gorąco. Gdzie my jesteśmy?

W pierwszej chwili wzięła jego pytanie za oznakę chwilowego zmącenia umysłu. Jak hrabia Szampanii mógł nie znać własnego zamku w Reims? Teraz musiał go oddać do dyspozycji królewskiej pary, ale bez wątpienia nie raz już w nim nocował. Później pomyślała o tym, jak wiele takich pałaców i zamków posiadała w rozległej Szampanii; jak był bogaty, jak potężny. I jak zuchwały.

- To są dwie połączone ze sobą komnaty, do których dzisiejszej nocy nikt nie wejdzie, jeśli zaryglujemy drzwi - uspokoiła go.
- A ogień w kominku jest nam potrzebny, by wysuszyć twoje rzeczy, kiedy je wypiorę.

- Ty? Ty chcesz prać moje ubranie?

- Jeśli wolisz, możesz, rzecz jasna, w tym stanie iść przez całe Reims do swojej kwatery - odrzekła. I nim zdążył ją spytać, jak zamysła wyprać jego rzeczy, powiedziała: - Każę przynieść gorącej wody.

Ale by to zrobić, muszę... - spojrzała znacząco na Tybaldę i jej policzki okrył lekki rumieniec - ...sama być ubrudzona, tak aby było to wiarygodne. Nie mogę przecież powiedzieć w kuchni, że chcę oczyścić ubranie hrabiego Szampanii. - Chrząknęła. - Zdejmiesz rzeczy w pokoju obok i podasz mi je, abym mogła poplamić nieco siebie i swoje suknie...

- To akurat - rzekł, śmiejąc się, Tybald - możemy zrobić prościej!

Podszedł do Klary, objął ją wpół i przygarnął mocno do siebie. Klara czuła na przemian zimno i gorąco. Tak, to była obietnica spełnienia. Ciepłe, wiotkie ciało przywarło do muskularnego ciała mężczyzny. Przez jej łono przepłynęła fala gorąca, gdy silna dłoń zmięła tkaninę, uniosła do góry halkę i przesunęła się po nagim udzie. Jęknęła cicho. I właśnie wtedy, gdy była pewna, że Tybald położy dłoń tam, gdzie jeszcze żadnej nie było, puścił ją.

- To powinno wystarczyć - stwierdził. Bezceremonialnie rozmawiał Klarze jeszcze trochę sosu na dekolcie, przy czym nie oparł się pokusie, by objąć jej prawą pierś i pogłodzić lekko środkowym palcem stwardniałą brodawkę. - Teraz możesz przywołać służbę. Ja ukryję się obok.

W sercu Klary szalała burza. Nie zważając na resztki jedzenia, plamiące jej suknię, osunęła się na fotel, na którym jeszcze rankiem siedziała Blanka, a pokojówka nakładała jej na twarz bielidło.

„Coś tu jest nie tak, jak trzeba - pomyślała Klara - nic już z tego nie rozumiem”. Musiała się opanować i na powrót stać się panią swoich zmysłów.

Ale tej nocy nie miało jej się to udać.

Kilka godzin później odsunęła rygiel i wyjrzała ostrożnie na korytarz. Na podłodze pokotem leżeli rycerze, dziewczki służebne i knechci. Zdawało się, że wszyscy mocno śpią. Pojedyncze pijackie

ryki w oddali i fałszywe dźwięki, dobywane od czasu do czasu z instrumentów, zdradzały, że uczta trwa w najlepsze. Jednak już bez królewskiej pary, która przeszła obok drzwi do komnaty, gdy Tybald, odziany jedynie w poplamioną tunikę, stał za Klarą, pochyloną nad cebrem i starającą się doprać jego nogawice.

Ludwik sarkał, że w drodze do sypialni musi omijać tyle śpiących osób.

- Mój najdroższy Lwie - odparła Blanka, śmiejąc się cicho - będziesz musiał poskromić swoje namiętne okrzyki, kiedy zaraz do mnie przyjdiesz.

- Ona go pragnie - wycedził Tybald przez zaciśnięte zęby.

- Ponieważ kocha swego małżonka nad życie.

Klara wiedziała, że tymi słowami wbija nóż w serce Tybalda, nie spodziewała się jednak tego, co nastąpiło potem. Rzucił się na nią jak szaleniec, przewrócił ją na ziemię i wszedł w nią z brutalną siłą, nie zrywając z niej ubrudzonej sukni. Z każdym pchnięciem jej głowa uderzała silnie o podłogę. Nie czuła bólu, ani na górze, ani w dole; nie czuła nic. Jakby jej umysł i dusza oddzieliły się od ciała. Leżąc bezwładnie, niczym szmaciana lalka wypchana słomą, posłużyła upokorzonemu trubadurovi do rozładowania emocji i upuszczenia płynów ustrojowych. Jakże często marzyła o cielesnym zbliżeniu z Tybaldem, o tym, by czule go dotykać i być przez niego pieszczoną! O ogniu, jaki w niej obudzi. Pragnęła go podsycać, rozkoszować się nim, doprowadzając Tybalda do szaleństwa.

To prawda, zawładnęło nim szaleństwo. Lecz pustka, jaką w niej pozostawił, gdy zaspokoił swe zmysły, była bardziej bolesna i nieznosna niż niespełniona namiętność sprzed lat.

Zapewne zdumiało go, z jakim spokojem i opanowaniem zdjęła szaty z leżącego na korytarzu, spitego rycerza o posturze Tybalda. Ostatecznie hrabia Szampanii musiał powrócić do swej świąty w przyodziewku.

- Idź - szepnęła, rzucając ubranie w głąb ciemnej komnaty.
- Wszyscy śpią.

Tybald pośpiesznie się ubrał.

Gdy na pożegnanie chciał pocałować ją w usta, Klara odwróciła głowę.

- Za późno - szepnęła, nie była jednak pewna, czy pojął sens jej słów.

Nieobecna duchem zakrzętnęła się znów wokół prania, rozpaliła ponownie ogień w kominku i porozkładała rzeczy swoje i Tybalda na krzesłach, na których dzień wcześniej suszyły z Blanką włosy. Tej nocy już nie uda się na spoczynek, ale za to odda rozebranemu rycerzowi wysuszone ubranie Tybalda lub przynajmniej położy je na nim. Chrapiący na korytarzu, nieznajomy mężczyzna pomyśli, że po pijanemu sam ściągnął poplamione odzienie lub zamienił się nim z innym szlachcicem.

- Felicjan - powiedziała cicho, i dźwięk tego imienia podziałał na nią z taką mocą, że na moment zamarła, przerywając pracę. Zaparło jej dech. Jakże była go niegodna. Jak mogła dać się tak ponieść emocjom! Jak mogła pozwolić, by oślepił ją ostentacyjny przepych minionego dnia? Znała przecież prawdę. Również tę o Tybaldzie.

Wściekła na samą siebie zajadłe wcierała popiół w uporczywą plamę z tłuszczu na swojej sukni. „Jaki ty jesteś czysty, Felicjanie, nie ma w tobie złości ani wyrachowania. Jak mało znaczy dla ciebie uznanie świata! Jak odpowiedzialnie dążysz do swoich celów i prawdziwie szukasz Boga. Z jaką życzliwością pobłażasz moim uchybieniom! Jak jesteś inny od Tybalda! Tęsknię za tobą! Za człowiekiem działającym bez żadnych ukrytych zamiarów, za człowiekiem, który nie wykorzystuje innych do własnych celów. Z tobą mogę rozmawiać o wszystkim. Powiem ci, co mi się przytrafiło. Co uczyniłam. Jakie nikczemne myśli mnie nachodziły i jak haniebnie postąpiłam.

Ty nie będziesz mnie osądzał ani ganił. Wiesz przecież doskona-

le, skąd się bierze zło, wiesz, że nie miałam wyboru. I Tybald również go nie miał. Przeszedł nad nami szatan. Zdaje mi się, jakbym widziała jego kopyta, jakbym czuła woń siarki. Lecz diabeł nie może odnieść nade mną zwycięstwa. Będę się bronić ze wszystkich sił. Pomogę wam zniszczyć jego moc".

Wyprostowała się. Był już najwyższy czas, by podjąć decyzję. Musiała przestać krążyć między dwoma światami, brać z każdego z nich, co w danej chwili wydawało się odpowiednie, dawać się ponieść emocjom chwili! Nie wolno jej było ani dnia dłużej słuchać podszeptów szatana! Musi się nauczyć je rozpoznawać i odróżniać od prawdziwej woli Boga. To, co przeżyła dzisiejszej nocy, uświadomiło jej z całą mocą, gdzie przynależy.

- Do „dobrych ludzi” - szepnęła, jakby składając ślubowanie.
- Teraz jestem „wierząca”.

Rozebrała się do naga, wzięła ze stołu szczotkę i szorowała nią ciało, dopóki całe się nie zaczerwieniło. Potem wylała resztę wody z dzbana do czystej miski i starannie umyła każde miejsce, do którego mogła dosięgnąć. Stanęła obnażona przed długim, wąskim lustrem, które rankiem odbijało obraz nieskazitelnie pięknej królowej.

- Jestem „wierząca” - powtarzała. - Panie, tak jak prowadziłeś trzech króli do stajenki, poprowadź mnie teraz. Panie Boże, staję przed tobą, jaką mnie matka...

Nie, takiej jej matka nie zrodziła, taką stała się dopiero w ostatnich latach. Wzrok Klary przesunął się po pełnych piersiach, a potem po trójkacie, osłaniającym jej srom. I ponieważ właśnie taką się stała, szatan pod postacią Tybalda wziął ją siłą. A ona na to pozwoliła.

To już nigdy więcej nie może się powtórzyć! Klara rzuciła spojrzenie na niewielką skrzynię, zawierającą garderobę, którą zabrała ze sobą z Paryża. Bez otwierania wiedziała, że nie ma w niej ani jed-

nej czarnej sukni. A właśnie takiej teraz potrzebowała. Już nigdy więcej nie chciała nosić jasnych, przybranych barwnymi kamieniami sukien. Już nigdy więcej nie będzie smarować sobie twarzy papką z grochu.

Łzy spływały jej po policzkach, gdy przetrząsała skrzynię w poszukiwaniu skromnej szaty, którą pragnęła założyć tej nocy. Znalazła w niej jednak tylko delikatne tkaniny. - Kiedyś, z bożą pomocą, jako *perfecta* uniknę prześladowań szatana - załkała, narzucając na siebie wilgotną suknię i układając się do snu na gołej podłodze.

Przełom

*Wielceś ty mroczna,
Choć jasne masz imię...*

Tybald IV hrabia Szampanii, z pieśni do Blanki

Marzec 1226

- Gdzie my jesteśmy? Co to za kobiety? - szepnęła zaniepokojona Blanka do Klary Przycisnęła mocniej do piersi małe zawiniątko, które trzymała w ramionach, nasuwając jednocześnie głębiej na twarz czarną chustę. Znalazłszy się w tej niegościnniej okolicy, żałowała, że zgodziła się na propozycję Klary, by poszukać u jej przyjaciółek, kimkolwiek mogły one być, pomocy dla swego śmiertelnie chorego dziecka.

- Jesteśmy u „dobrych ludzi” - odpowiedziała szeptem Klara.
- Bardzo biegłych w sztuce leczenia. Jeśli twemu małemu Karolowi w ogóle ktoś może pomóc, to tylko oni.

Blanka usiłowała dojrzeć w pogrążonej w półmroku stodole twarze czterech kobiet. Były one jednak ukryte w cieniu ciemnych, okrywających głowy chust. „Czarownice - pomyślała z przerażeniem Blanka. - Klara zaciągnęła mnie na spotkanie czarownic. One nie leczą małych dzieci, one je pożerają lub składają w ofierze diabłu. Jakim sposobem moja Klara mogła wpaść w to ponure towarzystwo? Czy to te kobiety są winne temu, że nosi wyłącznie suknie w przygaszonych kolorach? Że opuszcza komnatę, gdy muzykanci zaczynają stroić instrumenty? Co się stało z Klara? Jak mogłam zgodzić się na to, by z nią tutaj przyjść!”

- Wracajmy - szepnęła do Klary. - Nie ufam im, zwłaszcza że nie ma tu krzyża.

- Bóg może ci pomóc i bez znaku Chrystusowego - odparła Klara. - Lekarze i kapłani uznali twego syna za straconego i polecili go opiece Pana. Nie dali ci żadnej nadziei. Co masz więc do stracenia?

„Następne dziecko” - przemknęło Blance przez myśl. Jej oczy wypełniły się łzami.

- Cóż was tu sprowadza? - zapytała starsza wiekiem kobieta. Ciężko akcentowane samogłoski zdradzały, że pochodzi z regionu położonego daleko na południowym wschodzie.

Klara odrzekła: - Przed niecałym miesiącem moja ukochana przyjaciółka wydała na świat syna, który ciężko choruje i może umrzeć. Nie wiemy, co mu jest, i moja przyjaciółka szaleje z rozpacz. Czy mogłybyście obejrzeć dziecko? Proszę, spróbujcie mu pomóc!

Starsza kobieta zwróciła się do Blanki i zapytała spokojnym głosem: - Czy chciałabyś, by twój syn powrócił do królestwa niebieskiego?

- Nie! - krzyknęła przerażona Blanka, po czym dodała: - On jest taki malutki, tak krótko żył na tym świecie!

- To najczystsze dusze na ziemi - odparła kobieta z głęboką czcią.
- Pozwól, że mu się przyjrzymy.

Wraz z pozostałymi trzema kobietami zbliżyła się do grubo ciosanego stołu, na którym migotał kopcący kaganek. Blanka zawahała się na moment, po czym również podeszła do stołu i odkryła woskową twarzączkę swego syna, przytuloną do jej piersi. Uspokoiła się trochę. Czarownice nie mówią o królestwie niebieskim.

- Czy on aby jeszcze żyje? - zapytała starsza kobieta i wyciągając ramiona, poprosiła Blankę, by ta podała jej dziecko.

- Nie wiem - szepnęła Blanka z oczyma pełnymi łez. To pytanie dręczyło ją już od pół godziny; miała wrażenie, że ciało Karola powoli stygnie i sztywnieje, jak gdyby dusza opuściła je już jakiś czas temu.

Przemogła się i podała dziecko nieznaomej kobiecie. Ta ułożyła drobne ciało na stole i odsłoniła je. Brzuszek maleństwa pod zapadniętą klatką piersiową był silnie wzdęty. Kobieta delikatnie rozwarła usta dziecka. Bezzębne dziąsła były zupełnie czarne.

- Jeszcze żyje - odrzekła kobieta - ale wygląda na to, że zażył truciznę.

- J a k t o? - wykrzyknęła wzburzona Blanka. - Pije przecież tylko moje mleko i nic poza tym!

Kobieta wyciągnęła rękę, składając dłoń w miseczkę.

- Daj mi odrobinę swojego mleka - powiedziała.

Blanka cofnęła się.

- Moje mleko nie jest zatrute. Wykarmiłam nim kilkoro dzieci! Wszyscy wiedzą, że...

Klara położyła jej uspokajającym gestem rękę na ramieniu.

- Spokojnie, moja przyjaciółko - powiedziała głośno

Blanka nie mogła się zdradzić. Tak, wszyscy w kraju wiedzieli, że królowa zrezygnowała z usług mamki i sama karmiła piersią swoje dzieci. Że przed laty oddała jedną z dam dworu, która również niedawno urodziła dziecko, gdyż ta podczas krótkiej nieobecności Blanki podała własną pierś jej krzyczącemu synowi, Ludwikowi. Klara była wtedy jeszcze dzieckiem, ale nadal wzdrygała się ze zgrozy na wspomnienie, jak Blanka zmusiła niemowlę, by zwymiotowało cały pokarm dworki.

Historia ta była powszechnie znana, jednakże teraz w żadnym przypadku nie mogło się roznieść, że królowa, zrozpaczona z powodu śmiertelnej choroby dziecka, zwróciła się o pomoc do heretyków. Tym bardziej, iż Klara starannie ukryła ten drobny szczegół przed Blanką.

Królowa nigdy by się nie zgodziła, by katarzy służyli jej radą i pomocą. Prawdopodobnie wolałaby nawet pozwolić swemu dziecku umrzeć. Jednak Klara w ciągu minionych trzech lat wielokrotnie była świadkiem, jak ta starsza, pochodząca z jeszcze dalszego niż Bułgaria kraju *perfecta* uzyskała odroczenie wyroku śmierci ciążyącego na powierzonych jej pieczy chorych - jakkolwiek sama wolałaby udzielić im *consolamentum* i odprawić ich do nieba.

Na pytanie Klary, dlaczego wykorzystuje swój kunszt, by leczyć śmiertelną powłokę, zamiast pozwolić duszy się uwolnić, *perfecta* odparła, że nie ma wyboru. Uzdrawianie jest wszystkim, co potrafi. Klara zrozumiała to tak, że kobieta czuje się w obowiązku czynić jak najlepszy użytek ze swych umiejętności, a mianowicie nieść ulgę w cierpieniu. Jednak nie o to jej chodziło. *Perfecta* wyjaśniła, że nie wolno jej osądzać, która dusza jest już rzeczywiście gotowa zająć swe wiekiste miejsce w niebie. Być może ten czy ów upadły anioł powinien jeszcze nie raz wycierpieć się na tym świecie, zanim dojrzeje do powrotu do swej właściwej ojczyzny. Klara wiedziała więc, że niesprawiedliwie osądziła kobietę, myśląc, iż z pewnością ratuje ona niewinną duszę dziecka, by ta przed swym niechybnym powrotem do krainy wiecznego szczęścia musiała przejść przez prawdziwe piekło - grzeszne życie na ziemi.

- Wszyscy wiedzą, że niemowlę przyjmuje tylko kobiece pokarm - dokończyła Klara rozpoczęte przez Blankę zdanie - i dlatego, najdroższa przyjaciółko, zbadanie twego mleka jest niezmiernie ważne.
- Potem szepnęła cicho Blance do ucha: - Możliwe, że kuchmistrz popełnił błąd i podał na stół zepsute mięso.

Blanka odwróciła się i sięgnęła do dekolту.

- Nie! - powstrzymała ją starsza kobieta. - Nie dotykaj piersi. Niech mleko samo tu pocieknie - mówiąc to, podsunęła pod pierś Blanki swoją dłoń.

W tej samej chwili leżące na stole dziecko zaczęło żałośnie kwilić.

- Nie może nawet głośno krzyczeć, biedna, udręczona istotka - do uszu Blanki dobiegł głos drugiej kobiety. Gwałtownym ruchem uwolniła pierś spod stanika sukni. Strużka mleka trysnęła na dłoń *perfecty*, która natychmiast spróbowała je językiem i po chwili skrzywiła twarz.

- Tak - powiedziała. - Znam ten smak.

- Co to jest? - zapytała Blanka, wstrzymując oddech.

- Tego nie wiem. Wiem tylko, że jest to mleko bogaczy. Mleko szlachetnie urodzonych dam w mojej ojczyźnie często ma podobny posmak ołowiu i ich dzieci umierają, jeśli się szybko temu nie zaradzi.

- A więc zrób to! - wykrzyknęła Blanka. - Spróbuj temu zaradzić!

Chwyliła płaczące dziecko, szybko je owinięła i przycisnęła do obnażonej piersi. Nie chciała dłużej niż było to konieczne, trzymać je z dala od siebie.

- Musimy się naradzić.

Trzy kobiety wycofały się w ciemny kąt stodoły.

- Nakazuję ci, byś mi powiedziała, kim one są! - syknęła Blanka.
- Unosi się wokół nich jakaś diabelska aura, aura czegoś zakazanego, czuję to, choćby wydawały się nie wiem jak życzliwe! - Otrząsnęła się. - Aż strach pomyśleć, jak ukarze nas wszystkie Bóg, jeśli powierzmy władzę nad królewskim synem księciu piekiel! Co by na to powiedział król!

- Szatan czai się wszędzie - odparła Klara szeptem. - Ale nad tymi kobietami nie ma władzy, mogę na to przysiąc. To świątobliwe niewiasty, które wiedzą, że Pan jest miłosierny. Są „dobrymi ludźmi”, nikim więcej i nikim mniej, a także moimi przyjaciółkami. Zaufaj mi, pomogą tobie i twojemu synowi, jeśli tylko będą w stanie to zrobić.

Blanka zaczerpnęła tchu. - Gdyby tak się stało, Klaro, sowicie je wynagrodzę. Wyglądają tak, jakby tego potrzebowały.

Usta Klary drgnęły w lekkim uśmiechu.

- Złoto i klejnoty nie mają dla nich znaczenia. Wspominałaś z podziwem o Franciszku z Asyżu. Te kobiety podobnie jak on żyją w dobrowolnym ubóstwie, ćwiczą się w pokorze i mają w pogardzie wszystkie skarby tego świata. - Zawahała się na moment, rozważając, czy nie powiedziała lub nie powie zbyt wiele, a potem rzekła mocnym głosem: - Jednakże mogłabyś im pomóc. Jednym swoim słowem.

- Mówisz zagadkami, Klaro...

Blanka przerwała w pół zdania, gdyż kobiety najwyraźniej skończyły naradę.

- Musimy zatrzymać dziecko przynajmniej na jeden dzień - powiedziała *perfecta*.

- Wykluczone - odparła Blanka. Nigdy nie powierzyłaby Karola osobom, które miały w sobie coś diabelskiego, nawet jeśli mówią o Bogu i królestwie niebieskim oraz żyły jak Franciszek z Asyżu.

- Nie rozstanę się z moim synem.

- Zatem ty także tu pozostaniesz - odrzekła pojednawczo kobieta. - To nawet lepiej się składa, będziemy mogły także twoje ciało uwolnić od trucizny, która je trawi.

Blanka wyprostowała się na całą wysokość.

- W moim ciele nie ma trucizny - oznajmiła wyniośle.

Nie wyglądało na to, by kobieta zamierzała się z nią o to spierać. - J a k sobie życzysz - powiedziała przyjaznym tonem. - Nie wiem, co jadasz, czym smarujesz ciało, ani co wdychasz. Myślę, że któraś z tych rzeczy zawiera truciznę. Jeśli pozostaniesz u nas, być może zdołamy ją usunąć z twojego ciała, jeśli taka będzie wola Boża.

Blanka spojrzała bezradnie na Klarę.

- Lisette - rzuciła szybko Klara. - Może cię znowu zastąpić. Ja się tym zajmę. Zostań tu i zadbaj o to, by twój syn wyzdrowiał.

- Tutaj? Sama?

Blanka z przerażeniem rozejrzała się po stodole.

- Rzecz jasna, że nie tutaj! - uspokoiła ją Klara. - Mieszkają w domu na obrzeżach miasta. Oczywiście trudno mu się równać z pałacem, ale znajdziesz tam czyste łóżko i zacnych ludzi.

„Tak jak ja w Marmande - pomyślała. - Ileż to już czasu minęło! W ciągu tych siedmiu lat stałam się innym człowiekiem i nauczyłam się więcej niż przedtem przez całe życie. Zawdzięczam to tym kobietom - i Felicjanowi. Felicjan. Jakże tęsknię za tobą! Nieustan-

nie jesteś w moich myślach, w moim sercu. Wiem, że czekasz na mnie na zewnątrz. Odprowadzisz mnie i swoją czułą obecnością okażesz więcej miłości, niż kiedykolwiek byłby w stanie wyrazić Tybald w swych kunsztownych wersach. Nie przeszkadzałam ci, abyś został „doskonałym”, lecz ty sam to udaremniłeś, kochając mnie bez miary. To przecież nie może być grzechem! Wiara, nadzieja, miłość. Trzy cnoty boskie. I jeśli najważniejszą z nich miałaby być miłość, to istnieje jeszcze dla nas nadzieja. Wiary mi nie brakuje”.

- Powiedz Ludwikowi, że udałam się do królowej Ingeborgi, aby omówić z nią sytuację polityczną - szepnęła Blanka. - Wyruszę do niej do Corbeil, gdy będzie wiadomo, że nasz syn wyzdrowieje.

Ludwik był niezwykle wzburzony. Otrzymał właśnie wiadomość, że legat papieski Romano Frangipani wybiera się do niego z wizytą. Wysłannik Ojca Świętego miał do spełnienia niezwykle ważną misję. Spodziewano się go w Paryżu najpóźniej za dwa dni. Król zastanawiał się, o co może chodzić. Z pewnością nie tylko o to, że we Francji coraz bardziej ograniczano władzę Kościoła, a nowe urzędy obsadzano nie kościelnymi dostojnikami, lecz osobami świeckimi, mimo że niezbyt podobało się to papieżowi.

Wzdychając ciężko, król zastanawiał się, jak mógłby zachować neutralność w sporze pomiędzy Rajmundem z Tuluzy a papieżem, jednak nie był dobrej myśli.

Tym razem biskup Rzymu z pewnością znajdzie odpowiednie argumenty, aby wysłać go na wojnę przeciwko kacerzom, bowiem sytuacja na południu była groźniejsza dla Stolicy Apostolskiej bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

Do czasu zawieszenia broni przed śmiercią króla Filipa syn Szymona z Montfort, Amalryk, daremnie starał się utrzymać wszystkie zdobyte tereny w Okcytanii. Nieustraszony Rajmund odbierał mu jeden po drugim. Z rozpaczy Amalryk, wdzięczny Ludwikowi za

chwilę wytchnienia, potajemnie zaferował mu kraje oksytańskie; w tym samym czasie Rajmund zapewnił sobie poparcie króla Anglii. Henryk III zobowiązał się bronić praw i włości Rajmunda przeciwko królowi Francji, gdyby ten go zaatakował.

W styczniu, na zwołanym w Paryżu soborze, Rajmund po raz kolejny został ekskomunikowany przez papieża. Przyjął to spokojnie, gdyż zdążył już przywyknąć, że w niemal regularnych odstępach wykluczano go z Kościoła, by krótko potem znów przywrócić do łask.

Już podczas tego soboru ziemie Amalryka zostały oficjalnie przekazane Ludwikowi, którego równocześnie wezwano, aby „na miłość boską, wyruszył do Tuluzy i odebrał należne mu włości”. Ludwik nie śpieszył się. Jako przyczynę zwłoki podawał konieczność przekonania swych dowódców do wyprawy wojennej. W końcu zależny był od swoich wojsk. I nie chodziło o to, że większość baronów - podobnie jak podczas poprzedniej krucjaty na południe - po obowiązkowych czterdziestu dniach kampanii wycofałaby się wraz ze swymi ludźmi, mając zapewnione zupełne odpuszczenie grzechów. W rzeczywistości on sam nie czuł najmniejszej potrzeby nawiedzenia krajów, które na soborze w Paryżu spadły mu jak z nieba. Naturalnie, pragnął służyć Bogu, stronił jednak od wszelkiej przemocy. Chętnie naradziłyby się z Blanką, ona jednak była nieobecna.

- A czegoż to chce akurat teraz od Ingeborgi? - zapytał z rozdrażnieniem. - Potrzebujemy jej tutaj!

- Czy mogę podejść bliżej? - zapytała Klara, przekazawszy królowi donośnym głosem wiadomość o wyjeździe Blanki stojąc w stosownym oddaleniu pod drzwiami. Król przywołał ją niecierpliwym gestem.

- Lisette jest już gotowa - poinformowała go szeptem. - Nikt niczego nie zauważy.

Król nakazał urzędnikom dworskim i dostojnikom opuścić salę obrad. Klara dała znak pokojówce, która jej towarzyszyła, by pozostała na miejscu. Tylko pięć osób znało tajemnicę pięknej Lisette, a trzy z nich stały teraz obok siebie. O ile Ludwikowi było wiadomo, pozostałych dwoje to Blanka i Ingeborga, które również przebywały teraz razem.

Lisette była żoną paryskiego kamieniarza, pracującego właśnie nad rzeźbami nowej katedry. Gdy Ingeborga i Blanka wybrały się pewnego dnia sprawdzić postępy nad pracami wykończeniowymi fasady, ich uwagę zwróciła młoda kobieta, która przyniosła mężowi obiad w glinianym naczyniu. Skromne szaty nieznanym nie były w stanie przesłonić faktu, że jej twarz do złudzenia przypominała oblicze królowej. Również pod względem postawy i całej sylwetki kobieta zdawała się być bliźniaczą siostrą Blanki.

- To chyba jakiś cud! - wykrzyknęła królowa Ingeborga. - I prawdziwie zrządzenie losu. Ta kobieta mogłaby cię niekiedy zastępować.

- A dlaczegoż miałyby to robić? - zachnęła się Blanka.

- Abyś mogła dłużej przebywać z dziećmi i ze swym mężem - odparła Ingeborga. - Sama pomyśl, ile czasu zabierają ci różne błahostki, kiedy chodzi tylko o to, by ukazać się ludowi i okazywać łaskawość. Mnie na szczęście zostały oszczędzone takie wystąpienia, ale wiem od matki, jak bardzo bywają męczące. Pamiętam, jak kiedyś wróciła do cna wyczerpana i stwierdziła, że nie musiała osobiście być obecna, gdyż równie dobrze można by było ustawić jej obraz!

Blanka przyjrzała się bacznie młodej kobiecie. Cóż to za niesamowite wrażenie, spotkać nagle swoje lustrzane odbicie! Mimowolnie dotknęła swojej głowy, by się upewnić, że znajduje się na niej stosowne do jej stanu nakrycie, a nie tylko czepek z surowego płótna.

- Jeśli ta kobieta będzie ubrana tak jak ty, nauczy się poruszać i mówić jak królowa, wywiedzie w pole wszystkich, nawet w pałacu.

- Ludwika nie zmyli.

Ingeborga zaśmiała się. - Przecież nie musi cię zastępować wszędzie. Uważam, że warto spróbować. Przemyśl to sobie.

Królowa Ingeborga wzięła na siebie uczynienie z żony kamieniarza kopii królowej. Uczyła ją łaskawego uśmiechu, odpowiednich ruchów i dworskiej etykiety. Początkowo zamierzała zabronić mężowi Lisette pracy na budowie katedry i zatrudnić go w swoim pałacu w Corbeil. Później jednak doszła do wniosku, że takie wyróżnienie mogłoby wzbudzić zbyt wielkie zainteresowanie kamieniarzem, czego akurat należało unikać. Powinien więc nadal wykonywać swoją pracę. Podarowała za to małżonkom prawdziwy majątek. Dała im też jasno do zrozumienia, że jeśli cała sprawa wyjdzie kiedykolwiek na jaw, oboje czeka śmierć.

Klara zaznajomiła Lisette ze stosunkami na dworze, nauczyła ją jeździć konno i polować z sokołem. Szkoliła głos i wymowę młodej paryżanki, a podczas pierwszych wystąpień sobowtóra królowej przy mniej ważnych okazjach czuwała w pobliżu, by w razie jakiegoś potknięcia móc natychmiast interweniować. Rzecz jasna, wtajemniczona była również pokojówka Blanki, która jako jedyna potrafiła wyszykować Lisette tak, by wyglądała jak królowa. Prócz tego dbała o to, by Blanka mogła przebywać w swych komnatach z dziećmi i małżonkiem nie niepokojona przez nikogo, gdy Lisette pokazywała się gdzieś zamiast niej.

Lisette okazała się bardzo pojętną uczennicą. Przepętniona dumą z zaszczytu, jaki przypadł jej w udziale, rozkoszowała się uczuciem, że jest arcyważną osobistością, której co pewien czas poddani oddają cześć. Już po kilku tygodniach, odbierając hołdy, była tak przekonująca, że samej królowej Ingebordze przechodziły ciarki po plecach. Gdy dowiedziała się ponadto, że po jednym ze swoich wystąpień Lisette nie chciała wracać do swego nędznego domostwa w pobliżu katedry, wezwała sobowtóra królowej do siebie.

- Macie teraz wystarczająco dużo pieniędzy, aby pozwolić sobie na piękny dom pod Paryżem - powiedziała. - Wyprowadźcie się. Nie możesz więcej pokazywać swojej twarzy na paryskich ulicach. Poślemy po ciebie, jeśli będziesz nam potrzebna.

- Pani, już nie kocham swego męża - wyznała Lisette i przedstawiła Ingebordze pewną propozycję, która szczerze by ją rozbawiła, gdyby nie była tak skandaliczna.

- Teraz posuwasz się za daleko - stwierdziła królowa lodowatym tonem i wykrzyknęła z niedowierzaniem: - O czym ty w ogóle mówisz, dziewczyno? Mamy wyszukać dla ciebie sobowtóra króla, byście mogli występować jako para?

- Mogłabym go kochać bardziej niż męża - miała czelność odrzec Lisette, ściągając na siebie tymi słowami okrutny gniew Ingeborgi.

- Powinnaś kochać swego męża, gdyż jesteś mu poślubiona, i swego króla, gdyż jest twoim królem! - skarciła młodą kobietę. - Masz wykonywać swoją pracę, a poza tym trzymać buzię na kłódkę! W przeciwnym razie każemy cię spalić na stosie jako heretyczkę, która modli się do złotego cielca! Zrozumiałaś?

Lisette, co prawda, nie rozumiała, co ma wspólnego złoty cielec z jej żądaniem towarzysza, który by wyglądał jak król Ludwik, ale energicznie potaknęła, rzuciła się Ingebordze do stóp i z nisko zwieszoną głową błagała ją o łaskę.

Stara królowa przepędziła Lisette, wyrzucając sobie błąd, jaki popełniało wielu monarchów, wierzących w wierność ludu wobec króla. Ona również nie wzięła pod uwagę, że prosta dziewczka, którą spotkało nieoczekiwane wyniesienie, zacznie nagle przedstawiać własne pomysły, a nawet wysuwać roszczenia. Zastanawiała się, czy nie byłoby najprościej posłać tę kobietę do diabła, zanim stanie się przyczyną jakichś kłopotów. Jednak doświadczenie życiowe podpowiadało jej, że Lisette jest nieszkodliwa, a jej obecność pozwalała Blance korzystać z wolności, o jakiej nigdy nawet nie marzyła.

Właśnie z tego powodu Ludwik dawał kobietom wolną rękę, przestrzegając je jednak, by działały z największą dyskrecją, i nigdy nie pokazywał się z sobowtórem królowej u boku, na co zresztą Blanka nigdy by nie przystała. Jednak podczas długich miesięcy, kiedy Ludwik walczył w Anglii o ich prawa do tronu tego kraju, była wdzięczna losowi za Lisette, która ukazywała się ludowi i odbierała od niego hołdy, podczas gdy prawdziwa królowa bawiła się z dziećmi, zagłębiała w budującej lekturze lub pisała pełne czułości listy do swego przebywającego z dala od niej małżonka.

Oczywiście, było wykluczone, by przyjąć papieskiego legata, którego w dodatku Blanka bardzo dobrze znała, w towarzystwie sobowtóra.

- Dopilnuj, aby moja małżonka natychmiast wróciła! - polecił Ludwik Klarze ostrym tonem.

Klara pośpieszyła do królewskiej stajni i kazała sobie wydać jakiegoś konia, gdyż nie mogła zażądać wierzchowca królowej. Miała nadzieję, że Blance uda się niepostrzeżenie wjechać do miasta. W drodze do domostwa katarów głowiła się nad tym, jaką wymówkę mogłaby wymyślić królowa, by usprawiedliwić fakt, że nie wzięła własnego konia. Jednak najbardziej martwiła się tym, że zostanie zrozpaczoną Blankę, pochyloną nad martwym ciałem syna; królową, której nic na tym świecie nie będzie mogło skłonić do powrotu na królewski dwór, by przyjąć tam przedstawiciela namiestnika najwyższego Pana, który pozwolił na śmierć jej dziecka.

Nie odważyła się uwiązać cennego konia przed krzywą drewnianą chatą i pozostawić go bez dozoru. Trzymając wierzchowca za cugle, zawołała głośno: - Jest tam kto?

Jakaś młoda kobieta otworzyła okno i zaraz zamknęła je z powrotem.

Klara usłyszała tupot stóp na schodach. Ubrana na czarno kobieta stanęła w drzwiach, spojrzała na Klarę i dała znak, by ta szybko weszła do domu. Klara wskazała na konia.

- Nie mogę go tu zostawić samego. Powiedz, co z moją przyjaciółką i jej dzieckiem?

- A kim jest twoja przyjaciółka?

- Czy to ważne? Dobrze się miewa? I co z jej dzieckiem?

- Skąd masz takie kosztowne zwierzę? Czyżby też należało do niej?

Klara zawahała się, a potem odrzekła: - Tak.

- Chciała nam zapłacić złotą klamrą od swego płaszcza. Co to za kobieta, która wartość ludzkiego życia przelicza na pieniądze?

- Czy jej syn wyzdrowiał?

- Uwolniłyśmy ciała matki i syna od trucizny. To wszystko. Za złotą klamrę kupiliśmy jej konia. Wyjechała na nim wieczorem razem z dzieckiem.

- Zupełnie sama?

- Nalegała na to wprawdzie, jednakże posłałyśmy po Felicjana.

Klara ze wszystkich sił starała się zachować spokój.

- Ale on przecież nie ma konia.

- To nie nasz problem. Kim jest ta kobieta?

- Przyjaciółką - mruknęła Klara. - Mówiłam już.

- Była w potrzebie, więc jej pomogłyśmy. Nie kryła, że czuje wstręt do nas i naszych czynów, chociaż nie powiedziała tego wprost. Przyniosłyśmy jej nawet krzyż, gdyż było to dla niej bardzo ważne.

"Wielka ofiara - pomyślała Klara - złożona ze strachu".

- A teraz obawiamy się, że będzie chciała nam zaszkodzić i nas zdradzi.

- Nigdy, przenigdy tego nie uczyni. Nie wyjawi waszej kryjówki, mogę na to przysiąc - pośpiesznie zapewniła Klara i dosiadła konia.

Znała drogę do Corbeil, gdzie rezydowała królowa Ingeborga, ale wiedziała także, że nie dotrze do celu przed nocą. Nie miała się jednak do kogo zwrócić z prośbą o eskortę. Król oczekiwał Blanki najpóźniej nazajutrz wieczorem, musiała się więc śpieszyć. Ruszyła w drogę, odsuwając od siebie wszelkie myśli o rabusiach.

Blanka była w doskonałym humorze, gdy na grzbiecie lichej chabety wjechała wraz z Felicjanem do Corbeil. Nalegała na to, by przedstawić swego towarzysza Ingebordze.

- To jeden z tych ludzi, którzy uratowali życie mojemu synowi - wyjaśniła, dając znak mężczyźnie w skromnym, czarnym stroju, by podszedł bliżej.

Mężczyzna skłonił się. Niezbyt głęboko, jedynie uprzejmie.

- Bóg uratował to dziecko - rzekł cicho. - „Dobrzy ludzie” tylko rozpoznali, co mu dolega.

- Spójrz na mnie! - rozkazała mu Ingeborga.

Felicjan podniósł głowę. Przez dłuższą chwilę patrzyli sobie z Ingeborgą w oczy. Nie padło ani jedno słowo. Blanka poczuła się nieswojo. Miała wrażenie, że tych dwoje porozumiewa się ze sobą, nie używając słów.

- Mój Karol jest znów całkiem zdrowy - przerwała milczenie, unosząc do góry koszyk, w którym spało dziecko.

Ingeborga obróciła się w jej stronę. Blance wydało się, że widzi w jej oczach głęboki smutek. „Czyżby nie chciała - pomyślała z przerażeniem - by moje dziecko żyło?”

- Oczywiście - odpowiedziała Ingeborga na nieme pytanie Blanki - jestem bardzo szczęśliwa, że mój wnuk wyzdrowiał. - Po czym zwróciła się do Felicjana, zauważając jakby mimochodem: - „Dobrzy ludzie” tak, tak, ja również tak myślę, lecz gdy się pragnie uczynić coś dobrego, nie zawsze się to udaje. Bardzo często dobre chęci prowadzą do złego. A gdy stanie się nieszczęście, nikt nie potrafi

powiedzieć, co było jego przyczyną. Wtedy zresztą staje się to zupełnie bez znaczenia. Rozważcie tylko, moje dzieci, żadnej wojny nie prowadzi się w imię szatana. A o tę sprawę... - Zamilkła na chwilę i ponownie spojrzawszy Felicjanowi głęboko w oczy, ciągnęła dalej - ...prowadzono już wiele niepotrzebnych wojen. Wzbogacą one nie mała ludzi, ale gdy się skończą, nie będzie zwycięzców, lecz wyłącznie pokonani.

Felicjan zmarszczył czoło.

- Czy wolno mi spytać, kim jesteś, pani, że potrafisz znaleźć tak mądre słowa?

Nawet Ingeborga, która nie miała w sobie ani cienia próżności, słysząc to pytanie, nie zdołała powstrzymać lekkiego uśmiechu. Spodobało się jej, że podróżująca incognito żona pasierba przybyła do niej z obcym mężczyzną. Na pewno był heretykiem, który nie tylko nie znał jej pozycji, lecz także nie wiedział, kim jest jego towarzysza podróży, podobnie jak królowa Blanka nie zdawała sobie sprawy z faktu, że przybyła do Corbeil z kacerzem.

Ingeborga uważała, że niesłusznie ubolewano nad jej losem; historie innych ludzi, jakie miała okazję usłyszeć, bywały o wiele bardziej dramatyczne niż jej własna. Lecz to, co intuicyjnie odgadła, sprawiło, że natychmiast znów spoważniała.

- Jestem tylko kobietą, która pozostaje nierozpoznana - odparła. Ponieważ jednak w komnacie znajdowała się również Blanka, dodała: - Jesteśmy wysoko urodzone, jak bez wątpienia zauważyłeś, panie.

Felicjan ukłonił się ponownie, niżej niż poprzednio. Uwadze Blanki umknęło jednak, że nie uczynił tego na skutek uwagi o wysokim urodzeniu. Patrzyła cały czas na coraz bardziej zaróżowioną twarzą swego najmłodszego syna, który leżał w niewielkim koszyku na ławie obok, ciesząc się bliskością matki i życiem.

Wjeżdżając do Corbeil, Klara śpiewała pieśń o księżycu w pełni. Nie napadli jej rabusie, ani razu nie zmyliła też drogi. Wbrew najgorszym oczekiwaniom wszystko poszło dobrze, cała i zdrowa dotarła do majątku Ingeborgi.

Blanka nie udała się jeszcze na spoczynek. Siedziała z królową Ingeborgą i Felicjanem w komnacie, gdy zapowiedziano przybycie Klary

- Moja wybawczyni! - Blanka zerwała się i uściskała swoją damę dworu.

- Ależ nie! - zawołała Klara, gdy Blanka wypuściła ją z objęć. - Ja przecież nic nie zrobiłam!

- Gdyby nie ty, Karol byłby teraz martwy! Najwybitniejsi lekarze w królestwie dali za wygraną, otrzymał już ostatnie namaszczenie! Ty, Klaro, ty uratowałaś królewskiego syna. Mamy wobec ciebie ogromny dług wdzięczności!

Mimo że stała tuż obok kominka, Klarę przeszedł dreszcz, gdy spostrzegła Felicjana, siedzącego naprzeciw królowej Ingeborgi. Przez jej głowę przemknęły tysiące myśli, a najsilniejszy był lęk o ukochanego mężczyznę. Stara monarchini, która niegdyś tak głęboko wejrzała w serce Tybalda, musiała odgadnąć, z kim przybyła Blanka. Jedno jej słowo i Felicjan spłonie na stosie.

Królewski syn. Teraz musiał już wiedzieć, kim była Blanka.

- Podajcie jej coś do picia. Biedactwo, odbyła tak daleką podróż konno i słania się z wyczerpania - powiedziała królowa Ingeborga, która umiała załagodzić każdą niezręczną sytuację. A myśli Klary odczytała jeszcze łatwiej niż Felicjana.

- Nie ja, tylko „dobrzy ludzie” uratowali Karola - szepnęła Klara, siadając na ławie obok Blanki i z wdzięcznością przyjmując kielich wina, podany jej przez sługę.

- I znów mowa o „dobrych ludziach”. - W głosie Ingeborgi wyraźniej niż zazwyczaj zabrzmiał północny akcent. Zdziwiona Blanka podniosła wzrok.

- To były naprawdę dobre kobiety, czcigodna matko. I doskonale znały się na swoim fachu.

- Na rzemiośle bycia dobrym! - Głośny śmiech Ingeborgi odbił się echem od ścian wysokiej komnaty. - I jakież to zapłaty zażądały te kobiety?

- Ofiarowałam im złotą klamrę i wiele innych rzeczy.

- I co?

- Nie przyjęły niczego. Za złotą klamrę kupiły mi dość nędzną chabetę.

- I to wszystko? - zapytała Klara.

- Cieszę się, że to mówisz! Wspomniałaś już wcześniej, że te kobiety mają w pogardzie pieniądze i klejnoty, ale że mogłabym im pomóc. Jednym... - Blanka popatrzyła zmieszana na Klarę, chwyciła jej doń, uściśnęła ją mocno i wykrzyknęła desperacko, rozglądając się wokoło: - Zapomniałam o tym!

- Jednym swoim słowem - dokończyła bezdźwięcznym głosem Klara.

- Tak. - Blanka westchnęła ciężko. - To prawda. Jednym słowem. Ale jakim? I jak miałabym im pomóc?

Klara po raz pierwszy otwarcie spojrzała na Felicjana. Zrozumiał.

- W twoim świecie, szlachetna pani - zwrócił się do Blanki - przysięgi mają wielką wagę.

- Czyżbyś ty, panie, żył w innym świecie? - przerwała mu gniewnie Blanka.

- Niestety, nie. Pozwolisz, Klaro, że ujmę twoją prośbę w słowa?

Skinęła pośpiesznie głową. Felicjan, szlachcic z Carcassonne, o wiele zręczniejszy niż ona potrafi przedstawić sedno sprawy.

- Panna Klara sądzi - kontynuował Felicjan - że tym kobietom, które rozpoznały, co dolega twemu synowi, pani, można pomóc jednym słowem, jednym twoim słowem.

- Uczyń to, proszę, Blanko! - zawołała Klara. Wprawdzie odczu-

wała ulgę, że udało jej się bez szwanku dotrzeć do Corbeil, była jednak wyczerpana długą jazdą konną i zbyt zmęczona, by ważyć słowa.

- Chętnie obiecuję wszystko, czego będę mogła dotrzymać i co mogłoby pomóc tym niewiastom - odparła zdziwiona Blanka.

- Najlepiej w obecności duchownego! - wykrzyknęła Klara, spoglądając na Felicjana. Ten uniósł brwi i potrząsnął lekko głową. Czym innym jednak było proponowanie komuś, kto nie był katarem, by ślubował chronić ich wspólnotę, czym innym zaś potwierdzenie tej obietnicy przed katolickim księdzem, przedstawicielem szatana.

- Chętnie - powiedziała Ingeborga, w pewnej mierze rozbawiona tym żądaniem. Przywołała do siebie sługę i poleciła mu obudzić starego ojca Eliasza, który sprawował pieczę nad kaplicą zamkową.

Po chwili zaspany kapłan pojawił się w sali i z trudem powstrzymując ziewanie, zapytał, czym mógłby służyć o tak późnej godzinie.

Ingeborga zachęcająco skinęła głową w kierunku Klary.

Ta podniosła się, odchrząknęła i wskazując na Blanę, zapytała duchownego, czy wie, z kim ma do czynienia. Kapłan potrząsnął głową, ubolewając nad swoją niewiedzą. Wyjaśnił, że jego biedny wiekowy umysł jest tak przepełniony łaską Pana, że nie starczyło już w nim miejsca, by zapamiętać imię każdego człowieka, który został mu przedstawiony w ciągu długiego żywota. Lecz oni wszyscy są dziećmi bożymi i tylko to się liczy.

Ta krótka przemowa niemal całkowicie wyczerpała jego siły. Dysząc ciężko, oparł się o występ ściany.

- Jestem Blanka, z bożej łaski królowa - przedstawiła się monarchini i dała znak Klarze, by mówiła dalej.

- Moja pani - rzekła Klara - chciałyby złożyć ślubowanie. Pragnie podziękować Bogu, który uleczył jej syna z ciężkiej choroby. Jego narzędziem byli... - przerwała na chwilę, a potem dokończyła zdecydowanie: - ...,„dobrzy ludzie”. Ujęła obie ręce Blanki, spojrzała przyjaciółce głęboko w oczy i powiedziała tak szybko, że roze-

spanemu kapłanowi trudno było zrozumieć jej słowa: - Jednakże te kobiety należą do bardzo bogobojnej wspólnoty, której byt jest zagrożony. Moja przyjaciółka postanowiła złożyć ślubowanie, że uczyni wszystko, aby w przyszłości chronić tych ludzi przed wszelkimi prześladowaniami.

Oczy Blanki zogromniały. Wyrwała dłonie z uścisku Klary i obróciwszy się, wodziła spojrzeniem od Felicjana do Ingeborgi. Dopiero teraz w pełni dotarło do niej to, co wcześniej było zaledwie niejasnym i pośpiesznie odsuwanym od siebie przecuciem. Teraz nie mogła już udawać, że nie wie, kto pomógł jej synowi.

- Nie mogę tego uczynić - wyszeptała ochryple. - To byłoby niesłuszne.

Wszyscy wbili wzrok w ziemię. Cisza, jaka zapadła w komnacie, stała się wprost nie do zniesienia. Ojciec Eliasz przecierał oczy, jego zmęczone kolana drżały. Pod wyrozumiętym, nieco rozbawionym uśmiechem Ingeborgi, zataczając się lekko, postąpił krok do przodu, jedną ręką oparł się na wysokim oparciu krzesła, a drugą uczynił znak krzyża nad Blanką.

- Ślubujesz więc? - przerwał ciężące milczenie, nie rozumiejąc do końca, jakie właściwie śluby ma złożyć królowa. Nie musiał zresztą tego wiedzieć, była to sprawa pomiędzy tą kobietą a Bogiem.

- Czy uratowanie twego syna było zgodne z prawem? - zapytał metalicznie brzmiący, znajomy wszystkim kobiecie głos.

- Tak - odparła Blanka.

- Amen - powiedział ojciec Eliasz, ponownie uczynił znak krzyża nad głową Blanki, a potem spojrzął na królową Ingeborgę tak żalonym wzrokiem, że ta poradziła mu przyjaźnie, by wrócił do swego łóża.

- J a k mogę dotrzymać takich ślubów? - zapytała bezradnie Blanka, kryjąc twarz w dłoniach. Czuła się tak, jakby obudziła się ze złego snu.

- Z bożą pomocą - odparł Felicjan. Blanka popatrzyła na niego gniewnie.

- Za dużo sobie pozwalasz, panie!

- Wybac z, szlachetna królowo, że zapytam: czy nie jesteśmy wszyscy zdani na pomoc niebios?

- Co uczyniłeś z moją Klarą? - zaatakowała go Blanka. - J a k śmiałeś zaszcześcić jej swoje kacerskie poglądy? A nawet głosić je w królewskich komnatach?

- On tego nie zrobił - pośpiesznie odparła Klara. - Pozwól, że ci to wyjaśnię.

Blanka podniosła koszyk z pogrążonym we śnie synkiem i delikatnie pogładziła jego zaróżowione policzki.

- Musisz mi wytłumaczyć jeszcze mnóstwo rzeczy - odparła zmęczonym głosem. - Dziś jednak usłyszałam już zbyt wiele. I nie tylko uszy mnie bołą. Odłóż swoje wyjaśnienia do jutra, na drogę powrotną do Paryża.

Była to wielce nieprzyjemna podróż. I to nie tylko z powodu deszczu ze śniegiem, który nagle zaczął padać. Felicjan, zadziwiająco dobrze prezentujący się na nędznej szkapie, trzymał się daleko w tyle za obiema kobietami, które miały sobie tak wiele do powiedzenia. Wczorajszego wieczoru najchętniej powstrzymałby Klarę przed przymuszaniem królowej do przysięgi, której ta ani nie chciała złożyć, ani nie była w stanie dopełnić. A i on sam zgrzeszył, przyzwalając na to ślubowanie, nawet jeśli chodziło o przetrwanie jego wspólnoty.

Oczywiście, zdawał sobie sprawę z władzy tej kobiety, do której zwracało się tylu świeckich i kościelnych dostojników, by uzyskać coś od króla. Lecz jak mogła przeciwstawić się papieżowi i swojemu małżonkowi w sytuacji, gdy ci zamierzali podjąć kolejną krucjatę przeciwko katarom? A że nowa wyprawa czekała ich z całą pewno-

ścią, nietrudno się było domyślić na podstawie informacji o zapowiedzianej wizycie legata papieskiego, którą szeptem przekazała mu Klara.

Przede wszystkim jednak Felicjan obawiał się o Klarę, która ujawniając swoje przekonania, ściągnęła na siebie wielkie niebezpieczeństwa

Gdybyż tylko mógł ją chronić przed samą sobą! Miłował ją, kochał jej niezależnego, buntowniczego ducha, którego żadne wychowanie nie było w stanie utemperować. Kochał jej duszę, tego wojowniczego anioła, który w ciągu ostatnich trzech lat tak wytrwale walczył o prawdę. Wiedział, że ona także go kocha, niepotrzebne były tu jakiegokolwiek słowa. Oboje mieli świadomość, że ich miłość nie ma na tym świecie przyszłości. I chyba najbardziej miłował ją za to, że nie wywierała na niego nacisku, któremu z pewnością by się poddał.

Starannie ukrywał przed nią, że właśnie jej żarliwość, z jaką traktowała niektóre nauki katarów, sprawiła, iż zaczął wątpić. Był zbyt uczciwy, by w kobiecie, w której nie potrafił odkryć nic diabelskiego, rozpoznać dzieło szatana. Jednak pojawienie się Klary odwróciło chrzest duchowy Felicjana - czuł, że nie jest jeszcze gotów, by zostać wyświęcony na „doskonałego”. Ponadto nie miał władzy nad swymi snami, w których Klara ukazywała mu się jako jego ukochana. Wyzerpany budził się rankiem, pełen tęsknoty za tą kobietą i przerażony, że jej bliskość odczuwa o wiele mocniej niż bliskość Boga.

Sama Klara tymczasem przyjęła wiele dogmatów religii katarów, chociaż niektóre z nich wciąż odrzucała. Nie chciała na przykład zrezygnować z sakramentów. Była zdumiona, kiedy Felicjan i jej nowi przyjaciele nie uznali tego za grzech, lecz umacniali ją w przekonaniu, że powinna czynić wyłącznie to, co podpowiada jej serce. Klara nie zadowoliliła się uznaniem swej przynależności do wspólnoty katarów, lecz oficjalnie została „wierzącą”. Nazywano tak sympatyków Kościoła Miłości, którzy później wstępowali do niego, uczestnicząc w ceremonii zwanej *convenensa*.

Klara zobowiązała się uroczyście szanować „doskonałych”, czcić ich i służyć im pomocą. W zamian za to otrzymała przyrzeczenie, że *perfecta* udzieli jej na łożu śmierci *consolamentum*, otwierając jej bramy królestwa niebieskiego. „Wierzących” nie dotyczyły liczne zakazy, obowiązujące „doskonałych”. Wielu *credentes* decydowało się nawet na to, by ich związek małżeński pobłogosławił Kościół rzymski, chrzcili swoje dzieci, i aby nie zwracać na siebie uwagi, przystępowało do spowiedzi. Nie musieli przy tym mieć wyrzutów sumienia.

- To są całkiem zwyczajni ludzie - tłumaczyła teraz Blance Klara. - Ja również wcześniej myślałam, że są to jakieś mroczne kreatury, które tylko czyhają na okazję, by wyrządzić krzywdę dobrym chrześcijanom i znieprawić ich dusze. Sama przecież wiesz, jakie straszne rzeczy o nich mówią...

- Ja dła m ich chleb - powiedziała Blanka - i nie sądzę, aby robili go z mąki, nasion rośliny halucynogennej i krwi małych dzieci. Prawdopodobnie nie całują też w zadek wielkiego kota, co ponoć mieli by czynić podczas swego wszetecznego misterium. Mimo to są groźni dla naszego ludu, gdyż nie uznając Ojca Świętego, podkopują jego autorytet.

- Ich wyobrażenie świata i nieba różni się od naszego - odparła Klara, nie umiając jeszcze otwarcie przeciwstawić się przyjacielce. Lękała się, że Blanka zada jej decydujące pytanie; z jednej strony miała nadzieję, że zdoła go uniknąć, z drugiej zaś niemal pragnęła, by wolno jej było wyrzucić z siebie całą prawdę. - Poza tym żyją i pracują jak wszyscy inni ludzie. Mają tylko nieco inne poglądy...

- Nieco inne poglądy! - Blanka wstrzymała konia i spojrzała gniewnie na Klarę. - Wiesz, ile naszej szlachty wymordowali? Ile zła wyrządzili chrześcijaństwu?

- Powiedz mi, cóż takiego haniebnego uczynili! - krzyknęła Klara. - To nie oni nas napadli, lecz my ich. Katarzy nie mordują ludzi! Nie zabijają nawet zwierząt, by je zjeść!

- Oto przemawia córka hrabiego Tuluzy!

- Mój ojciec chronił swój lud, jak to teraz czyni mój brat.

- A my o wiele za długo chroniliśmy twego brata! - Blanka podjechała blisko Klary i fuknęła jej w twarz: - Zrobię co w mojej mocy, by dopełnić ślubów! Choćby dlatego, że chodzi tu o ciebie i chciała-bym cię ocalić. Cały czas mówisz „oni”, ale ty przecież do nich należysz! Jesteś heretyczką!

To było nieuniknione.

- Tak - przyznała cicho Klara. - Należę do nich. A skoro teraz już o tym wiesz, muszę cię prosić, byś pozwoliła mi opuścić dwór.

- I dokąd zamierzasz się udać? - spytała zaskoczona Blanka.

- Na południe - odrzekła Klara, dodając: - Z Felicjanem.

Wypowiedzenie tych słów przywróciło Klarze wewnętrzny spokój. Felicjan wyjawiał jej ostatniej nocy, że chce wyjechać do swego ojczystego Carcassonne. Powrót w rodzinne strony, życie w miejscu, gdzie nie będzie musiał się ukrywać i będzie mógł wspierać swoich, traktował jako swój obowiązek.

Gdy jej to oznajmił, Klara poczuła w sobie nieznaną wcześniej pustkę. Nie mogła i nie chciała wyobrazić sobie życia, w którym zabrakłoby Felicjana. Naturalnie nie prosił jej, by mu towarzyszyła, a Klara nie była nawet pewna, czy wyraziłby na to zgodę. Czuła jednak, że jej czas na francuskim dworze dobiegł już końca. Przestała należeć do tego świata, nie chciała dłużej ukrywać swych przekonań, lecz żyć tam, gdzie otwarcie będzie mogła wyznawać swoją wiarę.

- Nie jesteśmy poganami - rzekła cicho i powtórzyła słowa, którymi potwierdzono jej przyjęcie do Kościoła katarów i które od tej pory nosiła w sercu: - „Po wejściu do naszej wspólnoty musisz pojąć, iż z pożytkiem będzie dla ciebie żałować za grzechy i przebaczyć wszystkim ludziom. Bowiem w Ewangelii Chrystus mówi: ***Lecz jeśli nie przebaczycie ludziom, i Ojciec wasz nie przebaczy wam waszych przewinien***”. Powiedz sama, Blanko, czy tak mówią heretycy, którzy nie sza-

nują Boga, ludzie, którzy chcą innym wyrządzać jedynie zło, jak wydajesz się myśleć?

- Kieruję się słowami Ojca Świętego - odparła gniewnie Blanka.
- To on jest nieomylny, a nie ty i twoi kacerze. Papież skazał ich wszystkich na śmierć, mając ku temu słuszny powód. A tobie zabraniam opuszczać dwór.

Klara spojrzała śmiało na przyjaciółkę i rzekła: - Nie możesz mi już niczego zabronić. - Ściągnęła cugle, czekając, aż Felicjan do nich dołączy. - Wyjadę z tobą - oznajmiła.

Ledwie zauważalnie skinął głową.

- Jesteś zaślepiona - pomstowała Blanka. - To jego wina i innych katarów! - Zniżyła głos i zaczęła mówić o swoim lęku o Klarę, która już przecież raz na własnej skórze doświadczyła grozy wyprawy krzyżowej.

- Właśnie dlatego muszę wrócić - oświadczyła Klara z godnością, która kazała Blance zamilknąć.

Następnego popołudnia królewska para powitała Romana Frangipaniego w Paryżu. Legat papieski szybko przeszedł do rzeczy; okazało się, że miał w zanadrzu niespodzianki, które uniemożliwiły Ludwikowi odrzucenie żądań papieża.

- Kacerze swobodnie krążą po kraju Rajmunda z Tuluzy, przyjaciela Anglii, i bez przeszkód głoszą swoją fałszywą naukę przed liczną zebraną ciżbą ludzką - stwierdził kardynał Frangipani, dodając, że Ojciec Święty przypomina Ludwikowi, iż ma on obowiązek chronić Kościół katolicki. Zatem najpóźniej w maju powinien wyruszyć na nową krucjatę przeciwko katarom.

Argumenty Ludwika legat papieski całkowicie zignorował - duchowe przywództwo nad armią obejmą wyłącznie biskupi z jego ziem koronnych. I - co najważniejsze - król Francji nie musi zaprzętać sobie głowy kosztami kampanii, gdyż zostaną one w całości pokryte z funduszy kościelnych. Rzecz jasna, uczestniczący w wypra-

wie krzyżowej otrzymają taki sam odpust za grzechy jak podczas krucjaty do Ziemi Świętej. Papież zapewnia im prawa do wszelkiego mienia Rajmunda VII i wszystkich, którym zostanie udowodniona herezja. Być może uda się nawet zawładnąć legendarnym skarbem katarów. Legat nie musiał wymieniać jego nazwy - Święty Graal; wszyscy wiedzieli, że to właśnie katarzy zdobyli świętokradczym sposobem tę relikwię, mimo że nakazano całkowite milczenie na ten temat. Legat oświadczył również, że poza tym przedmiotem i innymi, które bez wątplenia należą się Kościołowi, Ludwik może wedle własnego uznania rozdzielić pośród szlachty wszelkie zdobyte dobra.

Tak wspaniałomyślniej oferty król Francji w żadnym razie nie mógł odrzucić. Aczkolwiek *de iure* kraje oksytańskie były już przyrzeczone Ludwikowi, miało to jednak niewielkie znaczenie, gdyż *de facto* większość z nich Rajmund z Tuluzy zajął ponownie. Ludwik miał teraz tylko znów mu je odebrać. Było to oczywiście i w obliczu słabnącego poparcia dla hrabiego Tuluzy właściwie drobnostką, jak niestrudzenie tłumaczył kardynał.

Blanka siedziała w milczeniu obok swego małżonka, gdy Frangi-pani z błyszczącymi oczami przedstawiał plany dotyczące krucjaty, zwracając uwagę, na jak potężną armię mógł liczyć Ludwik. Zapewnił, że nie tylko pozyskał dla sprawy wielu dawnych sprzymierzeńców hrabiego Tuluzy, lecz również sam osobiście będzie obecny, gdy papież otrzyma od Boga poruczenie, by ostatecznie położyć kres złu, jakie czynią kacerze.

- Postać Ojca Świętego otaczała świetlista aureola, gdy padł na kolana i błagał Boga, by dał mu jakiś znak. Wszyscy go widzieliśmy. Światło skupiło się i przemieniło ciało biskupa Rzymu w jaśniejący krzyż - opowiadał kardynał. - To zjawisko trwało zaledwie chwilę, a my wszyscy, pożałowania godni nędznicy, nie dowierzaliśmy własnym zmysłom. Lecz wieczorem tego samego dnia zaczęła krwawić hostia...

Frangipani przerwał.

Wszyscy milczeli głęboko poruszeni. Kardynał odchrząknął, potrząsnął głową, jak gdyby musiał z należytych oddaniem spełnić swój obowiązek, i zauważył trzeźwo: - Cóż może przeciwstawić temu hrabia Rajmund? Jego zwolennicy odstępują od niego. Zobaczycie, za czterdzieści dni cała Oksytania znajdzie się pod panowaniem Francji. A wtedy ty, panie - podobnie jak twój przodek, Karol Wielki - będziesz rządził potężnym królestwem i sprawował kontrolę nad najważniejszymi portami nad Morzem Śródziemnym.

Blanka nie miała najmniejszej szansy, by powstrzymać Ludwika od tej wyprawy. Oferta z Rzymu była zbyt nęcąca, by król mógł ją odrzucić, tym bardziej że mógł stracić twarz, gdyby nie przyjął tej propozycji. Ludwik przyrzekł zatem, że wyruszy ze swą armią w maju. Blanka przytakiwała skinieniem głowy każdemu słowu, bowiem wszelki sprzeciw wydawał się daremny. Mimo to była zdecydowana dotrzymać złożonych przez siebie ślubów - by chronić Klary, która już jakiś czas temu opuściła Paryż, zmierzając z Felicjanem na południe. Bóg będzie musiał wskazać jej drogę. Rozmawiał przecież nie tylko z Ojcem Świętym. Królowa Francji przeżegnała się.

Nadszedł maj.

- Tybald, hrabia Szampanii - pokojówka zapowiedziała gościa, przeciągając słowa. Zaskoczona Blanka podniosła wzrok.

- Czego pragnie?

- Twojego błogosławieństwa, pani, zanim dołączy do króla w Bourges i podejmie walkę w obronie krzyża.

- Niech czeka.

Od wygnania hrabiego Szampanii z dworu przed trzema laty Blanka nie rozmawiała z nim ani razu. Brakowało go jej i była rada, że znów go zobaczy.

Chociaż ostrzeżenie królowej Ingeborgi było ciągle żywe, jednak

wszystkie wieści o Tybaldzie, jakie do niej dotarły, wskazywały na to, że młody człowiek stracił wiele ze swej lekkomyślności, przyjął na siebie odpowiedzialność za sprawy Szampanii, przestał utrzymywać stosunki z wrogimi królowi ugrupowaniami i układał znakomite wiersze.

Ludwik jednak nadal nie miał do niego zaufania. Nie odznaczył Tybalda, gdy ten przed dwoma laty udzielił mu skutecznego wsparcia w bitwie przeciwko Anglikom o La Rochelle. Tybald niczym zawiedziony kochanek opuścił wówczas króla i przyłączył się do wielce podejrzanych baronów, takich jak Piotr książę Bretanii, którego zwano Mauclerc, czyli „zły kleryk”, i Hugo z Lusignan. Obaj uważali posłuszeństwo wobec króla, jakie mu byli winni jako lennicy, za zagrożenie dla swej władzy. Wspierali wprawdzie Ludwika, gdy ten prowadził wojnę z Anglią, otwarcie jednak krytykowali go za to, że rozszerza swoje panowanie na nowe terytoria, ograniczając ich prawa.

- Widzisz, Ingeborga miała rację, on działa na naszą szkodę
- Blanka przypomniała sobie słowa, które wówczas wypowiedział Ludwik. Jednak Tybald został już oczyszczony z podejrzeń; raporty szpiegów były jednoznacznie pozytywne. Zgłaszając teraz gotowość zbrojnego wsparcia króla podczas nowej krucjaty, wyrażał pragnienie, by Ludwik znów przywrócił go do łask.

Jednym z ważniejszych przymiotów królowej powinna być wspaniałomyślność, zdecydowała Blanka. Ostatecznie szkody wyrządzone przez Tybalda były niewielkie. Jakkolwiek proroctwa Ingeborgi zawsze w jakiś sposób się spełniały, w wielu przypadkach okazywało się, że nie oceniała właściwie wagi przyszłych wydarzeń. Na przykład zapowiedziana burza o rzekomo katastrofalnych skutkach okazywała się krótkotrwałym załamaniem pogody z kilkoma niewielkimi powodziami, a spisek przeciwko rodzinie królewskiej był w rzeczywistości bajdurzeniem kilku niezadowolonych baronów, wy-

lewających swoje żale w gospodzie. Tak naprawdę więc Tybald nie wyrządził im wiele złego, zachowywał się jedynie jak samowolny feudał. Jak zły pies podwórzowy ujadał o niewłaściwej porze.

Było to jednak wystarczająco naganne. Dlatego też nie przyjęła go jak dawniej w swoich prywatnych komnatach, lecz siedząc na tronie w sali królewskiej. Nie chciała, by sądził, że jego wcześniejsze zachowanie zostało mu całkowicie wybaczone.

Już w drzwiach Tybald poczuł, że uginają się pod nim kolana. Królowa w ciągu minionych trzech lat stała się jeszcze piękniejsza, a jej władczy głos, nakazujący mu zbliżyć się do niej z końca długiej sali, jeszcze dźwięczniejszy.

Rzucił się Blance do stóp.

Pozwoliła, by podniósł na nią wzrok. Gdy patrzyła w fiołkowe oczy swego najwierniejszego wielbiciela, pełne głębokiego oddania, za którym tak tęskniła, na jej ustach pojawił się tęskny uśmiech. Tybald dobrze znał królową. Ten cień uśmiechu rozbudził w nim nadzieję, że wszystko da się jeszcze naprawić i zostanie przywrócony do łask.

- A zatem chcesz, hrabio, wyruszyć z moim mężem na wojnę - zwróciła się do niego oficjalnym tonem. - Czy wolno mi spytać, dlaczego?

- Aby wspierać naszego ukochanego króla Lwa, twego małżonka, pani, w jego jakże ciężkim zadaniu - odrzekł Tybald. - By wypełnić heretyków i otrzymać odpust za moje grzechy.

Blanka uniosła brwi.

- Czy nie dostałeś go już podczas ostatniej krucjaty? - spytała zaskoczona. - Czy też może popełniłeś już kolejne ciężkie grzechy, hrabio?

- Tylko ten, że nadal miłuję cię ponad wszystko, pani, wielbię cię i składam życie u twych stóp. - Kosztowało go wiele wysiłku, aby widząc jej promienną postać, powściągnąć swoje poetyckie zapędy. W żadnym wypadku nie mógł pozwolić na to, by Blanka zwątpiła

w szczerść jego intencji. - Ponadto nie mogłem wówczas walczyć przepisowych czterdziestu dni, gdyż na rozkaz Najjaśniejszego Pana musiałem wywieść Klarę z Marmande.

- W istocie, zachowałeś się jak bohater, Tybaldzie - Blanka wróciła do zażyłej formy. Klara. Poczwała chłód w sercu. Klara musiała już od dłuższego czasu przebywać na południu, gdzie mogło jej grozić wielkie niebezpieczeństwo. Jak mogła chronić tę dziewczynę, bliską jej sercu niczym własna córka? Swoją wychowankę, która w przypływie niezrozumiałych dla Blanki uczuć oddała się sprawie, narażającej na niebezpieczeństwo jej życie. Jak mogło ujść jej uwadze, że Klarze tak się przykryło na królewskim dworze, że szukała rozrywki u heretyków? Innego wytłumaczenia dla decyzji Klary Blanka nie potrafiła znaleźć - ani tego nie chciała.

Patrzyła na Tybalda tak długo w milczeniu, że zaczął się obawiać, iż znowu go odprawi. Ta myśl była nie do zniesienia. Tym bardziej więc zaskoczyły go słowa, które wyrzekła po chwili: - Cieszę się, że znów cię widzę, Tybaldzie. Jest bowiem pewne zadanie do wykonania, którego tylko ty możesz się podjąć. Przyjdź dzisiaj wieczór na królewskie pokoje, przekażę ci wówczas dalsze wskazówki.

Spojrzała na niego promiennym wzrokiem. Właśnie przyszedł jej do głowy pomysł, jak mogłaby chronić Klarę i być może dopełnić ślubów złożonych przed dwoma miesiącami. Był to dość ryzykowny plan, którego wykonanie będzie związane z dużymi trudnościami. Nie było też wcale pewne, że przyniesie spodziewany rezultat, lecz jedynie on zdawał się dawać jej szansę zmiany biegu wydarzeń. Tybald mógł się okazać bardzo pomocny, wiele zależało bowiem od jego pomysowości.

Drżąc ze szczęścia, hrabia Szampanii skłonił się przed Blanką i ucałował rąbek jej sukni. W końcu wrócił do domu. Jego rozradowane serce podyktowało mu wersy, które wartkim potokiem popłynęły z jego ust:

*Umiłowana, szlachetna pani,
za ciebie chętnie oddam życie.
Obdarzonaś wszelkimi wdziękami,
przeto zawsze trwam w zachwycie.
Księżyc z nieboskłonu rad bym skraść,
zerwać dla cię gwiazdy lśniące,
za tobą na kraj świata iść
i dalej jeszcze, z sercem gorejącym.*

Blanka odchyliła się z ukontentowaniem na oparcie tronu. Wspinał się znów usłyszeć śpiew Tybalda. Niemal żałowała, że musi go tak szybko odprawić. I to na wojnę, z której być może już nie powróci, chociaż możliwym panom z reguły rzadko przydarzało się coś złego. Hrabia właściwie odczytał jej pełne oczekiwania spojrzem i zaśpiewał jeszcze kilka wersów:

*Dzięki ci, pani, za twą łaskawość,
I za spełnienie mojej prośby,
za twą bezmierną cierpliwość;
nie czuję już cierpienia groźby!
Ach, przyjmij mnie łaskawie z powrotem,
dozwól, bym ci ofiarował swe życie,
zaręczam ci, pani, pod słowem:
nie stanę przeciw tobie, postąpię należycie.*

Przy tych słowach brązowe oczy Blanki zwięzły się. - A jeśli dostaniesz się do niewoli tych niecnym baronów, którzy skarżą się, że mają zbyt mało władzy? - przerwała mu. - Po której stronie wtedy staniesz?

- Zawsze stałem i będę stał po twojej stronie, pani! - zapewnił pośpiesznie. - Wówczas to były tylko złe plotki. Zdaję sobie sprawę, że moje imię znalazło się na liście przeciwników króla, nie wiem

natomiast, jak mogło do tego dojść. Byłem ci zawsze wierny, pani.
- Potem dodał co prędzej: - Prócz tego zbuntowani niegdyś baronowie walczą teraz u boku króla przeciwko heretykom.

- Doszły mnie takie słuchy - odparła Blanka z lekkim rozrządzeniem. - Możesz teraz odejść, Tybaldzie. Zobaczymy się później.

Opuścił salę, dosłownie unosząc się w powietrzu.

Blanka pośpieszyła do swoich komnat. Podjęła już decyzję. A kiedy raz już coś postanowiła, nie wahała się bojaźliwie, lecz niezwłocznie przystępowała do działania. Jeśli tylko będzie to możliwe, już w następnych dniach miała zamiar ruszyć w drogę.

Przedtem jednak należało poczynić liczne przygotowania.

Przede wszystkim zarzuciła pomysł sprowadzenia na dwór Lisette. Żona kamieniarza zastępowała ją zawsze jedynie na kilka godzin, najwyżej na pół dnia i z pewnością nie zdołałaby pełnić roli sobowtóra przez dłuższy czas. Tym razem chodziło o coś więcej. Nawet gdyby Lisette, jako królowa, udawała chorobę, z powodu której rzadko się pokazuje, pozostawała jeszcze kwestia składania podpisów na dokumentach. Gdyby rzekomo tylko lekko osłabiona królowa nie była nawet w stanie utrzymać pióra, wzbudziłoby to podejrzliwość i niepokój. A ważni goście, z którymi należało porozmawiać, również z pewnością nie pozwoliliby się tak łatwo odprawić. „Jestem więźniem mojej pozycji” - pomyślała z desperacją Blanka. Jednak musi znaleźć jakiś sposób, by wyruszyć w tę sekretną, niezwykle ważną podróż, nie będąc przez nikogo rozpoznana. Przypomniała sobie o królowej Ingebordze. Powinna jak najszybciej przybyć na dwór, by reprezentować Blankę i w razie konieczności składać podpisy w jej imieniu, powinna także wziąć ze sobą Lisette, by okazjonalnie, z zachowaniem najwyższej ostrożności, wykorzystać ją w roli sobowtóra. Stara królowa poradzi sobie w każdej sytuacji. I będzie kryć Blankę podczas jej nieobecności.

Królowa zastanawiała się nad kolejnymi poczynaniami. Dzieci wyśle do krewnych na wieś i wyjedzie wraz z nimi. Aby żadnemu z doradców lub któremuś z baronów nie przyszło do głowy, by ją tam odwiedzić, zamierzała umieścić dzieci w różnych domach, oznajmiwszy uprzednio, że będzie krążyć między wsią a Paryżem.

Uznała to za bardzo dobry pomysł. Wtedy królowa Ingeborga będzie mogła częściej nakazywać Lisette, aby ta na krótko pokazywała się na dworze jako królowa.

Było to ryzykowne, ale Blanka nie widziała po prostu innej możliwości. Jej pomysłowa teściowa, macocha Ludwika, z pewnością znajdzie sposób, by ograniczyć do minimum ryzyko odkrycia maskarady. Napisała do królowej Ingeborgi list o treści w najwyższym stopniu poufnej, zalakowała go swoją srebrną pieczęcią i kazała natychmiast wysłać do Corbeil.

Gdy kilka godzin później promieniejący ze szczęścia Tybald zjawiał się w jej komnacie, zastał królową nad wyraz łaskawą.

Blanka, rzecz jasna, przemilczała przed nim swoje plany podróży, powierzyła mu jednak zadanie, które miało uczynić jego własną podróż niezwykle uciążliwą i wyrządzić zło, przepowiedziane przez królową Ingeborgę.

Zamęt

Irzekł im szatan, że da im niewiasty, które wielce miłować będą, że posiadą władzę nad innymi, i tak niektórzy zostali królami, hrabiami i cesarzami, i za pomocą ptaka mogli schwytać innego, a za pomocą zwierzęcia inne zwierzę. Wszyscy, którzy są mu poddani, zstąpią do piekieł i jak Bóg na wysokościach będą posiadać moc czynienia dobra i zła.

Z pisma katarów

Awinion, 7 sierpnia 1226

- J u ż my postaramy się o to, by ten diabeł przez całą wieczność smażył się w piekle!

Doradcy Ludwika nie pamiętali, aby król, zazwyczaj niebywale opanowany, kiedykolwiek tak dał się ponieść nerwom. Gniew władcy znów zwracał się przeciwko hrabiemu Tuluzy. Właśnie dotarła do niego wiadomość, że Rajmund VII nakazał przeorać pola, zasypać studnie i zamienić własny kraj w pustynię - tak by krzyżowcy nie mogli nigdzie zdobyć pożywienia dla siebie ani paszy dla koni. Hrabia liczył na to, że rycerze z północy zmęczą się tą sytuacją, nim minie przepisowych czterdzieści dni służby wojskowej, i przerwą krucjatę.

Jednakże mimo sprzyjającego jego zamysłom letniego skwaru i zarazy, która wybuchła wśród krzyżowców oblegających Awinion, plan hrabiego Tuluzy się nie powiódł. Ludwik postanowił za wszelką cenę zdobyć miasto. Choćby po to, by zaopatrzyć swoich ludzi w żywność, której pilnie potrzebowali. Oblegany od dwóch miesięcy gród nie cierpiał niedostatku, gdyż bogaci mieszkańcy jeszcze przed przybyciem wojsk Ludwika w czerwcu przezornie zgromadzili olbrzymie zapasy.

Legat papieski się mylił. Zajęcie terenów na południu w żadnym wypadku nie było drobnostką, chociaż wszystko tak dobrze się zaczęło i krucjata przez pierwsze dwa miesiące przebiegała całkowicie po myśli Ludwika.

Potężna armia Ludwika bez przeszkód przeciągnęła przez żyzną dolinę Rodanu, gdzie wszędzie oddawano królowi cześć. Krzyżowcy znaleźli przy tym wiele okazji, by zatroszczyć się o zbawienie duszy. Zabijali wszystkich, których podejrzewali o herezję, śledzili niewielkie, odziane na czarno grupki podróżnych i płacili starcom i dzieciom za wskazanie domów i miejsc zebrań kacerzy.

Ponieważ należało szybko iść dalej na południe, nie było czasu, aby poddać podejrzanych wymaganemu przez papieża przesłuchaniu, a w razie potrzeby także torturom, i dopiero potem zgodnie z przepisami skazać ich na stos. Protestowało przeciwko temu kilku wybitnych przywódców duchowych, ale Ludwikowi było spieszno zakończyć zwycięsko kampanię bez niepotrzebnego przelewu krwi nowych poddanych.

Już same pogłoski o zbliżaniu się wojsk francuskiego króla wystarczały, by wielu wasali Rajmunda w panice przeszło na jego stronę. Ze zgrozą przypominali sobie los takich miast, jak Beziers i Marmande; wysłannicy długo odbudowywanego Beziers jako pierwsi pośpiesznie wyjechali królowi naprzeciw, powiadamiając go o całkowitej kapitulacji miasta. W przekonaniu, że w starciu z francuską potęgą władcy Tuluzy są skazani na klęskę, wiele oksytańskich miast i liczna szlachta przechodziło pod opiekę Kościoła i króla Francji, chcąc ratować własną skórę.

Ludwik był niezmiernie zadowolony, gdy w Montelimar zameldowano mu przybycie nie tylko przedstawicieli silnie umocnionego Carcassonne, lecz także posłów z Awinionu; bądź co bądź wyjątkowo bogatego i potężnego grodu, który ponadto był blisko związany z hrabią Rajmundem. Parlamentariusze zgodzili się na swobodny przemarsz wojsk francuskich przez miasto.

Kiedy jednak z początkiem czerwca Ludwik stanął u bram Awinionu, zastał je wbrew przyrzeczeniu zamknięte, a wszystkie baszty, przede wszystkim dwie potężne wieże, Quiquenparle i Quiquengro-

gne, obsadzone były gotowymi do obrony grodu ludźmi, wśród których, jak się później miał dowiedzieć, znajdowali się nawet najemni żołnierze z Flandrii i Brabancji.

Miasto dochowało wierności Rajmundowi z Tuluzy, który zwalniał jego mieszkańców od wszelkich opłat na swoich ziemiach, zawsze ich wspierał i dzięki swoim kontaktom gospodarczym z zagranicą pomnożył ich majątek.

Dowódcy wojsk Ludwika stwierdzili, że nie ma najmniejszej możliwości, aby wdrzeć się do silnie umocnionego miasta. Wyrzekając głośno, Francuzi zaczęli przygotowywać się do oblężenia. Jednak osobliwa okoliczność, że po dwóch miesiącach oblegający tylko cudem uniknęli śmierci głodowej, zmusiła króla do działania. Kiedy dowiedział się o coraz to nowych terenach pozamienianych w nieużytki, odrzucił z czoła swoje blond włosy, które tymczasem rzeczywiście zaczęły przypominać lwią grzywę, i obwieścił: - Niech się dzieje, co chce, jutro przypuszczamy atak na miasto!

Hrabia Tybald z Szampanii odważył się zaprotestować: - Miłociwy panie - zabrał głos - Awinion jest w tej chwili nie do zdobycia. Nasi ludzie są chorzy i osłabieni z głodu i pragnienia. Wybacz mi, królu, moje słowa, ale powinniśmy zaniechać szturmów i ruszyć dalej. A później, wzmocniwszy siły, wrócić do Awinionu.

Wiedział, o czym mówi. Kilka dni wcześniej spotkał się ze swym starym przyjacielem Etienne'em, trubadurem, który cieszył się nie tylko na południu ogromną popularnością. Pieśniarz ten, jak wielu innych jego profesji, już przed laty oficjalnie stanął po stronie katarów. Teraz z narażeniem życia wymknął się z oblężonego miasta, aby zobaczyć się z Tybaldem, z którym niegdyś skomponowali wspólnie przepiękną pieśń. Pieśń ta wyrażała myśl, że wolność jest możliwa tylko tam, gdzie człowiek może zrzucić swoje jarzmo. Dopiero teraz Tybald uzmysłowił sobie, że ułożony właśnie przez niego, krzyżowca z północy, refren stał się dewizą trubadurów z południa, któ-

rzy podawali się za obrońców kacerzy i rzeczywiście prawie wszyscy nimi byli:

Serc i uczuć złodzieje

znają miłości nadzieje.

*Ożenek jest dla nich więzieniem,
gdyż wolność to ich zawołanie.*

*Zerwiemy tedy kajdany,
by bronić uciskanych.*

Etienne zaklinał Tybalda, by ten nakłonił króla do odwrotu, i Tybald przyrzekł mu, że uczyni wszystko, co w jego mocy. - Jeśli nie zdołam go przekonać, wycofam się z moimi ludźmi - zapewnił przyjaciela. - Dla mnie ta wyprawa już się skończyła.

Położył dłoń na sercu, by nadać przysiędze większą wagę. W kaptanie coś zaszeleściło. Listy Blanki do Klary. Wyciągnął oba pisma. Pierwszemu z nich nie musiał się bliżej przyglądać. Łatwo było rozpoznać, że jest to zwyczajowy list żelazny, wydany przez króla, w tym przypadku przez królową. Dokument gwarantował jego posiadaczowi o wiele więcej niż tylko zwolnienie od cła. Tybald schował pismo z powrotem. Drugi list był adresowany do Klary osobiście. Blanka zasugerowała mu w rozmowie, że jej dama dworu nie jest nastawiona szczególnie wrogo do katarów, i wręcz go błagała, by ją odszukał i chronił. Według słów królowej Klara podróżowała w towarzystwie heretyka imieniem Felician i przypuszczalnie miała zamiar zatrzymać się gdzieś w okolicach Carcassonne.

- J a k mam odnaleźć Klarę w tym wielkim, obcym kraju? - zapytał bezradnie Blankę. Władczyni położyła mu dłoń na ramieniu, co zupełnie wystarczyło, by był gotów przysiąc jej dosłownie wszystko, i odparła pełnym słodczy głosem: - Z pewnością znajdziesz jakiś sposób, mój drogi przyjacielu. Jak wówczas w Marmande. Uratuj

Klarę po raz drugi. Zrób to dla mnie, Tybaldzie, proszę cię o ta Po-
kładam w tobie całe me zaufanie.

A potem zdarzyła się jedna z najwznioślejszych chwil w jego życiu
- Blanka podała mu dłoń do ucałowania. Na wspomnienie jej taska-
wości zrobiło mu się ciemno przed oczami.

- Co z tobą? - spytał zatroskany Etienne.

- Muszę uratować pewną kobietę - szepnął Tybald. - Jedną z wa-
szych. - List drżał mu w dłoni. Nadludzkim wysiłkiem woli po-
wstrzymał się od złamania pieczęci. Pośpiesznie wetknął pismo za
pazuchę.

- *...gdyż wolność to ich zawołanie* - mruknął współczująco Etienne
i przecesał ręką ciemną, niesforną brodę. - Czy ta kobieta jest za-
mężna?

Tybald skinął głową z nieszczęśliwą miną.

- *Lecz ożenek jest dla nich więzieniem* - zacytował Etienne i w zamy-
śleniu dodał: - Skoro należy do albigensów, jest dla ciebie jeszcze
bardziej nieosiągalna! Nigdy cię nie wysłucha, a tylko unieszczę-
śliwi.

Tybald nie pomyślał, by wyjaśnić nieporozumienie i powiedział
jedynie: - Gdybym tylko mógł ją uratować! Pomożesz mi ją znaleźć?

- A ty, czy pomożesz miastu?

Tybald dowiedział się od Etienne'a, że filary ogromnego mostu
zostały nadpiłowane, że tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci czeka
w pogotowiu z procami, by uśmiercić możliwie jak najwięcej napast-
ników, i że zapasy mogą wystarczyć jeszcze na wiele miesięcy. Naj-
większe jednak wrażenie zrobiło na Tybaldzie jedno zdanie przyja-
ciela: - Kiedy południe straci wolność, my stracimy ją również
- gdy zabrzmie róg francuskiego króla, trubadurzy zamilkną.

Zawarli pakt. Tybald spróbuje nakłonić króla do odwrotu, a Etien-
ne zajmie się poszukiwaniami Klary. Umówili się, że niezależnie od
rezultatu ich wysiłków, spotkają się tydzień później w Carcassonne.

Tybald wystarał się o konia dla przyjaciela i pożegnał go ze łzami w oczach. Ostatecznie dzięki niemu miał szansę spełnić misję, którą powierzyła mu Blanka. Od czasu, gdy 17 maja dołączył do oddziałów Ludwika, bezustannie łamał sobie nad tym głowę. Nie miał złudzeń, że zdoła skłonić króla do zmiany planów. Ale mógł przynajmniej spróbować.

Jak należało tego oczekiwać, przy słowach hrabiego Szampanii oczy Ludwika zwięziły się niebezpiecznie. Nakazał mu wystąpić do przodu.

- Powiedziałaś: zaniechać szturm? - natarł na niego z płonącymi gniewem oczami.

- Wybacz, miłoścy królu, lecz w tej sytuacji tylko to wydaje się sensowne.

- Hrabio Szampanii! - zagrział Ludwik. Głos dziwnie kontrastował z jego drobną posturą. - Jesteś winny zdrady stanu!

Tybald zamarł. Czyżby on i Etienne nie byli wystarczająco ostrożni? Czyżby ktoś widział, jak spotyka się z człowiekiem z Awinionu? A może wzbudził podejrzenia żądając dodatkowego konia?

- Nie jestem świadom mojej winy - odparł, starając się, by jego głos brzmiał mocno.

- Ostrzegam cię, mój panie - mówił dalej król - jeśli nosisz się z zamiarem opuszczenia mnie, przysięgam, że po zakończeniu krucjaty osobiście poprowadzę wojska na twoją Szampanię, spustoszę ją i spalę. Tak mi dopomóż Bóg.

„Kolejna przegrana wojna” - przemknęło Tybaldowi przez głowę, którą co prędzej nisko skłonił.

Jeszcze tej samej nocy zebrał swoich ludzi i każdemu pozwolił samodzielnie zdecydować, czy będzie trwać przy królu, czy jeszcze tej nocy wyruszy z nim przez Carcassonne do domu do Szampanii. Jeden z rycerzy, biegły w geografii, ze zdziwieniem przyjął wiadomość o tak osobliwej trasie. Tybald nie zamierzał się tłumaczyć. Rzekł

jedynie, iż taką drogę wybrał, i ten, kto jest mu wierny, nie powinien zadawać głupich pytań. Rycerz, który nie zgładził jeszcze żadnego heretyka, zwrócił uwagę, że zaledwie stu krzyżowców niewiele będzie mogło wskórać przeciwko ciżbie wzburzonych kacerzy.

- A gdzie takich spotkaliśmy? - uniósł się Tybald. - Ci ludzie modlą się, nie płacą dziesięciny, czym złoszczą papieża, lecz walki zbrojne jak dotąd prowadzą tylko ich zwolennicy, a nie oni sami. To myśmy ich prześladowali, nie oni nas. To my budujemy stopy, nie oni.

- Ci, którzy ich chronią, jak hrabia Tuluzy, są doświadczonymi żołnierzami i dowódcami - zauważył rycerz.

- Nie będziemy w drodze nieść królewskiej chorągwi - odparł Tybald. - Jeśli chodzi o mnie, zdejmę płaszcz krzyżowca. Możecie uczynić to samo, lub nie - wasza wola. Nikt, kto do mnie nie dołączy, nie będzie się musiał z tego rozliczyć po powrocie do Szampanii. - Tybald zaczerpnął głęboko powietrza i powiedział coś, czego nikt z nich do tej pory nie słyszał: - Każdy z was winien podjąć decyzję zgodnie z własnym sumieniem. Jesteście wolnymi ludźmi, czynicie to, co sami uważacie za słuszne.

Przez szeregi przeszedł szmer, żołnierze wymieniali między sobą bezradne spojrzenia. Nikt nie odważył się wypowiedzieć na głos tego, nad czym wszyscy łamali sobie głowę - o czym on mówi? Cóż to za suweren, który żąda od swoich ludzi, by podejmowali decyzje? Jak mogliby sami stanowić o swym losie? Cóż to się stało, że ich pan okazuje taki brak zdecydowania? A może jest to tylko podstęp, który ma wystawić na próbę ich wierność? Jest przecież odpowiedzialny za życie swoich ludzi! Nie może tak po prostu wykraść się z obozu, pozostawiając ich na łasce losu! I w którą stronę mieliby się udać; pozostawieni sobie samym, bez dowództwa, znaleźliby się w sytuacji bez wyjścia. Musieliby chyba wtedy pociągnąć przez kraj, grabiąc i plądrując. A nawet mogliby nigdy nie trafić do domu.

Tybald dostrzegł niepewność, malującą się na twarzach żołnierzy, których główną powinnością było posłuszeństwo wobec swego pana, którzy nie znali słowa „sumienie”, i którzy w przeciwieństwie do niego nie potrafiliby znaleźć rymu do słowa „wolność”. Wiedział, że żąda od nich zbyt wiele. Tak jak od większości swoich słuchaczy, kiedy w pieśniach sławił niepodległy byt, wolny wybór ducha i serca.

Zerwiemy tedy kajdany, by bronić uciskanych.

W obliczu tej wielkiej idei niemal zapomniał o właściwym powodzie swojej decyzji, którym było odzyskanie dawnej pozycji u boku Blanki. Żeby to osiągnąć, musiał uratować Klarę.

Rozejrzał się zniecierpliwiony wokół. Nikt nie ośmielił się bodaj odetchnąć. Samemu Tybaldowi nagle również zabrakło powietrza. Raptem uzmysłowił sobie, w jakie tarapaty mogły go wpędzić wypowiedziane przed chwilą słowa. Posunął się za daleko; trubadur zwyciężył w nim żołnierza, gdyż gałązka oliwna, którą pragnął wręczyć Blance, stała się dla niego ważniejsza od miecza! W obecnej sytuacji było to niewybaczalne; wprost trudno sobie wyobrazić, co mogłoby się zdarzyć w Szampanii, gdyby weszło zasiane właśnie w sercach jego ludzi ziarno! Z nadzieją, że to, co nie obumrze na wyschniętej ziemi południa, rozwieje gorący wiatr, sięgnął po bardziej zrozumiałe dla żołnierzy słowa: - Zwolnienie z posłuszeństwa dotyczy wyłącznie tej jednej sprawy, gdyż nie jestem w stanie ocenić, czy jesteście już gotowi, by Bóg odpuścił wam wszystkie wasze grzechy. W każdym razie minęło już obowiązkowych czterdzieści dni. Jeśli ktoś dalej chce walczyć w obronie krzyża, może zginąć lub zdobyć bogactwo. Mnie nie nęci ani jedno, ani drugie. Wyruszam jeszcze dzisiejszej nocy. Wszyscy, którzy chcą mi towarzyszyć, powinni się więc przygotować do drogi.

Powiedziawszy to, odwrócił się.

Pozostała mu jeszcze jedna rzecz do zrobienia. Długo zastana-

wiał się nad tym, czy powinien to uczynić i jak mógłby to zrobić. Teraz znał już odpowiedź na oba pytania. Znalazł ją nagle, kiedy rozmyślał o wolności, niezależności i wyschniętym ziarnie. Król nie obróci Szampanii w pustynię. I nie będzie już nigdy dzielił łoża z królową.

Król musi umrzeć.

Nikt nie będzie łączył hrabiego Szampanii ze śmiercią Ludwika, ponieważ w czasie, kiedy to się wydarzy, będzie przebywał daleko stąd. Nie padnie na niego nawet cień podejrzenia. Na ustach Tybalda pojawił się gorzki uśmiech. Na wierności trubadurów można było zawsze polegać; jak to dobrze, że niedawno wygłosił pochwalne słowa o doprawdy żałosnych wersach drugiego królewskiego podcaższego! Teraz ten wierszokleta z pewnością nie zapomni podać królowi w dniu jego urodzin 25 października kielicha wyjątkowego trunku z Szampanii. Wprawdzie nie słynęła ona z wina, ale ten trunek, wręczony z odpowiednimi słowami, z pewnością będzie królowi smakował. Tybald opuścił obóz nieco później, niż zamierzał, gdyż musiał cierpliwie odrzucać propozycje zmiany tych słów, które zgłaszał rozpoetyzowany podczaszy.

Ufny w potęgę swoich wojsk Ludwik następnego ranka wydał rozkaz zaatakowania mostu w Awinionie możliwie największą liczbą ludzi. Takiego natarcia nie mogłyby wytrzymać również potężne bramy miasta. Jednakże most z filarami nadpiłowanymi przez oblężonych mieszkańców Awinionu zawalił się pod ciężarem szturmujących oddziałów. W odmętach Rodanu utonęło ponad trzy tysiące krzyżowców i miasto pozostało niezdobyte.

W tym samym czasie, gdy przed zamkniętymi bramami Awinionu opłakiwano poległych, Tybald i wszyscy jego ludzie rozbili obóz w pobliżu Montpellier. Żaden z wasali nie odważył się wybrać ewentualnej śmierci lub szansy zdobycia bogactwa, nikt też nawet nie roz-

ważał możliwości, by przedłożyć wierność królowi ponad wierność swojemu suwerenowi. Fakt, że może polegać na swoich oddziałach, podzielał na hrabiego Szampanii niezwykle uspokajająco; wyrzucił sobie niewybaczalny grzech, jakim było zmuszanie żołnierzy do podjęcia decyzji. Rozmyślając o tym, ułożył pieśń o wilku, żądającym od jagniąt, by zdecydowały, które z nich ma posłużyć mu za pożywienie.

W rzeczy samej Tybald z chęcią zjadłby pieczeń jagnięcą, ale musiał się zadowolić skromnym posiłkiem z suszonej wołowiny. Potem wyjął z kaftana list Blanki do Klary i przez chwilę ważył go w ręce. Wypowiedział posłuszeństwo królowi, nie był to jednak powód, by miał tak samo postąpić w przypadku Blanki. Jeśli złamie pieczęć, będzie winny również wobec niej. Z drugiej strony list musiał zawierać jakąś ważną wiadomość, która być może dotyczyła właśnie jego osoby. W obecnej sytuacji powinien wiedzieć o wszystkim, co miało istotne znaczenie dla jego misji. W końcu narażał się na śmiertelne niebezpieczeństwo, chroniąc heretyków.

W zamyśleniu potrząsnął głową. Jak to się mogło stać, że ta dziewczyna, którą znał niemal od dziecka, którą wyratował z piekła Marmande i która tak ochoczo oddała mu się w noc koronacji, zwróciła się ku kacerzom? Przypomniał sobie słowa Etienne'a, westchnął głęboko i bez dalszej zwłoki gwałtownym ruchem złamał pieczęć królowej.

Gdy czytał krótki list, jego oczy stawały się coraz większe. Cóż to za odważna kobieta, jakaż szlachetna królowa, że nie waha się narażać własnego życia dla swej dworki! O jakich ślubach ona mówi? Kto jej towarzyszy i jak zdołała niepostrzeżenie opuścić dwór? Tybald był zachwycony. Czyste szaleństwo! Powinien je spożytkować dla własnych celów! Taka okazja może się już nigdy nie powtórzyć!

- Wstawać! Pojedziemy nocą! - rozkazał swoim ludziom. Musiał możliwie jak najszybciej dotrzeć do Carcassonne, odnaleźć Klarę,

a potem wyruszyć z nią w dalszą podróż. Do bardzo oddalonego celu, który nigdy nie przyszedłby mu do głowy przed lekturą listu Blanki. „Jestem tak samo szalony jak królowa” - stwierdził w duchu. Ta myśl sprawiła mu wielką przyjemność.

W obrębie masywnych murów miasta obronnego Carcassonne panował w tym samym czasie ożywiony ruch. Nikt nie wiedział, kiedy zjawi się król na czele olbrzymiej armii krzyżowców. Nie należało w każdym razie oczekiwać, że nowy władca zadowolony się przysięgą na wierność złożoną przez przedstawicieli miasta, którzy przed kilkoma miesiącami wyjechali mu naprzeciw, i ruszy dalej, rezygnując z zawładnięcia imponującym grodem. Wszyscy byli świadomi, że w żadnym przypadku nie dopuści, by ominął go triumf, jaki odniesie, zajmując bez walki tę słynną twierdzę katarów.

- Jednakże nie obędzie się bez okrutnego przelewu krwi - stwierdził Felicjan. - Rozpoczną się polowania na „dobrych ludzi”, nieuczciwe procesy i tortury, a potem skazanych czekać będzie straszliwa śmierć na stosie.

Podszedł do okna wielkiej komnaty w hrabiowskim zamku, powiódł spojrzeniem po spalonych słońcem polach w dolinie rzeki Aude i zwrócił się do gospodarza potężnej budowli.

- Jeśli wszyscy stąd odejdziemy, mieszkańcy Carcassonne będą bezpieczni.

- Jakże opustoszeje wówczas moje miasto - westchnął wicehrabia. Obrócił się do Pierre'a Isarna, który przed trzema laty został wybrany biskupem przez wspólnotę katarów z Carcassonne. Teraz wraz z wicehrabią miał wpływ na losy miasta, założył też obszerne archiwum. - Jednak Felicjan ma rację, czcigodny przyjacielu, z pewnością dla wszystkich będzie lepiej, jeśli możliwie jak najszybciej opuścicie miasto i udacie się w kierunku Tuluzy. - Wicehrabia spuścił wzrok, jak gdyby ogarnął go wstyd. - To jedyne miasto, pomija-

jąc Awinion, które opiera się jeszcze Francuzom. Obawiam się jednak, że to tylko kwestia czasu, kiedy oba te miasta padną. Król i Kościół są zbyt potężni. I cóż wówczas wam pozostanie?

- Mój brat Rajmund będzie w stanie obronić nas wszystkich!
- zabrzmiał jasny kobiecy głos.

Klara stanęła obok Felicjana, patrząc na wicehrabiego wyzywającym wzrokiem. Ten stłumił uśmiech i zauważył: - Również tego będzie mi bardzo brakować - młodych kobiet, które niefrasobliwie zabierają głos, kiedy mają ku temu sposobność. Gdy tylko jednak Francuzi przejmą tu rządy, kobiety z pewnością będą znów skazane na milczenie.

- A więc rzeczywiście musi powrócić przeszłość? - zapytał biskup katarski. - Być może pozostawimy po sobie coś więcej, niż tylko wolność słowa dla kobiet.

- J a k ż e mi przykro! - Wicehrabia bezradnie rozłożył ręce. - Będzie mi ciebie ogromnie brakować, czcigodny przyjacielu! Rozmów z tobą, twej pracy, gotowości do zgody, obeznania w sztuce leczniczej, wielkoduszności, twego ducha i szalonych pomysłów!

- Które wszystkie spisałem - zauważył z uśmiechem Pierre Isarn.
- Zadbaj o to, by nie uległy zniszczeniu, jeśli mogę prosić.

Po tych słowach zwrócił się do Felicjana: - A ty wyprowadzisz z miasta naszych ludzi. Ja zostanę tutaj.

Po krótkim, pełnym zgrozy milczeniu Felicjan wybuchnął:
- Dlaczego?

- Bo takie jest moje przeznaczenie - odparł Pierre Isarn, wciąż jeszcze z uśmiechem na ustach.

Wicehrabia podniósł się. Szybciej niż pozostała dwójka pojął doniosłość tego prostego oświadczenia.

- Nigdy w życiu! - wykrzyknął ze wzburzeniem i uniósł ręce.
- Dałeś mojemu miastu i jego mieszkańcom tak wiele! Nikt nie będzie w stanie cię zastąpić! Jesteś pierwszym, którego pragnę uratować!

- I uczynisz to, wicehrabio - odrzekł biskup - wydając mnie Francuzom. Oficjalnie i uroczyście każesz mnie spalić na stosie ku czci króla. Poświęcając dla swego nowego władcy pierwszego kapłana tak zwanych heretyków, możesz zapobiec polowaniu na czarownice w mieście. Nikt wówczas nie ośmieli się wątpić w twoją wierność królowi i odrazę do naszej wspólnoty.

Pod Klarą ugięły się nogi. Opadła na ławę. Żaden z katarów nie czuł lęku przed życiem wiecznym, które poprzedzała śmierć. Jednak wybranie śmierci na stosie, pośród krzyków i szyderstw ciekawskiej gawiedzi, wydało jej się niewyobrażalną ofiarą.

- Módlmy się - rzekł biskup i powtórzył na głos słowa z Pierwszego Listu świętego Jana: - ***Nie miłujcie świata ani tego, co jest na świecie! Jeśli kto miłuje świat, nie ma w nim miłości Ojca. Wszystko bowiem, co jest na świecie, a więc: pożądlivość ciała, pożądlivość oczu i pycha tego życia nie pochodzi od Ojca, lecz od świata. Świat zaś przemija, a z nim jego pożądlivość; kto zaś wypełnia wolę Bożą, ten trwa na wieki.*** Amen.

Potem Isarn podniósł głowę i zwrócił się do Felicjana: - Ty, mój przyjacielu, pomożesz braciom i siostronom opuścić miasto.

Felicjan cicho zaprotestował: - Jakże miałbym to zrobić? Nie jestem przecież „doskonałym”.

Spojrzał na Klarę, ona jednak nadal siedziała ze spuszczoneym wzrokiem. Wiedziała, co teraz nastąpi, przygotowały ją na to minione miesiące, spędzone u boku Felicjana. Nie miała prawa od niego żądać, by zrezygnował z tego, czego pragnął z całej duszy. Nie miała prawa i nie chciała.

Klara bardzo się zmieniła. Nauczyła się, że istnieje inna droga, by osiągnąć jedność z drugim człowiekiem, niemająca nic wspólnego z obcowaniem cielesnym, a tym bardziej z miłością dworską. Więź łącząca ją z Felicjanem narodziła się z woli nieba pod rozetą wielkiej paryskiej katedry i będzie trwać o wiele dłużej niż ich krótki żywot na ziemi. Jedno stało się aniołem drugiego.

A jednak rozpoznawała w sobie szatana, który również w tym momencie wodził ją na pokuszenie: „Uczyń to dopiero jutro - zaklinał ją w myślach Felicjan - a wówczas dzisiejszej nocy zjednoczą się w końcu nasze ciała i do końca moich dni będę żyć wspomnieniem miłosnego uniesienia. Podaruj mi tę jedną noc, ukochana! Tylko jedną noc! Błagam!”

Z ociąganiem uniosła powieki, napotykając spojrzenie Felicjana. Jego miłość do niej mogła w nim odczytać każda z osób w sali.

- Klaro?

Wzięła się w garść i zmusiła do rozsądnego myślenia. „Jeśli ta noc przyniesie mi wyczekiwane z takim utęsknieniem spełnienie, zaprawdę ją - i jego - zatrzymać na zawsze. A to nieuchronnie doprowadzi do katastrofy. Do mojej i jego zguby, a być może także i innych »dobrych ludzi«. A jeśli ta noc okaże się rozczarowaniem...”

Wstrzymała oddech, nie odrywając oczu od wielkiej muchy, która z głośnym brzęczeniem krążyła przed jej oczyma. I nagle odżyło w niej wspomnienie innej nocy. Znów ujrzała siebie w pałacu w Reims, w niewielkiej komnacie. Niemal czuła ciało mężczyzny, który ją posiadał, brutalnie w nią wtargnął i nie pozostawił jej nic prócz płynów ustrojowych i oszołomienia. Do jej nozdrzy dotarł zapach siarki...

Gwałtownym ruchem wyciągnęła ręce, by zmiażdżyć muchę między dłońmi. Przeżrana natychmiast rozłożyła je z powrotem i wpatrzyła się w ich puste wnętrza. Odetchnęła głęboko, gdy mucha z coraz głośniejszym brzęczeniem odleciała w głąb komnaty i usiadła przy oknie. Bogu dzięki! Zdołała uciec. I przepędziła diabła.

Wstała z ławy i na drżących kolanach podeszła do wicehrabiego.

- Powinniśmy teraz zostawić ich samych - zasugerowała cicho, podając mu ramię sprawiającym dziwne wrażenie w tej sytuacji, dworskim ruchem.

- Pozwól, wicehrabio, jeszcze chwila. Przepraszam.

Nim pan zamku zdołał ująć podane mu ramię, Felicjan zbliżył się do Klary, objął ją mocno, wycisnął na jej ustach gorący pocałunek na oczach obu mężczyzn i długo spoglądał jej w oczy.

- To dopiero początek, Klaro - szepnął do niej, nim wypuścił ją z objęć. - W królestwie niebieskim czeka nas wieczność.

Z uśmiechem zwrócił się do biskupa: - Teraz jestem gotów.

Klara zachwiała się i szukając oparcia, chwyciła za poręcz fotela. Potem głęboko zaczerpnęła powietrza. Od tej chwili Felicjanowi już nigdy nie będzie wolno jej dotknąć.

Wicehrabia delikatnie ujął jej ramię i razem opuścili komnatę. Za drzwiami Klara poprosiła go, by pozostawił ją samą, i opadła na jedną z wykutych w murze ław.

- Każę umieścić zapiski biskupa w bezpiecznym miejscu - powiedział wicehrabia zduszonym głosem, po czym skłonił się przed Klarą i zniknął za zakrętem korytarza. Echo jeszcze długo niosło odgłos jego kroków.

Przez uchylone drzwi komnaty z masywnego dębu do Klary docierał donośny głos mężczyzny, który miał wkrótce na oczach króla Ludwika spłonąć na stosie za swoją wiarę.

- Zmiłuj się nad nami i pobłogosław nam, Panie, niech nam się stanie według Twego słowa. Niech wszystkie nasze grzechy, którymi obraziliśmy Ojca, Syna i Ducha Świętego, zostaną nam przebaczone. Amen.

Felicjan wyrzekł cicho kilka słów, a potem znów rozległ się głos biskupa: - Felicjanie, czy chcesz otrzymać chrzest duchowy, który napełni cię Duchem Świętym w Kościele Bożym poprzez świętą modlitwę i nałożenie rąk przez „dobrych ludzi”?

Głos Felicjana brzmiał zdecydowanie, gdy odpowiadał na pytania biskupa o jego życie, stosunek do Kościoła katarów i ślubował, że wyrzeknie się mięsa, nieumiarkowania w jedzeniu, kradzieży, cudzołóstwa, kłamstwa i krzywoprzysięstwa. Zapewnił, że nie ma żad-

nych długów w Kościele katarskim, i przyrzekł, iż będzie nadstawiał policzek tym, którzy go prześladowają. Na koniec złożył przysięgę, że bez względu na to, co się stanie, nigdy, nawet na torturach i pod groźbą śmierci, nie zaprze się wiary.

- Tego świętego chrztu - kontynuował Pierre Isarn donośnym głosem - przez który zostaniesz obdarowany Duchem Świętym, Kościół Boży strzegł od czasów apostołów do naszych czasów, a Bóg przekazywał go do dnia dzisiejszego „dobrym ludziom” i tak będzie do końca świata.

Gdy przyszedł moment przekazania Ducha Świętego, Klara uklękła. „Teraz biskup kładzie Felicjanowi Ewangelię Jana na głowie - pomyślała - teraz mój ukochany jest już »doskonałym«”.

Przestraszona odgłosem pośpiesznych kroków na schodach, zerwała się z klęczek. Młody człowiek z ciemną, niesforną brodą i czerwoną z wysiłku twarzą zatrzymał się przed Klarą.

- Gdzie jest wicehrabia? - zapytał, nie troszcząc się o to, by ją pozdrowić.

- Tu go nie ma - odparła krótko. Było oczywiste, że nieznajomemu jest bardzo spieszno, jednak to nie powód, by zapominać o dobrych manierach.

Etienne obrzucił uważnym wzrokiem stojącą przed nim kobietę. Była niezwykle piękna i miała jasnoszare oczy. Spod ciemnej chusty wymknęło się kilka kruczoczarnych kosmyków włosów. Czyżby naprawdę miał tyle szczęścia?

- Panna Klara? - zapytał niepewnie.

Śmierć

Tymczasem z najdalszych wsi, a nawet z wielkich miast, napływały nieustannie tłumy pielgrzymów, ludzi chorych na duchu i ciele. Dotykali Franciszka i całowali jego stopy. A on mówił do nich słowa proste, ale jakże zapomniane: miłość, jedność, pokora, nadzieja, ubóstwo.

Nikos Kazantzakis, *Biedaczyna z Asyżu*

W onym czasie odkryto wiele heretyckich występków zmarłych, jakich dopuścili się za życia. [...] Moźnych panów i szlachetne damy oraz innych wyrokami sądu skazywano na stos, ekshumowano i w przytomności przedstawicieli miast i ich mieszkańców w haniebny sposób usuwano z cmentarzy: ich kości i cuchnące zwłoki wleczono przez miasto, wymieniano ich z imienia, po czym herold miejski obwieścił donośnym głosem - Kto tak będzie czynił, taki będzie jego kres. - Na końcu, na znak hrabiego, palono trupy. [...] Sądzone przeto zmarłych, albowiem w chwili swej śmierci byli heretykami.

Z kronik Wilhelma z Pelhisso, 1234 r.

Blanka nie mogła zrozumieć, dlaczego nie pozwolono jej wejść do pałacu na Lateranie i nie dopuszczano przed oblicze papieża. Przebywała w Rzymie już od trzech tygodni, lecz Ojciec Święty nie chciał jej przyjąć. Ciągłe uprzejmie ją odprawiano, nawet po tym, gdy okazaławszy w swe pielgrzymie szaty pierścień królewski. Pisała list za listem, zapewniała papieża Honoriusza, że jest królową Francji we własnej osobie; niech zapyta tylko kardynała Frangipaniego, który zna ją osobiście. Odpowiedź była zawsze taka sama - szlachetna królowa Blanka znajduje się w paryskim pałacu i uskarża się na zły stan zdrowia; potwierdził to kardynał, który przebywa w Paryżu; pątniczka powinna w końcu zaprzestać naprzykrzać się strażom, w przeciwnym razie zostanie oskarżona o obrazę majestatu.

Blanka miała ochotę przekląć Lisette, ale bez niej ta osobliwa pielgrzymka w ogóle nie byłaby możliwa. Zaczęła rozumieć, jak mało prawdopodobnie brzmi jej opowieść - że królowa Francji z bożej łaski przybyła do Rzymu niezapowiedziana, z nieliczną i na dodatek odzianą w łachmany świtą, podczas gdy jej mąż uczestniczył w niebezpiecznej krucjacie w Oksytanii. A przy tym wszystko było wcześniej perfekcyjnie zaplanowane i musiała nawet z tego powodu opóźnić wyjazd o kilka tygodni.

Wysłała dzieci na letni wypoczynek do włości licznych krewnych, a następnie wybrała osiem osób, w tym pokojówkę, spośród z niewielu pozostałych na północy, oddanych jej dworzan. Ludzie ci byli za starzy, aby otrzymać odpust za udział w wyprawie krzyżowej, i dlatego chcieli odwiedzić grób Św. Piotra. Każdy z nich musiał przy-

siąc, że nigdy nikomu nie powie o pielgrzymce królowej ani o jej sobowtórce. Lisette miała ją zastępować, udając utratę równowagi psychicznej po wyjeździe ukochanego małżonka i z tego powodu niezmiernie rzadko pokazywać się publicznie. Takie rozwiązanie podpowiedziała Ingeborga.

Stara królowa była tymczasem na skraju rozpacz, gdyż stało się coś, czego ani ona, ani Blanka nie przewidziały - Lisette wymknęła się spod kontroli.

Młoda kobieta nie chciała po prostu grać roli wracającej z krótkich podróży Blanki. Tak bardzo weszła w rolę władczyni, tak rozsmakowała się w tym, co uważała za dzień powszedni królowej, że coraz niechętniej wykonywała rozkazy Ingeborgi i już po kilku tygodniach zaczęła działać samowolnie.

Zaczęło się od odmowy „podróżowania”.

W porze, gdy niedomagająca królowa miała odpoczywać w swoich komnatach, Lisette z ledwie osłoniętą twarzą krążyła po pałacu. Odwiedzała kuchnię, stajnie, kwatery dla służby i wydawała opryskliwym głosem bezsensowne polecenia, wprawiając czeladź w konsternację. Wszyscy, którzy mieli bliższy kontakt z Blanką, byli zdumieni tym dziwacznym wtrącaniem się monarchini w przyziemne sprawy, kładli to jednak na karb chwilowego załamania nerwowego, na które najwyraźniej cierpiała z powodu nieobecności męża i ukochanych dzieci. Pokojówce czy królowej Ingebordze nie zawsze udawało się w porę odnaleźć Lisette i sprowadzić ją z powrotem do królewskich komnat, gdzie królowa Ingeborga za każdym razem przywoływała ją do porządku.

Jednak słodki uśmiech na twarzy Lisette nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości, że będzie nadal robiła to, na co będzie miała ochotę. Pewnego dnia sprowadziła sobie do alkowy przystojnego łowczego, gdyż zorientowała się, że nikt nie może jej w tym prze-

szkodzić; ostatecznie była królową, której życzeniom nie wolno było odmawiać.

Taka zuchwałość nawet królowej Ingebordze odebrała na chwilę mowę. Zerwała Lisette królewską podwijkę z głowy, rzuciła ją załamującej ręce pokojówce, chwyciła mocno fałszywą królową za włosy i wymierzyła jej siarczasty policzek. Kipiąc z wściekłości, sięgnęła po jedną z długich szpilek, którymi Blanka miała w zwyczaju spiąć płaszcz i trzymając ją niczym sztylet przed nosem Lisette, przysięgła, że przy następnej wizycie w izbach dla służby lub stajniach wykłuje jej oczy. Postępek Lisette jest tak skandaliczny, że sama wydała na siebie wyrok śmierci, który zostanie wykonany po powrocie prawdziwej królowej.

Ten wybuch królowej Ingeborgi wyrwał wreszcie młodą kobietę ze snu na jawie. Zbyt zajęta olśniewającą chwilą obecną, w ogóle nie myślała o szarej przyszłości poza dworem, a nawet w głębi duszy liczyła na to, że po być może przedwczesnej śmierci królowej, będzie ją zastępować do końca życia.

Z głośnym lamentem rzuciła się królowej Ingebordze do nóg, błagając ją o łaskę za swe straszliwe przewinienia i przyrzekając od tej chwili bezwarunkowe posłuszeństwo. Wydawało się, że porządek został przywrócony. Jednakże kilka dni później na wyspę Cite przybył posłaniec króla i Ingeborga z ledwością zdołała zapobiec temu, by przyjęła go Lisette.

Stara królowa miała już tego dość. Jeśli Lisette będzie dłużej pozostawać w pałacu, trzeba będzie wtajemniczyć kolejne osoby. To zbyt niebezpieczne. Powinna więc częściej przebywać poza dworem i być pod stałą kontrolą. Nie wolno jej zrobić ani jednego kroku bez nadzoru. Ingeborga zastanawiała się, komu mogłaby powierzyć to zadanie, nie przekazując poufnych informacji. W rachubę nie wchodziłi więc z tego względu dworzanie, którzy w tym czasie byli trzymani z dala od królowej, rzecz jasna, jako strażnicy.

Ingeborga wezwała do siebie dowódcę własnej straży przybocznej.

- Królowa pragnie obecnie codziennie ukazywać się ludowi i sprawdzać postępy w pracach przy budowie katedry - oznajmiła.
- Nakazuję, by towarzyszyli jej twoi ludzie, pilnując, by nikt się do niej nie zbliżał. - Zacerpnęła głęboko powietrza i dodała: - Jeszcze jedno. Rozkazy odbieracie wyłącznie ode mnie. Jeśli miłośnica pani wyda wam jakieś polecenie, to przed jego wykonaniem musicie porozumieć się ze mną. Pod żadnym pozorem nie wolno wam nawet na chwilę spuszczać jeszcze bardzo osłabionej chorobą królowej z oczu. Nie dopuszczajcie do niej nikogo, nawet wysokich dostojników.

„Zwłaszcza ich” - pomyślała królowa Ingeborga, którą aż przeszły ciarki, gdy wyobraziła sobie androny, płynące z pięknych ust Lisette. - W tej chwili jest na siłach pokonać jedynie drogę do katedry. Mistrz budowniczy chciałby jej wyjaśnić pewne rzeczy. Ten rozkaz przekazuję ci na polecenie jej małżonka, król bowiem powierzył mi pieczę nad zdrowiem swej ukochanej żony.

Dowódca skinął głową. Rozumiał teraz, dlaczego zamiast nieśczęsnej słabującej królowej Blanki posłańca z południa przyjęła królowa Ingeborga.

Lisette była niesłychanie przejęta nowym zadaniem. Dawniej nosiła do katedry zupę dla swojego męża, teraz zaś, niemal codziennie w pięknych szatach i klejnotach paradowała w otoczeniu straży przybocznej na wschodni kraniec wyspy, łaskawie pozdrawiając z daleka mieszkańców Paryża i każąc rozdawać hojną jałmużnę.

Wkrótce jednak znudziło ją przechadzanie się pod rusztowaniami ogromnej budowli i podziwianie przechodzących - zgodnie z ideałem piękna św. Augustyna - jedna w drugą kwadratowych brył.

- Naturalnie, odzwierciedla się w nich harmonijny porządek wszechświata - powtórzyła niezrozumiałe dla niej słowa mistrza budowniczego, byle tylko coś powiedzieć. Łuki przyporowe, na których spoczywały sklepienia bocznych naw, obchodziły ją równie

mało co ostrołuki i nowe sklepienie krzyżowo-żebrowe, które zastąpiło dawne drewniane. Z trudem powstrzymywała ziewanie, gdy mistrz z przejęciem wyjaśniał Jej Wysokości, jak przed kilkoma laty zaczął przekształcać czteroczęściową fasadę z dwoma biegnącymi nad sobą rzędami okien w trzyczęściową, dokładnie taką samą jak w katedrze w Reims. Z dumą wskazywał na filigranowe, ażurowe elementy dekoracyjne laskowanych okien w górnej części frontu nawy środkowej.

Wzrok Lisette błędził po katedrze. Gdzie mógł pracować jej mąż? Powinien ją podziwiać, całą w przepychu i blasku, powinien zobaczyć, jak wysoko zaszła, jak nieosiągalna stała się dla niego.

- Muszę odetchnąć świeżym powietrzem - przerwała obcesowo wywody budowniczego i dumnym krokiem, otoczona przez straż przyboczną, ruszyła w stronę ciężkiego dębowego portalu w zachodniej części katedry.

Dowódca ze względu na upał doradzał powrót, jednak Lisette potrząsnęła głową, odwróciła się i wskazała na powstającą właśnie nad wejściem galerię rzeźb. Po poplamionej farbami tunice rozpoznała swojego męża. Pracował nad jedną z postaci, odwrócony plecami do niej.

- Chciałabym się dowiedzieć, co to za figury - powiedziała.
- Każ temu człowiekowi zejść na dół.

- Zawołam budowniczego - zaproponował stropiony dowódca straży.

Lisette władczo uniosła dłoń. - Nie, rozkazuję ci, byś przyprowadził do mnie tego mężczyznę, o, tego w wyblakłej niebieskiej koszuli.

Dowódca straży przywołał budowniczego, jedyną osobę, której wolno było rozmawiać z królową. Ten począł wyjaśniać, że galeria rzeźb będzie po ukończeniu przedstawiać dwudziestu ośmiu królów Judei.

- A dlaczego nie Francji? - zapytała ostro Lisette. - I gdzie są królowe?

- Poniekąd chodzi również o królów Francji...

- Ten człowiek tam na górze powinien sam mi wytłumaczyć, nad czym pracuje! - krzyknęła Lisette głosem, który zabrzmiał nieco zbyt piskliwie. Dodała trochę łagodniej: - Sprowadźcie go tu do mnie!

„Jakież niebezpieczeństwo może grozić królowej ze strony kamieniarza” - zastanawiał się dowódca straży, rzeźbiarz, w szerokim znaczeniu tego słowa, był przecież również budowniczym. Dał mu znak, by zszedł na dół.

Mąż Lisette zsunął się z rusztowania i zgiął się w głębokim ukłonie przed królową, wiedząc, że jest to jego żona, za którą boleśnie tęsknił.

- Spójrz na mnie! - zażądała Lisette, tak jak to sobie wyćwiczyła wcześniej. Gdy mężczyzna podniósł na nią bezgranicznie smutne oczy, kąciki jej ust lekko drgnęły. - Będiesz miał zaszczyt wykonać dla mnie pewne zlecenie.

Dowódca straży podniósł rękę i skinał na mężczyznę, który wmieszał się w tłum, by w razie potrzeby wkroczyć do akcji. Potem głęboko skłonił się przed Lisette. - Właśnie dotarła do nas wiadomość, że obecność Waszej Wysokości w pałacu jest nieodzowna - powiedział, nim Lisette zdążyła wydać polecenie kamieniarzowi.

Fałszywa królowa uniosła brwi, wyrażając ubolewanie, pochyliła się i poklepała męża lekko po ramieniu.

- Niebawem znów się zobaczymy, dobry człowieku - rzekła przed odejściem.

Blanka potrzebowała kilku dni, by wypocząć po trudach koszarnej podróży do Rzymu. Pełne robactwa, cuchnące zajazdy, podłe piwo, nędzna strawa, liche chabety, mężczyźni napominający ją gniewnie, by nie zabierała głosu, i - najgorsze ze wszystkiego - do-

minikanin, który w przyklasztornej gospodzie usiłował sięgnąć jej pod spódnicę. Chwyliła go za rękę i ugryzła ją mocno. Jeszcze teraz brzmiał jej w uszach krzyk mężczyzny. A także uwaga siedzącego nieopodal rzemieślnika, który obserwował daremne wysiłki mnicha: - Nie ty powinnaś gryźć, lecz on; to przecież jest pies Pana - ***dominicanis!***

Udawała, że nie zna i nie rozumie tego powiedzenia, lecz rzemieślnik nie przejmując się tym, usiadł na miejscu wypłoszonego przez Blankę mnicha i dodał wyjaśniającym tonem: - Tak my, tkacze, nazywamy, droga pątniczko, pobożnych ludzi, którzy wykonują brudną robotę za ponoć jeszcze pobożniejszego człowieka w Rzymie. Rozpustnicy i pasibrzuchy, którzy trwonią swe ogromne majątki, oddając się cudzołóstwu i obżarstwu, i którzy głoszą z grzbietów koni ewangelię Chrystusa: "***Inquisitio necesse est***". Psy i świni!

Rzucił jej wyzywające spojrzenie, skoczył z ławy, porwał wiszące na ścianie gęśle, zagrał kilka taktów, a potem zaśpiewał: - Księża mienia się pasterzami, a to obłudnicy, którzy udają świętych. Gdybym był mężem, struchlałbym ze strachu, gdyby chłop bez portek siadł obok mej żony, bo pod dwiema spódnicami jest wiele miejsca, a ogień szybko się rozpala, jeśli ma ku temu sposobność.

Blanka usiłowała nie słuchać śpiewki tkacza, nie udało jej się to jednak, zbyt przerażająca była bowiem myśl, że wyruszyła do Rzymu, by bronić takich ludzi. Nie, nie chciała już i nie mogła dotrzymać złożonej bez zastanowienia przysięgi, że będzie chronić kacerzy przed prześladowaniami. Teraz ujrzała na własne oczy, jak niegodnie poczynają sobie ci nieszczęśnicy. Ojciec Święty miał rację - tych ludzi trzeba zgładzić z powierzchni ziemi! Jakim sposobem Klara mogła wpaść w ich szpony? Tybald jednak ją uratuje, a ona nie chce już prosić papieża o łaskę dla prześladowanych, lecz o zwolnienie ze ślubów.

Spotkania z ludźmi niskiego stanu były straszne. Wszędzie sły-

szała zniewagi rzucane na króla, którego obwiniano za wszelkie nieszczerstwa. Co wieczór Blanka notowała niedostatki codziennego życia poddanych i przerażona ich nędzą, dotarła do Rzymu wyczerpana i potwornie brudna.

We Francji działo się gorzej, niż mogła przypuszczać. Po powrocie Ludwika chciała opracować razem z nim plan pomocy cierpiącym biedę mieszkańcom królestwa.

Nie dziwiło jej już teraz powodzenie religii katarów. Kto doświadczył piekła na ziemi, mógł się tylko cieszyć na myśl o śmierci, która miała mu przynieść wybawienie; kto żył w piekle, nie lękał się kary w zaświatach. Jeśli ci ludzie uważali ten świat za piekło, to zgodnie z ich wyobrazeniami o niebie i ziemi ustanowione na nim prawa nie mogły pochodzić od Boga i wskutek tego nie posiadały boskiego autorytetu.

Blanka usłyszała o tym nie tylko od łatwych do rozpoznania hereetyków, lecz przede wszystkim od pracujących w pocie czoła ludzi, od zwykłych poddanych, prostych towarzyszy podróży, którzy pragnęli ulżyć swemu sercu, gwarząc ze skromnie odzianą patniczką.

Ojciec Świąty musiał się o tym dowiedzieć! Podobnie jak ona żył w pałacu pośrodku miasta, lecz z dala od prawdziwego świata, od tych nieszczęsnych, ciężko obarczonych ludzi, powierzonych mu przez Boga. Blanka musiała z nim pomówić!

Gdy tego wrześniowego wieczoru wróciła do wynajętych pokoi, ogarnęła ją samotność, jakiej nigdy dotąd nie zaznała. Poniosła klęskę, jej misja się nie powiodła. Zupełnie niepotrzebnie narażała się na niebezpieczeństwo, zostawiła dzieci same, zaniedbała obowiązki, jakie nakładała na nią jej pozycja, i podjęła ryzyko, by Lisette długo przebywała w pałacu. Wymagało to również obecności królowej Ingeborgi, która musiała dbać o to, by fałszywa królowa nie popełniła błędu.

Ingeborga nie odradzała jej podróży, wręcz przeciwnie, na swój

szczególony sposób zachęcała ją do niej: - Nie osiągniesz tam tego, czego pragniesz, ale za to znajdziesz coś, co być może nada twemu życiu zupełnie nowy sens.

Spełniła się pierwsza część przepowiedni; teraz Blanka mogła co najwyżej czekać na urzeczywistnienie się drugiej.

Spojrzała gniewnie na grupę ludzi, którzy zagradzali wejście na schody w jej willi.

- Czego chcecie? - zapytała.

- W tym domu spędził jedną noc! - żalił się jakiś kobiecy głos.
- A teraz ma umrzeć! Ach, jaka szkoda, że Pan wzywa do siebie najlepszych z najlepszych!

- O kim ona mówi? - Blanka zwróciła się do grupy.

- O naszym Francesco, wielkim Franciszku z Asyżu! - odparli chórem zebrani.

- Został przewieziony z powrotem do ojczyzny, by tu umrzeć.

Blanka przywołała jednego z członków swojej niewielkiej świąty.

- Ruszamy w drogę - oznajmiła mu szeptem.

Mężczyzna przyjął decyzję królowej z zadowoleniem. Wystarczająco długo modlił się już u grobu św. Piotra. - W takim razie najpóźniej za sześć tygodni będziemy w domu - westchnął z ulgą.

Blanka potrząsnęła głową. - Najpierw udamy się do Asyżu.

Między Klarą a Felicjanem po raz pierwszy doszło do różnicy zdań. Felicjan nalegał, by natychmiast wyruszyli z wielką grupą katarów z Carcassonne do Tuluzy, Klara jednak uznała, że powinni obrać przeciwny kierunek, wyjeżdżając Tybaldowi naprzeciw.

- Zapewni nam ochronę! - krzyknęła.

- To krzyżowiec!

- Przerwał krucjatę - wtrącił Etienne.

- Jestem odpowiedzialny za wielu ludzi, Klaro...

- ...którzy są nieuzbrojeni i nie mogą się bronić - dokończyła za

niego. - Wiesz przecież, ile band maruderów włóczy się po kraju plądrując go i grabiąc. Tybald jest moim przyjacielem. Jego ludzie zapewnią nam bezpieczeństwo w drodze do Tuluzy, do mojego brata. A jak właśnie usłyszeliśmy przed chwilą, wojska króla nadal nie mogą ruszyć spod Awinionu, nie musimy się więc obawiać, że zaatakują nas krzyżowcy.

Oksytański trubadur, zaniepokojony, przeciągnął dłonią po swej ciemnej brodzie. Odnalazł Klarę i byłoby fatalnie, gdyby mu się teraz wymknęła.

- Panno Klaro, hrabia Tybald uczyni wszystko, by uratować ci życie - odezwał się ponownie. - Zamieszkałaś, pani, już na zawsze w jego sercu. Niemal odchodził od zmysłów, gdy o tobie mówił, jego serce drżało ze strachu i tęsknoty. Tylko dlatego odłączył się od króla.

- Czy to prawda? - Klara ze zdumieniem patrzyła na drobnego trubadura. Ten skinął głową uradowany. Gdy chodziło o miłość, czuł się w swoim żywiole. Ponadto jego przyjaciel Tybald robił wrażenie, że szaleje za tą kobietą. Było to całkowicie zrozumiałe, biorąc pod uwagę jej urodę. Nawet w tej prostej, ciemnej sukni wyglądała olśniewająco. Dla trubadura z Awinionu było niezwykle ważne, by właśnie w tych ciężkich czasach wojen, oblężeń, klęsk głodowych i prześladowań do głosu doszła miłość. Uwielbienie dla pięknych kobiet radowało serca, odpędzało złe myśli i pozwalało rozwinąć skrzydła wyobraźni, przenosząc ducha w wyższe rejony.

- ***Piękniejsze niż perty są słowa, którymi, pani, cię wystawia*** - zaśpiewał trubadur, po czym dodał: - ***Hymn Tybalda na twą cześć w całym kraju rozbrzmiewa!***

Etienne, któremu zazwyczaj, w przeciwieństwie do jego wielkiego wzoru, Tybalda, układanie rymów nie przychodziło z taką łatwością, był z siebie dumny. „Zapewne uskrzydla mnie wiara, że w końcu zdołam doprowadzić do tego, by kobieta ze wspólnoty katarów zaznała ziemskich uciech” - pomyślał. On również pokochał

w Awinionie pewną „wierzącą”, ale jego poezja spływała po niej niczym woda po tłustej kacze. Gorzka to porażka dla trubadura.

- Już raz przywiózł mnie do domu całą i zdrową - zauważyła Klara.

- Nie chodzi tu tylko o ciebie.

Klara spojrzała na Felicjana, zmieszana. Jej niegdyś tak troskliwy, czuły towarzysz stał się „doskonałym”, dźwigającym ogromną odpowiedzialność - dobrze, była na to przygotowana. Ale nie spodziewała się wymówek z jego strony.

- Rób, co chcesz! - odparła krótko. - Ja wyruszam mu naprzeciw z Etienne'em.

- Konno - wtrącił z dumą Etienne. - Mam konia.

Była to jedna z takich chwil, które decydują o dalszych losach ludzi. Gdyby Felicjan nie odstąpił od swego pierwotnego planu i pozwolił Klarze odjechać z Etienne'em, prawdopodobnie jej życie potoczyłoby się inaczej. Być może po wielu latach wspominałaby ten ekscytujący okres, kiedy sprzeciwiała się woli panujących, gdyż należała do wspólnoty, która pragnęła zmienić życie wszystkich ludzi. Myślałaby ze smutkiem o swojej wielkiej miłości do Felicjana, załatwiałaby sprawy związane z prowadzeniem własnego domu i tylko czasem przechodziłby ją lekki dreszcz na myśl o tym, że po raz kolejny ledwie zdołała ująć z życiem. Jednak decyzja Felicjana, by wraz ze wszystkimi katarami towarzyszyć im w drodze, sprawiła, że taka przyszłość stała się nierealna.

Już drugiego dnia dostrzegli w oddali ludzi hrabiego Szampanii. Uszczęśliwiona Klara obróciła się do idącego za nią Felicjana.

- Znam tę chorągiew! - zawołała. - Teraz już wszystko będzie dobrze!

- Biegnij, Klaro, biegnij!

Były to ostatnie słowa Felicjana. Klara zważała tylko na chorągiew, on na ludzi, którzy przygotowywali kusze do strzału i pochy-

lali lance. Hrabia Tybald mógł wprawdzie przerwać krucjatę, lecz jego straż przednia widziała jedynie gromadę odzianych na czarno ludzi, których mieli tępic w imię Boga. Rycerze Tybalda, czekający tak długo, by w końcu wypełnić swe zadanie, uznali, że to sam Pan Bóg postawił kacerzy na ich drodze. Ponieważ nie było z nimi żadnego duchownego, a i brakowało czasu, by zbudować tak wiele stosów, doszli do wniosku, że przeklętych przez papieża heretyków należy od razu posłać do piekła, zamiast ich najpierw oddać pod sąd. Taka musiała być wola boska.

Pod gradem strzał rycerzy z Szampanii zginęła cała katarska ludność Carcassonne, która zaufała nowemu „doskonałemu”. Jedyne jeździec, młody człowiek z ciemną brodą, śmiertelnie ranny runął ze swego konia.

Klara przeżyła tylko dlatego, że Felicjan osłonił ją swoim ciałem, zanim nie przeszły go liczne strzały. Skamieniała pod tym ostatnim dotykem ukochanego nie słyszała krzyku przerażenia Tybalda, który poniewczasie podążył za swoimi ludźmi.

Gdy za dowódcą straży przybocznej zamknęły się drzwi i Lisette w półmroku skromnie urządzonej komnaty napotkała spojrzenie królowej Ingeborgi, zaczęła drżeć.

- Miałaś więc zamiar zlecić pewne zadanie - stwierdziła zimno Ingeborga.

Lisette, potrząsając gwałtownie głową, rzuciła się starej królowej do stóp.

- Chciałam tylko zobaczyć mego męża - zaszlochała. Słowa były ledwie zrozumiałe, gdyż wypowiadała je, chowając twarz w złożone ręce. Palce Lisette wpijały się w jedwabną chustkę, która zsunęła się jej z głowy. Rozciągnięta na drewnianej podłodze trzęsąca się postać w królewskich szatach przedstawiała sobą żałosny widok.

- Łaski, miłościwa pani...

- Wstań, dziewczyno - odrzekła ostrym tonem Ingeborga.
- I nie okłamuj mnie. Od dawna już nie kochasz swego męża.

Lisette, słaniając się, wstała i szeroko rozwartymi ze strachu oczami patrzyła na królową. Z drżących ust nie wydobyło się już ani jedno słowo.

- Twój mąż, kamieniarz, ma wykonać twoją podobiznę do galerii królów? - zapytała z niedowierzaniem Ingeborga, która w obliczu takiego skandalu straciła zaufanie do swej zdolności czytania w myślach.

Jeszcze silniejsze drzenie Lisette było jednak wystarczającą odpowiedzią. „Ta prosta kobieta z ludu - pomyślała nie bez podziwu Ingeborga - wciąż nie przestaje mnie zaskakiwać. Po powrocie Blanki nigdy już nie będzie jej zastępować, ale powinnam, dla rozweselenia, zatrzymać ją w pałacu w Beziars. Cóż to za sprytnie stworzenie, kto by to pomyślał”. Do duszy dotarł kolejny błysk z umysłu Lisette.

- Bo tam nie ma królowych! - Ingeborga powtórzyła na głos pochwycony strzępek myśli. Złożyła ręce i zaczęła się głośno śmiać.

- Usiądź, dziewczyno, choćby nikt nie miał zobaczyć twoich siniaków, które sobie nabijesz, kiedy zaraz upadniesz, bo tak mocno się trzęsiesz.

Wskazała dłonią ławę pod drzwiami. Lisette opadła na nią, spazmatycznie chwytając powietrze. Jej kolana podrygiwały pod błękitną tkaniną w odcieniu indygo, jakby żyły własnym życiem; Lisette nie była w stanie powstrzymać ich drżenia, nawet mocno ściskając je obiema dłońmi. Śmiech starej królowej brzmiał przeraźliwie głucho w jej uszach.

„Doprawdy, to wcale nie jest taki zły pomysł - stwierdziła w duchu Ingeborga. - Kamieniarz istotnie mógłby nadać jednej z figur przepiękne rysy Blanki, wzorując się na Lisette”. Ingeborga spodobała się myśl, że jako jedyna, pomijając wykonawcę i jego żonę, wiedziałaby o tym, iż pomiędzy królów Judei w galerii rzeźb na fas-

dzie katedry Najświętszej Marii Panny wkradła się białołowa. „Szkice postaci kamieniarz mógłby sporządzić w jednej z komnat pałacu - myślała dalej. - Gdzieś, gdzie byłby sam na sam z żoną i mógłby jej, na wiadomy męski sposób, pokazać, kim ona jest w rzeczywistości i kto jest jej panem - o ile tak w ogóle można nazwać tego rzeźbiarza”. Dopóki Blanka nie wróci, jej żałosna kopia będzie zamykana na kilka godzin dziennie razem ze swoim mężem. Kamieniarz nie tylko otrzyma zlecenie na wykonanie rzeźby, lecz będzie mógł także wyegzekwować wszelkie prawa, które mu przysługują jako małżonkowi. Upokorzona Lisette bez wątpienia stanie się bardziej posłuszna.

Królowa Ingeborga wydała więc odpowiednie rozporządzenia, kazała sprowadzić kamieniarza do pałacu i zamknęła go w jednej komnacie z żoną.

Wbrew temu, czego spodziewała się Dunka, rzeźbiarz nie rzucił się od razu na Lisette. Nie chwycił też za leżący w pogotowiu węgiel, by sporządzić portret żony, której oblicze niezliczone razy malował w wyobraźni.

Królowa Ingeborga, która zatrzymała się na moment przed zaryglowanymi drzwiami, usłyszała jedynie spokojny głos mężczyzny. Najwyraźniej mówił o swojej pracy przy budowie katedry.

Stara królowa wzruszyła ramionami i poszła dalej. Nie wiedziała i nie chciała nic wiedzieć o małżeńskim pożyciu poddanych. „Paw również najpierw rozkłada ogon - pomyślała - a potem pozwala działać naturze”.

Antoine rzeczywiście opowiadał o katedrze Notre-Dame, nie mówił jednak o codziennym trudzie, jak podejrzewała Ingeborga.

Lisette, która odczuła ogromną ulgę, dowiedziawszy się, że za swą lekkomyślność nie zapłaci życiem, lecz będzie musiała jedynie spotykać się z mężem, nawet nie próbowała zrozumieć, co Antoine ma na myśli, mówiąc o drzewie życia, wyrzonym przez kamieniarzy

wraz z tajemnymi znakami na zachodniej fasadzie katedry, o zaszyfrowanym przesłaniu dla ludzi o podobnych przekonaniach i o przyszłych pokoleniach. Była wdzięczna, że nie usiłuje zerwać z niej ubrania, zdumiewał ją też ogień płonący w jego oczach, który czynił go znacznie bardziej pociągającym niż znużone spojrzenie, znane jej z dawnych czasów.

- Spotykam się z tymi ludźmi - powiedział szeptem. - Cóż zresztą miałbym z sobą począć, kiedy nikt nie czeka na mnie w domu?

- Jaki mi ludźmi? - zapytała uprzejmie Lisette, bez zbytniego zainteresowania.

- Innymi kamieniarzami. Żydami.

- Żydami?

- Z nimi także. Pracują z nami. I dużo wiedzą. Nie umiem pisać, Lisette, ale potrafię wykuwać znaki w kamieniu. Tajemne znaki.

Lisette ziewnęła.

- Widziałas z pewnością tę piękną rozetę? - zapytał z naciskiem.

Lisette skinęła głową.

- Przedstawia słońce - ciągnął Antoine - środek serca i miejsce równowagi...

- Czego?

- Równowagi między niebem a ziemią. W każdym razie stąd pochodzi miłość - podsumował krótko Antoine, spoglądając ze smutkiem na żonę, która miała mu być tak bliska, a za sprawą niepojętego podobieństwa do królowej stała się zupełnie obca. - Lisette, chcę ci tylko powiedzieć... - przerwał w pół zdania i chwycił za węgiel do rysowania.

Już w kilka dni po zawaleniu się mostu król Ludwik musiał znieść kolejną porażkę. Podczas gdy wygłodniali Francuzi obozujący pod miastem, świętując udane łowy, z których wróciła grupa myśliwych,

rzucili się na mięso upieczone nad ogniskiem, gromada śmiałków z Awinionu urządziła wypad. Głód, upał i radość z porządnego posiłku sprawiły, że żołnierze stracili czujność. Bez zbroi i broni stali się łatwym łupem dla oddziału z Awinionu, który zniknął równie szybko, jak porozrzucił na wszystkie strony mięsivo i pozbawił życia setki krzyżowców.

Konieczna była większa dyscyplina. Ludwik nakazał bezzwłocznie wrzucić trupy do Rodanu, aby zapobiec kolejnej zarazie. Następnie polecił wykopać między miastem a swoimi szańcami potężny rów, by, jak wyjaśnił, w przyszłości nieprzyjaciel nie mógł przygotować wycieczki za mury, gdyż oblężenie będzie trwać aż do skutku. Kazał również rozpuścić pogłóskę, jakoby do miasta zbliżały się nowe oddziały dobrze odżywionych zbrojnych.

Lew zaryczał i Awinion ogarnął lęk - tydzień później miasto niespodziewanie się poddało.

Gdy Ludwik pod koniec września, po trzech miesiącach oblężenia, pozostawił zdobyty gród pod rządami Wilhelma z Oranii i ruszył do Carcassonne, jego żona dotarła właśnie do Asyżu.

Nie udało jej się jednak spotkać jeszcze z uwielbianym od dawna Franciszkiem. W pałacu biskupa zakomunikowano pątnicze, że śmiertelnie chory Franciszek przygotowuje się na spotkanie ze Stwórcą i nie może nikogo przyjąć. Królowa Francji schyliła głowę. Nie chciała naprzykrzać się wielkiemu człowiekowi, który swoim przykładem rzucił potężny Kościół na kolana. Który głosił nauki będące również pierwszym przykazaniem przeklętych katarów, a mianowicie, że zwykły śmiertelnik może naśladować Chrystusa jedynie wyrzekając się dóbr materialnych i miłując wszelkie stworzenie. Blanka nie potrafiła i nie chciała myśleć o tym, dlaczego Franciszek - chociaż po długoletnich i początkowo daremnych staraniach - otrzymał błogosławieństwo Kościoła, a ludzie ze wspólnoty Klary zostali potępieni i skazani na śmierć.

Jednakże ludzie ci mówili także okropne rzeczy, przyznała w duchu, wspominając koszmarną podróż do Rzymu. Tymczasem słowa Franciszka z Asyżu cechowały subtelność, mądrość i godność, składał też je tak pięknie jak Tybald swoje wiersze. A poza tym - była, co prawda, królową Francji, lecz we wszelkich sprawach wiary słuchała papieża. Mimo to cieszyła się teraz, że nie została zwolniona ze ślubów, i uznała to za znak od Boga, by wedle swoich możliwości pomagać wspólnocie Klary.

Za szeroko otwartymi oknami biskupiego pałacu rozbrzmiewała *Pieśń słoneczna*, którą ułożył Franciszek i której francuskie tłumaczenie znała na pamięć. Zdumiała się, że rozumie każde słowo, choć leżący na łożu śmierci śpiewał ją nie po łacinie, lecz po włosku:

***Pochwalony bądź, Panie,
Przez tych, co przebaczą dla miłości Twojej
Iznoszą słabości utrapienie.
Błogosławieni, którzy wytrwają w pokoju,
Gdyż przez Ciebie, Najwyższy, będą uwieńczeni.***

- Cierpi straszliwie - szepnął jeden ze strażników przed pałacem do pątniczki, która już od trzech dni, klęcząc modliła się przed budynkiem. - Ale nigdy się nie skarży. Wczoraj przytknięto mu rozpalone żelazo do oka i skroni, by usunąć wrzód. Musiał odczuwać piekielny ból, lecz śpiewał dalej.

Blanka przeżegnała się.

- ***Bądź pozdrowiona, siostrze śmierć*** - usłyszała wciąż jeszcze mocny głos, dobiegający przez otwarte okno, i poczęła drżeć, gdyż kolejne śpiewane po włosku strofy rozumiała tak dobrze, jak gdyby były wykonywane po kastylijsku, francusku czy po łacinie:

***Pochwalony bądź, Panie,
Przez siostrę naszą śmierć cielesną,***

Której żaden człowiek ujść nie może.

Biada tym, co konają w grzechach śmiertelnych;

Błogosławieni, którzy znajdą się w Twej najświętszej woli;

Bowiem śmierć wtóra zła im nie czyni

Chwalcie i błogosławcie Pana, i czynicie Mu dzięki.

Po policzkach Blanki spływały łzy. Dostąpiła ogromnej łaski, że może usłyszeć wielkiego człowieka, który tam, za oknem, nie walczy ze śmiercią, lecz wita ją jak siostrę. Jakże ona sama była mała i nic nieznacząca.

Nagle drgnęła. Coś uderzyło ją w bok. Podniosła wzrok. Jakiś człowiek przyłożył dłoń do piersi, prosząc o wybaczenie i wskazał na nosze z grubo ciosanego drewna, które inny mężczyzna próbował niezgrabnie przecisnąć przez drzwi.

- Koniec jest już bliski. Zabierzemy go teraz do Porcjunkuli, do kościoła, który zbudował. Tam chce umrzeć.

- Matka Boska Anielska - szepnęła Blanka. Później nie potrafiła powiedzieć, skąd pojawiły się u niej włoskie słowa, które wówczas wymówiła na głos: - ***Nie zdobywajcie złota ani srebra, ani miedzi do swych trzosów. Nie bierzcie na drogę torby ani dwóch sukien, ani sandałów, ani laski.***

Mężczyzna skłonił się przed nią, jak gdyby była królową; w istocie nią była, ale w tej chwili nie miało to żadnego znaczenia.

- Siostro - wyszeptał. - Czy chcesz nam towarzyszyć?

- Będzie to wielki zaszczyt dla mnie - odpowiedziała również szepsem, po czym znów padła na kolana.

Gdy drewniane nosze znów ukazały się w drzwiach, Blanek otaczał tłum ludzi. Królowa zważała jednak tylko na wycieńczonego człowieka drobnej postury z potwornie zniekształconą twarzą. Franciszek uniósł szczupłą dłoń o wciąż jeszcze foremnych palcach i pobłogosławił tych, których nie mógł już zobaczyć.

- Wokół ciebie jest teraz wielu wiernych - powiedział mężczyzna, który przeproszał Blankę.

- Dziwne - odrzekł Franciszek - nawet nie potrzebuję oczu, aby ich rozpoznać. Dziękuję wam, moi przyjaciele, moi bracia i siostry, niech Bóg was błogosławi i strzeże.

Tłum zapłakał głośno.

- Nie smućcie się - pocieszał ich. - Radujcie się, albowiem wracam do miejsca, które jest wolne od cierpienia i bólu. Wygląda mnie Bóg ze swymi aniołami. Wybacz moim przyjaciołom, siostrze śmierci; lękają się ciebie, gdyż nie poznali jeszcze twego wzniosłego przesłania.

- Amen! - rozległ się łagodny kobiecy głos, który natychmiast wyrwał Blankę z ekstazy. Podniosła głowę i spojrzała ponad noszarni na twarz kobiety, która głośno dokończyła przemowę Franciszka z Asyżu. I obok której stała jeszcze jedna znajoma postać. „To niemożliwe, skąd by się tutaj wzięły moje dzieci? Ale to przecież nie one. To Klara i Tybald. To nie może być prawda! Boże, pomóż mi! Czyżbym widziała duchy? Czy jestem bliska utraty zmysłów? Czy to moje życie przesuwam mi się przed oczami?” - Blance zakręciło się w głowie.

- Uważajcie, jakaś kobieta się przewraca! - zawołał ktoś.

- Ta kobieta - rzekł Franciszek z Asyżu - jest moją siostrą. Podniesie się i będzie silniejsza, niż kiedykolwiek wcześniej. Nie tylko dla siebie, lecz przede wszystkim dla tych, którzy ją kochają i którym służy. To jej zadanie, to jej przyszłość.

Jednak ta przepowiednia nie miała się tak szybko spełnić. Blanka nie była w stanie zrobić choćby jednego kroku. Usiadła na progu biskupiego pałacu i spoglądała za pochodem, odprowadzającym Franciszka z Asyżu do miejsca, w którym pragnął umrzeć.

Obok niej przysiadło dwoje ludzi. Zdawało się, że minęły godziny, nim padło pierwsze słowo.

- Skąd przybywacie? - zapytała Blanka bezdźwięcznym głosem.

- Zza morza - odparł Tybald. Klara milczała.

Blanka spojrzała swojej przyjaciółce w twarz i przeraziła się. Wychudzona Klara zdawała się starsza o całe lata i była jedynie cieniem samej siebie. Wesołe iskierki w jasnoszarych oczach zgasły, a całą jej postać otaczała aura głębokiego smutku.

- Co ci się przydarzyło? - zapytała cicho Blanka.

Tybald podniósł się i odrzekł niemal tak samo bezdźwięcznym głosem: - To długa i straszna historia, miłościwa pani. Naszej dawnej Klary już nie ma.

Nie oglądając się, wrócił do dziesięciu mężczyzn, którzy w Montpellier wsiedli razem z nim i Klarą na pokład statku, płynącego do Italii.

Nie był to odpowiedni czas, by opowiadać o tym, czego doświadczyli. Blanka bez wątpienia niepomiernie by się zirytowała, dowiedziawszy się, że wytropił nie tylko Klarę w Langwedocji, lecz także podróżującą incognito królową w Asyżu.

Klara powinna sama opowiedzieć władczyni o straszliwych wydarzeniach, jakie miały miejsce; w końcu to dziecinna fascynacja przegraną sprawą tej niemądrej istoty wpędziła ich w rozpaczliwe położenie. A jemu stworzyła bezcenną okazję, by móc wesprzeć królową w tej ciężkiej godzinie.

Układał w myślach nowe wersy; wspomnienie pośmiertne po królu Lwie, który ryczał, że spustoszy Szampanię, nie był jednak w stanie spełnić tej groźby. Władca Szampanii bowiem właściwie ustrzelił już drapieznika.

Miłość

Atwoja miłość do Klary, córki hrabiego Favorirlo Saffi? Ja jeden wiedziałem o niej wszystko. Bogobojni ludzie sądzą, że kochałeś tylko jej duszę, a ty przede wszystkim kochałeś jej ciało. Ta miłość była dla ciebie punktem wyjścia, pełną zasadzek i pokut drogą doszedłeś z Bożą pomocą do tego, by pokochać duszę Klary. I kochałeś jej duszę, nie wyrzekając się miłości jej ciała, nigdy go nawet nie dotknąwszy. Zamiast stać się przeszkodą, miłość ziemską doprowadziła cię do Boga, gdyż pozwoliła ci zrozumieć wielką tajemnicę, jakimi drogami i wśród jakich walk duch zwycięża ciało.

Nikos Kazantzakis, *Biedaczyna z Asyżu*

Początek października 1226

Blanka na próżno czekała, by usłyszeć „długą, straszną historię”. Klara w ogóle przestała mówić. W ciągu tego tygodnia, gdy obie kobiety z Tybaldem i wieloma innymi osobami wyczekiwały w ogrodzie przy Porcjunkuli, by śmierć skróciła cierpienia Franciszka z Asyżu, prócz owego „Amen”, po którym Blanka ją rozpoznała, z ust Klary nie padło ani jedno słowo. O ile królowa mogła się zorientować, Klara przestała również jeść, wydawało się, że pije jedynie wodę.

W czasie, gdy wszyscy ludzie wokół niej płakali lub wpadali w uniesienie, Klara tylko jeden jedyny raz okazała cień emocji. W chwili gdy zapadła ciemność, Franciszek z Asyżu wydał ostatnie tchnienie i nagle, o tej niezwykłej porze, w niebo wzbiła się wielka chmara głośno świergoczących skowronków. Klara patrzyła wtedy na ptaki, a kąciki jej ust uniosły się ledwo zauważalnie.

Jednak każda próba nawiązania rozmowy spełzała na niczym, jak gdyby Klara straciła głos.

W dniu pogrzebu świętego człowieka Blance skończyła się cierpliwość. Wcisnęła Klarze do ręki udko kurczęcia i kazała zatopić w nim zęby.

- Otwórz usta przynajmniej do jedzenia! Nie będę się spokojnie przyglądać, jak na moich oczach głodzisz się na śmierć!

Klara w milczeniu podała udko Tybaldowi, który usiłował wyjaśnić jej zachowanie: - Ona przecież chce umrzeć, aby dostać się do nieba kacerzy! Heretycy nazywają to *endura* i oczekują za ten post boskiej zapłaty, nieszczęśni.

- Bzdura! - wychrypiała Klara, a potem wybuchła: - Chcielibyście nas utuczyć, byśmy mogli być długo torturowani, a potem tłuszczeniem ze spasionych brzuchów podsycać ogień na stosach... - Kaszłąc przerwała, gdyż tak odwykła od mówienia, że wypowiedzenie tych kilku słów było dla niej nie lada wysiłkiem.

- Klaro! - wykrzyknęła ze wzburzeniem Blanka. - Nie jesteśmy wszak twoimi wrogami! Nikt cię tu nie zamierza więzić, torturować, ani tym bardziej posyłać na stos! Chciałabym ci pomóc, dlatego próbuję zmusić cię do jedzenia; jestem twoją przyjaciółką, kocham cię!

W oczach Klary pojawiły się maleńkie iskierki, zniknęły jednak błyskawicznie przy następnych słowach Blanki: - Dobry Boże, co ci przekłęci kacerze z tobą zrobili!

- Zapomniałaś o swojej przysiędze!

Klara niemal plunęła tymi słowami królowej w twarz. Potem zerwała się gwałtownie z owczej skóry, na której siedzieli, wzięła swój worek i bez słowa, nie oglądając się, opuściła ogród.

Tybald uniósł brew.

- O jakiej przysiędze mówiła Klara? - zapytał.

- To nie powinno cię obchodzić - oświadczyła twardo Blanka, po czym dodała: - Idź za nią!

Królowa w pielgrzymich szatach, wypełniająca tajną misję, wyjątkowo podobała się Tybaldowi. Jej uroda zapierałaby zresztą dech nawet wówczas, gdyby była przyodziana w lniany worek. Jednak to nie widok tego szlachetnego oblicza, które tak często Tybald sławił w swoich wierszach, czynił go teraz szczęśliwszym niż kiedykolwiek wcześniej. Sprawiała to bliskość, na którą pozwoliła mu Blanka w tym zakątku na obcej ziemi. Dzięki jej decyzji, aby na czas podróży zaniechać dworskiej etykiety, mógł pozwolić sobie na swobodę, o jakiej wcześniej nawet nie śmiał marzyć. Na przykład na próbę protestu: - Dlaczego?

- Bo ja ci tak mówię! - syknęła Blanka, dodając nieco łagodniejszym tonem: - Musimy ją chronić przed samą sobą. Z własnej woli nie wróci do nas.

- Nie jest naszym więźniem.

- Będzie chciała wrócić do swojej wspólnoty.

- Przed tym nie możemy jej powstrzymać.

- Ale jest tak słaba, że w drodze umrze z wyczerpania - o ile wcześniej nie zostanie schwyta.

- I w lochach Świętej Inkwizycji podtuczona przed przesłuchaniem i torturami, by płomienie na stosie mogły buchać wysoko.

Blanka spoglądała na hrabiego Szampanii w zamyśleniu. - Czasami wydaje mi się, Tybaldzie, że tam, gdzie u innych bije serce, w twojej piersi tkwi kamień o ostrych krawędziach - powiedziała. - Przerazające narzędzie, które drąży twoje piękne wiersze i czyni z nich las pełen martwych drzew.

Tybald skamieniał. Wszystkiego można mu było odmówić, ale nie serca. Biło wszak wyłącznie dla ukochanej królowej i przy jej słowach zaczęło krwawić.

- Pani - wyjąkał, podnosząc się na drżących kolanach z legowiska pod cytryną. W chmurze odurzającego zapachu leżeli w cieniu tego drzewka przez cały dzień.

- Śledź ją potajemnie wraz z kilkoma swymi ludźmi - poleciła Blanka. - Jeśli się załamię lub wpadnie w jakieś tarapaty, wkroczysz do akcji i sprowadzisz ją z powrotem. Ale do tego momentu pozostań niewidoczny. Klara jest przerażona jak ranne zwierzę i lęka się nas; musisz postępować niezwykle rozważnie.

Tybald skinał głową, tłumiąc westchnienie. Ratowanie siostry hrabiego Tuluzy stawało się stopniowo jego życiowym zadaniem; wydawało się jednak, że jest to jedyna droga do serca królowej. A ona już niebawem będzie wolna - doprawdy, upajająca wizja!

Przywołał do siebie dwóch ludzi, pozostałym rozkazał, by mieli

baczenie na szlachetną pątniczkę i ruszył w drogę. Ponieważ chodziło o Klarę, prawdopodobnie będzie ona bardzo długa, nie miał co do tego żadnych złudzeń.

Wiedział lepiej od królowej, jak twarda była Klara. Niewiarygodne, że jako jedyna uniknęła śmierci pod gradem strzał jego ludzi! Nadal dręczyło go wspomnienie jej pustych oczu, kiedy wyciągano ją spod ciała wysokiego, szczupłego mężczyzny, który na nią upadł. Przez jedną straszną chwilę był pewien, że będzie musiał przywieźć Blance jej zwłoki. Jednak ledwie zauważalne drgnięcie powiek rozwiało jego obawy i pozwoliło odetchnąć z ulgą. Odnalazł Klarę żywą i teraz musiał jak najrychlej odeskortować ją do Rzymu, tak by zastać tam jeszcze królową.

Nakazał swoim ludziom spalić trupy kacerzy i pozostawił ich samych wobec dylematu, czy ciężko rannych będą dźwigać ze sobą aż do spotkania z pierwszym katolickim duchownym, czy też od razu rzucać ich na pastwę płomieni. Potem najkrótszą drogą mieli powrócić do Szampanii. Zebrał niewielki oddział, liczący dziesięciu zbrojnych, i zaprzysiągł ich, powierzając nowe, ważne zadanie.

- Ścieżki Pana są niezbadane - rzekł, tłumacząc, że rusza do Rzymu, gdzie z pomocą Ojca Świętego będzie czynił starania, by ustrzec Szampanię przed spustoszeniem, które grozi jej ze strony króla Francji.

Bez żadnych wyjaśnień własnoręcznie przytroczył jedno z martwych ciał do konia, którego poprowadził obok siebie. Nawet jeśli Etienne pomagał tym występny kacerzom, to on, Tybald, był winien przyjacielowi przynajmniej chrześcijański pochówek. Gdy jego ludzie szukali w porcie w Montpellier statku, którym mogliby przepłynąć do Włoch, oddał trubadurowi z południa ostatnią posługę, zostawiając także sporą sumę na mszę za zbawienie duszy nieszczęśnika.

Również na statku Klara udowodniła swoją odporność. Wszyscy rycerze, łącznie z Tybaldem, dostali choroby morskiej, a ta nie ma kobieta pozostała zupełnie zdrowa. Również tutaj nie wydawała z siebie głosu, nigdy też nie usiadła razem z nimi do stołu. A mimo to nie zasłabła ani razu, gdy później pokonywali długą drogę, najpierw do Rzymu, a potem do Asyżu. Milcząc, nie mogła czynić mu wyrzutów, za co był jej nieskończenie wdzięczny. Nie musiał się też usprawiedliwiać, że złamał pieczęć na liście Blanki. Gdy wręczył go Klarze na statku, nie obdarzyła go nawet pytającym spojrzeniem. Skinęła jednak głową, usłyszawszy, że punktem docelowym ich podróży jest Rzym.

Tybald zmierzał wówczas do swego jedyne go prawdziwego życiowego celu, jakim była dla niego Blanka Kastyljska. Teraz, chodząc całymi dniami jak cień za Klarą, nie miał najmniejszego zamiaru zbyt nio się od niego oddalać. Obmyślił bardzo prosty plan.

Przy dogodnej okazji powali Klarę lekkim uderzeniem na ziemię, uda jej wybawcę i zaprowadzi ją do królowej, która, być może, w podzięce pozwoli wtedy ucałować koniuszki swych palców. Perspektywa tego rodzaju nagrody sprawiła, że jego wciąż jeszcze brozące krwią serce uradowało się wielce.

Spotkanie z Franciszkiem z Asyżu dodało Klarze nowych sił i odpowiedziało jej, w jakim kierunku powinna zmierzać. Wiedziała już, że musi wrócić do tych, którzy podobnie jak ojciec Franciszek żyli w pokorze i ubóstwie. Gdy ujrzała go na drewnianych noszach, miała wrażenie, że leży na nich Felicjan. Franciszek z Asyżu był niższy i szczuplejszy, lecz gdy usłyszała słowa umierającego, zdało jej się, że przemawia przez niego anioł, który za życia w ziemskim piekle zwał się Felicjan. Anioł ten pozdrowił ją, a ona odpowiedziała mu: „Amen”.

Klara myślała o Felicjanie o każdej porze dnia i nocy. Obwiniała się o jego śmierć. Czuła się również odpowiedzialna za śmierć wszystkich innych katarów z Carcassonne, gdyż mocno wierzyła, że pomogą im rycerze, spośród których wyrosła. Cierpiała straszliwe męki na myśl, że żadnemu „wierzącemu” z Carcassonne nie mogło zostać udzielone *consolamentum*. A zatem wszystkich ich czekało piekło, czyli ponowne życie na ziemi, w ciele człowieka lub zwierzęcia. I była to wyłącznie jej wina. Wstrząsnął nią dreszcz. Kurze udko, które podała jej Blanka, mogło być częścią jednego z tych ludzi.

Tylko *perfectus* Felicjan, który dzień wcześniej otrzymał chrzest duchowy, mógł otworzyć bramę królestwa niebieskiego i dostąpić zbawienia.

„Ocaliłeś moje życie, ale ja umarłam z tobą”. To zdanie kołatało jej się w głowie przez całą podróż z Montpellier do Rzymu. Nie potrafiła myśleć o niczym innym, nie była więc w stanie również rozmawiać.

Na skórze czuła podmuchy wiatru, w gardle słonawą wodę, którą jej podano, pod stopami kołysanie statku, jej serce biło, wdychała powietrze i wydychała je. Wykazywała wszystkie oznaki życia, a mimo to była martwa jak spróchniałe drzewo. Jak na obumarłym drzewie rośnie mech i porosty, tak jej rosły włosy i paznokcie, ale nie należały już do niej. Po ziemi i po morzu wędrowała nie ona, lecz pusta powłoka, którą opuściła dusza. „Gdzie jesteś, moja duszo, szukam cię, by móc wreszcie odrzucić śmiertelną powłokę”. Tęskniła za nią każdej nocy. Gdy tylko pograżała się we śnie, wyczuwała bliskość duszy, czuła, jak obejmuje we władanie jej ciało i wznosi się z nim do góry, do domu, gdzie wszystko było lekkie jak obłok. Jednak wraz z przebudzeniem dusza znikała, pozostawało jedynie znów ciężkie ciało.

Klara była wdzięczna Tybaldowi, że zostawił ją w spokoju, nie zamęczał pytaniami czy radami i nie zmuszał do jedzenia. Przecież

trochę się posilała. Kiedyś przez pół dnia ssała podniesiony z pokładu orzeszek pistacjowy, innym zaś razem godzinami obracała w ustach oliwkę. Trzy dni trwało, nim wybrała z jabłka granatu wszystkie pestki, a owoc rozpuścił się jej w ustach. Obserwowała mewy, które towarzyszyły statkowi, a gdy pewnego ranka jeden z ptaków upuścił na pokład zbyt ciężką piętękę chleba, podniosła ją. Po południu przegryzła ten kawałeczek chleba na pół i rzuciła go mewom.

Na próżno czekała, by ciało podażyło w końcu za ukazującą jej się w nocy duszą.

Przełom nastąpił w nocy przed dotarciem do stałego lądu. Zamiast wyczekiwanej z utęsknieniem duszy tym razem pojawił się Felicjan.

- Nie jestem martwy i ty także nie - powiedział, patrząc na nią czule tymi samymi ciemnymi oczami w kształcie migdałów, które później miała rozpoznać u Franciszka z Asyżu. - Moja droga nie jest twoją drogą, Klaro, nawet jeśli strzegę tu twojej duszy i hołubię ją. Wracaj do świata. Potrzebuje miłości, której ty masz w sobie tak wiele. Obdzielaj nią wszystkich szczerze, ażeby cudownie się rozmnażała, a w końcu odnajdziesz własną drogę w życiu. Słuchaj swego serca i zważaj na znaki!

„Zostań ze mną - chciała do niego zawołać - nie opuszczaj mnie po raz wtóry! I wytłumacz mi, jak mam dawać światu miłość, kiedy święty Jan nauczał, że nie należy kochać niczego, co pochodzi z tego świata!” Lecz tak jak nie mogła mówić na jawie, nie była w stanie uczynić tego także we śnie.

Następnego dnia Tybald przekazał jej list od Blanki. Z pewnością był to znak!

Jeśli królowa Francji wybrała się w podróż do Rzymu, by tam nakłonić papieża do zmiany stanowiska, to, być może, wszystko się odmieni. Wybawienie dla ludzkości, dla wszystkich upadłych anio-

łów, nie będzie wydawało się już tak nierealne, jeżeli Ojciec Święty wyrzeknie się przepychu i ziemskiego splendoru, wykorzysta swą władzę, by pojednać mieszkańców Ziemi ze sobą wzajemnie i z Bogiem, i uprzytomni sobie, że powinien naśladować Chrystusa. Ubóstwo, pokój i miłość...

Tego nauczał także Franciszek z Asyżu, który bez wątpienia zostanie niebawem obwołany świętym - wszak już wzlatające w ciemnościach ku niebu skowronki były cudem, mogły to potwierdzić tłumy ludzi.

Świętość była zastrzeżona dla tych, którzy już znaleźli się w sferach niebieskich. Franciszek i Felicjan mogli zostać świętymi, natomiast katolickiego biskupa Rzymu cielesna powłoka nadal skazywała na mroczny ziemski żywot. Klara nie była pewna, czy papież - jak wierzyła większość katarów - otrzymał władzę od szatana, czy też dana mu była od Boga, i w najlepszym przypadku błędnie zrozumiał Jego przesłanie, w najgorszym zaś owej władzy nadużywał.

Wróciła do świata. Myślała jednak ciągle o religijnych naukach, które wyniosła z dzieciństwa oraz o nowej wiedzy, nowych doświadczeniach i kazaniach usłyszanych w latach spędzonych w kręgu katarów. Porównywała prostolinijność Felicjana z przebiegłością królewskich dworzan, trudy i obowiązki, jakie dobrowolnie wzięł na siebie, z zachłannym dążeniem do bogactwa na francuskim dworze, jego jasne wypowiedzi o życiu i śmierci z pełnymi przepychu katolickimi rytuałami, które nie pozostawiały miejsca na kontemplację.

W Carcassonne poznała matkę Felicjana, wspaniałą kobietę, która urodzeniem niewiele ustępowała Blance. A jednak ta dama mieszkała tylko z jedną służącą w skromnym domu pod murami miasta. Łagodnie uśmiechnięta powitała Klarę i przełamała się z nią chlebem. Na pytanie Klary, dlaczego ma tylko jedno dziecko, odparła z uśmiechem, że ona nie ma żadnego, „gdyż wszyscy ludzie należą do diabła”.

- Który, niestety, wziął ich całkowicie we władanie - dorzucił Felicjan.

Ku zdziwieniu Klary matka z synem nie objęli się przy powitaniu. Mimo to wyczuwała u nich tak samo głębokie przywiązanie, jakie żywiła Blanka do swego syna Ludwika, którego bez ustanku obsypywała pocałunkami i tuliła. Klara zaczęła pojmować, że prawdopodobnie nie ma żadnych ogólnych zasad, jeśli chodzi o relacje między dwojgiem prawdziwie kochających się ludzi.

Jeśli ktoś miłował duszę drugiego człowieka, niekoniecznie musiał wyrażać to uczucie fizyczną bliskością. Najlepszym tego przykładem była miłość między nią a Felicjanem, choć ona tęskniła za jego dotykiem. Również z Blanką łączyła ją równie niezniszczalna, a bezcielesna przecież miłość.

Klara wiedziała, że królowa kocha ją niemal jak jedno z własnych dzieci. W pewien sposób należał do nich także Tybald, ale o tym Klara teraz, podczas samotnej wędrówki do Oksytanii, nie chciała myśleć. Krzyżowcy Tybalda mieli na sumieniu śmierć ludzi, za których odpowiadał Felicjan, i to ona, Klara, była wszystkim winna.

Przystanąła pod jabłonią, spojrzała w górę na drzewo, zerwała dojrzały owoc i gniewnie wbiła się w niego zębami. To niesprawiedliwe przypisywać całą winę Tybaldowi. Przybywał jej na ratunek, raz za razem. W Marmande z jej powodu nie uczestniczył w krucjacie przez pełne obowiązkowe czterdzieści dni i tym samym nie otrzymał odpustu za grzechy. Przedłożył jej życie nad zbawienie własnej duszy. O ironio, to co uczynił, było zgodne z naukami katarów.

„Jakże byłby przerażony, gdybym mu to kiedykolwiek powiedziała! - Niemal uśmiechnęła się na tę myśl. - Tak, Tybaldzie, jesteś powierzchownym, rozwiązłym dworakiem, lecz twoja dusza dąży do prawdy i ostatecznie postępujesz właściwie. Jeśli Blanka i Bóg ci przebaczą, ja również to uczynię. Felicjan miał słuszość, jest we mnie wiele miłości. Również ciebie mogę nią obdarzyć”.

Najbardziej rozczarował ją nie Tybald, lecz Blanka. Po przeczytaniu listu ujrzała w Blance nowego Mesjasza w kobiecym wydaniu, który narażał się na wielkie niebezpieczeństwo, by pozwolić przemówić prześladowanym tego świata, oddać im głos, którego trzeba byłoby wysłuchać. Była królową Francji. Złożyła uroczyste śluby. Miała nie tylko chronić przed dalszymi represjami ludzi, którzy uratowali życie jej synowi Karolowi, ale także, wpływając na papieża, przyczynić się do tego, by zapanowało powszechne szczęście. Klara wierzyła w to mocno i miała nadzieję, że tak się stanie. A potem Blanka mówiła o przeklętych kacerzach! Co się wydarzyło w pałacu na Lateranie? Czy katolicki biskup Rzymu przekonał Blankę do swoich racji? Dlaczego ona sama nie otworzyła ust i nie wypytała Blanki? „Ponieważ nie mogłam tego uczynić - przyznała sama przed sobą Klara. - Byłam zbyt przerażona, kiedy wyraziła się w ten sposób o moich towarzyszach. Ale jak królowa może czcić Franciszka z Asyżu, a równocześnie tak pogardzać »dobrymi ludźmi«, którzy tak jak on naśladują Chrystusa? - Klara zatopiła zęby w jabłku.

Wywyższałam się - zganiła się w duchu - postrzegałam siebie jako narzędzie sprawiedliwości. To było niestosowne. Byłam narzędziem, lecz w ręku diabła. Nigdy nie powinnam była żądać od Blanki, by złożyła te śluby! Przez to, że się wmieszałam, tylko pogorszyłam sprawę. A przecież tak często ostrzegałam przed tym Felicjana! Prawdziwa pokora polega na czymś innym”.

Klara przez ostatnie godziny kierowała się położeniem słońca na niebie. Cel jej wędrówki znajdował się daleko na zachód. Musiała jakoś dotrzeć nad morze i popłynąć statkiem z powrotem do Oksytanii. Lecz nie do swego brata w Tuluzie, który przypuszczalnie skapitulował już przed królem i jego potężną armią.

Klara zamierzała udać się do miejsca leżącego na szczycie niedostępnej góry, do twierdzy, która nigdy nie zostanie zdobyta. Do Montsegur. W ostatnich latach katarzy wybudowali tu zamek, czy-

niąc go swoją główną siedzibą. Złożono tu również skarb, za którego pomocą „wierzący” i „doskonali” chcieli po oswobodzeniu się położyć kres nędzy tego świata. Człowiek już nigdy więcej nie będzie musiał cierpieć głodu, jeśli tylko znajdą się wystarczające środki, by zapewnić wszystkim życie w pokoju i wolności. Subwencje, darowizny i spadki narosły do ogromnych sum, których godni zaufania katarzy pieczołowicie strzegli, by urzeczywistnić to marzenie.

Rzecz jasna, złoto było rzeczą diabelską, lecz ani mniej, ani więcej niż wszystko, co ziemskie. Można było więc go użyć, by czynić z jego pomocą dobro.

- Nie posiadam nic, lecz nie jestem ubogi - tłumaczył jej pewnego razu Felicjan. Podobnie jak Franciszek z Asyżu on również postanowił żyć w ubóstwie - co było czymś zupełnie innym, niż być nań skazanym, jak większość ludzi, którzy nie z własnej woli popadli w nędzę.

- To, czego człowiek potrzebuje, należy mu się, a jest to bardzo mało.

Katolicki biskup Rzymu głosił kazania o umiarkowaniu i skromności, tymczasem sam żył w niewyobrażalnym przepychu, co umożliwiały daniny wiernych.

- Być może wcale go nie cieszy to całe bogactwo wokół niego, ale sądzi, że jest mu potrzebne, by czynić wrażenie na swych poplecznikach - stwierdził Felicjan.

„Tak jak królowej potrzebna jest uroda” - przeszło Klarze przy tych słowach przez myśl. Uroda i przepych. Ziemska próżność. Symbole diabła. Jakież to było proste.

Ale nawet Blanka czyniła starania, by coś zmienić. Klara nie potrafiła sobie wyobrazić, by ktokolwiek mógł odmówić czegoś królowej. A jednak misja Blanki najwyraźniej się nie powiodła. O ile, oczywiście, naprawdę chciała pomóc prześladowanym. Możliwe, że przybywając do Rzymu zamierzała osiągnąć zupełnie inny cel, a list

napisała tylko po to, by zamydlić Klarze oczy. Podobnie jak Tybald, Klara również niepomernie się zdumiała, że królowa dla dobra katarów wyruszyła w tak niebezpieczną podróż, ale tłumaczyła to sobie wielką pobożnością Blanki i jej pragnieniem dopełnienia słów. Prócz tego królowa lękała się o życie męża i być może z tego powodu chciała prosić papieża o zgodę na zaprzestanie krucjaty.

Klara rozejrzała się wokół. Pograżona w myślach nie zauważyła, że krajobraz zupełnie się zmienił i znalazła się teraz w pagórkowatej okolicy. Bolały ją nogi, a słońce zniknęło już za wzgórzami. Krzewy winne zdobiły dorodne grona winorośli. Dobre miejsce na odpoczynek. Tutaj powinna spędzić noc. Zrywając winogrona na wieczorny posiłek i zważając przy tym, by rękami czy stopami nie uczynić krzywdy żadnemu żywemu stworzeniu, myślała o ich pobycie w Rzymie. Przypominała sobie, jak szybko Tybald się dowiedział, gdzie mieszka uboga, lecz mimo to dziwnie szlachetnie wyglądająca pątniczka, i jak odkrył, że wyruszyła w dalszą podróż do Asyżu. Jak ona sama była pełna nadziei, że spotka królową, która podobnie jak ona podąża ku niebiańskiej światłości. Klara ułożyła się na bujnie wyrosłej trawie i właśnie gdy z radością zaczęła rozpoznawać w przepływającej chmurze profil Felicjana, trafił ją cios. Na kilka chwil zapadła wokół niej ciemność.

W tym samym czasie również małżonek Blanki, król Ludwik, zatrzymał się w winnicy. Z pewnym żalem spoglądał na krzewy obwieszone dojrzałymi, soczystymi winogronami. Te owoce, które tak wspaniale wyrosły pod bramami Tuluzy, nigdy nie zostaną zebrane.

- Zniszczyć wszystko - rzekł - każde pole uprawne, każdą łąkę, każdą winnicę. Skoro nie możemy zająć Tuluzy, niech hrabia Rajmund włada w przyszłości spustoszonej krainie. Z nim samym rozprawimy się później.

Jak siedem lat wcześniej, tak i teraz porzucił myśl, by oblegać doskonale umocnione miasto. Zbyt mocno przerzedziły się szeregi jego wojsk. Kiedy odłączyły się od nich oddziały hrabiego Szampanii, opuściło ich również wielu innych baronów, a ogromna liczba szlachty padła ofiarą chorób. Ludwik najbardziej bolał nad śmiercią Wilhelma z Joinville, arcybiskupa Reims, który przed trzema laty koronował go na króla.

On sam, mimo wielu trudów, czuł się nadspodziewanie dobrze. Podczas gdy ludzie wokół niego ginęli podczas wypadów wroga i padali jak muchy, łapiąc wszelkie możliwe choroby, on pozostawał nietknięty i zdrowy. Delikatne dziecko, o którego zdrowie lękał się przez długie lata jego ojciec, król Filip, i któremu wszyscy lekarze przepowiadali krótki żywot, wyrosło na silnego Lwa; zdawało się, że nic nie jest w stanie go powalić. Ludwik jednakże zdawał sobie sprawę, że musi teraz oszczędzać siły - swoje własne, a przede wszystkim swoich stronników, którzy pozostali mu wierni.

Nadszedł czas, by zakończyć krucjatę. Król rozmyślał nad tym, jak wiele zdołał osiągnąć. Nie mógł się jednak prawdziwie napawać triumfem, jakim było zdobycie bez walki wicehrabstwa Béziers-Carcassonne z miastami Nîmes, Beaucaire, Narbonne, Carcassonne, Montpellier, Pamiers i Castres, gdy Tuluza wciąż niczym cierń tkwiła w ciele jego królestwa.

Kiedyś rzucił na kolana hrabiego Rajmunda. Ale nie podczas tej krucjaty. Teraz spustoszył ziemię wokół Tuluzy, tak jak uczynił to krnąbrny hrabia z okolicą Awinionu.

Jako datę odwrotu król Ludwik wyznaczył dzień swoich imienin, 25 października.

Odciął lśniące fioletowo grono z winnego krzewu. „Blanko - pomyślał, wkładając jedną jagodę za drugą do ust - jakże mi Ciebie brakuje! Ciebie, dzieci i naszego szczęśliwego życia. Ciesz się, kochanie, już niedługo wrócę do domu”.

Gdy Klara się ocknęła, Tybald usilnie nakłaniał ją do powrotu. Na próżno jednak. Obstawiała przy tym, że pójdzie sama swoją drogą i kazała mu zostawić ją w spokoju.

- Kraj jest pełen rabusiów! - zawołał Tybald. - Gdybym nie przepędził napastników, być może już byś nie żyła!

Klara wzruszyła ramionami.

- Kim jestem, by sprzeciwiać się woli Boga? - Chwyciła się za głowę, w której wciąż jeszcze szumiało jej lekko.

Uderzenie nie tylko pozbawiło ją na krótką chwilę przytomności, lecz także zdruzgotało doniosłe obrazy i słowa, które tuż przedtem ją nawiedziły. Utracone treści męczyły Klarę o wiele bardziej niż upór, z jakim Tybald zabiegał o jej powrót do Asyżu. Zabiegać o coś. Miłość. Klara odetchnęła głęboko. Przynajmniej jedno słowo zdołała wydobyć z ruin pamięci.

Uśmiechnęła się, wdzięczna choćby za to.

- Właśnie dokładnie to uczynisz, jeśli nie wrócisz ze mną - naciskał Tybald. Jej uśmiech zachęcił go. - Jak sądzisz, po co Bóg mnie tu przysłał?

- Myślałam, że to była Blanka - odparła Klara.

- Królowa, jak my wszyscy, jest tylko narzędziem w ręku Pana - nie dawał za wygraną Tybald.

- Nie mów o rzeczach, których w ogóle nie rozumiesz! - wykrzyknęła, sama nie pojmując, co się z nią dzieje.

- Ale ty za to wszystko rozumiesz! - wybuchnął Tybald. Był teraz naprawdę wściekły i zły na siebie, że nie wymierzył silniejszego ciosu. Zaoszczędziłby sobie wówczas tej daremnej dyskusji, która zdawała się ciągnąć od wielu godzin, i mógłby po prostu zabrać ze sobą Klarę, przytroczywszy ją do konia. Nie był zachwycony tym, że znów odzyskała głos. - Przez to swoje kacerstwo ciągle narażasz na niebezpieczeństwo siebie i innych.

- Największe zagrożenie stanowi papież i król Francji! - odrzekła gwałtownie Klara. - Mordują więcej ludzi niż wszyscy razem wzięci rabusie na świecie.

- Król już nie jest niebezpieczny! - wyrwało mu się nieopatrznie.

- Co? - Klara spojrzała na Tybalda ze zdumieniem. - Czyżbyś otrzymał wiadomość o zakończeniu krucjaty?

Tybald przygryzł wargi.

- W Awinionie wybuchła straszliwa zaraza i Ludwik był już bardzo chory, kiedy go opuszczałem - improwizował przezornie.

- Pierwszy raz o tym słyszę! - odparła Klara z niedowierzaniem w głosie. Etienne opowiadał wprawdzie o wielu chorobach w królewskim obozie, lecz ani słowem nie wspomniał o złym stanie zdrowia Ludwika.

- Jak myślisz, co by się stało, gdyby do Oksytańczyków doszły słuchy o śmierci króla?

- Czy on już nie żyje?

Tybald wzruszył ramionami i mruknął: - A skąd mam to wiedzieć? Mogę tylko powiedzieć, że kiedy opuszczałem go z twojego powodu, czułem się bardzo źle i nie było już dla niego nadziei.

- A Blanka nic o tym nie wie - szepnęła Klara. Targały nią sprzeczne uczucia, walczące ze sobą niczym anioł z demonami. Nienawidziła króla Francji, który zamordował Felicjana i jego ludzi, i który wyruszył na krucjatę, by wytępić katarów, kochała zaś małżonka, który był tak bliski Blance i czynił ją szczęśliwą, a do niej, Klary, odnosił się zawsze z wyszukaną uprzejmością. „Nie wolno mi nienawidzić - pomyślała skonfundowana - muszę w końcu zrozumieć, że człowiek nie ma możliwości wyboru między dobrem a złem. Felicjan to rozumiał. Nigdy nie czuł nienawiści. Nadstawiał drugi policzek. A teraz nie żyje”.

Aż strach pomyśleć, co by się stało, gdyby Blanka dowiedziała

się o śmierci Ludwika. Byłaby w stanie natychmiast odebrać sobie życie. Nie myślałaby o dzieciach, które zostałyby bez matki, lecz tylko o tym, by znów połączyć się z Ludwikiem na tamtym świecie.

Klara przypominała sobie pewną rozmowę, którą prowadziła z Blanką, gdy miała mniej więcej dwanaście lat. Ówczesna żona następcy tronu zapytała ją, jak mogła znieść życie bez matki.

- Ale mam przecież ciebie - odrzekła z ufnością mała Klara.

Blanka wzięła ją w ramiona i powiedziała głośno: - To prawda. Kocham cię jak córkę. I gdyby miało mi się coś stać, będziesz potrafiła pomóc moim dzieciom, aby gdzie indziej znalazły matczyną miłość. - I tak cicho, że Klara ledwie mogła ją zrozumieć, Blanka dodała jeszcze: - Jedynie dla Ludwika nikt nie będzie mógł nic uczynić, gdyż on i ja jesteśmy nierozdzielalną całością; śmierć jednego będzie niechybną śmiercią drugiego. - Słowa te szczególnie zapadły Klarze w serce.

Tybald spojrział na nią z nadzieją.

- Widzisz zatem sama, że musisz wrócić ze mną, by być przy królowej, kiedy dotrze do niej zła wiadomość.

Blanka była w prawdziwej potrzebie. I nic o tym nie wiedziała. Klara nie miała wyboru. Ujęła pod ramię trubadura, mówiąc: - Musimy natychmiast wracać do Blanki!

Tybald z ulgą skinął głową. Osiągnął swój cel, jednak nie był jeszcze pewien, za jaką cenę.

25 października około południa król Ludwik zaprosił po mszy świeckich i duchownych przywódców wojsk na spotkanie przy pucharze wina. Miało się ono odbyć w jego namiocie, na zniszczonym polu lawendy. Na niebie zbierały się zapowiadające burzę chmury.

- Dla wzmocnienia przed wymarszem - stwierdził. - Na północy również czekają nas trudne zadania.

Podczaszy wręczył królowi wysadzany rubinami, złoty kielich.
- Za pojednanie z Szampanią - wyjaśnił.

Oblicze monarchy spochmurniało

- Za spustoszenie - mruknął, spojrzął na puchar i zapytał o pochodzenie perlącego się wina.

- Cóż mi tu dajesz?

- To trunek właśnie z Szampanii - odparł podczaszy, tak jak polecił mu Tybald. - Opuszczając pośpiesznie obóz w Awinionie, hrabia pozostawił za sobą nie tylko wierność domowi królewskiemu. Tego drugiego nie powinno być mu więc również żal.

Z tego zdania Tybald był szczególnie dumny i kazał go sobie wielokrotnie powtarzać.

- Za dużo sobie pozwalasz! - zgromił król podczaszego i podniósł puchar do ust.

Podczaszy, rzetelny człowiek i mierny trubadur, zastygł w bezruchu. Miał nadzieję, że podając ów specjalny trunek, przyczyni się do pojednania króla z najbardziej utalentowanym trubadurem wszech czasów. Tybald dał mu do zrozumienia, że posługują się z królem sekretnymi znakami, do których należy również poczęstunek tym szlachetnym napojem.

Hrabia Szampanii zniknął już jednak przed wieloma miesiącami i jego przekonujące wyjaśnienia wydawały się znacznie mniej sensowne. Podczaszego ogarnęły podejrzenia, że być może Tybald nakłonił go do wielce niegodziwego czynu.

Pośpiesznie chwycił za puchar, który Ludwik na powrót odstawił. - Być może, miłoścy królu, przypadłby ci bardziej do smaku inny trunek - powiedział, monarcha jednak trzepnął go po palcach.

- Cóż może być lepszego niż wypić za upadek Szampanii? - zapytał i jednym haustem opróżnił puchar.

Podczaszy przeżegnał się.

W dalekiej Francji Ingeborga ukryła twarz w dłoniach. Sprowadziła nieszczęście, zamiast mu zapobiec. Leżał przed nią list od Agnieszki z Beaujeu, małżonki Tybalda z Szampanii. Agnieszka pisała, że zgodnie z życzeniem Ingeborgi przed krucjatą na południe przekazała ukochanemu mężowi środek przeciwko szkodliwemu działaniu promieni słonecznych. Tybald wylał kilka kropli na dłoń i dał ją do polizania swemu psu. Kilka godzin później zwierzę skończyło w męczarniach.

"Wybacz, Miłościwa Pani - pisała Agnieszka - ale pragnę zapytać, czy ten środek nie jest o wiele bardziej szkodliwy niż słońce, które wszak daje życie? Małżonek nie podziela moich obaw. Oświadczył, iż umie docenić Twój podarunek i we właściwym czasie uczyni z niego użytek. Rzecz oczywista, dzięki Twemu wspaniałomyślnemu podarkowi również szlachetny król, Twój pasierb, będzie mógł zawsze chronić swe ciało przed palącym słońcem".

Aczkolwiek Ingeborga miała niewielką nadzieję, że zdoła jeszcze powstrzymać nieszczęście, co prędzej wyprawiła posłańca na południe. Rozważała, czy nie wezwać ojca Eliasza, odstąpiła jednak od tego pomysłu. To, co miała do wyznania, mogło nie tylko okazać się zbyt dużym ciężarem dla sumienia biednego kapłana, ale także zadać śmiertelny cios jego sercu.

Musiała sama poradzić sobie ze swoją winą.

Ach, jakże słusznie postąpił król Filip, zamykając ją w wieży klasztornej, gdzie nikomu nie mogła wyrządzić krzywdy! Ileż to razy zachodziła w głowę, po co Bóg dał jej dar przepowiadania przyszłości, skoro nie potrafiła czynić za jego pomocą dobra. W takich chwilach jak ta była skłonna zgodzić się z nauką katarów, którzy twierdzili, że to nie Bóg, ale ktoś zupełnie inny włada światem i właśnie on obdarma ludzi tak niszczycielskimi zdolnościami.

Ingeborga zsunęła się z krzesła; potrzebowała chwili, aby zmuszając artretyczne ciało do wysiłku, porządnie uklęknąć.

- Panie Boże - zaczęła się modlić - ciężko zgrzeszyłam! Pragnęłam wyprawić na tamten świat człowieka, który nastawał na życie mego ukochanego pasierba! Zamordowałam go, chcąc ratować Ludwika! Zaklinam cię, Panie, odbierz mi jasność umysłu, jak to często masz w zwyczaju czynić u ludzi w moim wieku!

Towarzysze hrabiego Szampanii stosunkowo szybko odkryli prawdziwą tożsamość francuskiej pątniczki gdyż jej świta zachowywała się zbyt usłużnie i czyniła zbyt wiele aluzji. Już na początku podróży Blanka awansowała z nieznannej, dystygowanej damy na baronową, potem na damę hrabiowskiego dworu, a po jednym dniu wędrówki wszyscy już byli pewni, że to królowa we własnej osobie.

Blance pozostało jedynie trzech ludzi. Dwóch na skutek trudów podróży pożegnało się z tym światem, a pozostali ubłagali ją w ogrodzie kaplicy w Asyżu, by pozwoliła im tam zostać, gdyż pragnęli spędzić resztę życia wśród braci mniejszych. Blanka nie mogła odrzucić ich prośby, choć z niepokojem myślała o podróży z tak uszczuploną eskortą.

Pojawienie się Tybalda z jego oddziałem uwolniło ją od tej troski. Ponadto udało mu się - po raz kolejny - sprowadzić Klarę, co usposobiło ją tak łaskawie, że nadstawiła mu policzek do pocałowania.

Trubadur nigdy przedtem nie był tak blisko obiektu swego uwielbienia, nigdy wcześniej nie przepełniało go uczucie tak wielkiej euforii. - Drzę cały, gdy aksamitu twych lic dotykam wargami. Mym największym pragnieniem jest wziąć cię w ramiona, pani. Żyję nadzieją, iż spełni się me marzenie szczęśliwymi losu zrzędzeniami.

Tej pieśni było daleko do doskonałości. Musiał jeszcze nad nią popracować, by później zaprezentować ją Blance jako prawdziwe dzieło sztuki. Później. Kiedy będzie wolna. Właśnie wykonując poprawioną wersję tego wiersza, zamierzał starać się o jej względy - nie

jako trubadur, zabawiający niczym dworski błazen królową, lecz jako mężczyzna, pragnący poślubić przeznaczoną mu przez los kobietę. Jako małżonek monarchini, która nie została by regentką w imieniu swego małoletniego syna Ludwika, lecz rządziłaby sama. A kiedy syn osiągnąłby pełnoletniość, razem z nim włądałaby krajem. Perspektywa tak wielkiej władzy każdego człowieka przyprawiłaby o zawrót głowy, Tybalda jednak uskrzydlała jedynie myśl, że osiągnie swój cel i wreszcie będzie mógł posiadać Blankę.

Przez wszystkie te lata Blanka w jego oczach nie postarzała się nawet o dzień i pozostała najpiękniejszą, najbardziej pożądaną kobietą na świecie. Gdyby nawet ktoś zwrócił mu uwagę na oznaki wieku, nie złagodziłoby to jego tęsknoty. Marzyłby o tym, by gładzić czule każdą zmarszczkę, okrywać pocałunkami każdy cal wiotczącej skóry.

- Czy powiedziałeś jej o tym? - zapytała Klara.

Spożywali wieczerzę w gospodzie opactwa w pobliżu Macón. Tybald stał skreślone węglem słowa z grubo ciosanego stołu, przy którym siedział, i potrząsnął głową.

- Nie mogłem się na to zdobyć - wyznał. - A poza tym jeszcze nic dokładnie nie wiadomo.

- Przesuń się - zażądała Klara, jak gdyby nie siedział sam na długiej, niemal zupełnie wolnej ławie. Uniósł ramiona.

- W którą stronę? - zapytał, dodając: - Czy tak cię mierzi to, że jestem blisko ciebie?

W tej samej chwili przyszedł mu do głowy wyśmienity rym, doskonale pasujący do komponowanej pieśni. Na jego twarzy pojawił się uśmiech, który można było odczytać jako bezmyślny, nieobecny lub zakłopotany.

Ten uśmiech był dla Klary niczym cios w samo serce. Dopiero teraz przypomniała sobie słowa Etienne'a. Doniosłość tego spostrze-

zenia wstrząsnęła nią do tego stopnia, iż usiadła tak blisko Tybalda, że ten odsunął się od niej o cal.

Zamieszkałaś, pani, już na zawsze w jego sercu. Niemal odchodził od zmysłów, gdy o tobie mówił, jego sera drżało ze strachu i tęsknoty. Tylko dlatego odłączył się od króla.

„To tylko z mojego powodu - pomyślała do głębi poruszona - tylko z mojego powodu Tybald znalazł się tutaj. Z mojego powodu pozostawił króla własnemu losowi, z mojego powodu wyruszył do Italii, gdyż chciał mieć pewność, że jestem bezpieczna. I z mojego powodu opuścił królową; uczynił to, by sprowadzić mnie z powrotem. Jakaż ja byłam niewdzięczna. I jaka ślepa!”

Przywołała inne wspomnienia. W jej pamięci ożyła scena w komnacie Blanki, po której spotkała Felicjana. „Tybald odważył się na tak wiele, a potem stracił śmiałość - rozważała w myślach. - Wybrał Agnieszkę, gdyż stała obok Blanki, ale to mnie miał w sercu. Dał mi to nawet do zrozumienia jakiś czas później. Jakżesz opacznie wszystko zrozumiałam! Teraz już wiem - bał się odrzucenia”.

A po koronacji... Jak mogła zapomnieć rozpacz, która owładnęła Tybaldem, gdy będąc z nim sam na sam w izbie, czyściła jego ubranie? Jak zdesperowany pochwycił ją i wziął siłą? Zwyciężyło w nim wówczas zwierzę, które jest w każdym człowieku, czysta żądza sprawiła, że przekroczył granicę obyczajności.

„A ja po prostu pozwoliłam, by to się stało, dopuściłam do tego, by szatan nim zawładnął, miast odpowiedzieć mu moją miłością. Miłością, której tyle mam w sobie, jak ktoś mnie nie tak dawno temu zapewniał. Tylko kto, i kiedy, oraz gdzie to było?”

Ogarnął ją wstyd. Nie wyszła naprzeciw wielkiej, płomiennej miłości. To straszne! Jak mogła być tak pozbawiona uczuć, ganiła się w myślach. „A przecież od dawien dawna Tybald był panem mego serca. Powinnam była wyraźniej dać mu do zrozumienia, co do niego czuję. Nieszczęsny człowiek, ileż musiał wycierpieć”.

Przypominała sobie słabo, że wtedy odczuła ten czyn jako przemoc. „Był on jednak gwałtownym przejawem miłości” - powiedziała sobie i delikatnie położyła rękę na ramieniu Tybalda.

- Już nie raz uratowałeś mi życie, dlatego że byłeś w pobliżu - odparła na jego pytanie.

Wzdrygnął się pod jej dotykiem i przesunął jeszcze cal dalej. Heretyczka Klara była mu miłsza niż rozmarzona wielbicielka, która teraz, jak się zdawało, święciła swój powrót. Od dawna nie mógł sobie wybaczyć, że w noc koronacji tak brutalnie ją posiadł - w końcu była dla niego nieomal jak siostra - ona jednak nigdy nie wspomniała o tym zdarzeniu i zachowywała się później wobec niego tak samo przyjaźnie, być może tylko bardziej powściągając swe miłose zapędy. Wywnioskował z tego, że mimo wszystko sprawił jej rozkosz lub przynajmniej dał odrobinę radości. Pocieszał się tą myślą, gdyż czuł wyrzuty sumienia, iż mógł uczynić jej krzywdę. Był jednak wówczas oszalały z zazdrości.

Słyszając, jak właśnie namaszczona królowa flirtuje z mężem i obiecuje mu słodycz mających nastąpić za chwilę uścisków, całkowicie stracił panowanie nad sobą i dał się ponieść emocjom. I tak biedna Klara, pochylona nad cebrem, posłużyła za zastępczynię Blanki.

Ale teraz musiał bardziej uważać. Zdesperowany powiedział jej kilka słów za dużo. Towarzysze króla będą mogli później zaręczyć, że w Awinionie Ludwik cieszył się najlepszym zdrowiem i dopiero potem zaniemógł. Klara pod niektórymi względami była bez wątpienia bardzo łatwowierna, co wykorzystali chociażby kacerze, nie była jednak głupia. Jeśli nie przeciągnie jej całkowicie na swoją stronę, może stać się dla niego niebezpieczna.

Z piersi Tybalda wydobyło się głębokie westchnienie.

- Ach, Klaro - rzekł z zadumą - czegoż to my oboje nie przeżyliśmy już razem.

- Musisz jej powiedzieć!

Tybald ujął rękę Klary. - Co mam jej powiedzieć? Że jesteś panią mego serca?

Klara zbladła jak płótno. Tybald uściśnął mocniej jej dłoń i przysunął się do niej tak blisko, że czuła jego udo, ocierające się o jej nogę. - Wybacz mi - szepnął. - Wyrządziłem ci wielką krzywdę, lecz ty nigdy nie zwróciłaś się przeciwko mnie. Dziękuję ci za to. - Objął ją ramieniem. - Masz w sobie tyle miłości.

Jego głos zdawał się dochodzić z innego świata. Oszołomienie po uderzeniu w winnicy minęło i do Klary w tej właśnie chwili powróciło wspomnienie widzianego w półśnie oblicza. W gospodzie opactwa zrobiło się nagle lodowato. Klara zacisnęła zęby, by nie szczykały głośno. „Jakże zdradziecko igra z sercem szatan” - pomyślała, strząsnęła rękę Tybalda z ramienia i podniosła się, przemawiając lekko drżącym głosem: - Istnieje zupełnie inna miłość niż ta, o której mówisz i śpiewasz. I właśnie ta miłość zmusza mnie do tego, by powiedzieć naszej pani to, czego ty nie masz odwagi jej wyznać.

Tybald zerwał się na nogi i chwycił Klarę mocno za ramiona.

- Dość już! - zawołał. Pomyślał, że powinien był ją uderzyć mocniej, o wiele mocniej. - Okłamałem cię - powiedział szybko. - By zwabić cię z powrotem. Nic takiego się nie wydarzyło. Król miewa się dobrze.

- Król miewa się wręcz doskonale - rozległ się dźwięczny głos za nimi.

Królowa z promiennym uśmiechem zbliżyła się do stołu. Tybald zdjął ręce z ramion Klary, a Blanka pogroziła mu żartobliwie palcem.

- Tylko nie zawróć mojej Klarze w głowie, Tybaldzie - skarciła go. Jej brązowe oczy błyszczały.

- Król miewa się doskonale? - powtórzył pytającym tonem Tybald. Dzień imienin Ludwika minął już kilka tygodni temu. Czyż-

by podczaszy nie stanął na wysokości zadania, czy też nie zadziałała trucizna? Jak aktualna była ta wiadomość?

Klara usłyszała niedowierzenie w głosie Tybalda. Zaciśnęła pięści tak mocno, że zbiełały jej kostki rąk. „On nie kłamie. Wie o czymś niegodziwym, jestem tego pewna. W dodatku mówi i wygląda tak, jakby sam za tym stał. Co naprawdę zdarzyło się w Awinionie? Dlaczego opuścił króla?”

- Wspaniale, Blanko, że masz wiadomości o swoim mężu - wyduśła z siebie.

- Tak, dzięki jednemu z twoich ludzi, Tybaldzie. Nie uciekł z twojego oddziału, jak sądziłeś, to ja odesłałam go do Asyżu, kiedy odkrył, kim naprawdę jestem. - Blanka usiadła na ławie, wachlując ręką twarz, jak gdyby padała z wyczerpania po długiej jeździe konnej. - Myślałam, że nie zniosę już dłużej braku wiadomości. A teraz twój człowiek, Tybaldzie, powrócił ze wspaniałymi wieściami. Och, jakże mi teraz lekko na sercu!

- Król miewa się doskonale - powtórzyła Klara bezdźwięcznym głosem.

- I ja również! - wykrzyknęła Blanka. - Kruczata dobiegła końca, moje dzieci. Ludwik wraca do domu! Cóż to za wielka radość, jakaż łaska! Wyruszymy mu naprzeciw. I to niezwłocznie!

- Za pozwoleniem - odparł sztywno Tybald - zamierzasz podróżować, pani, jako pątniczka?

Blanka spojrzała po sobie, skubnęła palcami rękaw grubo tkanej, ciemnej pielgrzymiej szaty i westchnęła.

- Masz rację, Tybaldzie, teraz byłoby to doprawdy niedogodne. Cóż więc zrobimy?

Klara przestała zagryzać wargi.

- Wrócimy tak szybko, jak to będzie możliwe, do Paryża i stamtąd już oficjalnie wyruszysz z dziećmi na południe, by spotkać się

z królem w pół drogi - zaproponowała. - Za tydzień będziemy w pałacu.

- Za cztery dni - oświadczyła Blanka stanowczym tonem.

Nagliła do pośpiechu, nalegając, by ruszyć w drogę jeszcze tej nocy, i nie dała się przekonać do zmiany decyzji. Gdy ludzie Tybalda szukali pochodni i przygotowywali wymarsz, Klara, pełna złych przeczuc, przechadzała się niespokojnie krużgankami klasztoru.

W pewnym momencie pojawiła się przed nią zakonnica. Nie miała krzyża na piersi, a jej twarz wydała się Klarze dziwnie znajoma. W nagłym natchnieniu padła na kolana, trzykrotnie pochyliła się ku ziemi i wyszeptała po francusku: - Dobra chrześcijanko, daj mi błogosławieństwo Boże i twoje; módlcie się za mnie.

Przy pierwszych słowach zakonnica cofnęła się o krok. Potem jednak odparła w tym samym języku, z południowym akcentem: - Przyjmij błogosławieństwo od Boga i ode mnie. Niech cię Pan prowadzi do szczęśliwego końca i uczyni z ciebie dobrą chrześcijankę. - Klara podniosła się powoli niczym lunatyczka. Wiedziała, że wielu katarów znalazło schronienie w katolickich klasztorach, jednak nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczała, że spotka tam „doskonałą”, która przekaże jej, tak jak to się właśnie stało, *melioramentum*, rytualne pozdrowienie, symbolizujące połączenie z Duchem Świętym. Jakże wielkiej łaski dostąpiła, mogąc pokłonić się przed „doskonałą”! Skąd jednak to wrażenie, że dobrze ją zna, które nie wyływało jedynie z tej samej wiary?

Klara westchnęła głęboko. Po raz pierwszy od chwili, gdy została „wierzącą” zapragnęła się wyspowiadać. Spowiedź jednak była zastrzeżona tylko dla „doskonałych”. Zwykły „wierzący” nie miał obowiązku przestrzegać przykazań. A mimo to Klara niczego nie pragnęła bardziej, niż zrzucić ciężar z serca, wyznać, że ponosi winę za śmierć Felicjana, a także wielu innych. Chciała za to odpokutować.

Fałszywa zakonnica dostrzegła malującą się na twarzy Klary rozpacz i zaprosiła ją do swojej skromnej celi. Na ścianach nie było ani jednego krzyża.

- Mów, moja córko - rzekła *perfecta* - widzę przecież, że coś ci leży na sercu.

Klara skinęła głową, nie wiedząc, od czego zacząć.

- Mam na imię Klara - przemówiła w końcu - i jestem córką hrabiego Tuluzy... - Milczała przez dłuższą chwilę, próbując uporządkować myśli, zaniechała tego jednak i pozwoliła swobodnie płynąć słowom: - Tak więc chciałabym cię prosić, pani, o radę - zakończyła swoją opowieść.

Perfecta poruszała niemo ustami; przez dłuższy czas nie wydobyło się z nich ani jedno słowo. Przyglądała się Klarze jasnymi, pełnymi głębokiego smutku oczami. Sprawiała wrażenie, że rozmawia z Bogiem, czekając na jego wskazówki.

W końcu przemówiła głosem, który zdawał się płynąć z bardzo daleka: - Nie igraj z losem, Klaro, gdyż nie znasz ani ścieżek diabła, ani naszego Pana. Podczas swej ziemskiej wędrówki nigdy nie będziesz w stanie ich rozróżnić, nawet jako „doskonała”, którą zapewne kiedyś zostaniesz. Nigdy nie będziesz wiedziała, czy następstwa twoich czynów będą dobre czy złe. Pod kłamstwem może ukrywać się prawda. A już na pewno nie będziesz wiedzieć, czy prawda w ogóle istnieje na tym świecie. Jeśli twojej przyjaciółce będzie grozić niebezpieczeństwo, a ty będziesz mogła jej pomóc, zrobisz to. Nie ulegniesz złu tego świata, lecz uczynisz to, co podyktuje ci serce, a to na pewno będzie czymś dobrym. Nie planuj niczego, kieruj się potrzebą chwili. *Fide et opere.*

Klara nieśmiało podeszła do *perfecty*. Z chęcią uściskałaby tę kobietę, nie śmiała jednak tego uczynić. Zadrzała uszczęśliwiona, gdy „doskonała” sama postąpiła ku niej i wzięła ją w ramiona. Kobiety

obejmowały się długo, aż w końcu *perfecta* uwolniła się z uścisku Klary, po której twarzy popłynęły łzy.

- Dziękuję ci, pani - powiedziała - za wszystko.

W kąciakach ust „doskonałej” pojawił się lekki uśmiech. Potem podeszła do niszy w ścianie, otworzyła znajdującą się w niej szkatułę i wyjęła z jej wnętrza wąski rulon pokryty pismem oraz zawinięty w białe płótno niewielki kawałeczek chleba.

- Przełammy się chlebem - odrzekła cicho, po czym przyciągnęła stołek i położyła na nim otwartą Ewangelię Jana. Klęcząc obok siebie, obie kobiety zmówiły Modlitwę Pańską, tę samą, której ktoś nauczył Klarę w odległej przeszłości, Ojcie nasz Kościoła rzymskokatolickiego, do której katarzy wprowadzili jedną jedyną zmianę:
- Daj nam chleba naszego nadziemskiego. - Przez ów chleb wspólnota katarów rozumiała prawo dane wszystkim narodom przez Chrystusa.

Perfecta przełamała chleb i wręczyła jedną połówkę Klarze, wypowiadając ostatni werset Nowego Testamentu: - ***Łaska Pana Jezusa ze wszystkimi.***

Kobiety podniosły się z kolan i jeszcze raz objęły.

Klara odchrząknęła, szukając słów, a potem rzekła jasnym głosem: - J a k zapewne wiesz, pani, jestem teraz w podróży. To naprawdę niezwykle i wspaniałe, że mogłam nagle w jej trakcie choć na chwilę znaleźć się w domu.

Perfecta słuchając tej odpowiedzi, lekko poblądła, ale nawet nie mrugnęła okiem. Klara rzeczywiście wróciła do domu, jednak w zupełnie innym sensie.

Spotkała właśnie swoją rodzoną matkę. Nie miała się jednak teraz tego dowiedzieć. Nie tylko dlatego, że Ermine, dawna kochanka hrabiego Tuluzy, rozumiała, że Klara troszczy się teraz o kobietę, która była dla niej jak matka. Również dlatego, że dawno temu, w przeded-

niu swego duchowego chrztu rozstała się na zawsze ze swym dawnym życiem, w tym także z małą córeczką. Z ważnych powodów. Później ze straszliwymi słowami wcisnęła niemowlę Rajmundowi w ramiona, z nadzieją, że da dziecku całą miłość, której ona musiała się wyrzec.

Stojąc w otwartych drzwiach celi, spoglądała za Klarą. Ermine od ćwierć wieku żyła jako *perfecta* i musiała przejść niezliczone próby, żadna z nich jednak nie była równie ciężka jak ta. Nie wolno jej było przywołać Klary z powrotem, nie wolno jej było wyznać, że jest jej matką.

Tak nakazywała jej miłość.

Manowce

*Pani, litości! Wszelkich dóbr znawczyni,
Więcej zacności i cnoty się mieści
W tobie niż w innej na ziemi niewieście!*

*Pieśni, słę ciebie Filipowi w dani,
Bo on na dworze; spiesz, byś tam trafiła.
W nienawiść miłość się dziś obróciła;
Trudno kochanym być od pięknej pani.*

Tybald IV hrabia Szampanii, z pieśni do Blanki

Perspektywa rychłego spotkania z ukochanym mężem dodała skrzydeł Blance, nie dotyczyło to jednak jej świty. Gdy po południu następnego dnia niewielki orszak zbliżał się do gospody, Tybald począł nalegać, by królowa zezwoliła ludziom i koniom na odpoczynek. Wszyscy byli zmęczeni i straszliwie głodni, a już niebawem miał zapaść zmrok.

Blanka potrząsnęła głową.

- Dojedziemy do najbliższego klasztoru - zdecydowała.

- Posłuchaj tylko! - Tybald uniósł rękę, wskazując szeroko otwarte okno gospody. Wśród kłębow dymu w ciepłym blasku ognia widać było człowieka, który stał na stole z lirą korbową w rękę i śpiewał. Do grupki podróżnych docierały urywki muzyki.

- To moja pieśń! - wykrzyknął z zachwytem Tybald i podjechał na koniu bliżej gospody. - Ten człowiek istotnie śpiewa moje wersy o słowikach! - Zaczął mu wtórować: - *Twój las woła o słowiki i ciężka słodycz pośród zieleni, której pragniemy ulec, na wpół oszołomieni...* - Nagle przerwał. Na jego czole zaczęła pulsować żyłka. - Przeklęty partacz, cóż za żalosny dysonans! Pani, pozwól, bym tam poszedł i zrzucił tego człowieka ze stołu! On niszczy moją sztukę!

Nie czekając na pozwolenie, zeskoczył z konia i popędził co tchu do gospody.

Blanka obróciła się do Klary.

- Czy próżność jest właściwie grzechem śmiertelnym? - zapytała zjadliwie.

Klara wzruszyła ramionami i w milczeniu zsiadła z konia.

- Myślałam, że dobrze się na tym znasz! - stwierdziła z ironią

Blanka, również zsuwając się z siodła. - Ach nie, całkiem zapomniałam: dla was już samo życie jest grzechem, sprawą, którą najlepiej jak najszybciej mieć za sobą. Dlaczego nie popełnicie wszyscy samobójstwa? Zaoszczędziłoby to światu mnóstwo trosk.

Nie czekając na odpowiedź, której Klara tak czy owak by nie udzieliła, Blanka zdecydowanym krokiem zbliżyła się do drzwi gospody. Nagle muzyka ucichła.

W progu Blanka zderzyła się z Tybaldem, który czerwony na twarzy rzucił się do wyjścia, jak gdyby gonił go diabeł.

Nie prosił o wybaczenie, lecz chwycił Blankę mocno za ramię.

- Wyn o ś m y się stąd! - krzyknął, usiłując pociągnąć ze sobą opierającą się królową. - Tam w środku siedzi banda groźnych łajdaków. Natychmiast ruszamy do klasztoru! Pośpiesz się, pani!

Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Z drzwi wypadła horda głośno pokrzykujących mężczyzn. Grubiańsko pchnęli Blankę, tak że upadła na ziemię, pochwycili hrabiego Szampanii i rzucając przekleństwa, zawlekli go z powrotem do gospody.

Ludzie Tybalda zostawili konie i nadbiegli pędem.

- Trzymajcie nasze zwierzęta! - krzyknął jeden z nich do kobiet i dwóch starszych mężczyzn ze świty Blanki; potem masywne drewniane drzwi z hukiem zatrzęsnęły się za nimi.

- Banda łajdaków - powtórzyła Klara bezdźwięcznym głosem, pomagając Blance wstać. - Tybald ma całkowitą rację. To krzyżowcy.

Skonsternowana Blanka wpatrywała się w Klarę. - Jesteś pewna?

Klara skinęła głową. - Wierz mi, Blanko, takich ludzi potrafisz wyczuć na odległość.

- Czegóż oni mogą chcieć od Tybalda?

- Zapewne chcą go zmusić do śpiewania - odparła zgryźliwie Klara. Usiłowała zachować spokój, lecz serce waliło jej jak młotem.

Z gospody dochodził potworny hałas. Konie tak się spłoszyły, że obaj starsi mężczyźni z wielkim trudem uwiązali je do palików.

Przez drzwi słyhać było straszliwy rumor, jakby przewracano stoły i ławy. Łoskot tłumił pojedyncze odgłosy szczęki broni i zlewał się z głośnymi okrzykami. Tylko jedno słowo docierało wyraźnie do Blanki i Klary: - Zdrajca! - Przez wąskie okno dojrzeć można było jedynie płataninę ciał.

- Musimy wejść do środka - zdecydowała Blanka.

- Tak, jak tylko skończy się bijatyka - odparła Klara.

Nadeszła godzina prawdy. Teraz się dowie, jak to naprawdę było z Tybaldem. Czy to z jej powodu odłączył się od wojsk króla, czy z jej powodu dopuścił się zdrady stanu, sprowadzając przez to śmierć na katarów z Carcassonne, na Felicjana? Klara chwyciła się za głowę.

- Jesteś ranna? - spytała zaniepokojona Blanka.

- Nawet mnie nie dotknęli - odrzekła Klara i pomimo napiętej sytuacji o mało nie wybuchnęła śmiechem. Przez cały ten czas ani razu nie przyszło jej do głowy, że mogłaby zostać rozpoznana jako heretyczka, postawiona przed sąd i skazana na śmierć. „Zresztą jakim sposobem” - pomyślała spoglądając po sobie. Przydrożny kurz zmienił czarny kolor sukni, który mógł ją zdradzić, na brunatny.

Blanka podążając za jej wzrokiem, chwyciła krzyż, wiszący na jej piersi.

- Ty również powinnaś nosić krzyż - powiedziała z troską w głosie. - Mimo wszystko jesteś przecież chrześcijanką. Dlaczego najwznioślejszy symbol naszej religii budzi twoją niechęć?

- Czy czciłabyś stryżek, na którym zostałyby powieszony twój ojciec, topór, którym ścięto by głowę twemu bratu, nóż, którym podcięto by gardło twemu dziecku? - odparła gniewnie Klara.

Nie chciała teraz mówić o swojej wierze; niecierpliwie wyglądała chwili, kiedy się dowie, dlaczego dawni towarzysze Tybalda zaatakowali hrabiego Szampanii jak groźnego przestępcę.

Obie kobiety stały przed gospodą, czekając na dalszy rozwój wydarzeń.

- Nie wchodzi do środka, pani - z wysiłkiem odezwał się jeden z dwóch starszych mężczyzn. Szedł pochylony, trzymając się za bok. Koń kopnął go w zębra. Drugi mężczyzna został przez inne zwierzę przyparto do palika i lekko krwawiła mu głowa.

- Musimy tam wejść choćby po to, by was porządnie opatrzyć - stwierdziła Blanka. - Nie możecie w takim stanie wyruszyć w dalszą podróż.

Z gospody dobiegł ich ostatni potężny łomot, po czym zapadła cisza.

Klara ostrożnie otworzyła drzwi, zajrzała do środka i przywołała Blankę. Kobiety przestąpiły próg gospody, a za nimi weszli ich słudzy. Jak można się było tego spodziewać, ich oczom ukazał się obraz wielkich zniszczeń. Trociny na podłodze pokryte były skorupami rozbitych naczyń i resztkami potraw, a każdego z ludzi Tybalda trzymał w szachu co najmniej jeden obcy. Na twarzach około trzydziestu mężczyzn, cisnących się w wypełnionej dymem izbie, widniała krew, jednak nikt nie wydawał się poważnie ranny. Czterema nogami opierał się o podłogę jedynie stół pośrodku pomieszczenia. Siedział na nim Tybald z dwoma obcymi mężczyznami po bokach. Przed nimi stał czerwony na twarzy olbrzym, który najwyraźniej zamierzał właśnie zabrać głos.

Blanka zaczerpnęła powietrza. Klara szturchnęła ją lekko w zębra.
- Nie! - szepnęła ostrzegawczo. Nie zdołała jednak powstrzymać Blanki.

- Co tu się dzieje? - zapytała królowa władczym tonem.

Wszystkie głowy zwróciły się w stronę nowo przybyłych, dwóch pięknych kobiet i dwóch starszych mężczyzn.

- Czy to twoi ludzie? - zapytał Tybalda olbrzym. Ten skinął głową z nieszczęśliwą miną.

- Wyso ko urodzona dama z Szampanii na pielgrzymce - mruknął.
- J e s t pod moją opieką.

- Ładna mi opieka - zauważył barczysty mężczyzna, odsunął kilku ludzi na bok i podszedł do Blanki. Królowa nawet nie drgnęła, gdy uniósł jej podbródek. - Sądząc po szlachetnych rysach twarzy, to naprawdę wielka dama. Jeszcze. - Zaśmiał się szyderczo. - Radzę ci, pani, przywyknąć do tego pielgrzymiego ubrania, gdyż teraz, kiedy nasz ukochany król Ludwik spustoszył Szampanię, będziesz musiała chodzić w łachmanach.

- O czym ty mówisz, panie? - zapytała osłupiała Blanka.

- O tym zdrajcy! - odparł mężczyzna, przystąpił do Tybalda i uderzył go pięścią w prawe ramię. - O tym tchórze, który pozostawił króla w Awinionie na łasce losu, odwrócił się od niego, gdy nasz pan tak pilnie potrzebował jego samego i jego ludzi! Król Ludwik przeklął go i poprzysiągł, że po zakończeniu krucjaty zrówna Szampanię z ziemią.

Twarz Blanki stała się kredowobiała. Tybald spuścił wzrok.

- Co powiedział na swoją obronę? - zapytała Blanka zduszonym głosem.

- Zapytaj go o to sama, szlachetna pani! - odparł olbrzym i polecił zagradzającym drogę mężczyznom zrobić przejście dla pątniczki.

- Mów, panie! - nakazała Blanka Tybaldowi, drżąc na całym ciele. - Co ci skłoniło do opuszczenia twego pana, króla Ludwika?

Tybald mruknął coś niewyraźnie.

- Głośniej!

Teraz trubadur uniósł powieki i spoglądając Blance prosto w oczy, oznajmił głośno i donośnie: - Uczyniłem to z rozkazu królowej.

Bezczelność Tybalda z początku odjęła Blance mowę. Klara przecisnęła się do przyjaciółki i chwyciła ją za suknię.

- Daj temu pokój! - syknęła, lecz Blanka strząsnęła jej dłoń i wzburzona zgromiła Tybalda: - Co ci przyszło do głowy, hrabio, nigdy nie wydałam ci takiego rozkazu!

Jej następne słowa zginęły pośród gwizdów i głośnych okrzyków. Olbrzym podniósł rękę.

- Spokój! - zawołał, zwrócił się do Blanki i zauważył z sarkazmem: - A więc jesteś, pani, królową, zakładam, że królową jego serca?

Blanka wyprostowała się na całą wysokość, spojrzała wokół majestatycznym wzrokiem i oznajmiła: - Jestem Blanka z Kastylii, królowa Francji!

Ludzie hrabiego Szampanii skłonili głowy na znak szacunku, pełni ulgi, że nie będą już musieli zachowywać się tak, jakby nie wiedzieli, kto im towarzyszył w ostatnich dniach. Obcy rycerze wybuchnęli jednak szyderczym śmiechem.

- Tak, oczywiście, a ja jestem Honoriusz III, Ojciec Święty, biskup Rzymu! - rzucił, zaśmiewając się, olbrzym przy wtórze wrasków rycerzy. - Dobra kobieto, pozwól, że wskażę ci miejsce na nocny spoczynek. Nie będziemy osądzać tego, że przywłaszczyłaś sobie królewski tytuł. Jesteś, pani, przemęczona, a twoi podli towarzysze namieszali ci w głowie.

Tybald zerwał się na równe nogi, jednak olbrzym natychmiast usadził go z powrotem na stole.

- Ona jest tym, kim mówi, że jest! - zawołał Tybald. - Podróżuje, wypełniając tajną misję. Okażcie szacunek królowej z łaski Bożej!

Olbrzym wymierzył mu siarczasty policzek.

- Milcz, zdrajco! Jakim sposobem ta kobieta może być królową, kiedy wczoraj spotkaliśmy jej orszak! Na drodze do Clermont, gdzie jej małżonek odpoczywa w gościnie u biskupa. Siedziała wystrojona na swoim koniu. Wszyscyśmy padli przed nią na kolana!

- Gdzie to było? - zapytała pośpiesznie Blanka.

- Pół dnia drogi na południowy zachód stąd - odrzekł mężczyzna - ale po ci, pani, to wiedzieć?

- Natychmiast mnie tam prowadźcie! - rozkazała z błyszczą-

mi oczami Blanka. Zanim znów wybuchły śmiechy, dodała szybko:
- Sowicie cię za to wynagrodzę!

- Niech szlachetna pani z Szampanii łaskawie zamilknie i co żywo się stąd oddali! - ofuknął ją olbrzym. - Inaczej będę zmuszony... - przeciągnął głos, mierząc Blankę wzrokiem od stóp do głów - ...jeszcze przed przybyciem króla do Szampanii ograbić urodziwą białogłową na swój własny sposób.

Obcy rycerze, przysłuchujący się z rozbawieniem tej utarczce słownej, nie dostrzegli porozumiewawczych spojrzeń, które Tybald wymieniał ze swymi ludźmi. Również jego strażnicy całą uwagę skupili na pięknej pątniczce. To, co normalnie wywołałoby u hrabiego Szampanii święte oburzenie, teraz okazało się nad wyraz użyteczne. Na ledwie dostrzegalne skinienie głowy Tybalda, wszyscy jego ludzie poderwali się równocześnie na nogi i ruszyli na obcych rycerzy, chwytając za broń.

- Uciekajcie! - krzyknął Tybald do Blanki i Klary. Podskoczył do góry, złapał za wiszący u powały świecznik, odepchnął się stopami od stołu i kopnąwszy z całej siły kilku zaskoczonych rycerzy w twarze, z hukiem wyładował wraz z zerwanym świecznikiem tuż pod drzwiami, przez które właśnie wymykały się obie kobiety. Pozostawiając kolejną potyczkę swoim ludziom, Tybald wypadł z gospody, wskoczył na konia, którego zapędziła w jego stronę Klara, i zawołał do dosiadających rumaków kobiet: - Za mną!

Nie było czasu do namysłu. Rycerze z gospody, którzy dochowali wierności królowi, byli teraz również wrogami Blanki. Z Klarą u boku pędziła za Tybaldem w zapadającym zmierzchu w kierunku drogi. Stojące tuż nad horyzontem słońce oślepiało ją tak mocno, że zamknęła oczy, pozostawiając orientację swemu koniowi.

Na rozwidleniu dróg pośrodku lasu piniowego Tybald wstrzymał swojego ogiera i zawołał do Blanki oraz jej niewielkiej świty, by ukryli się między drzewami i tam na niego poczekali. Wyjaśnił, że

chce wrócić do swych ludzi, by ich wesprzeć, po czym pogalopował z powrotem do gospody.

„A także po to, by nie być zmuszonym do tłumaczenia się przed Blanką” - pomyślała Klara, nadal zaszokowana niedawnym wyznaniem Tybalda. Tak więc Tybald poróżnił się z królem, aby ją ratować i przekazać jej listy od Blanki! A tym samym skazał na śmierć Felicjana, Etienne'a i katarów z Carcassonne! Któż w obliczu tych faktów mógłby jeszcze wątpić, że losami tego świata nie kieruje miłosierny Bóg, lecz książę ciemności?

Zbrojni z oddziałów Tybalda, mniej lub bardziej poturbowani, stopniowo dołączali do czekających w piniowym lesie.

Na samym końcu pojawił się hrabia Szampanii. Nadjeżdżał ze wzniesionym mieczem, na który coś nadział. Przez jedną straszną chwilę Klara myślała, że przebił mieczem dziecko. Spojrzała na rozśmianą twarz Tybalda, która nagle wydała jej się przerażająco obca. Oczyma duszy ujrziała królewskie wojska, ciągnące przez kraj katarów, mordując i śmiejąc się tak samo szyderczo jak teraz Tybald, a wcześniej rycerze w gospodzie.

- Zrobiłem jeszcze małą wycieczkę do kuchni - zawołał hrabia, wskazując na swoją zdobycz, tłuste, już upieczone prosię. - Musimy przecież coś zjeść, zanim ruszymy w drogę, by znaleźć gościnną kryjówkę na noc - powiedział, zsiadłszy z konia.

Blanka podeszła do niego. Otoczona płomienno-czerwonymi promieniami zachodzącego słońca zdawała się stać w ogniu. Uniosła zaciśniętą w pięść dłoń, jej oczy ciskały błyskawice.

- Gdyby twój dotyk nie był mi tak wstrętny, hrabio, stłukłabym cię na kwaśne jabłko - wybuchła. Ton jej głosu nie pozostawiał wątpliwości, że byłaby w stanie to zrobić. - Gdybyś miał serce, z chęcią bym ci je wycięła - mówiła dalej - ty jednak jesteś, hrabio, tylko nędznym, odrażającym robakiem, na którego służbie można poślizgnąć się i upaść. Ciebie można tylko rozdeptać. Precz z mych oczu!

- krzyknęła. - Znikaj stąd ze swoją bandą łotrów! Od tej chwili nie chcę cię znać!

Splunęła mu w twarz, odwróciła się i usiadła u stóp pinii.

- Pani, pozwól mi wytłumaczyć...

Blanka zwróciła się do Klary.

- Czyżby ten nikczemnik jeszcze się nie oddalił? Przepędź go, Klaro, tego nędznego psa, tego odrażającego robaka, który mnie zdradził.

- Nigdy, przenigdy nie mógłbym cię zdradzić, pani!

Odwracając od niego oczy, Blanka oznajmiła: - Zdradził mego małżonka. To jedno i to samo, gdyż Ludwik i ja jesteśmy jednością.

- Blanko, rozważ swoją decyzję, potrzebujemy ochrony i jego opieki - szepnęła do niej Klara.

- Ładna mi opieka! - Blanka powtórzyła komentarz rycerza z gospody. - Mam dwóch naszych dzielnych ludzi, to wystarczy.

Wiekowi dworzanie, którzy wykorzystali postój do opatrzenia ran, spojrzeli na królową nieszczęśliwym wzrokiem, nie mieli jednak śmiałości zaprotestować. Blanka podniosła się i sięgnęła do kieszeni sukni. - Mam także to! - fuknęła gniewnie, dobyła szybko sztylet i wyciągnęła go z pochwy.

Postąpiła w stronę Tybalda. Nóż drżał jej w dłoni, gdy przyłożyła go do gardła hrabiego.

- Skazuję tego zdrajcę na śmierć! - powiedziała.

Tybard mógł bez trudu się uchylić, nie poruszył się jednak. Niechęsto spoglądał na umiłowane oblicze z tak bliska jak w owej chwili, nigdy wcześniej nie czuł gorącego oddechu Blanki na swojej twarzy. Za to warto było umrzeć.

- Weź moją krew, pani - wyszeptał w uniesieniu. Spod ostrza spłynęły pierwsze krople krwi. Klara rzuciła się w stronę Blanki, wyrwała jej sztylet i wsunęła go do kieszeni sukni. Nie mogła jednak zapobiec, aby ostrze nie zraniło przy tym Tybalda jeszcze mocniej.

Od wielu dni król Ludwik cierpiał na straszliwe bóle żołądka. Nic nie mogło złagodzić jego męki, zawiodła nawet wielce wychwalana biegłość w sztuce medycznej lekarzy biskupa z Clermont.

- Nie zastosowaliśmy jeszcze najskuteczniejszego leku - zauważył Archambaud, hrabia Burbonii, podczas zwołanej pewnego ranka narady, na której zjawili się najwierniejsi towarzysze króla. - J a k i wojownik nie odzyska sił, gdy popieści jędrne ciało młodej, pięknej dziewczyny?

Na twarzach zebranych malowała się konsternacja. Wszyscy myśleli o tym samym - każdemu z nich taki środek leczniczy bardzo by odpowiadał; w przypadku króla było to nie do pomyślenia.

- Nigdy nie spojrział pożądliwie na inną kobietę niż królowa, nie mówiąc już o dotknięciu - wtrącił w końcu jeden z wasali.

- Być może to jest właśnie przyczyną jego niedomagania - zasugerował hrabia Burbonii. - Wiązać się tak mocno tylko z jedną niewiastą jest niezdrowe dla duszy i ciała. Wytykał mu to już jego świętej pamięci ojciec. Przyprowadzę mu do łóża chętną dziewczkę, urodziwą i z temperamentem. Nie mamy nic do stracenia - dodał lekko zakłopotany.

Kilku wasali przytaknęło. Należało spróbować wszystkiego, każdy środek był dobry, jeśli tylko dzięki niemu król mógł wyzdrowieć.

W najwspanialszej alkowie siedziby biskupa, w której sto trzydzieści jeden lat temu wezwano rycerzy do pierwszej krucjaty przeciwko muzułmanom, na stojącym na podwyższeniu łóżu spoczywał Ludwik. Patrzył na krucyfiks, który wisiał na przeciwległej ścianie. Czując zbliżający się koniec, rozmawiał z Bogiem.

Był tak pogrążony w modlitwie, że nie usłyszał, jak ktoś cicho uchyla drzwi. Nagle krzyż przesłoniła mu piękna naga kobieta z rozpuszczonymi złocistymi włosami i pełnymi, mlecznobiałymi piersiami.

Ludwik skamieniał. Jak diabeł miał czelność zbliżyć się do niego w takiej godzinie!

- Idź precz, szatanie - powiedział łamliwym głosem.

Kobieta uniosła ręce, by przerzucić wspaniałe kręcone, długie blond włosy przez ramię, pogładziła jedną dłońią pierś, drugą odsłaniając srom ukryty pośród złocistego runa, i wyjaśniła głosem dźwięcznym jak dzwon: - Przysłano mnie, bym cię ogrzała i rozweleliła, najjaśniejszy panie.

Zbliżyła się do łoża, usiadła na jego brzegu, po czym ujęła dłoń króla Ludwika i jeła wodzić nią po swoim biuście. - Zobacz sam, miłościwy królu, ile mam w sobie życia. Powinieneś mieć w nim swój udział, ażebyś jak najszybciej poczuł się lepiej.

Ludwikowi nie starczyło siły, by zabrać dłoń, która teraz pieściła jasny pęk jej kształtnej piersi.

Spojrzał na przeciwległą ścianę.

- Panie - modlił się do krzyża - uwolnij mnie od zła wszelkiego, odpraw tę kobietę, którą szatan przysłał do mego łoża...

- To nie był szatan, lecz hrabia Archambaud! - zawołała dziewczka z oburzeniem i podniosła się. Idąc ku drzwiom, powiedziała: - Nie mam w zwyczaju narzucać nikomu swych usług!

Wyszła dumnym krokiem i w progu wyrwała czekającemu na nią hrabiemu płaszcz z ręki.

- On uważa mnie za diabła! - zawołała, ze spokojem okrywając swą nagość. - Żądam za to dodatkowej zapłaty!

- Dostaniesz ją, dostaniesz - powiedział Archambaud z rozragnieniem i wszedł przez otwarte drzwi do alkowy króla.

- Nie mogę tutaj zostać - rzekł Ludwik. - Zabierzcie mnie do miejsca, gdzie nic nie będzie zagrażało zbawieniu mojej duszy Czas, jaki mi pozostał jeszcze na ziemi, pragnę spędzić na modlitwie.

Jeszcze tego samego dnia wieczorem orszak króla wyruszył do zamku Montpensier. Ludwik mówił już z trudnością, mimo to wewał do siebie swych najwierniejszych wasali. W tym czasie nie czyniono już żadnych prób, by pomóc monarsze wrócić do zdrowia - nawet jeśli trudno było rozpoznać, jakich cierpień Ludwik doznaje.

Stara zielarka, którą przepuszczono do zamku, oświadczyła stanowczo, że król został otruty i umrze tutaj, w Montpensier, tak jak to przepowiedział niegdyś wielki czarodziej Merlin. - Na górze brzucha zaśnie na wieki król łagodny — zacytowała bezzębnymi ustami słynne proroctwo.

Wypytano wszystkich, którzy byli odpowiedzialni za przygotowanie posiłków i napojów, jednak nie przyniosło to żadnego rezultatu. Drugiego podczaszego niezmiernie uradowała kiepska pamięć rycerzy, którzy najwyraźniej zapomnieli o tym, że w dniu urodzin króla podał mu, jako jedynemu, pewien szczególny trunek. Ogarnął go przemożny gniew na hrabiego Szampanii, który uczynił zeń swego zausznika. Sumienie nie pozwalało mu pogodzić się, że trucicielowi uszło to na sucho. By jednak na niego samego nie padło podejrzenie, nie mógł zrobić nic innego, jak tylko, zachowując ostrożność, rozpuścić stosowne pogłoski.

Jeszcze tego wieczoru podczas pogawędki z giermkim rzucił uwagę o „bardzo wolno działającej truciznie”, uzyskiwanej z rośliny, która rośnie głównie na terenach mającej niebawem zostać zniszczoną Szampanii. Liście tej nieznaney rośliny nosił zawsze przy sobie w płóciennym woreczku hrabia Tybald, zawsze gotowy pozbyć się swoich wrogów.

Otoczony przez stojących wokół łoża wasali, Ludwik modlił się głośno do Boga. Prosił, by Pan okazał mu łaskę i pozwolił jeszcze raz ujrzeć ukochaną żonę i pożegnać się z nią.

- Królowa wyruszyła już w drogę i musi być niedaleko stąd - za-

pewnił króla hrabia Burbonii - wytrzymaj jeszcze trochę, miłościwy panie!

- To już ode mnie nie zależy - rzekł król. Kazał wasalom złożyć przysięgę, że uznają jego syna Ludwika za następcę tronu i będą mu wiernie służyć, po czym sporządzono dokument, który każdy z obecnych na zamku baronów opatrzył swoją pieczęcią.

Przeciagnąwszy ostrzem po szyi Tybalda, królowa wskoczyła na konia i pogalopowała przed siebie zakurzoną drogą. Tybald osunął się nieprzytomny na kolana, jęcząc cicho. Wprawdzie z jego szyi sączyła się krew, nie tryskała jednak strumieniem, jak u śmiertelnie rannych. Klara przyklękła obok niego i obejrzała cięcie. Rana nie była głęboka.

- Zawieźcie go do najbliższego klasztoru! - zawołała do ludzi hrabiego, którzy stojąc bez ruchu, obserwowali całe zajście, niepewni, jak mają się zachować. Byli winni Tybaldowi wierność, nie odwazyli się jednak podnieść ręki na królową Francji, którą ich pan przez całe życie czcił i opiewał w pieśniach. Poruszyli się dopiero, gdy Klara dosiadła konia i wraz z obydwooma dworzanami ze świty Blanki pośpieszyła za królową.

- Czy on nie żyje? - zapytała Blanka, gdy Klara ją dogoniła.

- Nie - odrzekła Klara - nie obciążęś swego sumienia tym przewinieniem. Ale co teraz będzie? Nie wiemy przecież, gdzie znajduje się orszak z Lisette i twymi dziećmi.

- Ten człowiek w gospodzie powiedział, że na południowy zachód stąd - odparła Blanka stanowczym tonem.

- Słońce już zaszło, nie mamy więc przewodnika. A wkrótce zrobi się zupełnie ciemno.

- Pojedziemy po prostu tak, jak poprowadzi nas droga.

Łatwiej było to powiedzieć, niż zrobić. Ziemię ogarnął mrok, a księżyc jeszcze nie wzeszedł. Nigdzie nie było widać było światła

w wioskach, czy choćby w jednym domostwie. Zaczynało się też robić dotkliwie zimno.

- Zatrzymajmy się na noc na poboczu drogi - zaproponowała Klara.

Również obaj dworzanie błagali królową, by zrobić postój.

- Powinniśmy byli zabrać to prosie! - wyrzekął starszy z nich.

- I wody też już nie mamy!

- Ja mam jeszcze pół bukłaka - oznajmiła Klara.

- J a k to możliwe? - spytała zaskoczona Blanka, ściągając cugle.

- Nauczyłam się obywać niewielką ilością - odparła cicho Klara.

- Dobrze, zatrzymamy się więc i poczekamy, aż księżyc będzie mógł nam znów wskazać drogę. Odpoczniemy nieco, a ten, kto pierwszy zobaczy światło, obudzi innych.

Zsiedli z koni, uwiązali je do drzew, podzielili między siebie wodę z bukłaka Klary i położyli się, otuleni w płaszcze i derki, na gołej piaszczystej ziemi.

W tym nietypowym miejscu pomimo trzasków rozlegających się w głębi lasu i pohukiwania puszczyka Klara natychmiast zapadła w niespokojny sen. Przyśniła jej się katarka z Macón. W piękny słoneczny letni dzień stała pośrodku kwitnącego pola lawendy pomiędzy spokojnie śpiącym lwem i białą owieczką, Za nią wznosiły się pokryte śniegiem górskie szczyty. Rzeński wiatr powiewał jej czarną suknią. Z uśmiechem przywołała do siebie Klarę.

- Jeszcze długa droga przed tobą, moje dziecko - rzekła. - Chciałabym ci tego oszczędzić, lecz czeka cię jeszcze wiele ziemskiej udręki, nim będziesz mogła zostać „doskonałą”.

Pierwsza udręka objawiła się pod postacią potrząsania przez Blankę, która próbowała ją dobudzić. Klara chętnie pozostałaby dłużej na lawendowym polu z *perfecta*.

- Musimy ruszać dalej - ponaglała ją królowa, wskazując na niebo, na którym widniał błąd księżyc, rzucający słaby blask. - Jestem

potrzebna Ludwikowi, przyzywa mnie, czuję to! Jest bardzo blisko!

Ludwik rzeczywiście ją przyzywał. Była to bowiem chwila, w której z jej imieniem na ustach przeniósł się do wieczności. W oktawę Wszystkich Świętych spełniła się przepowiednia czarodzieja Merlina. Ludwik, łagodny lew, umarł na „górze brzucha”.

Być może jego dusza w rzeczy samej musnęła w przelocie Blanکہ. Być może również trzech ludzi, podążających za odgłosami wydawanymi przez konie, nie było wysłannikami szatana, lecz innych mocy, które miały w godzinie śmierci jej małżonka połączyć z nim Blanکہ, czemu potrafił przeszkodzić Lucyfer.

Myśli te przyszły Klarze do głowy dopiero wiele dni później.

W chwili, gdy trzy podejrzane postacie rzuciły się z pobocza drogi na małą grupkę obozujących, mogła tylko krzyczeć.

Tybald po raz pierwszy w życiu popadł w omdlenie. Nie powaliło go zranienie, lecz niepodzielna uwaga królowej. Nigdy wcześniej nie znajdował się tak blisko niej, nie czuł się z nią tak związany, jak w chwili, gdy przyłożyła mu sztylet do gardła, gdy poczuł jej oddech na swojej twarzy, jej skórę blisko swojej, jej ciało blisko swego. Naprawdę pragnął w tym momencie umrzeć.

Ocknął się dopiero w klasztorze, gdy jeden z jego ludzi chlusnął mu w twarz zimną wodą.

- Gdzie ja jestem? - wychrypiał, otworzył oczy i rozejrzał się po skromnej zakonnej celi. Inaczej wyobrażał sobie raj.

- W bezpiecznym miejscu, panie - odrzekł rycerz. - Najjaśniejsza pani zadała ci paskudną ranę, ale nie martw się, panie, będziesz żył.

- *Ach, powaliła mię rana, przez królową zadana* - zanucił Tybald i szybko się poprawił: - *Nie masz śmierci słodszej jak od sztyletu pani naszej.*

Rycerz skinął głową, uradowany. Hrabia Szampanii najwyraźniej przyszedł do siebie. Tybald podniósł się gwałtownie.

- Gdzie ona jest?
- Ruszyła dalej.
- Sama? - zapytał z przerażeniem.
- Ze swoją świtą.
- Jaką świtą? Tylko z Klarą i tymi dwoma starcami? Nikomu z was nie przyszło do głowy, by jej towarzyszyć?
- Nie mieliśmy takiego rozkazu. Martwiliśmy się o ciebie, panie. Tybald zerwał się z łoża i chwycił za obandażowaną szyję.
- Teraz wydaję wam rozkaz! Czyście wszyscy powariowali? Pozwoliliście jechać królowej Francji bez eskorty? Przez dziki kraj, pełen rozpuszczonych najemnych żołnierzy, którzy grasują po okolicy plądrując i grabiąc? I czekają tylko na to, by wpały im w ręce ładne kobiety? Ruszajcie w drogę!
- Jest ciemno, panie.
- Weźcie pochodnie! Natychmiast!

Było już jednak za późno. Dwaj starsi, wyczerpani mężczyźni byli łatwym łupem dla napastników. Jeszcze we śnie zostali zakłuci przez podejrzaną postać.

- Biegnij, Blanko, biegnij! - zawołała Klara, której przy tych słowach znów przeszedł po plecach dreszcz. Wyrwała z kieszeni sukni sztylet, którym królowa zraniła niedawno Tybalda.

- Spójrzcie tylko, kobiety! - usłyszała Klara radosny okrzyk tuż za sobą. Ręką trzymającą sztylet machnęła do tyłu i przeraziła się śmiertelnie, gdy ostrze zagłębiło się w ciele napastnika. Obróciła się szybko. Mężczyzna padł na kolana, trzymając się za bok. Gdy drugi napastnik rzucił się w kierunku Klary, bez zastanowienia wyrwała sztylet z ciała rannego. Kątem oka dojrzała, jak trzeci mężczyzna chwytając Blankę, podwija jej suknię do góry i sięga do rozcięcia swojej długiej do kostek tuniki.

- Prawdziwa tygrysyca - warknął drugi napastnik Klary, przyskakując do niej z zakrwawionym nożem. I znów Klara okazała się szybsza. Trafiła mężczyznę w głowę. Ten odstał od niej, krzycząc i zasłaniając twarz. Z oka lała mu się krew.

Drugi mężczyzna, pochylający się już nad Blanką, obejrzał się i nagle całym ciężarem upadł na królową. W jego plecach tkwił sztylet.

W przeciwieństwie do dwóch pozostałych skończył od razu. Klara osunęła się na kolana i z przerażeniem patrzyła na dwóch napastników, którzy jęcząc z bólu, leżeli na ziemi kilka stóp od niej.

- Musimy im pomóc - chciała powiedzieć, ale nagle opuściły ją wszystkie siły. Nie była w stanie się podnieść czy choćby poruszyć nogą.

Blanka wyczołgała się spod martwego mężczyzny, stanęła na równe nogi, otrzepała kurz z pielgrzymiej szaty i wygładziła ją.

W bladym świetle księżyca przyjrzała się dwóm wijącym się w boleściach postaciom na ziemi.

- Klaro - szepnęła z głębokim szacunkiem - jesteś prawdziwą bohaterką!

- Pomóż im, Blanko - powiedziała cicho Klara.

- Ależ oczywiście - odparła Blanka. Jednym ruchem wyciągnęła sztylet z pleców mężczyzny, któremu Klara przeszkodziła ją zniewolnić i pochyliła się nad napastnikiem, skrzęcającym się z bólu na ziemi tuż obok Klary.

- Załatwione - rzekła królowa, po czym podeszła do drugiego ranego, który cicho rżęąc, kurczowo obejmował cienki pień drzewa.

Po krótkiej chwili zapadła śmiertelna cisza.

- Co z nimi zrobiłaś? - spytała Klara, która wciąż jeszcze nie była w stanie się poruszyć.

- To, co nie udało mi się w przypadku Tybalda - odrzekła Blanko. - Chodź, Klaro, opuśćmy jak najszybciej to straszne miejsce.

- A zabici?

Klara wskazała na dwóch ludzi, którzy nie zostali w Asyżu.

- Z pewnością dzielnie się bronili, ale teraz są w ręku Boga. Teraz nie możemy już nic dla nich zrobić - tłumaczyła Blanka.

- Ale przecież nie możemy ich tak po prostu zostawić. Pozostawionych również.

- A jak chcesz ich pochować? - zapytała Blanka, ocierając nóż liśćmi zerwanymi z młodego drzewka.

- Powinniśmy położyć ich na drodze. Przy odrobinie szczęścia znajdą ich jacyś ludzie, zanim dobiørą się do nich zwierzęta - zaproponowała Klara.

Czuła się śmiertelnie zmęczona.

Następnego wieczoru dotarły do niewielkiej osady, której ludność wciąż jeszcze była pod wrażeniem niezwykłego wydarzenia sprzed kilku godzin, a mianowicie przejazdu orszaku królowej.

- Jak łaskawie i dostojnie pozdrawiała nas ze swego powozu - opowiadała miejscowa dziewczyna. - Teraz moja ciężko chora matka może spokojnie umrzeć: widziała królową!

- Pomódlmy się z twoją matką - zaproponowała Blanka. Mogła przynajmniej to jedno uczynić dla umierającej - pokazać się jej. Gdy kobiecina wyzna przed Bogiem, że widziała królową, będzie to zgodne z prawdą.

Młoda niewiasta nieufnie przyglądała się Blance. - My sami jesteśmy biednymi ludźmi. - Blanka uznała, że ta uwaga odnosi się do jej rozdartej w wielu miejscach, zabrudzonej pielgrzymiej szaty.

Klara jednak zauważyła spojrzenie dziewczyny, utkwione w krzyżu ze szerniałego srebra, który Blanka nosiła na szyi.

Postąpiła do przodu i położyła młodej kobiecie rękę na ramieniu. - Bóg poprowadzi twoją matkę do szczęśliwego końca, gdyż są przy niej „dobrzy ludzie” - szepnęła tak cicho, by tylko ona ją usłysze-

szła. Szybko chwyciła dziewczynę za ramię, zanim ta zdążyła paść na kolana i poprosić o *melioramentum*.

- Nie jestem „doskonałą”. Nie mogę udzielać *consolamentum*
- powiedziała co prędzej.

- Ale znasz się na tym, pani! - wykrzyknęła młoda kobieta z rozpaczą w głosie. - Spraw, aby moja matka mogła umrzeć w spokoju ducha!

- Przecież widziała królową - wtrąciła Blanka, która niewiele rozumiała z tej rozmowy.

- Na co cierpi twoja matka? - zapytała Klara.

- Umiera z głodu.

- To niemożliwe - odparła Blanka z niedowierzaniem. - J a k może umierać z głodu, kiedy nas, obcych, gościecie sutym posiłkiem!

- I już wcześniej była ciężko chora? - spytała Klara.

Młoda kobieta skinęła głową.

- Ale w takim razie udzielono jej już *consolamentum* - zgadywała Klara.

- To prawda, ale gdy potem wydobrzała, nie mogła znieść, że jest znów narażona na grzech. Mówiła, że jej czas już nadszedł, lecz diabeł nie chce jej uwolnić. Gdyby miała choć trochę sił, rzuciłaby się w przepaść, jak mój ojciec. - Dziewczyna wskazała głową w nieokreślonym kierunku.

- Nie powinna tracić nadziei - rzekła Klara. - Zaprowadź mnie do niej. Spróbuję...

- Czy mogę wiedzieć, o czym mówicie? - wpadła jej w słowo Blanka.

- Nie - odparła szorstko Klara. - To nie ma nic wspólnego z królową, choćby ujście jej, spotkanie z nią było najbardziej podniosłym przeżyciem.

Natychmiast pożałowała hardych słów, które musiał jej chyba podszepnąć diabeł.

- Wybacz mi - rzekła, po czym podeszła do Blanki i objęła ją. Zręcznym ruchem ukryła krzyż za wycięciem sukni Blanki.

- Pójdziemy razem do twojej matki - zwróciła się do młodej kobiety.

I tak oto umierająca stara kobieta nie tylko ujrzała prawdziwą królową, lecz także usłyszała słowa, które mogły wyjść tylko z ust „doskonałej”. *Endura* okazała się wielce pożyteczna. Chora mogła teraz umrzeć w spokoju ducha.

Dwa dni później Klara i Blanka dogoniły orszak królowej. Blanka trzymała się na uboczu, natomiast Klara od razu ujawniła swoją obecność. Lisette, która co prawda rozkoszowała się hołdami, jakie oddawał jej lud, była niezmiernie szczęśliwa, że wreszcie może porzucić rolę królowej.

- Tak strasznie bałam się spotkania z królem - wyznała, gdy szła z Klarą do strumienia, w którym Blanka myła się po podróży. - I z dziećmi. Po drodze odbieraliśmy je kolejno, lub one dołączały do nas - takie było polecenie królowej Ingeborgi. I dzieci nie mogły przywitać się z matką. Były coraz bardziej zaniepokojone. Nie mogły zrozumieć, dlaczego matka nie chce ich widzieć po tak długiej nieobecności, dlaczego są trzymane z dala od niej. Mały Ludwik zakradł się nawet pewnej nocy potajemnie do mojego namiotu i obsypał mnie pocałunkami. To było straszne, kiedy musiałam odeśłać go bez słowa wyjaśnienia. Byliśmy zmuszeni wtajemniczyć także wielu innych ludzi, by zapobiec najgorszemu. Bogu dzięki, że jest już po wszystkim.

Rozbierając się, spojrzała z nieszczęśliwą miną na stosik ciemnych ubrań, odłożonych przez Blankę, padła jednak natychmiast na kolana, gdy piękna w swej nagości królowa wspięła się po stromej skarpie.

- Znakomicie się spisałaś, Lisette - pochwaliła ją Blanka, podając jej dłoń. - Nie musisz zakładać tego brudnego ubrania.

Zaproponowała Klarze, by wróciły do orszaku i poszukały w bagażach królowej prostej sukni dla Lisette. Już niebawem będzie podróżować ze swiątą Blanki jako jedna z dam dworu, na razie jednak należało nieco zmienić jej wygląd, tak by podobieństwo do królowej nie rzucało się zbyt w oczy.

- I jak mamy to zrobić? - zapytała bezradnie Klara. - W końcu nie możemy jej tego podobieństwa wyciąć z twarzy - dodała szybko, widząc, że Blanka przygląda się sztyletowi, którym Klara zadała ciosy napastnikom.

- Tak, to, rzecz jasna, nie wchodzi w rachubę - przyznała Blanka i schowała sztylet w kieszeni królewskiej szaty, która pomyślana była właściwie do przechowywania małego zwierciadła i innych przybórów do upiększania. - W przyszłości będę się mogła sama bronić przed napastnikami - powiedziała. - To również jest jakaś forma wolności.

Klara miała inne zdanie. Nigdy nie będzie już nosić przy sobie sztyletu. Ona, która od wielu lat nie zabiła żadnej muchy, która lękała się, że rozdepcze małe stworzenia i wybierała czerwie z mąki, by je ratować, miała teraz na sumieniu śmierć trojga ludzi. Jak kiedykolwiek mogła zostać „doskonałą”?

Oczy Lisette rozszerzyły się z przerażenia.

- Zrobiłaś, co do ciebie należało - rzekła niecierpliwie Blanka, zwracając się do Klary. - W moim otoczeniu nie może się nagle pojawić tak podobna do mnie dworka. Co proponujesz?

Klarze zaświtała pewna myśl. Tybald był wprawdzie nieprzytomny, ale nie ciężko ranny. Czcił Blankę i kochał ją, Klarę. Nigdy nie dopuściliby do tego, by one, najważniejsze w jego życiu, bezbronne kobiety podróżowały konno przez kraj, mając za towarzyszy jedynie

dwóch starców. Gdy tylko odzyska przytomność, ruszy za nimi, była tego pewna.

- Wyślij Lisette z ludźmi, którzy wiedzą, że pełniła rolę twojej zastępczyni, naprzeciw hrabiemu Szampanii - zasugerowała. - Sądzę, że od jakiegoś czasu znów podąża naszym śladem i zapewne jest już niedaleko.

- Tybald? - zapytała Blanka z niedowierzaniem. - Przecież on jest na wpół martwy. A po tym wszystkim, co między nami zaszło, nigdy nie ośmieli się do nas zbliżyć.

- Znam go - przekonywała ją Klara. - Jest już w drodze do nas i zaopiekuje się Lisette.

- Jeśli tak uważasz - odrzekła zniecierpliwiona Blanka - wyślij ją do niego.

Nie chciała już dłużej roztrząsać sprawy żony kamieniarza, lecz tak szybko jak tylko to było możliwe, przytulić do siebie dzieci, za którymi ogromnie tęskniła. Ubrała się pośpiesznie. Z braku któregoś ze swych drogocennych pachnideł, rozkruszyła kilka listków dzikiego rozmarynu i wtarła go w szyję i dekolt.

- Idź już, sprowadź prędko ludzi, którzy zajmą się Lisette, a potem moje dzieci! - ponaglała Klarę.

Ta jednak nadal nie ruszała się z miejsca.

Lisette stała na skarpie, patrząc na strumień. Z ulgą stwierdziła, że jest za płytki, by można ją było w nim utopić. Po raz kolejny ogarnął ją bowiem śmiertelny strach.

- Musisz podać dzieciom jakieś rozsądne wyjaśnienie, dlaczego podczas całej podróży nie mogłaś się z nimi ani razu zobaczyć - rzekła Klara.

- To proste - odparła Blanka. - Powiem, że byłam ciężko chora i mogłam jedynie pokazywać się ludowi. Nie chciałam, aby się przestraszyły.

- Dobry pomysł. Zwołam w takim razie ludzi, którzy wiedzą o Lisette, by ruszyli spotkać się z Tybaldem - oznajmiła Klara.

- Tylko nie każ jechać mojej pokojówce! - krzyknęła za nią Blanka. - Będzie mi jeszcze potrzebna!

Lisette nie mogła uwierzyć własnemu szczęściu, gdy wraz z dwiema kobietami, które znały jej tajemnicę, i kilkoma również wtajemniczonymi mężczyznami wysłano ją naprzeciw hrabiego Szampanii. Wbrew swym najgorszym oczekiwaniom zdołała przeżyć rolę królowej. Rolę, której już nigdy w życiu się nie podejmie, poprzysięgła sobie. Ale jeśli w przyszłości znów otrzyma takie polecenie, jak będzie mogła odmówić dwóm potężnym królowym? Musi się gdzieś ukryć. Tylko dokąd miałyby się udać?

Gdy mała grupa podróżnych w nieznośnej duchocie wolno posuwała się kamienistą górską ścieżką, Lisette myślała o tym, że wszystko, co tak ceniła, nie ma żadnego znaczenia. Nie została jej nawet choćby skromna część sowitego wynagrodzenia od królowej Ingeborgi. Antoine, jej mąż, wyznał, że rozdał wszystkie pieniądze ubogim. Na wspomnienie tego ostatniego spotkania czoło Lisette wciąż okrywało się zimnym potem.

- Odpocznijmy chwilę - poprosiła swoich towarzyszy, gdy wspięli się na niezbyt wysokie wzgórze. Wskazała na rozłożysty platan, pod którym szybko rozłożono dla niej derkę. Członkom małego oddziału, którzy tak długo byli posłuszni rzekomej królowej, nigdy nie przyszłoby do głowy, by traktować Lisette jak równą sobie; zbyt głęboko zakorzenił się w nich obraz królowej, by mogli czeokolwiek odmówić jej sobowtórówi. Lisette z wdzięcznością przyjęła tę ostatnią oznakę poddania iluzorycznej władzy i kazała sobie przynieść kubek wody. Przymknęła oczy, by nie patrzeć na ścielący się u jej stóp krajobraz, który zdawał się tak poprzecinany rozpadlinami i niedostępnymi, jak świat jej myśli.

I wówczas oczyma duszy ujrzała swego męża, kiedy po raz ostatni przybył do pałacu na wyspie Cité, by ukończyć szkic jej postaci. W głowie Lisette dźwięczało echo jego słów.

- Twoja podobizna jest już gotowa - powiedział, nie dotknąwszy jej nawet na powitanie. - Ale nigdy nie będzie zdobić galerii rzeźb. Przyszedłem, by się z tobą pożegnać.

Kobieta, która jeszcze kilka tygodni temu twierdziła, że nie kocha już swego męża, była mocno skonfundowana.

- Dokąd idziesz? - zapytała głosem opuszczonej żony.

Kamieniarz spojrział na przystrojoną w królewskie szaty i klejnoty kobietę, która stała mu się zupełnie obca, po czym rzekł: - Tam, gdzie nie będziesz mogła za mną pójść, Lisette, choć chciałbym, byś była blisko mnie. Udaję się do królestwa świątości i prawdy, które jest wolne od wszelkiej pychy i jakiegokolwiek własności.

- Wolne od jakiegokolwiek własności?

- Rozdałem cały nasz majątek, Lisette, gdyż niczego już nie potrzebuję, a ty masz zapewniony byt na królewskim dworze.

Zastępczyni królowej zerwała się z krzesła, który służył jej za tron, rzuciła się na męża i z wściekłością zaczęła okładać go pięściami po ramionach.

- Rozdałeś moje pieniądze!

Antoine pochwycił jej dłonie i przytrzymał je mocno.

- Spójrz na mnie, Lisette - poprosił. - I posłuchaj uważnie.

Przerażająca myśl, że spotkała ją taka krzywda i znowu jest uboga, dosłownie sparaliżowała Lisette. Nie mogła się mu sprzeciwić. Słuchała cichych, stanowczych słów Antoine'a, lecz ich sens nie docierał do niej, zupełnie jakby jej mąż mówił w obcym języku.

Teraz, na wzgórzu pod platanem, w parnym powietrzu, zwiastującym burzę, udało jej się przetłumaczyć parę zapamiętanych strzępów z jego przemowy. Antoine dołączył do grupy rzemieślników, którzy ryli sekretne posłanie w kamiennych blokach wznoszonej

przez siebie katedry. Było ono przeznaczone dla wtajemniczonych i dla potomności. Mówił jej już o tym podczas poprzednich spotkań w pałacowej komnacie. Wspominał wówczas także, że te wyryte w kamieniu znaki mają coś wspólnego z sensem życia i związkiem pomiędzy niebem a ziemią. Tę nowo zdobytą wiedzę pomogli mu lepiej zrozumieć „dobrzy ludzie”, których niedawno poznał. W tym momencie Lisette przerwała jego wywód.

- Lepiej zrozumiałeś, że masz rozdać wszystko, co posiadasz, że masz wszystko stracić?

- Tylko jeśli nie ma się nic do stracenia, można stać się zupełnie wolnym - odparł po prostu.

Zaciągnięte ciemnymi chmurami niebo przecięła błyskawica, przywołując Lisette do rzeczywistości i napędzając jej strachu.

- Pani! - zawołał jeden z jej towarzyszy, zwracając się ceremonialnie do Lisette. - Musisz się schronić!

Wstała i bez słowa pozwoliła się zaprowadzić do niewielkiej, odkrytej przez zaradnego knechta jaskini, gdzie ciasno ściśnięci mogli przeczekać burzę, która właśnie się rozpętała.

Wiadomość o śmierci króla dotarła już następnego ranka, nikt jednak z dworzan nie odważył się przekazać jej tak niespodziewanie poweselałej od poprzedniego dnia, niemal beztrudnej teraz królowej. Zwłaszcza że teraz była otoczona dziećmi, które od wyjazdu z Paryża trzymała z dala od siebie. Blankę powiadomiono tylko o tym, że Ludwik zatrzymał się w oddalonym o pół dnia drogi Montpensier.

- W takim razie jego syn powinien wyjechać mu naprzeciw! - wykrzyknęła zachwycona. - Jakże król się ucieszy, kiedy będzie miał wokół siebie całą rodzinę! - Ci, którzy znali prawdę, czując się bardzo niezręcznie, zgodzili się na to, by chłopiec pojechał przodem.

Wkrótce potem mały Ludwik dołączył z powrotem do orszaku królowej.

- Kanclerz kazał mi zawrócić - powiedział bezradnie, spoglądając na matkę wielkimi, wystraszonymi oczami.

Blanka, która nie jechała na swoim koniu, lecz siedziała obok Klary w obitym aksamitem powozie, zdobionym w złote lilie, zapytała zniecierpliwiona swego jedenastoletniego syna: - Ale dlaczego?

Chłopiec wzruszył ramionami.

- Kanclerz mówił strasznie poważnym głosem - powiedział i zaczął płakać.

- Nie!

Blanka dała znak stangretowi, by się zatrzymał. Do powozu natychmiast pośpieszył jeden z giermków i rozłożył w drzwiczkach drewniane schodki.

- Gdzie jest mój koń?

Klara również wysiadła z powozu.

- J a d ę z tobą.

Lecz nim giermek przyprowadził królowej konia, na miejscu zjawił się już kanclerz Ludwika.

Ze spuszczonej oczami padł przed Blanką i małym Ludwikiem na kolana.

- Pani, taka była niepojęta wola Boga...

- Nie! - krzyknęła ponownie Blanka. - Tylko nie mów mi, że on nie żyje!

Kanclerz schylił głowę jeszcze niżej i skinął nią potakująco.

Blanka powoli uniosła twarz ku niebu, wpatrując się weń nieruchomym wzrokiem.

- Boże! - zawołała głosem pełnym gniewu i rozpacz. - Boże! Nigdy Ci tego nie wybaczę!

Błyskawicznym ruchem z kieszeni, przeznaczonej na małe zwierciadło, wyjęła sztylet i skierowała go ku swej piersi.

Intrygi

*Blanko, Blanko nadobna z Kastylii,
Francuska Królowo, mój kwiecie lilii,
Czysta jak śnieg i jako on biała!
Nieskorym patrzysz okiem na me miłowanie,
Jak srogo byś jednak nie patrzyła na nie,
Nie uciszysz cierpienia, któreś mi zadała.*

*To Tybalda z Nawarry żale i lamenty,
Bezustannie płyną w mrocznej nocy odmęty
Poprzez lasy i błonia, aż po pierwsze brzaski.
Jej oddał najgorętsze swoje pragnienia
Myśli, uczucia i wszystkie dążenia,
Tak łubej Pani pragnąc zazna łaski.*

*Ale jak księżyc swych marszrut po niebie nie zmienia,
Zawsze tak samo obojętny na ziemskie cierpienia
Tak ona dumnym idzie krokiem przez swe życie,
Synek w całości pochłania jej troski,
Ludwik, któremu pisany świętości laur boski,
Miłość Tybalda zaś wciąż wzrasta skrycie.*

*Przed tym, co inni otaczają kultem:
Ucieką, bojem, bitewnym tumultem,
Ucieka niczym zwierzę spłoszone w knieje
Nie dobędzie miecza, nie spuści przyłbicy,
Miał walczyć, wciąż duma o oblubienicy,
Jego serce z dzikiej tęsknoty szaleje.*

*Nieszczęsny, poszedł do mędrca. Ten rzecze:
„Pragniesz od trosk się uwolnić, człowiecze?
Dobrze zapamiętaj, co powiem, nadstaw ucha:
Miłość podobna jest kwiatom południa
To ciepło zamienia ją w cud dnia,
Tak żar namiętny ogarnia i ciało i ducha.*

*Afekt na zawsze pozostawia ślad,
Lecz odzyskasz część życia, które był ci skradł,
Kiedy odkryć ci przyjdzie sztuki domenę.
Chwyć za pióro, odkryj lutni dźwięki,
A wnet okrutne serca twego męki
W pieśń przyobleczone będą przez twą wenę.*

*Tylko w pieśniach pochwalnych na cześć herosów
Pełno dźwięków fałszywych i zbyt mocnych głosów,
Jak i słowa mocne, szorstkie i surowe.
Twa pieśń delikatniejsze struny zaś poruszy
Odślaniając, co dzieje się w twojej duszy.
Tak swym smutkiem sławić będziesz białogłową!”*

*Król Nawarry usłuchał, co mędrzec powiadał,
Odtąd już nie mieczem, lecz lutnią swą władał.
Pieśń i muzyka przez życie spokojnie go wiodą,*

*Od wieków wszak wiadomo, że wiersz i śpiew
Najskuteczniej do życia budzą miłosny zew
i miłość za nie najwyższą jest nagrodą.*

Luise Büchner (1821 - 1877)

Mały Ludwik wydał z siebie przeszywający okrzyk. Blanka spojrzała na niego dzikim wzrokiem i wypuściła sztylet z dłoni. Osunęła się na ziemię, zerwała podwijkę z głowy i zanurzywszy ręce we włosach, zaczęła je wrywać garściami, głośno lamentując.

- Mój ukochany, mój mąż, mój władca najśłodszy! Nie, nie, nie! - zawodziła. Z jej oczu strumieniem płynęły łzy. - Jeśli odszedłeś z tego świata, ja też chcę go opuścić! Boże, weź mnie do siebie, zabierz mnie do ukochanego Ludwika! - Kołysała się, siedząc na ziemi i rwała sobie włosy z głowy.

Klara podniosła sztylet, którego już nigdy nie chciała dotykać, i podała go wciąż jeszcze klęczącemu kanclerzowi. Ten szybko go schował.

- Pani! - zawołała głośno Klara. - Pozwól, że pomogę ci wsiąść do powozu!

W tym czasie wszyscy obecni, zachowując należyty odstęp, utworzyli krąg wokół królowej. Dworki tuliły dzieci Blanki, które widząc jej rozpacz, chciały uciec lub podbiec do matki. Ciche szepty mieszały się z okrzykami grozy, gdy wiadomość o śmierci króla docierała kolejno do wszystkich ludzi z orszaku, aż po ostatniego chłopca stajennego.

Blanka wciąż krzyczała. Kanclerz nie miał odwagi podnieść się z kolan i nadal klęczał przed nią z rozpostartymi ramionami i zwróconą ku niebu twarzą. Klara usiłowała objąć przyjaciółkę, lecz Blanką odtrąciła.

- Ludwiku! - szlochała. - Nie zostawiaj mnie samej!

Jej ochrypły głos brzmiał jak z innego świata; tak przeraził najmłodsze dzieci, że te również zaczęły płakać.

Nikt się nie poruszył, nikt bowiem nie wiedział, jak się zachować. Ludzie z orszaku Blanki bezradnie spoglądali na swą odcho-dzącą od zmysłów panią i na siebie nawzajem. Etykieta dworska nie przewidywała takiej sytuacji.

Dwunastoletni Ludwik otarł łzy i podszedł do królowej. Na jego delikatnej twarzyczce malowało się zdecydowanie.

- Matko - powiedział swoim jasnym głosem - jedźmy do ojca.

Blanka spojrzała na syna i momentalnie umilkła. W jej oszala-łych, pociemniałych z rozpaczyc oczach pojawiła się iskierka nadziei.

- Tak! - wydyszała, łapiąc oddech. - Jedźmy do niego. On tylko śpi, gdyż jest ogromnie znużony. To była uciążliwa wyprawa. Ludwik wiele dzięki niej osiągnął i Bóg zesłał mu zbawienny sen. Mój poca-łunek go obudzi. Zobaczycie - zawołała do stojących wokół niej dworzan - wszystko będzie dobrze. Król żyje!

Chciała powstać, lecz nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

- Zanieście mnie do powozu - zażądała. - I pośpieszcie się. Wasz król nie powinien zbyt długo na mnie czekać.

Tybald nigdy przedtem tak się nie przeraził, jak wówczas gdy uj-rzał pięć ciał, leżących bez życia na poboczu drogi. Zeskoczył z ko-nia i rzucił się z pochodnią w ręce do zabitych, oświetlając kolejno wszystkie twarze.

- Przekłete niedojdy! - krzyknął do swoich ludzi. Ulga, że po-śród martwych nie ma żadnej kobiety, szybko ustąpiła miejsca nie-określonej trwodze. Co stało się z królową? Czy jeszcze żyje? Czy jest ranna? Czy ją uprowadzono? To mało prawdopodobne, gdyż w tym przypadku złoczyńcy bez wątpienia zabraliby również oba konie, które pały się spokojnie między drzewami. Czy Blanka zdo-łała obronić się sztyletem, którym go wcześniej zraniła? Och, jakże-

by wielbił ten sztylet, gdyby to właśnie jego ostrze ocaliło ją od śmierci! To, że odbyła się tu walka, rozpoznawał nawet w blasku pochodni, jednak światło było zbyt słabe, by odnaleźć dalsze ślady.

- Zostaniemy tutaj do świtu - zdecydował hrabia Szampanii. Kazał swoim ludziom przenieść zwłoki dalej, aby nie zatarty się cenne ślady. Chociaż spieszo mu było ruszyć na poszukiwanie królowej, wiedział, że nie ma sensu jechać na ślepo w ciemnościach.

W chwili, gdy owinąwszy się ciasno płaszczem, zapadał w drzemkę, w jego umyśle pojawił się wers: „Przez to, żeś mnie odprawiła, życie moje ocaliłaś”.

Usiadł gwałtownie, z jego piersi dobył się krzyk przerażenia i bólu. Nie, Blanka, jego nieśmiertelna bogini, nie mogła być martwa, nie mogła umrzeć, dlatego że kazała odejść swemu najwierniejszemu przyjacielowi! Z trudem zwalczył nieodpartą pokusę, by sięść na konia i natychmiast ruszyć w drogę. „Blanka jest niezwykle wytrwała i rezolutna - powtarzał sobie. - Ponadto towarzyszy jej Klara, której tak przedziwnie kierujący ludzkimi losami Bóg już nie raz pozwolił wyjść bez szwanku z pozornie beznadziejnej sytuacji - dzięki mojej interwencji. Jakże królowa musi teraz żałować, że jest pozabawiona mojej ochrony! I jakże będzie wdzięczna, gdy jutro ją dogonię! Poda mi dłoń do ucałowania, obdarzy mnie łaskawym uśmiechem i pełnymi słodyczy słowami. Już nigdy nie oddali mnie w tak okrutny sposób, już nigdy nie zwątpi w moją wierność!”

Ledwie znowu ułożył się na ziemi, gdy zaczęło go dręczyć inne pytanie. Dlaczego Blanka zmierza na południe? Dopiero teraz przypomniał sobie niedorzeczne słowa olbrzyma z gospody. Jakim sposobem mógł on napotkać po drodze orszak królowej i złożyć jej hołd?

Dowiedział się tego już następnego dnia.

Potrzebnych było trzech mężczyzn, by odciągnąć królową od zwłok męża. Dopiero potem orszak pogrzebowy skierował się na

północ. Króla Ludwika należało możliwie jak najszybciej, uroczystie pochować u boku jego przodków w Paryżu.

Jednakże Blanka nie chciała, ani też nie mogła, pogodzić się ze śmiercią ukochanego męża. Kazała wsiąść do swego powozu, najbardziej uczonemu skrybie z orszaku króla i przez łzy wypytywała go o Orfeusza, któremu dano szansę uwolnienia Eurydyki z królestwa umarłych.

- Pogańskie wierzenia - powiedział współczująco skryba cichym głosem. - Nasz miłościwy król Ludwik przebywa teraz w domu Pana.

- Potrzebuję więc ludzi, którzy są obeznani z tymi wierzeniami - odparła łkając i poleciła, by przysłano do niej Klarę.

- Sprowadź swoich ludzi - zażądała. - Uratowali mojego syna, teraz powinni uczynić to samo dla mego męża.

- Większość z nich też już nie żyje - odrzekła hardo Klara. Wszyscy okazywali królowej wielkie współczucie, nie zdołało to jednak jej wyrwać z szaleńczej rozpacz, uśmierzyć jej cierpienia i bólu. Nie była też w stanie tego dokonać ani miłość dzieci, ani delikatne uwagi na temat odpowiedzialności, która spoczęła teraz na jej barkach. Myśli Blanki obracały się wokół jednej sprawy - chciała wyrwać Ludwika z objęć śmierci lub podążyć za nim. Poprzedniego dnia wbiła już sobie nawet szpilę w ciało, nie trafiła jednak w żaden ważny organ. Od tej chwili nad królową nieustannie czuwano.

Klara, poruszająca się swobodnie między podróżnymi, zauważyła wzrastający niepokój wśród świeckich i kościelnych dostojników. Powszechnie było wiadomo, że Blanka sprawowała rządy nad krajem wraz z królem, pełniła funkcję jego doradcy, a nierzadko też sama podejmowała mądre, dalekowzroczone decyzje. Nigdy wcześniej żadna królowa nie miała takiej władzy co ona, nigdy wcześniej żadna kobieta nie była tak zorientowana w sprawach państwowych.

Baronowie prawdopodobnie bez namysłu powierzyliby rządy dawnej Blance, jednak do pogrążonej w rozpacz kobiety, jedynie

z małoletnim synem u boku, byli nastawieni nad wyraz sceptycznie. Skoro nawet w królewskim orszaku ten czy ów baron wspominał o oderwaniu się od Korony, oznaczało to, że dom panujący jest w niebezpieczeństwie. Kilku przedstawicieli szlacheckich rodów opuściło już nawet orszak pogrzebowy pod mało przekonującym pretekstem.

Klarze zaświtała myśl, że rozpad królestwa będzie korzystny dla jej brata w Tuluzie i katarów, którzy przeżyli krucjatę. Być może jedynie obalenie starego porządku przyczyni się do uwolnienia dusz. Nie chciała się zastanawiać, czy to Bóg, czy też szatan podsunął jej tę myśl, wolała zastosować się do rady starej katarzki z Macón, by iść za głosem serca. A Blanka była bardzo bliska jej sercu. Być może nawet bliższa niż nauki katarów, które Klara odrzuciła zabijając trzy osoby. Klara uważała samą siebie za zdrajczynię. I choćby z tego powodu bez słowa skargi poddałaby się losowi, gdyby ktoś z orszaku króla oskarżył ją o herezję. Lecz nawet jej ciemne suknie, które stale nosiła, nie ściągnęły na nią podejrzeń; uważano je po prostu za praktyczny strój podróży.

To, że jako zaufana dworka królowej znalazła się poza wszelkim podejrzeniem, traktowała również jako zdradę swojej wiary i czuła się winna grzechu zakłamania. Zebrała się więc na odwagę i zagadnęła inkwizytora z Rzymu, który towarzyszył Ludwikowi podczas krucjaty, a teraz wspierał królową. Stanęła przed nim w swej ciemnej sukni i zapytała, po czym rozpoznaje się katarów.

- Po ich obyczajach i wyglądzie - odparł legat papieski przyjaznym głosem. - Noszą proste, ciemne ubrania, nie uprawiają handlu, by uniknąć kłamstw, przysięg i oszustwa, żyją jedynie z pracy swoich rąk. Trzymają się z daleka od gospód i innych miejsc, gdzie przebywa się dla przyjemności. Zdradza ich również mowa, gdyż wystrzegają się wulgarnych słów, oszczerstw i rozmów o błahych sprawach.

- To wszystko przecież jest miłe Bogu - stwierdziła Klara. - Dlaczego więc są prześladowani i skazywani na śmierć?

- Ach, dziecko - odparł dominikanin, uśmiechając się łagodnie do Klary - to kwestia polityki. Nie powinnaś zaprzętać sobie tym swojej ślicznej główki.

Klara, w prawdziwej rozpaczy, naciskała legata: - Ale ja bardzo chciałabym się dowiedzieć.

Inkwizytor westchnął i odpowiedział na jej pytanie całym szeregiem pytań, które nie pozostawiły miejsca na wyrażenie dalszych wątpliwości: - Któż miałby głosić wolę Pana, jeśli nie Ojciec Święty, którego nie uznają kacerze? Gdzie moglibyśmy wysławiać Boga, gdybyśmy nie wznosili mu wspaniałych świątyń? Za co utrzymywałyby się domy Boże, gdyby nie odprowadzano dziesięcin? Jak wyglądałoby społeczeństwo, w którym nikt nie lękałby się kary na ziemi i każdy wierzył tylko w to, co wydaje mu się przyjemne? Kto byłby panem, a kto sługą? Kto miałby prawo o tym rozstrzygać? Co stałoby się z tym światem, gdyby wszyscy przyjęli, że stworzył go szatan? Czym jest wolność, jeśli brak porządku? Co się stanie, jeśli ludzie przestaną cieleśnie obcować i mieć dzieci? Czy wolą Boga jest wyludnienie ziemi?

Klara stwierdziła ze zdziwieniem, że krzyżowcy zbytnio nie interesowali się już katarami. W każdym razie nikt ani razu nie wspomniał o heretykach, z powodu których wyruszyli na południe, by otrzymać odpust za grzechy. Wszyscy mówili za to o zdobytych bogactwach i lennach, które spodziewali się otrzymać, a które mógł przyznać jedynie król. Albo, jak w obecnej sytuacji, królowa. Musi ona jednakże wcześniej dojść do siebie, stwierdziła Klara. Jeśli Blanka nie będzie w stanie podejmować przemyślanych decyzji, wszystko straci. I dzięki temu odzyska prawdziwą wolność, odezwał się w Klarze duch katarskiej wiary. A jako że nie miał on czego szukać

w otoczeniu królowej, Klara szybko go przepędziła. Pomogły jej w tym ostre słowa, którymi odezwała się do Blanki:

- To biskup Rzymu jest winien śmierci króla. Bez tej tak zwanej krucjaty, moi ludzie, „dobrzy ludzie”, nadal by żyli. I twój Ludwik także. Wyprawa krzyżowa, do której wezwał Ojciec Święty, żywych uczyniła martwymi.

- Lecz jakże ci martwi muszą być teraz szczęśliwi - odparła Blanka, ciągle płacząc. - A ja nie mogę do nich dołączyć, bo wszyscy zamykają mi jedyną drogę do Ludwika. Postanowiłam więc, że od tej chwili nie będę jeść. Zagłodzę się na śmierć, jak ta dziwna kobieta, która przed odejściem z tego świata pragnęła ujrzeć królową. - Oparła się na krzesło i po raz pierwszy od czasu, gdy otrzymała porażającą wiadomość, leciutko się uśmiechnęła. - Już niebawem będę przy tobie, mój Ludwiku; nikt nie może mnie zmusić, bym przyjmowała posiłki i napoje.

- Aż tak mało cenisz sobie słowa świętego Franciszka z Asyżu? - zapytała Klara. - Czy też może zapomniałaś, co o tobie powiedział? Kogo w tobie widział, jakie zadanie ci wyznaczył?

- J u ż tego nie pamiętam - odparła Blanka, kryjąc twarz w dłoniach.

- A więc ci je przypomnę, Blanko. Spojrzał na ciebie swymi niewidzącymi oczyma z miłością i rzekł: „Ta niewiasta znów się podniesie i będzie silniejsza niż kiedykolwiek wcześniej. Nie tylko dla siebie, lecz przede wszystkim dla tych, którzy ją kochają i którym służy. To jej zadanie, to jej przyszłość”. Blanko, masz się podnieść i zatroszczyć, by twój syn został ukoronowany. Jeśli nie będziesz służyć poddanym, królestwo upadnie. Dzieło życia Ludwika zostanie zaprzepaszczone i będzie tak, jak gdyby twego małżonka nigdy nie było pośród nas. Jak wytłumaczysz się z tego, kiedy spotkasz go na tamtym świecie? Jak chcesz usprawiedliwić to, że pozostawiłaś własnemu losowi jego syna i kraj, powierzonych wam przez Boga?

Blanka zbladła. Jej płacz ustał w jednej chwili. Wyprostowała się, wzięła głęboki oddech i władczo uniosła rękę.

- Precz! - krzyknęła do Klary z płonącymi z gniewu oczyma.
- J a k śmiesz tak mówić do królowej z bożej łaski, przeklęta heretyczko! Zejdź mi z oczu!

Słowa Blanki były bolesne, lecz gdy Klara wysiadała z powozu, na jej twarzy widniał uśmiech. Jej przyjaciółka znów powróciła do świata żywych. Klara dała znać kanclerzowi, że królowa każe członkom rady stawić się u niej podczas wieczornego odpoczynku, by ustalić szczegóły pochówku jej małżonka i koronacji młodego Ludwika.

A królewskiemu kucharzowi poleciła przygotować natychmiast tacę z wyszukаныmi smakołykami i zanieść ją do powozu królowej.

W południe Tybald zatrzymał konia na zakręcie drogi i obrócił się do swoich ludzi, kładąc palec na ustach. Wszyscy momentalnie zastygli w bezruchu. Dał się słyszeć tętent końskich kopyt i zbliżające się szybko w ich kierunku głosy. Ludzie hrabiego Szampanii ustawili się za nim w szyku trójkąta z lancami w pogotowiu.

Na drodze pojawiła się grupa jeźdźców z dwoma rycerzami w królewskich barwach na przedzie, pomiędzy którymi cwałowały trzy kolorowo odziane kobiety. Tybald miał wrażenie, że śni.

- Hurra, to królowa! - zawołał jeden z jego ludzi i opuścił kopię. Pozostali wznosząc radosne okrzyki, poszli za jego przykładem.

Tybald potrząsnął głową. To nie Blanka, to jakaś prymitywna imitacja królowej, przeszło mu przez głowę, gdy z gniewną miną podjeżdżał do grupy nieznajomych.

- Kim jesteś, pani? - zapytał kobietę pośrodku. Poślednia kopia Blanki przechyliła głowę tak majestatycznym ruchem, że najchętniej by ją obciął.

- Sądząc po twoich fatalnych manierach, musisz być, panie, hra-

bią Szampanii - z ust, jakby odrysowanych od warg królowej, dobył się zupełnie obcy głos, wymawiający słowa z charakterystyczną dykcją władczyni.

- Gdzie jest najjaśniejsza pani?

- Bezpieczna wśród swojego orszaku - odparła Lisette, której marsowe oblicze Tybalda odebrało odwagę, by poruszyć kwestię jej własnego bezpieczeństwa. - Przekazuje ci, panie, serdeczne pozdrowienia - improwizowała pośpiesznie, mówiąc już w naturalny sposób - i prosi, abyś zapewnił nam eskortę.

- Eskortę - drwiąco powtórzył Tybald. - A dokąd to, jeśli wolno spytać?

- Do Szampanii, gdzie będziemy ci służyć, panie - wtrącił się do rozmowy jeden z rycerzy.

Lisette milczała. Wspaniałe, niemal bajkowe zajęcie, jakim początkowo było zastępowanie królowej, stało się z czasem śmiertelnie niebezpieczne. Żona kamieniarza, sama będąc częścią dworskiej intrygi, nie ufała już nikomu. Nie wiedziała, dokąd mogłaby pójść i do kogo zwrócić się w przyszłości. Była pewna tylko jednego - że już nigdy nie wróci na królewski dwór. Obudziła się w niej nieokreślona tęsknota za mężem. Ale czy zdoła go odnaleźć?

Tybald podejrzliwie przyglądał się dwóm nieznanym rycerzom. Resztę niewielkiej grupy stanowiły kobiety niskiego stanu, podążające pieszo za piątką jeźdźców.

- Co jeszcze kazała ci, pani, przekazać szlachetna królowa? - zapytał kąśliwie.

- Tylko to, że z tobą będziemy bezpieczni, panie - nieśmiało odrzekła Lisette. Zsunęła się z siodła, przystąpiła do konia Tybalda i uniosła do ust rąbek czapra.

- Zlituj się nad nami, panie. Tak jak ty służyliśmy wiernie królowej i robimy tylko to, co nam kazała.

Tybald pochylił się, uniosł podbródek Lisette i baczniej przy-

rzał się jej twarzy. Matowe brunatne oczy ani śladu brązu. Nic nie zdołałoby go zmylić; nawet z daleka potrafił zdemaskować oszustwo. Blanka była wyjątkowa, jedyna w swoim rodzaju. Kto dał się wprowadzić w błąd przez tę marną imitację, nie zasłużył na to, by patrzeć na prawdziwe oblicze szlachetnej królowej.

- Byłaś jej zastępczynią - mruknął, w końcu wszystko pojmując. Zawstydzona Lisette spuściła głowę i z ulgą przytaknęła.

- I co ja mam z wami począć w Szampanii? - zapytał.

- Gdy tylko znajdziemy się na twojej ziemi, nie będziesz musiał się już o nas martwić, panie - zapewniła go pośpiesznie Lisette. Nie mogła żądać zbyt wiele naraz od tego mężczyzny, który tak namiętnie opiewał urodę królowej. Tę samą urodę, którą ona również posiadała i która wpakowała ją w tę sytuację. I która teraz mogła stać się jej wybawieniem. Już nigdy nie będzie grać królowej na paryskim dworze, lecz by ratować własną skórę, była gotowa pełnić rolę Blanki dla hrabiego Szampanii.

- J a k się miewa nasz pan, król Ludwik? - zapytał jakby mimochodem.

- Dobrze, jak przypuszczam - odparła z roztargnieniem Lisette. - Nie dotarliśmy jeszcze do jego obozu, gdy królowa do nas dołączyła.

„Przeklęty podczaszy” - pomyślał Tybald, zastanawiając się jednocześnie, kogo mógł przyprawić o zgubę trunek z Szampanii.

- Zatem zgoda - rzekł do Lisette - możecie nam towarzyszyć. Pod warunkiem, że będziesz jechać na końcu. Nie ścierpię karykatury tak szlachetnego oblicza w moim pobliżu. Trzymaj się z daleka ode mnie.

Zawrócił konia, wołając do swoich ludzi: - Ruszamy do domu! Do Szampanii, gdzie czekają na nas nasze kobiety!

„Agnieszka - pomyślał. - Fortuna mi nie sprzyja”.

Po drodze i przez cały czas walczył z rodzącym się w nim pra-

gnieniem, by obejrzeć się na koniec swojego orszaku i spojrzeć na odbicie obrazu królowej.

W gospodzie, do której trafili następnego wieczoru i która wyglądała o wiele przyjaźniej niż ta napotkana ostatnio, tym razem czekała na hrabiego zupełnie inna niespodzianka. I to nie widok prostych ław i stołów czy ciężki zapach starego tłuszczu zaskoczył Tybalda. Posiłał się tu ze swymi ludźmi Piotr z Braine, hrabia Bretonii, którego nazywano Mauclerc, jeden z baronów, którzy po śmierci Ludwika opuścili królową. Pozdrowił Tybalda nad wyraz serdecznie.

- Mądrze uczyniłeś, czmychając już w Awinionie - pogratulował mu. - Dzięki temu oszczędziłeś sobie tego nieszczęsnego oblężenia Tuluzy i żałosnych krzyków królowej, gdy dowiedziała się o śmierci Ludwika. Mój Boże, Tybaldzie, nie możemy dopuścić, by rządził nami lamentująca megiera i małe dziecko.

Tybald opadł na ławę naprzeciw hrabiego. Mauclerc zapłaci kiedys za tę „lamentującą megierę”, poprzysiągł sobie.

- To król nie żyje? - zapytał z wahaniem.

- Tak, Tybaldzie, gdzieś ty się podziewałeś? W całym kraju nie mówi się o niczym innym!

Z werwą podniósł kielich wina i skłonił się do przodu. - Ludwik jest martwy - szepnął i dodał jakby mimochodem: - Mówi się nawet, że został otruty.

- Przez kogo? - zapytał Tybald, któremu w tej chwili przemknęły przez głowę tysiące myśli, z najważniejszą na czele: dopiero gdy zostanie królem Nawarry, będę mógł z zachowaniem wszelkich form starać się o rękę Blanki i zostać władcą Francji.

Gdy po pytaniu Tybalda Mauclerc zauważył: - Z pewnością byłbyś mile widziany jako jeden z kandydatów do tytułu truciela...

- hrabiemu Szampanii pot wystąpił na czoło. Modlił się, by wilgoć zatarła to, co w oczywisty sposób miał na nim wypisane.

- Mam za sobą niezbyt przyjemną przejażdżkę konną - mruknął.

- ...ale oszczędzono ci oskarżenia o królobójstwo - dokończył Mauclerc ze śmiechem. - Sam więc widzisz, jak ci się opłaciło tak wczesne oddalenie się z królewskiego obozu. W końcu o twojej nieobecności w czasie choroby i śmierci króla może zaświadczyć wielu ludzi.

„Przed wszystkim królowa we własnej osobie - pomyślał Tybald, ocierając pot z czoła. - Biedna Blanka; kto ją teraz pocieszy? Bez wątplenia Klara. Muszę cierpliwie poczekać. Muszę dać czas pogrążonej w rozpacz wdowie. Czekał ją zadania niewątpliwie ją przerosną, będzie potrzebowała mojej pomocy, mojej rady, moich pieśni, a przede wszystkim mojej niezłomnej miłości. Kiedyś przypadnie mi w udziale królestwo Nawarry. A może powinienem także mojemu wujowi Sanchowi ułatwić drogę w zaświaty, by jako odpowiedni konkurent szybciej rozpocząć starania o rękę Blanki? Zanim ubiegnie mnie jakiś inny baron?”

- Jak to dobrze, że cię tu spotkałem, Tybaldzie - mówił dalej Mauclerc. - Musimy pomówić o tym, jak mamy dalej postępować. I o baronach, którzy są po naszej stronie, przeciwko tej słabej dynastii. Hrabia Tuluzy obronił swą niezależność; rządzi na swojej ziemi, jak chce - dlaczego my, którzy również jesteśmy szlacheckiego rodu, nie moglibyśmy także przejąć całej władzy we własnych krajach? *De facto* pełni ją już od dawna; król jest przecież *pro forma* naszym suwerenem! - Uniósł swój kielich i przepił do Tybalda: - Za wolność. My, baronowie z zachodu, musimy się teraz w końcu sprzymierzyć z Anglią. W żadnym wypadku nie możemy pozwolić, by władzę piastowali biadoląca kobieta i chłopak...

Raptem głos mu zadrżał, pobladł straszliwie i podniósł się tak gwałtownie, że uderzył kolanami o stół.

- Królowa... - wyszeptał i spoglądając z przerażeniem w stronę drzwi, zakrył usta dłonią, jak gdyby chciał cofnąć wypowiedziane przed chwilą słowa.

Tybald obrócił się rozbawiony i również podniósł się z ławy.

- Teraz, mój drogi Mauclerc - powiedział szelmowsko - pokażę ci, jak mam zamiar w przyszłości poczynić sobie z królową.

Podszedł do Lisette, a gdy ta przerażona cofnęła się przed nim, chwycił ją w pól i wycisnął pocałunek na jej ustach. Potem sięgnął osłupiałej kobiecie do wycięcia sukni i włożył rękę za dekollet.

- Zapomnij, co ci wcześniej powiedziałem - szepnął jej do ucha.

- Dzisiejszej nocy będziesz dla odmiany moją królową!

Musiał przecież jakoś uczcić powodzenie swego planu. Blanka była w końcu wolna, i nikt nie spustoszy Szampanii. Wystarczający powód, by upić się do nieprzytomności, ułożyć kilka wersów i oddać się cielesnym uciechom, których już od tak dawna nie zażywał. Wprawdzie Lisette jest jedynie sobowtórem Blanki, ale na początek musi mu to wystarczyć. W końcu w różnych gospodach pił też gorsze wino niż to, do którego był przyzwyczajony.

- *Gdyz nadobną dziewczką w łóżu pofigluję, i do innych białogłów afekt wnet pocaję* - zaśpiewał żartobliwie, prowadząc Lisette do stołu i sadzając ją sobie na kolanach.

Dopiero teraz Mauclerc zorientował się, że ma do czynienia z kimś niezwykle podobnym do królowej. Zaczął się zastanawiać, od jak dawna rodzina panująca wodziła za nos poddanych, prezentując im tę doskonałą kopię władczyni. Czy istniał także sobowtór króla? Może niebawem pieśniarze nieświadomie wygadają ten fakt przed całym światem, opiewając cudowne wyzdrowienie monarchy, którego wszyscy uważali za martwego? Po Blance można się wszystkiego spodziewać. Również tego, że, by utrzymać władzę, zasiądzie na tronie obok imitacji.

Jeszcze przed przybyciem do Paryża Blanka usłyszała pogłoski, że jej mąż musiał otruć hrabia Szampanii. Królowa żywiła do Tybalda silną urazę, jednak tak ohydnej potwarzy nie chciała dać wiary.

- Obie wiemy lepiej niż inni, że hrabia Szampanii nie może mieć na sumieniu śmierci Ludwika - powiedziała Blanka, jadąc konno obok Klary. Powóz pozostawiła dzieciom.

Klara była innego zdania, milczała jednak, myśląc o starej katarce z Macón, która przestrzegała ją, by nie igrała z losem.

Blanka ze wzburzeniem wbiła pięty w boki zwierzęcia. - A jednak nie mogę mu wybaczyć, gdyż wówczas musiałabym wyjaśnić kilka rzeczy. Lud nigdy by mi nie darował szachrajstwa z Lisette. Tak samo jak królewscy doradcy nie zapomnieliby mi potajemnej podróży. W dodatku w towarzystwie Tybalda, który popadł w niełaskę u króla. I co mam teraz zrobić, Klaro?

- Nic - odparła Klara bezdźwięcznym głosem. - Na oszczerstwa nic się nie poradzi; żyją własnym życiem. Wiem coś o tym.

- Tak, ty i twoi... - Blanka ściągnęła cugle i głęboko wciągnęła powietrze. - Zatrzymaj się - rozkazała Klarze ostrym tonem. Klara posłuchała, spoglądając na przyjaciółkę ze zdziwieniem.

- Wiesz coś o tym, tak? - syknęła Blanka. - Ty i twoi ludzie...

- Do czego zmierzasz?

- ...znacie się na truciznach. Kto potrafi uwolnić od nich ciało, potrafi je także do niego wprowadzić! Teraz już wiem, kto jest winny śmierci Ludwika. Otruli go twoi kacerze!

Ostatnie zdanie wykrzyczała na cały głos.

Klarę przebiegł dreszcz.

- Blanko, nie wiesz, co mówisz! Jak miałabym obcemu, w dodatku ściganemu katarowi umożliwić dostęp do napojów i potraw króla!

- Jak? Czarami, oczywiście! - Oczy Blanki płonęły gniewem. - Co za bezczelność z twojej strony, żądać jeszcze ode mnie złożenia ślubów...

- ...których nie dopełniłaś - wyrwało się Klarze.

- To kacerze zamordowali Ludwika!

- Katarzy nie zabijają żywych istot!

- Czego ty jesteś najlepszym dowodem!

Klara zbladła jak płótno i odrzekła: - Ja również tak jak ty zła-
małam przysięgę.

- Ale ja miałam ku temu dobry powód! A teraz doszła do tego
rzecz o wiele poważniejsza! - uniosła się Blanka. W tej samej chwili
pożałowała jednak swych pochopnych oskarżeń i gwałtowności,
z jaką je rzucała. Ostatecznie Klara łamiąc przysięgę uratowała jej
życie. Dodała więc pojednawczym tonem: - Natychmiast wyprawię
posłańca do Ojca Świętego z prośbą o zwolnienie mnie ze ślubów.
- Nie potrafiła się jednak powstrzymać, by nie dodać cynicznym
tonem: - A ty do jakiego autorytetu zwrócisz się w związku z tą
sprawą, Klaro?

- Proszę cię, byś pozwoliła mi opuścić dwór - odparła Klara ci-
cho. Słowa Blanki uprzytomniły jej wyraźnie, jak bardzo oddaliła
się od przyjaciółki. Zdała też sobie sprawę, że królewski dwór prze-
stał być już jej domem. Nie przynależała nigdzie, utraciła nawet swoją
wiarę. Ogarnęła ją niewysłowiona tęsknota za Felicjanem, za poczu-
ciem bezpieczeństwa, jakie odnalazła w kręgu „dobrych ludzi”. Za
prostotą i życiem, w którym wzrok kierował się nie na smutną, po-
zbawioną nadziei ziemską egzystencję, lecz ku dalekim zaświatom.
Za swoimi, za katarami.

- Chciałabym odwiedzić mego brata Rajmunda w Tuluzie - po-
wiedziała.

- Zabraniam ci. To jest zbyt niebezpieczne. Twoje ostatnie dwie
wizyty o mało nie kosztowały cię życia.

- Dołączę do wyprawy kupieckiej. Krucjata się skończyła, a Tu-
luza ciągle jest wolna.

Blanka ze złością potrząsnęła głową. - Wolna, wolna, co to
w ogóle znaczy? Pod królewskim panowaniem nikt nie traci wolno-
ści, lecz może jedynie liczyć na dodatkową opiekę! - Popuściła ko-
niowi cugli i ruszyła dalej. - Powiedz swemu bratu, że mądrze by

zrobił, przechodząc dobrowolnie na naszą stronę, nim znów będziemy musieli wyprawić się zbrojnie na południe.

- Mogę więc odejść?
- Dopiero po koronacji Ludwika. Powinnaś być obecna, gdy mój syn przejmie tron po ojcu.

28 listopada 1226

„Jakiego pięknego kraju jestem panem” - pomyślał hrabia Szampanii, gdy w doskonałym nastroju wjeżdżał do Reims. Nie zważał na groźne chmury, gromadzące się na listopadowym niebie, gdyż jego umysł zaprzątnięty był czymś zupełnie innym. Oczyma wyobraźni widział już wielką radość, z jaką powita go Blanka, wdzięczna, że w tych ciężkich czasach może na niego liczyć. Już nigdy więcej nie zwątpi w jego wierność, gdy przekaże jej wiadomość, która miała być w pewnym sensie podarunkiem z okazji koronacji małego Ludwika i stanowiła jedyny w swoim rodzaju dowód miłości i oddania.

Chciał nie tylko wyjawić Blance plan spisku i strategię zbuntowanych baronów, zdradzając najdrobniejsze szczegóły, lecz także dla niej i razem z nią zdusić rebelię i zniszczyć wszystkich, którzy sprzeniewierzyli się Koronie.

Jeszcze zadziwi Mauclerca!

- *Słodka pani, życie za ciebie oddać będzie mi rozkoszą* - zaśpiewał zadowolony. **- *Zniszczę zdrajców, stanę naprzeciw ich rokoszom, przemówię każdemu do sumienia, kto by chciał ująć ci znaczenia. Złoczyńców, co ręce wyciągną w stronę twej korony, na drzewach zobaczysz powieszonych.***

Ja stać będę na wieki po twej stronie, i nie wystąpię przeciwko tobie, ni Koronie.

Nie miał wyrzutów sumienia wobec zbuntowanych baronów, choć traktowali go, niegdyś najwierniejszego i najznamienitszego wasala, który popadł w niełaskę, jak swego przywódcę i wtajemni-

czali we wszystkie szczegóły planowanej rebelii. To, że właśnie on został wybrany, by uratować Blankę, zdało mu się boskim zrządzeniem losu.

W ostatnich dniach podziw Tybalda dla królowej wzrósł jeszcze bardziej. Nie potrafił wyobrazić sobie żadnej innej istoty, która tak szybko zawróciłaby z progu śmierci do życia pełnego obowiązków i gorączkowego pośpiechu.

Jego szpiedzy donieśli mu o wszystkim. O tym, jak Blanka, zagrożona w głębokiej żałobie, w ciągu jednego dnia pokonała ból i niemoc, po czym z wielką energią i determinacją poświęciła się najpilniejszym zadaniom, nie wylewając publicznie już ani jednej łzy.

Król Lew zmarł 8 listopada, cztery dni później Blanka napotkała jego orszak podróżny, tydzień później, 19 listopada, pochowano monarchę w bazylice Saint-Denis i wyznaczono datę koronacji młodego Ludwika na 29 listopada.

Hrabia Szampanii musiał wcześniej pozbyć się Lisette. Podobało mu się, że piękna młoda niewiasta ogrzewa mu łożo, i radował się jej niezwykłą pomysłowością, jeśli chodziło o igraszki miłosne. Zabawiał się z nią nocami w ustronnej posiadłości, w której za dnia spiskował ze zbuntowanymi baronami, chcąc na tym ogniu upiec własną pieczeń. Przy okazji udało mu się przechwycić kilku posłańców wysłanych do angielskiego króla z prośbą o wsparcie dla powstania przeciwko nowemu królowi i jego matce.

Lisette traktował jak osobę, z którą mógł miło spędzać czas, lecz teraz, gdy spodziewał się zdobyć oryginał, kopia stała się zbędna. Naturalnie mógł zniszczyć tę kopię, jednak nie potrafił się na to zdecydować. „Byłoby to karygodne wyzywianie losu - pomyślał. - Zły omen o fatalnych następstwach”. Jego pani, Blance, nie mogło się w żadnym wypadku przydarzyć nic złego.

Nie mógł też tak po prostu wyrzucić Lisette z posiadłości i ode-

słać ją do Paryża. Jako że wielu załobników widziało oblicze królowej z bliska, mogłoby to prowadzić do niebezpiecznych nieporozumień i zaszkodzić Blance.

Wypytał Lisette o jej męża. Ta umiała tylko powiedzieć, że wyruszył w jakiejś misji na południe. Rozesłał szpiegów, którzy, niestety, nie zdobyli żadnych wiadomości o kamieniarzu imieniem Antoine. Tybald przypomniał sobie pielgrzymkę Blanki do Rzymu i wpadł na pewien pomysł. Może wysłać Lisette na południe jako pątniczkę. Rzecz jasna, wynagrodzi ją hojnie za jej usługi, tak by w obcym kraju mogła zacząć nowe życie. Tybald spojrzął w niebo. Słońce zakryły chmury, w każdej chwili mogła rozpętać się burza. Spiał konia i pogalopował w stronę miasta.

Strażnicy, widząc z oddali jego chorągiew, powinni niezwłocznie otworzyć bramy. Niebo przecięła błyskawica. Gdy Tybald zatrzymał konia pod murami miasta, na ziemię spadły pierwsze ciężkie krople deszczu. Brama pozostawała zamknięta.

Rozsierdzony z powodu tego oczywistego niedbalstwa hrabia Szampanii kazał swoim ludziom głośno dobijać się do wrót i gniewnym głosem począł żądać, aby go wpuszczono. Jego dobry humor gdzieś się ulotnił. Akurat tego dnia, gdy pragnął triumfalnie wjechać do prastarego Reims, i pokazać królowej, jak bardzo kochają go mieszkańcy miasta, musieli pełnić wartę jacyś durnie, którzy każą mu stać na deszczu! Musi poważnie porozmawiać z burmistrzem!

W tej samej chwili nadarzyła się ku temu sposobność. Równocześnie z pierwszym uderzeniem pioruna otworzyła się mała furtka w bramie, w której pojawił się mer, obsadzony na tym stanowisku przed dwoma tygodniami przez samego Tybalda. Solidny człowiek, który, jak sądził Tybald, potrafił zatroszczyć się nie tylko o porządek w mieście i przystrojenie ulic, ale także o należyte powitanie wielu dostojnych gości, którzy przybędą na uroczystości koronacyjne. I rzecz jasna, przede wszystkim hrabiego, pana Szampanii!

- Czyżby zardzewiały zawiasy? - odezwał się Tybald, nawet nie pozdrowiwszy uprzednio mera.

Burmistrz skłonił się głęboko przed swoim suwerenem.

- Wybacz, szlachetny panie - powiedział cicho.

Tybald zeskoczył z konia. Deszcz siekł go w poczerwieniałą z gniewu twarz.

- Głośniej, merze, nie rozumiem cię!

- Panie hrabio, królowa wydała rozkaz, aby nie wpuszczać cię do miasta. Nie jesteś tu mile widziany. Przykro mi.

Tybald potrzebował kilku chwil, by przyswoić szybko wymamrotane słowa.

- Powtórz to! - rozkazał wijącemu się z zakłopotania burmistrzowi.

Nieszczęsny człowiek powtórzył jeszcze raz wyrok królowej i padł przed Tybaldem na kolana.

- Powiedz, panie hrabio, co mam zrobić? Nie wolno ci wejść do miasta. Królowa...

- ... ma mi to osobiście powiedzieć - dokończył zdanie rozwścieczony Tybald. - Nikt, nawet królowa, nie może mi zabronić wstępu do mojego własnego miasta! - Po czym zwrócił się do swoich towarzyszy: - Ludzie, wyłamcie bramę!

Burmistrz podniósł się szybko, załamał ręce i otworzył usta, nie dobyło się z nich jednak ani jedno słowo. Rozkaz królowej należało stawiać wyżej niż rozkaz hrabiego, ale za kilka dni władczyni opuści miasto, a on będzie zdany na łaskę władcy Szampanii, na którego gniew właśnie się naraził. Bez względu na to, co uczyni, już jest martwy.

- Co ja teraz zrobię! - lamentował.

Tybald nie zaszczycił go nawet spojrzeniem. - Już nic nie możesz zrobić - warknął. - Zupełnie nic. Zdejmuję cię ze stanowiska!

Mer odetchnął głęboko, przyglądając się, jak hrabia Szampanii ze swoim orszakiem mija w strugach deszczu bramę. Nigdy dotąd

nie było chyba burmistrza bardziej wdzięcznego losowi za to, że został pozbawiony urzędu.

Początkowo Tybald chciał poszukać kwatery na mieście, gdyż w pałacu miała zamieszkać rodzina królewska, jednak po tym afroncie zatknął chorągwie przed zamkiem.

Odsunął na bok strażę i wpadł do środka.

Drogę zastąpił mu szambelan.

- Twoja obecność nie jest tu pożądana, hrabio - oświadczył chłodno, podnosząc rękę.

- To jest mój dom! - krzyknął Tybald. Odgarnął z czoła mokre włosy i dziko spojrzął na schody, prowadzące do komnat. Szambelan zagroził mu drogę.

- W tej chwili jest to rezydencja królowej.

- Żądam, aby monarchini natychmiast mnie przyjęła.

Nieuzbrojony szambelan zerknął na przyboczną straż Tybalda, która ustawiła się za nim w szeregu, groźnie pobrzękując tarczami.

Tybald zaczerpnął głęboko powietrza.

- Najjaśniejsza pani! - zawołał tak głośno, jak tylko potrafił.
- Pokaż się!

Krzyk odbił się echem po całym zamku, docierając do komnaty, gdzie Klara schroniła się przed zamieszczeniem, które panowało w pałacu przed uroczystościami. Była to ta sama komnata, gdzie przed trzema laty Blanka poddawała się upiększającym obrządkom przed własną koronacją i gdzie Tybald po uczcie rzucił się na Klarę.

Przez krótką chwilę Klara sądziła, że to ona przywołała Tybalda, gdyż właśnie myślała o nim, zastanawiając się, czy ściany komnaty pamiętają wydarzenia, których były świadkiem. Zerwała się z krzesła i pośpiesznie otworzyła drzwi.

W korytarzu o mało nie zderzyła się z Blanką.

- Zdrada! - syknęła królowa. - Wpuszczono go mimo mego wyraźnego zakazu. I ten nieszczęśnik ośmiela się jeszcze pokazywać w pałacu!

Stając u szczytu schodów, krzyknęła w dół: - Rozkazuję wyrzucić chorągwie hrabiego Szampanii na ulicę, a jego samego z pałacu! Przepędźcie też całą jego służbę. Jeśli ten zdrajca kiedykolwiek pokaże się na dworze, zostanie oskarżony o obrazę majestatu!

Otworzyła najbliższe drzwi. Głośny huk, z jakim je zatrasnęła, nie wchodząc do komnaty, doskonale było słychać również w zamkowej sieni.

Jednak Tybalda nic już nie było w stanie powstrzymać. Ominął szambelana i popędził stromymi, kamiennymi schodami w górę, przeskakując co drugi stopień.

Wszędzie otwierały się drzwi. Nie zwracając uwagi na śpieszących ku niemu ludzi, Tybald rzucił się na kolana przed Blanką, i błagał: - Pani, wysłuchaj mnie! Przybyłem ci na ratunek!

Nie zaszczyciwszy go nawet jednym spojrzeniem, Blanka odwróciła się i odeszła.

- Wyrzucie tego psa do rynsztoka, gdzie jego miejsce - poleciła znudzonym głosem.

Straże pochwyliły hrabiego za ramiona i zrzuciły go ze schodów. Klara zbiegła za nim po stopniach.

Tybald, który nie doznał żadnego uszczerbku, zatrzymał się w połowie schodów. Spojrzał w przyglądające mu się z troską, jasnoszare oczy.

- Tak Klaro, właśnie tym jesteśmy, psami - stwierdził cicho.

- Rozpieszcza się nas i bije. Dłużej tego nie zniosę. Dość tego! - Głośno zawołała do góry: - **Jeśli tak ci się spodoba, pani, jeszcze usłyszysz, jak szczekamy. Kazałaś mi z zamku iść? Będę teraz tylko gryźć.**

Śmiejąc się szyderczo, zwrócił się do swoich ludzi, stojących naprzeciw zbrojnych ze straży królowej z rękami na rękojeściach mieczy

- Chodźcie za mną, opuszczamy to niegościnnie domostwo. Mamy ważniejsze rzeczy do roboty, niż gapić się na dziecko, które jutro przygniecie do ziemi ciężka korona Francji. Ważniejsze, niż

oddawanie czci królowej, która nie potrafi tego docenić. Z drogi! - rozkazał strażnikom, którzy z ociąganiem próbowali się znów do niego zbliżyć.

Zachował panowanie nad sobą, dopóki nie stanął w drzwiach i nie spojrzął na chorągwie hrabiowskie, które, pogniecione i zabrudzone błotem, leżały na ziemi. Przestało padać, nawałnica ustała, lecz w sercu Tybalda szalała burza. Zacisnął pięści. Nazwała go zdrajcą! No cóż, jej słowa były dla niego rozkazem.

- Ruszamy do Bretanii - powiedział do swoich ludzi, gdy zebrał już wszystkie chorągwie, i wyjechali za bramy miasta.

Książę Piotr z Braine, którego zwano Mauclerc, przyjmie go z otwartymi ramionami. Dni przyszłego króla Francji są już policzone. A tym samym także Blanki.

Królowa zachowywała się, jakby nic się nie stało. Ani słowem nie skomentowała zajścia.

- J a k to dobrze, że nie musimy się dziś poddawać tym męczącym zabiegom upiększającym - zawołała do Klary, gdy ta z poszarzałą twarzą przestąpiła próg komnaty, w której jeszcze przed chwilą rozmyślała o wydarzeniach sprzed trzech lat. - Będę miała zakryte włosy, i nikt nie oczekuje nieziemskiej urody od matki nowego króla. Jutro o tej porze odbędzie się koronacja mojego syna, módlmy się tylko, by złotnik zdążył na czas zmniejszyć koronę do odpowiednich rozmiarów!

Klara najchętniej pomodliłaby się o coś innego, skinęła jednak tylko głową.

Energiczne pukanie do drzwi zapowiedziało przybycie kanclerza.

- Zostań - powiedziała Blanka, gdy Klara chciała odejść. - Z pewnością przynosi nam dobre wieści.

Wieści nie były jednak najlepsze. Kanclerz z opuszczoną głową wręczył Blance kilka listów, po czym mruknął: - Same odmowy.

- Odmowy? - zapytała zdziwiona Blanka.

- Niestety, wielu baronów nie przybędzie na jutrzejsze uroczystości koronacyjne - powiedział, stukając palcem w jeden z listów.

- Ten, pani, powinnaś natychmiast przeczytać.

Blanka podeszła do okna i spojrzała na żółtawą kartkę.

Zbladła, a jej oczy zwęziły się niebezpiecznie.

- „Żałoba po ojcu i troska o rządy nie pozwalają mi wybrać się w podróż” - przeczytała na głos. Rzuciła list na ziemię. - Troska o rządy! - powtórzyła ze zgrozą. - To otwarte wypowiedzenie wojny! Ten nędzny Mauclerc grozi mnie i mojemu synowi!

Kancelarz skinął głową.

- Ja również tak to widzę, miłościwa pani. Inne listy utrzymane są w podobnym tonie. Będziesz, pani, potrzebowała wsparcia każdego stronnika, gdyż, jak się wydaje, nadchodzą ciężkie czasy dla ciebie, twój syn i dla nas wszystkich. Pomyśl jednak, pani, że wielu hrabiów pozostało ci wiernych. Powinnaś zebrać ich wokół siebie.

Blanka odesłała go skinieniem dłoni: - Idź i policz ich.

Gdy za kanclerzem zamknęły się drzwi, spojrzała na przyjaciółkę z takim lękiem w oczach, jakiego Klara jeszcze nigdy u niej nie widziała.

- Mój Boże - szepnęła Blanka - sędzę, że popełniłam dzisiaj ogromny błąd!

9

Żądza władzy

*Wielu ludzi winno się dojrzyć w tym obrazie.
Mieszczuch wznosi pałace na wzór pańskich dworów,
Każde książątko ma ambasadorów,
Każdy markiz chce mieć pазie.*

Jean de la Fontaine, *Żaba i wół*

29 listopada 1226

Łzy, które zalśniły w oczach Blanki podczas tej koronacji nie były wywołane drobinami złotego pyłu, lecz płynęły z głębi serca. Te pierwsze łzy, jakie wylała od chwili powrotu z królestwa zmarłych, tym razem nie miały związku z jej małżonkiem, lecz z synem.

„Jakiż on jest delikatny, jaki kruchy - pomyślała, gdy dwunastoletni Ludwik wszedł na podwyższenie przed prezbiterium i jasnym głosem zaczął wypowiadać słowa przysięgi. - Jak mam go chronić przed złem tego świata, jak mam nim pokierować, by stał się równie wielkim królem jak jego ojciec, mój ukochany Lew?”

Spojrzała na koronę, złożoną obok zwieńczonego kwiatem lilii złotego berła na ołtarzu. Klejnot został wprawdzie zmniejszony, jednak na jasnowłosej główce nadal będzie wydawał się zbyt duży. Aby nie rzucało się to zbyt w oczy, Blanka poleciła, by po ceremonii zamieniono jej synowi koronę na inną, mniejszą.

Królowa szlochała głośno, gdy Ludwik padł na twarz przed ołtarzem, a nad nim rozległa się litania do Wszystkich Świętych.

***Tak niech da Bóg, co umarł na krzyżu w ofierze,
niech cię szlachetny królu, i bliskich twych strzeże,
i niech taką ci, panie, moc i siłę dawa,
byś dzierżył twe królestwo i chronił twe prawa...***

- Amen - szepnęła Blanka - amen! Musi dzierżyć swe królestwo silną ręką. Musi ponownie zjednoczyć kraj. Od tej chwili poświęć życie temu zadaniu.

W katedrze rozbrzmiało *Te Deum*.

Łzy żłobiły rowki w bielidle, pokrywającym policzki Blanki, gdy jej synowi przypięto ostrogi i podano wyjęty z pochwy miecz. Jak bardzo przypominał swojego ojca! Tego chłopca, którego Blanka zobaczyła pewnego zimowego ranka przed dwudziestu sześciu latu i pokochała od pierwszego wejrzenia. Chłopca, razem z którym uczyli się i dorastali, któremu urodziła dwanaścioro dzieci. Jednakże jego następcy, Ludwikowi IX, nie było dane stopniowo dojrzewać, bawić się i powoli zgłębiać tajniki sztuki rządzenia. Poprzedniego dnia chłopiec został pasowany na rycerza. Ceremonię przyspieszono o całe sześć lat i dzięki temu Ludwik mógł być traktowany jako dorosły.

Gdy młodemu królowi namaszczone głowę, ramiona, piersi i dłonie, okryto go królewskim płaszczem, a biskup włożył mu na głowę o wiele za dużą koronę.

Potem nastąpił akt, którego Blanka najbardziej się obawiała. Wszyscy wielcy baronowie królestwa mieli - na znak wierności - położyć ręce na koronie i symbolicznie ją podtrzymywać. W tym momencie wszyscy zauważą nieobecność przedstawicieli kilku potężnych rodów. Blanka przeklinała teraz w duchu swoją porywczosć, żałując, że przepędziła najznamienitszego wasala królestwa, hrabiego Szampanii. To właśnie on, popularny dzięki swoim pieśniom i ceniony mimo wszystkich paskudnych pogłosek, powinien stać teraz obok jej syna i rozciągać nad nim czujną opiekę! Tak, pozostał Ludwika w Awinionie własnemu losowi, lecz jej samej zawsze był wierny. W tych niepewnych, zmiennych czasach byłby potężnym sprzymierzeńcem. Powinna była surowo go ukarać, a potem przywrócić do łask. Ale na to było już za późno.

Poświadczenie wierności przez wasali, zgromadzonych przy ołtarzu wokół króla, sprawiło na Blance groźne wrażenie - wyglądało

jak gdyby las rąk pożądliwie sięgał po koronę. Drobnym chłopiec, otoczony przez baronów, zniknął Blance z oczu. Modliła się, by nikt nie nacisnął zbyt mocno na koronę. Z pewnością zsunęłaby się przez małą główkę i oparła, niczym obroża, na ramionach Ludwika.

- Raduj się, Francjo szczęśliwa! - ponownie rozległ się śpiew, który towarzyszył Ludwikowi wkraczającemu do katedry, refren utworu muzycznego, skomponowanego specjalnie na tę okazję. Blanka zastanawiała się, czy rzeczywiście jest powód do radości - wobec tak wielkiej liczby przeciwników: podstępnych krewnych w Anglii, wrogów na południu Francji, w Szampanii, a także w niepokornej Flandrii. Rodzina panująca powinna możliwie jak najszybciej pojednać się ze wszystkimi, z którymi jest poróżniona, zwolnić z więzienia wysokich rangą hrabiów, zawrzeć z nimi sojusz i w przyszłości, nadając lenna, wykazać się większą szczodrobiwością.

Blanka ubolewała jedynie, że nie jest w stanie przeciągnąć na swoją stronę księcia Bretanii, którego zwano Mauclerc. Był on niesłychanie ambitnym człowiekiem. Uważał nawet, że przez wzgląd na pozamałżeńskie więzy rodzinne może wysuwać roszczenia do tronu Francji. Poza tym zgodził się właśnie na zaręczyny swojej córki Jolanty z królem Anglii, Henrykiem III. Temu małżeństwu należało za wszelką cenę przeszkodzić. Wywiadowcy donieśli Blance, że Tybald hrabia Szampanii jest w drodze do Mauclerca. Nie trzeba było mieć bujnej wyobraźni, by odgadnąć, co mieli z sobą do omówienia ci dwaj możni panowie.

Blanka musiała działać szybko. Tego bała się najmniej. Jej mocną stroną była umiejętność błyskawicznej oceny sytuacji i równie błyskawiczne podejmowanie stosownych kroków.

Gdy król Ludwik, już w zmniejszonej koronie na głowie, opuścił katedrę pośród pełnych zachwyty, radosnych okrzyków tłumu i usadowiono go w siodle, zerwał się silny wiatr.

„Zwiastun srogiej zimy - pomyślała Klara, która stała wprawdzie w pewnym oddaleniu, jednak samotność drobnej władczyni pośrodku królewskiego dworu głęboko ją poruszyła. - Nie mogę zostawić jej samej”.

Luty 1227

Ludwik pozostawił rządy królestwem matce i z zapałem poświęcił się nauce. Blance zależało, by jak najszybciej przygotować się do trudnej roli władcy. Sztuka rządzenia wymagała, by znał nawet najodleglejsze zakątki swego królestwa.

Po zwolnieniu z więzienia kilku dawniejszych przeciwników rodziny panującej i zjednaniu ich podarkami w postaci pieniędzy i ziemi, wyruszyła wraz z Ludwikiem na czele armii na południe. Dowiedziawszy się, że rebelianci zbierają swoje wojska w Thouars, zamierzała jak najszybciej rozpocząć negocjacje. Postawiła sobie za cel ponowne zaprowadzenie pokoju w królestwie bez rozlewu krwi. Po wspaniałym powitaniu w Tours, Blanka postanowiła odwiedzić klasztor świętego Marcina.

- Znajdował się tu niegdyś grób, przy którym chętnie bym się pomodliła - zwierzyła się cicho Klarze, gdy przechadzały się po kruzganku. - Grób wspaniałej, podziwu godnej kobiety, która jak lwica walczyła o swego syna i o swoje prawa. Jednak dziesięć lat po jej śmierci grobowiec został zniszczony podczas najazdu Normanów. Odejdźcie! - zwróciła się do towarzyszących im mężczyzn. - Chcę pozostać sama z moją przyjaciółką.

Klara, niepewna, czy Blanka mówiąc o przyjaciółce, ma na myśli ją czy zmarłą kobietę, spojrzała pytająco na królową. Blanka ze śmiechem ujęła ją za ramię.

- Nie sądzę, by dusza cesarzowej Judyty z dynastii Welfów, o której przed chwilą wspominałam, przebywała jeszcze w klasztorze, ale czuję się z nią bardzo związana.

- Czy to nie ona była żoną Ludwika Pobożnego, którą oskarżano o pozamałżeński związek z hrabią Tuluzy i której przypisywano winę za rozpad państwa Karolingów? - zapytała Klara.

- To tylko pogłoski i insynuacje! - uniosła się Blanka. - Już wtedy możni panowie na dworze królewskim nie mogli znieść, że rządzą nimi kobieta i dziecko. Doprowadziło to do strasznych wojen pomiędzy potomkami Karola Wielkiego. A właśnie wojen chcę uniknąć - dlatego wybrałam się w tę podróż. Zatrzymamy się jutro w Loudun, oddalonego o niecałe pół dnia jazdy konnej od Thouars; miejscowość ta leży wystarczająco blisko, by prowadzić stamtąd układy ze spiskowcami, i wystarczająco daleko, by nie obawiać się niespodziewanego ataku. A ty, Klaro, będziesz towarzyszyć pierwszym wysłannikom.

- J a ? - spytała Klara i zatrzymała się przestraszona. - Jak to ja? Przecież zupełnie nie znam się na polityce i negocjacjach.

- Ale dobrze znasz naszego hrabiego Tybalda. Nie musisz z nim rozmawiać. Obserwuj go tylko uważnie i spróbuj wy badać, czy rzeczywiście oddał się całym sercem rebelii, czy też może bije ono nadal dla tej, której poświęcił tak wiele pięknych wierszy. Jeśli zdołasz, wpłynąć na niego, by do nas wrócił. Postaram się, by nigdy tego nie żałował.

- Ale przecież jako kobieta w ogóle nie zostanę dopuszczona do obrad - zauważyła Klara.

- Za to z pewnością znajdziesz sposobność, by przekazać naszemu Tybaldowi liścik. Tego zadania nie mogę powierzyć mężczyźnie.

- A czym uzasadnisz moją obecność?

- Powiemy prawdę - odparła z prostotą Blanka. - Jesteś siostrą hrabiego Tuluzy, nie czujesz się już dobrze na królewskim dworze i szukasz podróżujących do twego kraju, by się do nich przyłączyć. Przecież właśnie tego pragniesz?

Klara skinęła głową.

Blanka już jej nie potrzebowała, a przy rozwiązywaniu problemów, z którymi teraz borykała się królowa, Klara nie mogła jej pomóc. Tak, nadszedł czas, by wrócić do swoich, tych, którzy pozostali jeszcze w Langwedocji. Nadszedł czas, by się przekonać, czy w ogóle była jeszcze godna katarów. O tym, by zostać „doskonałą”, nawet nie śmiała już marzyć. Zbyt wiele grzechów obciążało jej sumienie.

- Wyruszysz jednak do Tuluzy dopiero wówczas, gdy otrzymasz moje pozwolenie - mówiła dalej Blanka. - Każdego dnia przyślę do ciebie giermka z wiadomością, a ty z kolei przekazesz mu swoje spostrzeżenia.

Hrabia Ryszard z Kornwalii, rodzony brat króla Anglii, Henryka, pojawił się przed dwoma laty we Francji i przywłaszczył sobie tytuł hrabiego Poitiers, twierdząc zuchwale, że odziedziczył go po swym stryju i ojcu chrzestnym, Ryszardzie Lwie Serce. Teraz ochoczo dołączył do zbuntowanych francuskich baronów, przekonany, iż po zwycięstwie nad obecną rodziną panującą bez trudu poradzi sobie z Mauclerkiem i jego nieuzasadnionymi roszczeniami do królewskiego tronu. Później przemówi innym baronom do rozumu i przekona ich, że Francja nie musi koniecznie pozostać na zawsze pod francuskim panowaniem. Wszystko po kolei.

„Piękny kraj” - pomyślał, gdy stojąc tego lutowego poranka przed bramami miasta, spoglądał na urokliwą żyzną dolinę, środkiem której wiała się rzeka; doprawdy, o wiele za dobry dla tych mówiących przez nos, kłótliwych, zżeranych ambicją parweniuszy, z których każdy uważał się za personę ważniejszą od innych. Nie spotka się tu mgły, powodującej, że wszystko znika sprzed oczu, ani wiecznej mżawki, która przenika przez wszystkie warstwy ubrania, można się za to rozkoszować wyśmienitym winem, delikatnym mięsem, pięknymi kobietami, a nawet zimowymi dniami, kiedy jest tak ciepło, że da się wytrzymać na zewnątrz bez futra.

Dostrzegł w oddali jakiś ruch, zmrużył więc oczy, by lepiej widzieć. Wyglądało na to, że zbliża się niewielki oddział wojska.

- Wysłannicy królowej - stwierdził Tybald z Szampanii, który pojawił się u boku Ryszarda. - Jej Wysokość najwyraźniej chce się układać.

- Lub oficjalnie wypowiedzieć nam wojnę i uzgodnić termin bitwy- odparł Ryszard, któremu myśl, że będzie walczył u boku Francuzów przeciwko Francuzom, wydała się nad wyraz ekscytująca.

Tybald potrząsnął głową.

- Z pewnością nie.

- Dlaczego więc wyruszyła z armią, jeśli nie chce jej użyć do stłumienia rebelii?

- Na postrach. W ten sposób daje do zrozumienia, iż wie o naszych planach.

Osłonił dłonią oczy przed słońcem i zawołał zdumiony: - Patrzcie no, jedzie z nimi nawet jakaś kobieta!

Ryszard z Kornwalii z niedowierzaniem potrząsnął głową. Już i tak było wystarczająco źle, że królestwem rządziła kobieta, co dla Anglika było czymś nie do wyobrażenia, ale prowadzenie ewentualnych negocjacji z kolejną niewiastą to już szczyt wszystkiego! I zrozum tu Francuzów!

Natomiast wicehrabia Thouars był zachwycony obecnością Klary i co rychlej kazał przygotować komnatę dla siostry hrabiego Tuluzy. Zupełnie zignorował uwagę Mauclerca, że młoda kobieta wychowała się na królewskim dworze i jest zaufaną dworką tej żalosznej królowej, a więc prawdopodobnie także ich wrogiem i zdrażczynią.

- Czy znacie innego wasala, który tak skutecznie stawiałby opór panującym władcom, jak Rajmund z Tuluzy? - zapytał zebranych wokół mężczyzn. - Wyślemy ją niezwłocznie do brata. Z odpowiednim listem, w którym wezwiemy go, aby dołączył do nas ze swoimi siłami.

- Może najpierw powinniśmy wysłuchać, co mają nam do zaproponowania wysłannicy królowej - zasugerował Tybald. Przesunął dłonią po kaftanie pod jedwabną czerwoną tuniką, gdzie ukrył liścik, dyskretnie wręczony mu przez Klarę tuż po jej przybyciu. Nadal żywił ogromną urazę do Blanki i nie wyobrażał sobie, by kiedykolwiek mógł wybaczyć jej hańbę, którą go okryła, jednak na widok znajomego pisma jego serce zabiło żywiej. Królowa skreśliła tylko trzy słowa: „Tybaldzie, opamiętaj się”.

Od chwili, gdy przeczytał liścik, chodził mu po głowie krótki wers: „Że się opamiętam, obiecuję, pragnąc wyznać, iż cię miłuję”.

Koszmar. Musiał jak najszybciej stanąć przed nią i spojrzeć jej w oczy, zwierciadło jej wyniosłego i zimnego serca.

To ostatecznie wyleczy go z obsesji, która wyrządziła już tyle złego, z namiętności, która przysporzyła mu tyle cierpienia i którą na nieszczęście znów zapłonał, widząc jej pismo. Był niezwykle wdzięczny, że baronowie powierzyli jemu oraz jego przyjacielowi, Henrykowi hrabiemu Bar, prowadzenie negocjacji. Jako że był najznajomniejszym wasalem króla, w dodatku najlepiej zorientowanym w sprawach królewskiego dworu, wybór nasuwał się sam. Tybald poprzysiągł, że przejdzie zwycięsko tę próbę, walcząc ze swym sercem, z uczuciami, które, jak się obawiał, w obecności Blanki znów mogą nim zawładnąć.

Powita ją lodowatym spojrzeniem, będzie prowadził z nią układy nieczuły na jej piękność, udowodni, że potomek hrabiowskiego rodu Szampanii nie wybacza tak łatwo. Czasy, kiedy hołubiła go niczym salonowego pieska, trzymała na krótkim łańcuchu niczym psa podwórzowego, a w końcu kopnęła niczym kundla, należą już do przeszłości. Och, jakże mocno będzie teraz gryzł!

Gdy Tybald z Henrykiem gotowali się do drogi, Ryszard z Kornalii podczas dysputy w niewielkim gronie spiskowców zauważył, że hrabia Szampanii był niegdyś jednym z najbardziej zaufanych

ludzi królowej, poświęcił jej niezliczone pieśni pochwalne i kiedy znów ją zobaczy, może się zdarzyć, że przejdzie na jej stronę. Mauclerc uważał te obawy za nieuzasadnione.

- Zawiedziona miłość - stwierdził - w dodatku zwieńczona upokorzeniem sprawiła, że hrabia jest rozgoryczony. To gwarantuje, że podczas rozmów będzie cięty jak osa. Wczorajszy wróg może się okazać jutrzejszym przyjacielem, drogi Ryszardzie, wszyscy o tym wiemy. Nie wybaczymy komuś, kto był świadkiem naszej słabości, a co więcej, wykorzystał ją dla własnych korzyści. Królowa zraniła dumę i serce hrabiego Tybalda, wyrzucając go z jego własnego miasta, i z tego względu bardziej niż nam zależy mu na pozbawieniu jej tronu.

Anglik potrząsnął głową. Niebezpiecznie jest mieszać politykę z uczuciami, gdyż te ostatnie są zupełnie nieprzewidywalne, zauważył: - Zawiedziona miłość jest złym doradcą. Nie wolno także nie doceniać wyjątkowego uroku mojej kuzynki Blanki. Ta kobieta jest ulepiona z tej samej twardej gliny co nasza babka, Eleonora Akwitańska, która zawsze zdobywała to, czego chciała. Taka kobieta schrupie hrabiego Szampanii na przystawkę.

- Zważywszy na to, że hrabia ostatnio oddawał się namiętnie igraszkom miłosnym, królowa może się nabawić poważnej niestrawności - odparł ze śmiechem Mauclerc.

Żądania baronów można było ująć w kilku słowach: więcej władzy, więcej posiadłości ziemskich, więcej pieniędzy, mniej danin, mniej obowiązków i najchętniej pełna suwerenność.

Sami natomiast proponowali jedynie rozejm. Dawali gwarancję na uciążliwe i przypuszczalnie bezowocne negocjacje, zanim podejmą działania zbrojne.

W południe Tybald z hrabią Henrykiem przekroczyli rzekę Dive i udali się w kierunku Loudun. Znając Blankę hrabia Szampanii podejrzewał, że każe posłańcom długo na siebie czekać. Ale tym ra-

zem się pomylił. Zaraz po przybyciu do potężnego zamku obaj mężczyźni zostali dopuszczeni przed oblicze królowej.

- Jak dobrze cię w końcu znów zobaczyć, hrabio Tybaldzie - powiedziała go Blanka łagodnym głosem w sali rycerskiej. - Cieszę się, że mogę cię lepiej poznać, hrabio Henryku, wierny przyjacielu nie tylko nasz, ale, o ile zostałam dobrze poinformowana, również cesarza.

- Jesteście naszymi miłymi gośćmi, jeśli przynosicie pokój - rozległ się jasny głos jej syna, który siedział na wysokim krześle obok Blanki i w słabym blasku pochodni zatkniętych na ścianach pomimo szczupłej twarzy wyglądał znacznie doroślejszemu, niż zapamiętał go Tybald.

- Niczego bardziej nie pragniemy niż pokoju - zapewnił hrabia Szampanii. Taka opcja jednak nie została uzgodniona z innymi baronami. Cel jego misji był jednoznaczny - miał wyrzucić na królową silną presję i bezpardonowo dać do zrozumienia, że jej rządy nie zostaną zaakceptowane. Tybald jednak nie był w stanie tego uczynić.

Postać i głos Blanki znowu go urzekły.

Najchętniej padłby władczyni do stóp i błagał ją, by znów obdarzyła go swymi względami. Wszystkie obmyślane wcześniej taktyki i wyrafinowane kruczki uleciały mu z głowy niczym chmara ptaków z drzewa. Utył i uzbroił się wewnętrznie, zdecydowany nigdy więcej nie ulec uczuciom, które czyniły go zupełnie bezsilnym, teraz jednak wszelkie postanowienia spełzły na niczym.

- Widzę, hrabio, że dobrze ci się wiodło - rzekła Blanka z uśmiechem, rysując rękoma w powietrzu nad swym łonem pokaźny brzuch.

Wyglądało to tak, jakby sugerowała, że jest brzemienna, co Tybaldowi natychmiast przywiodło na myśl akt cielesny, poprzedzający ów stan, jego największe marzenie, by kiedyś wolno mu było choćby wziąć tę kobietę w ramiona...

Wstrząśnięty odkryciem, iż ma tak słabą wolę, schylił głowę.

Królowa klasnęła w ręce.

- Zaczniemy obrady, panowie! - rzekła energicznie, zeskoczyła ze swego wysokiego krzesła z gibkością młodej dziewczyny i podeszła do obu mężczyzn. - Posilimy się teraz, przy stole zastanowimy się, jak można by załagodzić obecną sytuację. - Podała każdemu z posłów ramię i zwracając się do Henryka, zaszcebiotała: - Zaczynaj panie hrabio, musisz mi koniecznie opowiedzieć o bitwie pod Bovines, gdzie, o czym często wspominał mój małżonek, tak dzielnie walczyłeś u jego boku z największym wrogiem Francji.

„Z Janem bez Ziemi, ojcem Ryszarda z Kornwalii” - pomyślał skonsternowany hrabia Bar, zastanawiając się, nie po raz pierwszy, wobec kogo właściwie powinien być lojalny.

Był to niezwykle miły wieczór, podczas którego nie mówiono ani o pieniądzach, ani o władzy, ani też o posiadłościach ziemskich. Nikomu, kto przysłuchiwałby się rozmowom podczas tej wystawnej uczy, nie przyszłoby na myśl, że ci czcigodni goście przybyli tu jako wrogowie królowej, by układać się o lenna i wojnę.

Blanka wzięła na siebie ciężar konwersacji i wspominała dawne czasy, stale napomykając zarówno o Tybaldzie, jak i Henryku, jako wspomniałych przykładach wierności władcom Francji. Patrząc na swojego syna, zauważyła, że obaj posłowie pochodzą z wielce szlachetnego rodu. W ich żyłach płynie krew Karola Wielkiego, co zobowiązuje i daje powód do wielkich nadziei.

- Wybaczenie starej kobiecie, szlachetni panowie - powiedziała o późnej już godzinie. Podniosła srebrny, wysadzany rubinami puchar z czerwonym winem i przepiła do obu mężczyzn. - Proszę o wybaczenie, odbiegłam od tematu. Przybyliście tutaj, by się z nami układać. Czym zatem możemy wam służyć?

Jakby przypadkiem jej wzrok pobiegł ku lirze korbowej, wiszącej na ścianie. Tybald zauważył instrument natychmiast, gdy tylko prze-

kroczył próg komnaty, i z trudem zapanował nad sobą. Już od miesięcy nie muzykował, a prócz krótkiego wersu, ułożonego poprzedniego dnia, nie napisał żadnego utworu. Z dala od obiektu wieloletniego uwielbienia stracił także wenę twórczą i wiarę w sens swojej sztuki.

- Nie jesteś starą kobietą, pani - rzekł wzburzony, podniósł się i ruszył - jakby kierowała nim jakaś nieznaną siłą - ku ścianie. Ostrożnie niczym kruchy, drogocenny przedmiot zdjął lirę.

- Wspaniale! - zawołała Blanka, a jej brązowe oczy zaśniły. - Daj nam, hrabio, próbkę swego kunsztu. Tak cicho zrobiło się na zamkach. Gdzież podziali się wszyscy trubadurzy?

- Zginęli na wojnie - mruknął Tybald i pomyślał o swoim przyjacielu. Wraz z wolnością południa utracimy muzykę, powiedział Etienne pod Awinionem. Nie powinno tak być, to smutniejsze niż miłość, która wygasa! Wygasa? Jego miłość była gorętsza niż kiedykolwiek.

- *Cisza, co ból wielki sprawia, rozważa, co sercom nie dawa prawdy zoczyć, właściwą drogą kroczyć, radować się za dnia i w nocy* - zaśpiewał bez namysłu. - *Milczenie, co ciąży nam wielu, afekt, co rozpala me i twe serce, dozwól mi zrozumieć, czym mogłem zawinić, a posty gotów będę dla cię czynić.*

Przy ostatnich słowach pogładził się po wydatnym brzuchu i zawstydzony szybko usiadł na swoim miejscu.

- Ach, Tybaldzie - powiedziała Blanka, szczerze wzruszona - jakże mi ciebie brakowało!

Blanka nie wysłała do Klary giermka, lecz przekazała przez Tybalda wiadomość, dotyczącą samego hrabiego. Klara miała zwracać baczną uwagę na takie rozmowy, kiedy Tybald będzie nieobecny. Chodziło przede wszystkim o to, czy baronowie nie nabrali podejrzeń co do wierności Tybalda; w takim przypadku miała go ostrzec i odpowiednio działać.

Klara już od ponad tygodnia korzystała z gościnności wicehrabiego Thouars. W tym czasie Tybald i Henryk trzykrotnie jeździli do Loudun, by prowadzić układy z królową. Rozmowy wciąż jednak nie przynosiły rezultatów.

- Jesteśmy na dobrej drodze - zapewnił Tybald, gdy po raz czwarty wyruszał konno z Henrykiem do Loudun - ale królowa jest uparta i jeszcze niegotowa, by spełnić wszystkie nasze żądania.

Uwadze Ryszarda z Kornwalii nie umknął błysk w oczach Tybalda. Zapytał ostro: - I zapewne nadal jest urodziwa, choć osiąga już wiek, kiedy nie może być brzemienną?

- Nie debatujemy tu nad jej urodą - wtrącił Mauclerc. - Ta nędznica powinna iść do klasztoru! I zabrać ze sobą syna. - Obrzucił negocjatora nieufnym wzrokiem. - Powiedz nam, hrabio Tybaldzie, co dokładnie chce nam dać królowa?

- Każdego dnia troszeczkę więcej - improwizował zniecierpliwiony Tybald. Nie był zainteresowany ponownym wysłuchiowaniem roszczeń spiskowców, chciał jak najszybciej ponownie znaleźć się przy Blance.

Podczas ostatniej wizyty ucałowała go w policzek, szepcząc, że wszystkie dawne grzechy zostały mu wybaczone. Marzy o tym, by znów go mieć u swego boku. Po wieczery serce podyktowało mu najpiękniejsze wersy. Nawet kucharka głośno szlochała, gdy śpiewał o zawiedzionym kochanku, który czeka na pianie koguta, by móc odejść, gdyż jego miłości nie dozwala się trwać tak długo. Wszyscy mieli łzy w oczach. Jedynie przebywając blisko Blanki, Tybald potrafił znaleźć tak wzruszające słowa, opisujące smutek zakochanego, któremu nie było dane iść przez życie z umiłowaną kobietą, i ułożyć do nich muzykę. Blanka była dla niego źródłem inspiracji, powie-trzem, którym oddychała jego sztuka. Czegóż miał jeszcze szukać u buntowników? Lira była mu bliższa niż miecz.

Również jego towarzysz, Henryk z Bar, wyznał mu już jakiś czas temu, że jest zmęczony rebelią, po której sam niewiele sobie obiecywał. Bezgraniczna arogancja Ryszarda z Kornwalii sprawiała mu niemal fizyczny ból.

- Zachowuje się tak, jakby cały świat należał się Anglii - pomstował w rozmowie z Tybaldem. - Syn Jana bez Ziemi pragnie zdobyć wiele ziem, naszych ziem, i my mamy mu w tym pomagać? Tylko czekać, a jutro zażąda twojej Szampanii!

I tak raz za razem przeprawiali się przez Dive do Loudun, gdzie prowadzili miłe pogawędki, cieszyli się dobrym jedzeniem oraz wyśmienitym winem, ani razu nie wspominając o żądaniach zbuntowanych baronów, z powodu których odwiedzali królową. A jedyną troską Blanki zdawało się być dobre samopoczucie znamienitych gości.

- Jak oś wszystko samo się wyjaśni - stwierdził Tybald, gdy po raz czwarty wyruszyli w drogę do Loudun i jego towarzysz zauważył, że nie można w nieskończoność udawać, że coś się robi.

- A jednak - odparł Tybald. - Działanie nie zawsze jest korzystne. Z pewnością zdarzy się coś, co zakończy tę sprawę.

I tak też się stało.

Klarze z wielkim trudem udało się wywiercić otwór w podłodze. Niewielka, pusta izba, sąsiadująca z jej komnatą, leżała bezpośrednio nad pomieszczeniem, w którym obradowali baronowie, i w końcu mogła usłyszeć, o czym mówili.

Długo się zastanawiała, jak mogłaby być pomocna Blance i sprostać zadaniom, które powierzyła jej królowa. Nie czuła się na siłach, by wciągać baronów w niezobowiązujące rozmowy, a potem wydobywać z nich ważne informacje, tak jak to umiała czynić jej mądra przyjaciółka. Wydawałaby się sama sobie zbyt obłudna, a ponadto

była przekonana, że przejrano by natychmiast jej prawdziwe zamiary. Musiała znaleźć inny sposób, taki, który nie wymagałby od niej aktywnego uczestnictwa. Najlepszym wyjściem było podsłuchiwanie rozmów.

Zasunęła rygiel w drzwiach, wyciągnęła się na podłodze i przyłożyła ucho do otworu, który wywierciła poprzedniego dnia w deskach; trociny jeszcze przed świtem zebrała z pomieszczenia na dole i wrzuciła do ognia.

Gdyby ktoś spojrział w górę, zauważyłby jedynie brzydki otwór po sęku na drewnianej powale.

Klara martwiła się o Tybalda. Wiedziała z listu Blanki, w jak wielkim niebezpieczeństwie się znajduje, on sam jednak nie zdawał sobie z tego sprawy.

- Wszystko będzie dobrze, Klaro - szepnął do niej rankiem.
- Królowa znów przywróciła mnie do łask. Traktuje mnie nie tylko jak człowieka, ale także jak przyjaciela.

Stara śpiewka. Klara najchętniej wymierzyłaby Tybaldowi policzek, by sprowadzić go na ziemię. Nie chodziło o niego i jego niespełnioną miłość. Chodziło o Francję, o zachowanie dynastii, o syna Blanki i jej życie. I o życie samego Tybalda. Był negocjatorem baronów, którzy chcieli obalić obecnych władców. Ale był również sobą i nie potrafił inaczej. Właśnie dlatego Klara wciąż do niego coś czuła.

Czyż nie był tak samo zagubiony jak ona, która właściwie powinna nienawidzić rodziny królewskiej, gdyż zwalczała wszystko to, w co ona wierzyła? A mimo to wciąż wracała do Blanki i trwała przy niej. Dokładnie jak Tybald. Po raz pierwszy Klara pomyślała, że być może ojczyzna ma o wiele więcej wspólnego z ludźmi niż z określonym miejscem.

- Hrabia Szampanii jest zdrajcą - zagrzmiął Savary z Mauleon, niegdysiejszy seneszał króla Anglii, Henryka, i szeryf hrabstwa Somerset, który jako wzbudzający postrach herszt zbójców zdobył

ogromny majątek i dał się też poznać jako trubadur. Był najbardziej malowniczą postacią w gronie spiskujących francuskich baronów, do których dołączył, gdyż miał w tym własny interes.

- Mój szpieg w Loudun - ciągnął - donosi, że hrabia Szampanii śpiewa królowej słodkie pieśni... - Gdy przerwał, Klara dosłownie wyczuła, jak bardzo mówca pragnąłby sam po wielu tygodniach spędzonych w tym posępnym towarzystwie intrygujących możnych panów chwycić znów za instrument. - ...zamienia z nią przyjazne słowa, napycha sobie przy królewskim stole i tak już o wiele za tłusty kałdun i ubolewa na cały głos, że znowu musi wracać do ponurego Thouars, by zdać relację niezadowolonym baronom.

- Nie wierzę w to - powiedział skonsternowany Mauclerc. - Poza tym Henryk z Bar nigdy nie przyłożyłby do tego ręki.

- Henryk! - fuknął pogardliwie Ryszard z Kornwalii. - Przecież on przez całe życie działał na szkodę naszej rodziny panującej.

Zapadła niezręczna cisza. Ostatecznie ojczyzną Ryszarda była Anglia, przeciwko której wielu obecnych niejednokrotnie walczyło.

Klara załowała, że nie wywierciła większego otworu; mogłaby wówczas zobaczyć twarze zebranych.

- W każdym razie - zabrał ponownie głos Mauclerc - muszę przyznać, że hrabia Szampanii nie przekazał nam jeszcze żadnych wartościowych informacji.

- Nie tylko nie przekazał nam żadnych wartościowych informacji - uniósł się Ryszard - lecz na pewno wszystkich nas wyda. Uczyniliśmy kozła ogrodnikiem. A raczej kozły, gdyż Henryk z Bar również wbije nam nóż w plecy. Moi panowie, nie mamy wyboru, musimy zlikwidować tych zdrajców.

Klara wysłuchiwała uważnie, jak planowano to zrobić. Później ubrała wierzchnie odzienie, spakowała swój niewielki dobytek do płóciennego worka, poczekała, aż wszyscy w zamku zasną i wykradła się do stajni.

Spodziewano się, że Tybald i Henryk wrócą koło południa; w połowie drogi do Thouars mieli paść, nieszczęśni, ofiarą złoczyńców.

Serce Klary biło jak oszalałe, gdy przemknęła się obok śpiących stajennych, pochwyciła klacz, na której przyjechała, i zasłaniając jej nozdrza wyprowadziła na dziedziniec. Tym razem to ona uratuje życie Tybaldowi i choćby w niewielkim stopniu spłaci swój dług wobec niego!

Ta myśl dodała jej skrzydeł. Omal nie zaczęła śpiewać z radości dosiadając konia, który potrafił lepiej niż ona odnaleźć w ciemności drogę. Drogę, na której o poranku mieli zaatakować skrytobójcy.

Na zakręcie drogi nieopodal Curcay wstrzymała konia, by napaść się widokiem krwistoczerwonego wschodu słońca i doliny rzeki Dive, skapanej w ciepłym świetle. Świergotały ptaki, natura budziła się do życia.

„Jeśli teraz uratuję dwa życia - zastanawiała się - czy zrównoważy to śmierć dwojga ludzi, za którą jestem odpowiedzialna?" Natychmiast skarciła się w myślach. Jak mogła sądzić, że odkupi swoje winy, dając życie za życie? Przecież to bluźnierstwo! Oko za oko, ząb za ząb było napisane w Starym Testamencie, księdze diabła. Okrutne posłanie, dające przyzwolenie na przemoc, wojnę i odbieranie życia.

Spostrzegła Tybalda i Henryka, nim oni ją zauważyli. Dając gwałtowne znaki ręką, pogalopowała w kierunku obu mężczyzn.

Tybald wstrzymał swego rumaka.

- Co się stało? - zawołał do Klary. - Czyżby baronowie ci się na przykrzali? A może znów muszę ci ratować życie?

- Nie - zawołała bez tchu, podjeżdżając do niego. - Tym razem jest na odwrót.

Była straszliwie zdyszana i musiała najpierw głęboko zaczerpnąć powietrza.

„Jakaż ona jest piękna, jak nieokiełznaną ma naturę! - przyszło

nagle Tybaldowi do głowy. - To ja powinienem być poślubić, a nie Agnieszkę, tę nudną, ograniczoną babę!" Miał ogromną chęć odgarnąć Klarze z czoła czarne kosmyki, które wysunęły się spod ciemnej chusty i opadły swobodnie na zarumienioną od szybkiej jazdy twarz, zasłaniając jej lekko skośne, jasnoszare oczy.

- Zostaliście oskarżeni o zdradę - mówiła szybko dalej. - I skazani na śmierć, która was czeka, jeśli pojedziecie z powrotem do Thouars. Mauclerc żąda twojej głowy, Tybaldzie.

Zdumiony Henryk spojrział na swego towarzysza. Tybald roześmiał się głośno.

- W takim razie wiemy, co powinniśmy zrobić! - zawołał radośnie, jak gdyby zdjęto mu z ramion wielki ciężar. - Po prostu wrócimy i ofiarujemy królowej naszą pomoc.

Henryk z Bar skinął głową. Nigdy tak naprawdę nie przypadało mu do gustu, że należy do spisku przeciwko rodzinie panującej, w dodatku wspieranego przez Anglię. Dołączył do rebeliantów jedynie na usilne nalegania swego starego przyjaciela Tybalda.

Blanka nie wydawała się szczególnie zaskoczona faktem, że obaj mężczyźni, pożegnawszy się poprzedniego dnia wieczorem, tak szybko wrócili z powrotem. Uścisnęła serdecznie Klarę.

- Dobra robota - szepnęła do niej.

Sprawdziły się jej rachuby; odniosła pierwsze zwycięstwo bez przelewu krwi i znów przeciągnęła Tybalda jako wiernego wasala na swoją stronę.

Jednak nie był to jeszcze koniec rebelii. Baronowie odrzucili zaproszenie Blanki na rozmowy do Loudun i zaproponowali Chinon. Jednak królowa czekała tam na nich na próżno. Nie pojawili się także w uzgodnionym terminie w Tours. Rozsierdzona Blanka dała znać Mauclercowi, że wraz z innymi baronami ma się stawić w połowie marca w Vendôme, gdyż inaczej armia królewska rozpocznie działania wojenne.

- Co chcesz im zaproponować, pani? - spytał zatroskany Tybald, gdy oznajmiono, że nadciągają rebelianci.

- Moje dzieci - odparła krótko Blanka. - Zaręczę trójkę mych dzieci z dziećmi baronów, miejmy nadzieję, że jeśli będą spokrewnieni z rodziną panującą, dadzą wreszcie spokój. Nie poskapię im też pieniędzy i znacznych obszarów ziemi. Ci panowie nie walczą o ideały, wszystkich ich można przekupić.

Buntownicy, zgrzytając zębami, poddali się i 16 marca podpisali traktat pokojowy, przypieczętowany potrójnymi zaręczynami. Najważniejszy dla Blanki był związek jej syna z córką Mauclerca, Jolantą, właściwie już przyrzeczoną angielskiemu królowi - małżeństwo to zapewniłoby Anglii wielkie wpływy we Francji i mogłoby stanowić zagrożenie dla Korony. Blanka dobrze o tym wiedziała; ostatecznie nie tak dawno temu sama wysuwała roszczenia do angielskiego tronu.

Również Ryszard z Kornwalii, choć nad wyraz niechętnie, podpisał rozejm i już następnego dnia wyraźnie zde gustowany wyjechał do Anglii. Zawsze wiedział, że na Francuzach nie można polegać. Każdy dbał tylko o własne interesy, targował się, myśląc jedynie o własnych zyskach i dla własnej korzyści gotów był przepędzić przyjaciela na cztery wiatry lub nawet pozbawić go życia. Ryszard poprzysiągł sobie, że już nigdy więcej nie sprzymierzy się z tak skłóconą zgrają. Anglicy byli w tym względzie bardziej cywilizowani; przynajmniej występowali przeciwko zadeklarowanemu wrogowi wspólnym frontem!

Mauclerc nie krył wściekłości. Podczas negocjacji nie zaszczycił Tybalda ani jednym spojrzeniem i złożył królowej i królowi przeprosiny hołd z taką nienawiścią w oczach, że nawet Blance przebiegł dreszcz po plecach.

- To jeszcze nie koniec - powiedziała wieczorem do Tybalda i Klary. - Księżę Bretanii bez wątpienia wymyśli coś nowego i chyba

wiem, w jakim kierunku pójdzie jego następny atak. - Ujęła dłoń Tybalda. - Wspaniale, mój drogi, wierny przyjacielu, że się opamiętałeś. I że znów będziesz dla nas śpiewać.

Tybald chwycił za lirę, uśmiechnął się szelmowsko do Klary i zaśpiewał: - *Kruczoczarne włosy wieszczą im ratunek, które kryją dwa uszka, zgrabny ich rysunek; uszka te wiele słyszały złego, więc dziewczę bierze konia swego i na spotkanie pędzi przyjaciołom, by zabójców wyprzedzić, którym stawiają oni czoło. Pani, przysięgam na honor, to nie zdrada, pieśni mej więc zechciej wysłuchać rada.*

Skłonił się przed Blanką, która zaklaskała w ręce i zauważyła: - Dlaczego uważać za zdradę wersy poświęcone Klarze? Zasłużyła na to, a ja jestem nimi zachwycona.

W Klarze kłębiły się różne uczucia. Z jednej strony miała wrażenie, że znalazła się w domu, z drugiej zaś odczuwała ogromną tęsknotę za wspólnotą katarów, za ludźmi, którzy tak jak Felicjan działali uczciwie i nazywali rzeczy po imieniu. Tęskniła za prostym światem, gdzie można było przeżyć, nie knując intryg i nie wykorzystując innych.

Myślała o tych wielu skrzętnych ludziach, którzy pracowali od świtu do nocy, by nie umrzeć z głodu i nie zamarznąć, a ta praca stanowiła jedyny sens ich życia. Żaden z baronów, z którymi przebywała w ostatnich dniach, nigdy nie wspomniał ani słowem o losie zwykłych mieszkańców swojego kraju. Dla możnych panów lud składał się z żołnierzy, chłopów i rzemieślników, którzy mieli zapewnić im władzę, wpływy i bogactwa. Nie oni byli dla ludu, lecz to lud został stworzony dla nich. A ona, Klara, żyła sobie jak pączek w maśle na królewskim dworze i nie dało się zaprzeczyć, że pieśń Tybalda, ułożona specjalnie dla niej, schlebiała jej próżności. Zawstydziała się.

- Następny ruch Mauclerca - powiedział Tybald pewnego wieczoru po powrocie do Paryża. Rozłożył przed Blanką pergamin

o postrzępionych brzegach. - Po kraju krąży tysiące odpisów tego tak zwanego wiersza. Oryginał przekazano twojemu synowi w Orleanie.

Blanka przysunęła bliżej lampę i sięgnęła po pergamin, trzymając go w pewnym oddaleniu. Zawsze była dumna ze swego dobrego wzroku, od niedawna jednak niektóre litery rozplywały się jej przed oczyma. Te jednak mogła bez trudu odczytać:

- *Królu, nie wierz temu plemieniu babskiemu, lecz tych do rady chcesz prosić, co potrafią zbroję nosić.*

Rzuciła pergamin na ziemię.

- Gdzie przebywa teraz Ludwik? - zapytała.

- Schronił się na zamku Montlhery - odrzekł Tybald - oznajmiwszy baronom, iż nie życzy sobie, by go pouczali, nie potrzebuje bowiem innej pomocy niż ci ludzie, których ma w radzie.

Rozgniewana Blanka skinęła głową. - Nie uda im się wbić klina pomiędzy mnie a mego syna. Nieźle to sobie wymyślili, szlachetni panowie - uwolnić króla spod wpływu matki i kazać mu tańczyć, jak sami zagrają.

Spojrzała ze zmarszczonym czołem na hrabiego Szampanii.

- Wyglądasz na zatroskanego Tybaldzie, czy jest jeszcze coś więcej?

- Niestety tak - odparł. - Twoi przeciwnicy, pani, gromadzą w Corbeil znaczne siły. Nie wróży to nam nic dobrego; nie zdołamy w tak krótkim czasie zwołać wasali i wystawić armii.

Klara, która schyliła się po pergamin i przeczytała wiersz, uniosła do góry zaciśniętą pięść.

- Lud to nie tylko zbrojni, lecz także bardzo, bardzo wielu innych ludzi! - zawołała. - A paryżanie kochają cię, Blanko!

Po południu, pełna wspomnień, wybrała się do katedry, wznoszonej na wyspie Cité. Podziwiała ażurową galerię ze smukłymi kolumnkami nad rozetą na zachodniej fasadzie świątyni, ze zdumieniem stwierdzając, że na zawrotnej wysokości rozpoczęto budowę dwóch wież, które bez wątpienia sięgną chmur.

Wokół niej tłoczyli się ludzie z twarzami zwróconymi ku niebu, z zachwytem mówiący o pięknej królowej, która podczas każdej ze swych częstych wizyt na placu budowy nie omieszkała hojnie obdarować robotników i mieszczan. Wysłuchiwała trosk każdego, kto do niej podszedł, służyła radą, a niektórych ubogich chorych wysłała do własnego lekarza. Klara nie raz słyszała, jak mówiono, że za tę szlachetną i pobożną królową warto oddać życie.

- Tak - odpowiedziała Blanka na uwagę Klary. - Kocham mój lud i mam to szczęście, że jestem przez niego kochana. Ale jak może mi to teraz pomóc? Tylko niewielu mieszczan umie obchodzić się z bronią.

Klara uklękła przed królową i wzięła ją za rękę.

- Lud jest twoją bronią! Czy tego nie widzisz? Cóż będą mogli wskórać baronowie, gdy wszyscy paryżanie ruszą do Montlhery, niechby uzbrojeni tylko w nogi od stołów, młotki i kosy, lub po prostu w wolę przyjsia ci z pomocą? Hrabiowie nie mogą wszak wyrzucić całego ludu!

Ostatnie słowa same wypłynęły z ust Klary, sprawiając, że zadrżała. Inni lub też ci sami baronowie wiele lat temu podczas krucjaty przeciwko katarom pytali Kościół katolicki, jak mają odróżniać kacerzy, i otrzymali polecenie, by wymordować całą ludność heretyckich krajów. Jeszcze teraz doskonale pamiętała odpowiedź: - „Bóg rozpozna swoich”.

Tybald delikatnie dotknął ramienia Klary, jakby odgadł jej myśli.

- Do tej pory spór dotyczył jedynie królowej i baronów - powiedział cicho. - Moźni panowie przestraszą się tłumu. A naród kocha swoją królową. Wspaniały pomysł, Klaro!

Wyprostował się.

- Zaraz każę obwieścić heroldom, że najjaśniejsza pani pragnie jutro po mszy przemówić do ludu. Wszyscy mają odstąpić od pracy i przybyć do pałacu na wyspie Cite.

Blanka skinęła głową. - Niech bramy pozostaną szeroko otwarte.

Dziesiątki tysięcy ludzi cisnęło się na dziedzińcu pałacu i wokół niego, gdy Blanka wczesnym rankiem wygłaszała swoją odezwę. Rozmieszczeni w strategicznych miejscach heroldowie miejsca powtarzali każde jej słowo ludziom stojącym dalej. Wszyscy zebrani usłyszeli, że młody król wpadł w zasadzkę i jego życie znajduje się w niebezpieczeństwie.

- Czy chcecie przyjść z pomocą swemu królowi? - spytała Blanka na zakończenie krótkiej przemowy.

Z tysięcy gardeł rozległy się entuzjastyczne okrzyki.

- Niech Bóg czuwa nad wami! - zawołała Blanka do tłumu, który niezwłocznie począł gotować się do drogi.

Z murów otaczających pałac Blanka z Klarą obserwowały, jak coraz większa ciżba ludzi pod rozwiniętymi chorągwiami kieruje się na południe. Blanka, wzruszona do łez, zwróciła się do swojej przyjaciółki z pytaniem: - Jak będę mogła kiedykolwiek odwdziżyć się tym dobrym ludziom, którzy w potrzebie tak bezinteresownie ruszyli mi na pomoc?

„Tym właśnie - pomyślała przepełniona radością Klara - różni się Blanka od baronów. I to jest powód, dlaczego nadal tu jestem”.

Do rebeliantów szybko dotarła wieść o wymarszu paryżan z miasta, o zbliżającej się rzeszy ludzi, do których dołączało po drodze coraz więcej mieszczan. Moźni panowie przerazili się, dokładnie tak jak przewidział to Tybald; z równymi sobie stoczyliby zacięty bój, nie wierzyli jednak, że będą w stanie pokonać tak potężną armię prostych ludzi, którymi zawsze do tej pory gardzili. Równie dobrze mogliby walczyć z morzem.

Mauclerc pienił się ze złości. Był tak bliski zwycięstwa, wystarczyłoby jeszcze tylko jeden dzień, a zamek Montlhery poddałby się, król zostałby zabity lub uwięziony, a wówczas usunięcie królowej byłoby dziecinną igraszką.

Ktoś tą zuchwałą akcją pokrzyżował mu plany. Mauclerc domyślał się, kto stoi za wyjściem mieszczan z Paryża: bez wątpienia ten niegodziwiec, hrabia Szampanii.

Najwyższy czas, by zniszczyć trubadura i jego królewską kochankę. Miecz okazał się zbyt tępym narzędziem; teraz należało użyć pióra. Mauclerc przywołał zatem na pomoc swego przyjaciela, Savary'ego z Mauléon, dawnego seneżala króla Anglii, Henryka, który jako trubadur zdobył niemal równie wielką sławę jak Tybald.

- Chcę zamówić u ciebie pieśń - rzekł mu - która ma rozbrzmiewać na wszystkich dworach, a przede wszystkim również na ulicach całej Francji. Pieśń, która rozpowszechni prawdę o kobiecie, bezprawnie zajmującej królewski tron. Według mnie najlepiej byłoby wziąć za wzór **Roman de renart**, który teraz wszyscy czytają, i nazwać królową panią Hersent. Tak nazywa się zła wilczyca z tej powieści. Potem zaś napiszesz, co następuje...

Kilka tygodni później prześmiewczy utwór dotarł także do pałacu na wyspie Cité w Paryżu.

Blanka czytała tekst z pobladłą twarzą. Potem rzuciła go na ziemię i w zamyśleniu spojrzała na Tybalda.

- Czy może tak być, że mój lud w to uwierzy? Że podzegałam cię do zbrodni, byśmy mogli po śmierci mojego męża tarzać się nieobyczajnie w królewskiej alkwie? Że trwonię majątek państwa na hojne podarunki dla ciebie, podczas gdy mój syn cierpi niedostatek? Że tak naprawdę to ty jesteś władcą tego kraju, gdyż w swojej niewieściej słabości ulegam ci we wszystkim? Właśnie tobie?

Tybald słuchając tych słów, oblał się szkarłatnym rumieńcem.

- Pani... - wyjąkał.

- Zostawmy to, Tybaldzie. Wiem, że nie otrułeś Ludwika, ale wiem również, że ta ohydna plotka już na zawsze do ciebie przylgnie. Nie mogę jednak dopuścić, by ostało się choć jedno z tych odrażających słów na mój temat. Jeśli ktokolwiek odważy się je po-

wtórzyć, zaśpiewać na jarmarku czy w gospodzie, lub bodaj uczynić do nich aluzję, zostanie natychmiast oskarżony o obrazę majestatu i skazany na śmierć! Zadbaj o to, by wykonano mój rozkaz!

Uderzyła pięścią w stół.

- Domyślasz się, kto może być autorem tego nikiemnego paszkwilu?

Tybald starał się nad sobą zapanować. Obraz ich dwojga, tarzających się nieobyczajnie w królewskiej alkwie, rozпалиł go do czerwoności. Wiersz był nad wyraz zgrabnie napisany i z pewnością wyszedł spod pióra wielce utalentowanego trubadura.

- Jego autorem może być jedynie Savary - powiedział, dodając:
- Ten herszt zbójcecki, który także należał do spisku. Szkoda, że trwoni swój dar na tak plugawą szmirę.

Blanka westchnęła. - Ten utwór to przygrywka do kolejnej batalii. Mauclerc obmyśla następny atak; musimy go ubiec. Będzie wojna, Tybaldzie, i znów popłynie krew. Obawiam się, że nie da się już temu zapobiec.

- Co zamierzasz, pani? - zapytał z niepokojem Tybald.

Blanka podeszła do okna.

- Tam na zewnątrz - rzekła cicho - setki tysięcy ludzi wykonuje swą pracę. Gdy poprosiłam ich o pomoc, zostawili wszystko, by wesprzeć rodzinę królewską. Być może moja armia nie jest zbyt potężna, ale mam lud, który kocha swego króla i królową. Do tej pory, Tybaldzie, nie doceniałam siły komun miejskich, lecz teraz uczynię z niej użytek w walce z tymi małostkowymi baronami.

Obróciła się do niego. - Wszyscy mieszczenie otrzymają możliwość złożenia przysięgi na wierność mnie i mojemu synowi. Zostanie ona spisana na pergaminie, potwierdzona i opatrzona pieczęcią. Każda z tych małych mrówek - wskazała na okno - będzie mogła zabrać głos. Każdy będzie wiedział, że jego głos ma znaczenie i zo-

stanie wysłuchany, ale przy tym będzie miał także świadomość, że przysięga na wierność zobowiązuje.

- Co sobie po tym obiecujesz, pani?

- Tego nie wiem jeszcze dokładnie.

Było to przecucie. Jedno z tych, które nawiedzały ją często, gdy opuszczała pałac, by sprawdzić postępy w budowie katedry, i nie spodzianie wdawała się w rozmowy z przypadkowymi mieszczanami. Nie raz przestąpiła próg rozpadającego się domostwa i zawsze była poruszona nędzą, w jakiej żyli ludzie, którzy dokładnie tak samo jak ona oddychali, pracowali i modlili się. Często myślała o Lisette. Jej zastępczyni pochodziła z gminu, a jednak po krótkim szkoleniu całkiem wiarygodnie odgrywała rolę królowej.

- Mauclerc się nie podda, ale też nie uderzy zbyt szybko - powiedziała. - Znam go. Będzie usiłował przeciągnąć na swoją stronę jak największą liczbę moich zwolenników, składając im hojne obietnice. To zabiera wiele czasu. Ale dopóki krąży ten pamflet... - splunęła na pergamin z prześmiewczym wierszem - nie powinieneś, drogi Tybaldzie, przebywać w moim pobliżu; nie chcemy przecież dawać pożywki dla dalszych plotek.

- Pani, nie odprawiaj mnie znowu!

- Będziesz towarzyszył Klarze w drodze do Tuluzy - odrzekła chłodno Blanka. - Hrabia Rajmund ciągle jest naszym przeciwnikiem. Słyszałam jednak, że powoli ubożeje. Jego kraj nie podniósł się po zniszczeniach, jakie poczynił w nim Ludwik. Hrabia Tuluzy powinien przestać popierać kacerzy i oddać się pod naszą opiekę. Złożę memu kuzynowi godziwą ofertę. Przekażesz mu list ode mnie, a ja postaram się wpłynąć na Klarę, by przekonała swego brata. Ruszacie jutro o poranku.

Zmiana stanowiska

*Kim my, ludzie, jesteśmy? Domem bólu okrutnego.
Podmiotem fałszywego szczęścia, chwili płomieniem.
Siedzibą gorzkiego strachu przed ludzkim niespełnieniem,
Tylko topniejący śnieg i cierpienia serca naszego.*

Andreas Gryphius (1616-1664), *Ludzka niedola*

*Jak prosty lud może nie być zgorszony, jeśli widzi, że „doskonali” rzetelnie
poszczą, żyją wstrzemięźliwie, skromnie się odziewają i chodzą pieszo, podczas
gdy wy opływacie w zbytki i poruszacie się konno z orszakiem?*

Święty Dominik (Dominik Guzman, kastylijski
duchowny), Tuluza, ok. 1215 roku

Ładna pogoda na początku tego lata, sprzyjała wędrownikom, toteż Tybald i Klara szybko posuwali się naprzód. W pierwszym tygodniu, gdy jechali w otoczeniu większego oddziału rycerzy Tybalda, Klara najczęściej pozostawała sama, gdyż hrabia Szampanii miał jeszcze wiele spraw do załatwienia we własnym kraju. Przydzielał różne zadania ludziom, którzy stopniowo odłączali się od orszaku, zmierzającego na południe. Klara usłyszała, że przede wszystkim troszczył się o umocnienie zamków w Szampanii, gdyż obawiał się zbrojnego ataku Mauclerca na swój kraj. Rzecz oczywista, książę Bretanii nie zamierzał już wydawać córki za syna Blanki.

Tybald zapewnił swoich ludzi, że nie zatrzyma się na południu zbyt długo, gdyż pragnie jak najszybciej wrócić do Troyes, stolicy Szampanii.

- Będziemy wiernie służyć rodzinie panującej - powtarzał raz po raz - i tak, jak my ją chronimy, ona pośpieszy nam z pomocą, jeśli znajdziemy się w potrzebie.

Było niezmiernie ważne, by wiadomość ta dotarła do najdalszych zakątków Szampanii, gdyż w niektórych odległych miejscowościach dopiero teraz dowiadywano się o groźbie zmarłego króla. Nie minął jeszcze rok od chwili, gdy Ludwik, rozgniewany zdradą Tybalda w Awinionie, zapowiedział, że zrówna z ziemią całą Szampanię.

„Jak szybko wszystko się odmieniło i jak wiele wydarzyło się od tego czasu” - pomyślała z trwogą Klara.

Kogo i co zastanie w Tuluzie? Jej ojciec zmarł przed czterema laty. Wciąż bolało ją serce, gdy myślała o ostatnim pożegnaniu, o gniewie ojca. Jaka głupia była wtedy, jaka naiwna! Czy brat powita ją ser-

decznie, nawet gdy po raz kolejny wjedzie do miasta z ludźmi króla?

W jej otoczeniu już od dawna nikt nie wspominał o katarach; w obliczu groźby wojny z baronami wszyscy jak gdyby zapomnieli o heretykach i wezwaniu do krucjaty. Rzym jednak nigdy nie ogłosił jej zakończenia. A nowy, panujący od marca papież Grzegorz IX uchodził za nieprzejednanego wroga każdego heretyckiego ruchu, który postulował ubóstwo.

Gdy podpisano traktat w Vendôme, Klara wróciła z Blanką do Paryża i już następnego dnia udała się na poszukiwanie swoich przyjaciół. Wszyscy zniknęli. Chodząc uliczkami miasta, wypatrywała czarno odzianych ludzi i tajemnych znaków, ale niczego nie znalazła. W domach katarów żyli teraz inni ludzie. Na ostrożne pytania o wcześniejszych mieszkańców najczęściej zatrząskiwano jej drzwi przed nosem. Niekiedy nowi lokatorzy odpowiadali Klarze, że mają wystarczająco wiele własnych problemów, by zajmować się jeszcze odszczepieńcami, w dodatku pochodzącymi z innego kraju. Klara wykradała się nocami z pałacu, by odwiedzić kościoły, podziemia, stodoły i inne sekretne miejsca spotkań - daremnie. Jeden jedyny raz spotkała w pobliżu katedry na wyspie Cité dawną „wierzącą”. Kobieta trzymała na rękach dwójkę małych dzieci, a na jej piersi wisiał duży krzyż. Zachowywała się tak, jakby Klara, z którą wcześniej tak często żarliwie się modliła, była jej zupełnie obca. Mimo to Klara szła za nią aż do jej domu. Gdy próbowała wejść za kobietą do środka, ta odwróciła się i syknęła jej w twarz: - Widzę, że koniecznie chcesz zostać spalona, heretyczko! Zabieraj się stąd! Jeśli jeszcze raz do mnie podejdziesz, doniosę na ciebie! Z tym już koniec!

Wydawało się, że to, co Kościół katolicki nazwał herezją, nie istnieje już na północy. Klara nie wiedziała, jak to się mogło stać, i nie odważyła się pytać o to kogokolwiek na królewskim dworze. Blanka nakazała jej surowo odstąpić od kacerskiej wiary, a gdyby okazało się to niemożliwe, przynajmniej zachować ją dla siebie. - Nie mogę

cię stale chronić przed prześladowaniami; muszę się troszczyć o wiele innych, ważniejszych spraw.

Za każdym razem, gdy Klara widziała z okien pałacu na wyspie Cite blask buchających wysoko, lecz kontrolowanych płomieni, modliła się za duszę, która być może ulatywała właśnie ku niebu.

Niewykluczone, że również jej obecni towarzysze, kiedy znajdują się w Tuluzie, wywrócą swe okrycia na drugą stronę, okazując krzyże, i znów przypomną sobie, że powinni zadbać o tak zwane zbawienie jej duszy. Im byli dalej na południe, z tym większą nieufnością Klara wypatrywała świadczących o tym oznak.

Przeszedł ją dreszcz. Po bagnie intryg, do którego wciągnięto ją w ostatnich miesiącach, już nic nie wydawało jej się niemożliwe. Również zdrada Blanki. Dlaczegożby królowa miała posyłać swego najznamienitszego wasala z nic nieznaczącą dworką-heretyczką do miasta największego przeciwnika rodziny panującej? Przecież na swojej wielkiej politycznej szachownicy Blanka stale przesuwiała pionki to tu, to tam, i zawsze starała się przewidywać następny ruch drugiego gracza.

Rozmawiając z Klarą, twierdziła, że pragnie się pojednać z hrabią Tuluzy, a Tybald ma zaprosić go do negocjacji. Jej, Klarze, można było wszystko wmówić; była przecież tylko łatwowierna, głupią dziewczyną, która odwróciła się od świata, nie znała się na polityce i nie rozumiała, na jakiej zasadzie wrogowie w jednej chwili stawali się przyjaciółmi i na odwrót. Zawsze chodziło o własny interes, nigdy o dobro innych ludzi, o ich dusze, a już z pewnością nie o wzmocnienie wiary i ducha.

Dlaczego jej brat, który tak długo z powodzeniem opierał się francuskiemu królowi, miałyby nagle się poddać? Czy liczni rycerze Tybalda rzeczywiście wracali do domu, czy też skrycie jechali za nimi dalej tylko po to, by zaatakować Tuluzę, gdy przed siostrą hrabięgo otworzą się bramy miasta? Czy dołączą do nich inne oddziały? Czy

w sekrecie podjęto kolejną krucjatę przeciwko katarom? Czy ona sama miała być przynętą?

„Marmande” - pomyślała Klara, i pomimo mocno przygrzewającego słońca zdrzała z zimna. Ludzie króla wrzucili ją wtedy do Garonny. Niczemu i nikomu nie można wierzyć - tego jednego nauczyła się w ciągu minionych lat.

Kilka miesięcy temu chciała samotnie wyruszyć w daleką drogę z Asyżu do Langwedocji. Była wówczas chora, osłabiona i pogrążona w rozpacz. Teraz była zdrowa i pełna sił, znajdowała się w okolicy, gdzie sięgały wpływy brata, a do Tuluzy było zaledwie kilka dni jazdy. Rozpoznawała już znajomy krajobraz. Witała jałowce, pinie i cyprysy, zapamiętane z dzieciństwa, oddychała powietrzem, które nigdzie nie było tak łagodne jak w Oksytanii.

„Tak - pomyślała - rzekomi obrońcy aż nazbyt często okazywali się niosącymi śmierć wrogami”. Nie, nie potrzebowała eskorty; sama odnajdzie drogę i ostrzeże brata.

Spoglądając ze szczytu wzgórza na dolinę, dostrzegła małą posiadłość, niemal całkowicie ukrytą pośród drzew. Z drogi, którą podążali, prowadziła do niej wąska, ledwie widoczna ścieżka. Zapamiętała uschłe drzewo z prawie białym pniem tuż za zakrętem; na pewno nawet w zapadających ciemnościach bez trudu je odnajdzie.

Niezauważalnie przesuwiała się ze środka orszaku na jego koniec. Gdy nieco później słońce zniknęło za górami i pojawił się przed nimi zakręt, poprosiła jadących obok niej o wybaczenie; niech śpieszą dalej, ona musi udać się na chwilę w ustronne miejsce i zaraz ich dogoni. Jeden z ludzi zapytał przyjaźnie, czy ma trzymać straż, Klara jednak, uśmiechając się z udawanym zakłopotaniem, wskazała na pustą okolicę, podziękowała mu za troskę i ściągnęła cugle.

Gdy ostatni jeździec zniknął za zakrętem, zawróciła, po czym spięła konia ostrogami.

Nagle okazało się, że o zmroku białe, wyglądające na obumarłe pnie ma wiele drzew. I gdzie jest ta ścieżka, która prowadzi do ukrytej wśród drzew posiadłości? Nie mogąc jej znaleźć, zaniepokojona Klara cofnęła się kawałek. Czyżby przeoczyła rozwidlenie dróg? Przecież musiało tu gdzieś być! Robiło się coraz ciemniej. Coraz bliżej słysząc było tętent końskich kopyt i nawołujący ją głos Tybalda. Tybalda, który na polecenie Blanki miał wykorzystać jej osobistą sytuację do jakichś politycznych celów. Była tylko pionkiem na szachownicy skomplikowanej strategii; nikomu nie zależało na niej samej i jej losie. „Ach, Felicjanie! Być może byłam dla ciebie diabelską pokusą, ale dostrzegałeś we mnie kobietę, która cię kocha, i nawet po śmierci przekazałaś mi posłanie. Otrzymałam od ciebie tę samą radę, którą dała mi kataraka w Macón: słuchaj swego serca! A ono mówi mi teraz: uciekaj stąd, gdzie każdy myśli tylko o tym, by uczynić zło drugiemu człowiekowi”.

W mroku połyskiwał nagi pień. Czyżby było to martwe drzewo, które widziała ze wzgórza? Klara, ogarnięta panicznym strachem, zmusiła stawiającego opór konia, by precyzyjnie się przez gęstwiny, i spięła zwierzę ostrogami.

Z jej gardła wyrwał się ochrypły krzyk, gdy wyleciała z siodła i runęła w przepaść.

- Obudź się Klaro, obudź się!

Klara ostrożnie uniosła powieki. Leżała na szerokim łożu w niewielkiej izbie, okryta owczą skórą. Izba była najwyraźniej oddzieloną częścią większego pomieszczenia, z którego dobiegał gwar głosów. Siedzący obok niej Tybald bił ją lekko po policzkach.

- Dzięki Bogu, znowu jesteś z nami! - wykrzyknął i odsunął się od niej. - Tak się o ciebie baliśmy!

- Co... - Klara nie zdołała dokończyć zdania.

- Najpierw napij się czegoś, by wrócić do sił! - Tybald podparł jej ręką plecy, by mogła usiąść, i podał czaręk rozcieńczonego, słodkiego wina.

- Jest dla mnie zagadką, jak twój koń mógł zboczyć z drogi - powiedział, potrząsając głową. - No cóż, nieposłuszeństwo przepłacił życiem. Do ścieżki brakowało zaledwie kilka kroków. Dziwne, jak niektóre zwierzęta decydują się na skok w przepaść! Wypij jeszcze trochę.

„Znów jestem winna śmierci żywej istoty - przemknęło Klarze przez głowę. - Zawsze gdy udaję się sama w drogę, dzieje się coś złego. Moi ludzie mieli słusność, wędrując zawsze co najmniej we dwójkę”.

- Gdzie ja jestem? - zapytała, z trudem wydobywając z siebie słowa.

- We dworze, do którego prowadzi właśnie ta ścieżka - wyjaśnił Tybald. - Twój koń spadł na skały, ty miałaś więcej szczęścia, wylądowałaś w krzewach, choć, być może, złamałaś lewą nogę. Nie zbadałismy jej jeszcze dokładnie, chcieliśmy najpierw poczekać, aż przydziesz do siebie. Czy czujesz tutaj coś?

- Ból - odrzekła Klara. Usiadła, pojękując cicho, odsunęła na bok owczą skórę, podwinęła ciemną suknię i nie bacząc na obecność siedzącego obok mężczyzny, obmacała odsłoniętą łydkę i kostkę.

- Nie jest złamana - stwierdziła z ulgą. - To tylko zwichnięcie.

- I co teraz zrobimy? - zapytał bezradnie Tybald.

- Potrzebna nam jest cebula - odparła Klara. - Każ pokroić kilka i daj mi kawałek lnianej tkaniny. Zrobię sobie okład, by zeszała opuchlizna.

Tybald podniósł się. - Są tu kobiety, które ci w tym pomogą - powiedział, skłonił się i pogłaskał ją niezgrabnie po głowie. - Tak się cieszę, że żyjesz i czujesz się względnie dobrze. Blanka kazałaby mnie poćwiartować, gdyby coś ci się stało.

„Blanka - pomyślała ze złością Klara - ciągle ta Blanka! Kto tutaj zwichnął sobie kostkę?”

Jej niezadowolenie minęło, gdy do izby weszła kobieta w średnim wieku. Miała taką samą czarną suknię jak ta, na którą tak często wyrzekała Blanka.

- Dobra chrześcijanko - rzekła cicho Klara - daj mi swoje błogosławieństwo...

- Spokojnie - syknęła kobieta. - Ludzie króla są w pobliżu. A ja nie jestem...

Przerwała w pół zdania.

- ...„doskonałą” - mruknęła rozczerowana Klara.

Kobieta przysiadła obok niej na łóżku.

- Siostró - szepnęła - jak znalazłaś się w tej kompanii?

Klara mimo najlepszych chęci nie potrafiłaby jej na to odpowiedzieć. Jednakże na pełne troski pytanie kobiety: - Czy prowadzą cię przed tak zwany ziemski sąd? - potrząsnęła gwałtownie głową i szczęśliwa, że znów jest wśród swoich, objęła kobietę, a z jej oczu trysnęły łzy.

Szlochając, wyznała, że jest siostrą hrabiego Tuluzy. Usłyszawszy to, kobieta chciała pokryć jej dłoń pocałunkami. Speszona Klara cofnęła rękę.

- Jesteśmy w drodze do mojego brata Rajmunda, by położyć kres tym nieszczęściom - rzekła, dodając szybko: - Ludzie króla nic nam nie zrobią, gdyż zależy im na pokoju.

„Jeśli powiem to na głos, może rzeczywiście tak się stanie - pomyślała z rezygnacją. - Tybald naprawdę się o mnie martwił! Gdyby miał złe zamiary, zostawiłby mnie po prostu obok martwego konia i pojechałby dalej. Moja samowola kosztuje go co najmniej jeden dzień drogi!”

- A rycerz, który kazał nam posiekać cebulę, to twój mąż? - zapytała katarka.

Klara z nieszczęśliwą miną skinęła głową. Tybald siedział przy niej na łóżku, co zatem miała powiedzieć?

- W takim razie jeszcze nie wszystko stracone - stwierdziła kobieta. - Jego ludzie śpią w stodole, tam, gdzie zwykle spoczywają nasi.

- Nie może tak być, byśmy zabierali wam miejsca do spania - rzekła cicho Klara. - Przecież noce są jeszcze bardzo chłodne.

- W lesie jest pieczara. - Kobieta zawahała się. - W stodole jest wiele miejsca. Czy możemy zaryzykować i sprowadzić z powrotem naszych ludzi?

Klara powstrzymała cisnące się na nowo do oczu łzy i potrząsnęła głową.

- Lepiej nie. Mój mąż... - z trudem wydusiła z siebie to tak intymnie brzmiące słowo - jest wyrozumiały, lecz jego ludzi nie jestem do końca pewna. „Felicjanie - pomyślała - ty zawsze polegałeś na moich słowach”.

Kobieta podniosła się raptownie.

- Ja również po tym wszystkim, co nas spotkało, nie jestem ich pewna - powiedziała ostro. - Przyślę tu z powrotem twojego męża. Z cebulą i lnianym płótnem.

Wszedłszy do izby, Tybald wręczył Klarze to, o co prosiła. Gdy na powrót skierował się ku drzwiom, zatrzymała go. Ostatecznie powinien wiedzieć, że podała się za jego żonę.

- Zostań - powiedziała. - Muszę ci coś wyznać.

Katarka ze zdumieniem podniosła wzrok, gdy z sąsiedniego pomieszczenia dobiegł ją gromki śmiech. Jej córka, karmiąca piersią dziecko, spojrzała przestraszona na matkę. Ta pochyliła się ku niej i szepnęła: - Nie bój się. Kiedy tak się śmieją, nie zabijają. Wtedy ich śmiech brzmi zupełnie inaczej.

Tybald wyciągnął się wygodnie na łóżku obok Klary.

- Moja umiłowana żono - powiedział - tę noc spędzić nam ra-

zem dozwolono, czy mogę skraść ci całusa? Uśmiech na twym licu wywoła ma pokusa...

- Tybaldzie - odparła surowo Klara, kładąc cebulę na opuchnięte miejsce i owijając kostkę kawałkiem Inianego płótna - nie błaznuj, proszę, i daruj sobie te niedorzeczne rymy. Nie jesteśmy na królewskim dworze. Musiałam jakoś wytłumaczyć fakt, że widziałeś moją obnażoną łydkę.

Te słowa roznamiętniły go o wiele bardziej niż widok nagiej łydki. Wyciągnął rękę i pogładził Klarę delikatnie po głowie. Klara wzdygnęła się.

- Czy stopa bardzo cię boli? - spytał zatroskanym głosem, wstał, wziął lampę ze stołka przy łóżku, ostrożnie zsunął z nóg Klary owczą skórę i przyjrzał się opatrzonej już kostce, a przy okazji także szczupłej łydce.

- Tybaldzie!

- Jako żem mąż pełen troski, żony dogładając, obowiązek spełniam mężowski! Powinności i praw małżonka nie wzbrowni mi ma luba żonka!

Pochylił się nad nią i musnął wargami jej łydkę, a potem zaczął pieścić ją językiem, wędrując ustami coraz wyżej.

Klara zastęła w bezruchu. „Już raz zrobił coś podobnego - pomyślała - Ale wtedy nic nie czułam, a teraz mam wrażenie, że moja noga płonie. Powinien natychmiast przestać! Jakże cudownie być tak blisko innego człowieka, człowieka, którego znam niemal przez całe swoje życie! Jakże byłam samotna!”

Tybald złożył pocałunek na wewnętrznej stronie jej prawego uda. Nagle jęknął i szybko podniósł głowę.

- Wybacz mi, Klaro - wyszeptał. - Pokusa była zbyt silna.

Klara przeraziła się pustki, która nią zawładnęła, gdy Tybald spoczął z dala od niej po drugiej stronie łóżka, starając się najwyraźniej nie naprzykrzać jej w żaden sposób.

Wyciągnęła rękę i lekko dotknęła jego piersi.

- Byłoby wspaniale, choć raz w życiu naprawdę należeć do mężczyzny - szepnęła i zadrżała, słysząc słowa, które jakby same wypływały z jej ust i których nawet nie miała odwagi pomyśleć. Słów, które, jak później miała osądzić, podszeptają jej sam szatan.

Jednakże teraz, po wielu dniach rozmyślań o braku ojczyzny i nieodgadnionej woli Boga, po ucieczce przed rycerzami króla, po wielkim lęku przed zdradą, po upadku z konia, budziło się w niej słodkie wspomnienie czasów, kiedy świat wydawał się prosty i przewidywalny, gdyż nie troszczyła się o nic i niczego nie rozumiała. Wspomnienie czasów, w których miłość do Tybalda była dla niej najważniejszą rzeczą na świecie i ta mrzonka wypełniała jej wszystkie dni. Delikatnie pogładziła pierś Tybalda w miejscu, gdzie biło jego serce.

- Nie chciałym cię znowu skrzywdzić - odparł równie cicho, dodając: - Zbyt cię miłuję, bym mógł to uczynić.

Klara ze szlochom zwróciła się ku niemu i przywarła do Tybalda całym ciałem, tak że nawet jej zabandażowana stopa zetknęła się z jego stopą.

- A więc miłuj mnie! - wykrzyknęła przez łzy. - Jak mężczyzna kobietę!

Temu wezwaniu trubadur nie był w stanie się oprzeć. A jednak zaobserwował u siebie coś osobliwego. Gdy zamknął Klarę w ramionach i całował jej usta, gdy delikatnie przesunął dłonią po jej piersiach i łonie, by pochwycić skraj ciemnej tuniki, zdumiał się, w jak niewielkim stopniu kierowała nim tym razem żądza. Rzecz oczywista, był poruszony i owładnięty pożądaniem, by przejść przez te same wrota, na które przed laty tak brutalnie naparł, lecz równocześnie ogarnęła go nieznana wcześniej czułość. „Muszę naprawić zło, które jej wyrządziłem” - pomyślał, zdawał sobie jednak sprawę, że to niejedyny powód, dla którego pragnął obejść się z tą kobietą wyjątkowo delikatnie. Nie chodziło też o obawę, że może niechcący ura-

zić jej zwichniętą kostkę. Uczucie to było najbliższe doznaniom religijnym; mógł je porównać jedynie z uczuciem, jakie towarzyszyło mu, gdy odwiedzał nowo poświęcony kościół, którego jeszcze żaden człowiek nie zbrukał złymi myślami.

Ale przecież trzymał w ramionach heretyczkę! Jak w ogóle takie porównania mogły mu przyjść do głowy! A mimo to w tym akcie, który dotąd służył mu jedynie do zaspokojenia zmysłów, było coś świętego.

Zaskoczeni swymi odczuciami odsunęli na bok wszystkie myśli i oddali się sobie nawzajem.

- I jak twoja kostka? - zapytał Tybald, jadąc następnego dnia obok Klary.

- Cuchnie! - odparła Klara. - I zapewne będzie tak brzydko pachnieć jeszcze przez dłuższy czas. Gospodarze dali mi świeżą cebulę.

- Dziwni wieśniacy - mruknął Tybald, spoglądając na nią z boku. Klara umknęła wzrokiem.

- Dla mnie to byli całkiem zwyczajni ludzie - odrzekła cicho.

- Tak, dla ciebie... - zauważył Tybald - ale z pewnością nie dla Humberta z Beaujeu, u którego będziemy dzisiaj nocować w Castelsarrasin.

Klara przeraziła się. Konetabl Humbert z Beaujeu był tym wodzem, który z pięcioma setkami rycerzy oddalił się od wojsk królewskich, by dalej ścigać heretyków i utrudniać życie hrabiemu Tuluzy. Poprzedzała go sława niezwykle brutalnego człowieka, który uwielbiał polowania na ludzi i chętnie grzął ręce przy płonących stosach.

- Przedstawię cię jako moją żonę, a jego kuzynkę, Agnieszkę - wyjaśnił Tybald. - Ci dwoje nigdy się nie widzieli, a ewentualnemu spotkaniu w przyszłości zawsze można przeszkodzić. „Ponadto znów będziemy mogli spać w jednym łóżu” - dodał w myślach, zadowo-

lony, że bez większego wysiłku ze swej strony znów przeżyje z Klarą rozkoszne chwile.

Wzniosłe, nocne myśli rozplynęły się w świetle dnia, ustępując miejsca pospolitemu pożądaniu kobiecego ciała. Tybald nie potrafiłby teraz powiedzieć, co w niego wstąpiło minionej nocy, że czuł do tej szczupłej czarnowłosej kobiety wręcz nabożną cześć, cześć, która należała się jedynie pani jego serca, królowej Blance. W porównaniu z nią Klara, podobnie jak jego żona Agnieszka, była zaledwie zwykłą dziewczką, jedną z wielu.

Za dnia również Klarze czar minionej nocy wydawał się złudzeniem. Obudziła się wcześniej niż Tybald i w bladym świetle poranka z przerażeniem przyglądała się opasłemu nagiemu mężczyźnie, który chrapał z otwartymi ustami. Jednakże to nie widok Tybalda budził jej wstręt, lecz to, co sama uczyniła, co sama sprowokowała. Bezwstydnie mu się zaoferowała, niecierpliwie przyjmowała jego pieczyoty i z najwyższą rozkoszą uległa diabelskiej pokusie. Szatan ostatniej nocy wykonał naprawdę dobrą robotę.

Tego nie mogła wytłumaczyć upadkiem z konia, chwilowym pomieszaniem umysłu czy innymi względami. Wszystko to były niezbyt przekonujące usprawiedliwienia. Myślała trzeźwo. Pragnęła tego. Odczuwała prawdziwą rozkosz. Po raz kolejny zdradziła swoją wiarę i będzie musiała za to odpokutować.

- Nie możesz mnie przedstawić jako swoją żonę - zaprotestowała gwałtownie. - Jakiś rycerz z twojego oddziału mógłby mnie wydać lub któryś z ludzi konetabla mógłby mnie rozpoznać.

- Nikt się nie odważy cię wydać! - uniósł się Tybald.

- Nie będę zachowywała się jak twoja żona - powiedziała cicho Klara.

Tybald pohamował złość. Czyżby zwykle tak prostolinijna Klara chciała się teraz certować niczym inne rozpieszczone dworki i grać niedostępną? Czyżby rzeczywiście wszystkie kobiety były takie same?

Czy będzie go trzymać w niepewności, czy wystawi go do wiatru? Mógłby łatwo zaatakować ją jej własną bronią. Dawał jej taką samą rozkosz jak ona jemu, lecz ona z pewnością łaknęła jej bardziej. Gdyby zaczął jej teraz unikać, zebrałaby o jego względy! Wiedział dokładnie, jak postępować z kobietami!

Człowiek, który sądził, że doskonale zna kobiety, był zupełnie nieprzygotowany na jej następne słowa.

- Wczorajszej nocy popełniłam błąd, Tybaldzie - szepnęła Klara - i uczyniłam ci tym wielką krzywdę. Wybacz mi, stary przyjacielu. Nie powinnam była stawiać cię w takiej sytuacji. To się już nigdy nie może powtórzyć.

Tybald nie znalazł na to odpowiedzi.

Hrabia Humbert z Beaujeu przywitał Tybalda z powściągliwą uprzejmością. Wciąż jeszcze doskonale pamiętał gniew króla, gdy hrabia Szampanii samowolnie oddalił się z obozu pod Awinionem. Nie mógł pogodzić się z tym, że ten człowiek odzyskał łaski u dworu, a w dodatku teraz królowa powierzyła mu przedstawienie propozycji pokojowej temu nikczemnemu hrabiemu Tuluzy.

- Z tym panem nie da się zawrzeć pokoju! - pomstował, gdy podano wieczerzę. - Ciągłe zapewnia utrzymanie i dach nad głową przeklętym kacierzom, a nas atakuje, kiedy tylko zdoła. Nie dalej jak kilka tygodni temu jeden z moich oddziałów wpadł w zasadzkę... - Skinął na sługę i szepnął mu coś do ucha, po czym gniewnym tonem mówił dalej: - ...i powinienesz, panie, zobaczyć na własne oczy, w jakim stanie hrabia Rajmund odsyła nam tych, których pojmał.

Wskazał na drzwi.

Sługa wprowadził, trzymając go pod ramię, człowieka z twarzą osłoniętą tak, jak zazwyczaj Saraceni okrywają się podczas burzy pustynnej. W komnacie zapadła cisza.

- Zdejmij chustę - rozkazał konetabl, gdy mężczyzna stanął przed

gośćmi na podwyższeniu, na którym znajdował się stół. Przybyły jednym ruchem zerwał tkaninę.

Klارا głośno wciągnęła powietrze. Twarz tego nieszczęsnego człowieka wyglądała przerażająco, widać było jedynie martwą, pokrytą bliznami skórę i usta. Mężczyzna nie miał nosa ani uszu, a w miejscu, gdzie niegdyś znajdowały się oczy, ziały ciemne jamy.

- Tego nie mógł uczynić człowiek - szepnęła Klara, która wcześniej przystała na to, by w Castelsarrasin podawać się za szlachetną damę z Kastylii, w drodze powrotnej do ojczyzny. Wszystko było lepsze od wmawiania konetablowi, że jest jego kuzynką, a tym samym żoną hrabiego Szampanii.

- Masz słuszość, dostojna pani - zgodził się z nią Humbert z Beaujeu. - Jednakże hrabia Tuluzy nie jest człowiekiem, lecz diabłem wcielonym! Kiedyś z pewnością pošlemy go tam, gdzie jego miejsce, do piekła!

- Powinniśmy się modlić o jego biedną, zabłąkaną duszę - odezwał się biskup inkwizytor, który przybył spóźniony na wieczerzę i teraz nakazał słudze, by wyprowadził oszpeconego mężczyznę. Ten jęknął cicho, nie powiedział jednak ani słowa.

Konetabl roześmiał się. - Zaiste, czcigodny ojcze, tak jak ty modliłeś się o duszę hrabiny z Castelnaudary! Wspaniała historia! Opowiedz ją, proszę, naszym gościom!

Biskup machnął skromnie ręką.

- Kościół katolicki miał w tym przypadku wielkie szczęście - powiedział. - Nie zawsze udaje się tak łatwo rozpoznać tych bluźnierców, kacerzy.

- A czym zdradziła się ta dama? - zapytał z ciekawością Tybald.

- Już od dawna podejrzewaliśmy, że jest heretyczką, nie mogliśmy jej jednak nic udowodnić - opowiadał Humbert. - W końcu nie chodziło o zwykłą tkaczkę czy chłopkę, lecz o niewiastę wysokiego stanu. W takim przypadku należy oczywiście zachować naj-

wyższą ostrożność. Obserwowaliśmy ją więc dalej i czekaliśmy. A potem ta dama poczuła, że zbliża się jej koniec. - Zachichotał, jak gdyby opowiadał krotoczwilę. - Doszły nas słuchy, że pragnie spotkać się z „doskonałym”, by otrzymać *consolamentum*. Posłaliśmy jej zatem jednego... - Skinął głową w kierunku dominikanina.

- To nie był żaden wielki wyczyn - zapewnił inkwizytor. - Niech Bóg wybaczy mi to przedstawienie, ale dałem je w imię Pana. Podałem się za „doskonałego”, wygłosiłem kazanie o heretyckich *dua prinzipia* i powiedziałem hrabinie wszystko, co chciała usłyszeć...

- Na przykład? - zapytał Tybald.

Biskup westchnął. - Bardzo niechętnie powtarzam takie herezje - powiedział. - Stosunek kacerzy do świętego krzyża jest powszechnie znany i nie należy tego rozgłaszać.

- Dlaczego właściwie ci ludzie, czcigodny ojcze, odrzucają krzyż Zbawiciela, jeśli twierdzą, iż są chrześcijanami? - zapytał Tybald, unikając wzroku Klary.

- Krzyż stanowi dla nich symbol ziemskiego świata, stworzonego przez szatana. Jest zrobiony z tego samego drzewa, co laska, którą wznosił Mojżesz, by rozstąpiło się Morze Czerwone - odparł dominikanin z wyraźną niechęcią. - Kompletna niedorzeczność, zważywszy, że oba wydarzenia dzieli ponad tysiąc lat. No i jeszcze to przekonanie, że dusza po śmierci odradza się w innym ciele, niekiedy nawet w ciele nieposiadającego przeciw duszy zwierzęcia, a ludzkość dopiero wówczas dostąpi zbawienia, kiedy przestanie istnieć! Właśnie ten brak logiki czyni kacerstwo tak niewiarygodnym. Gdybyż prosty lud wreszcie to pojął! W każdym razie udzieliłem tej damie tak zwanego *consolamentum*, rzekomej pociechy duchowej. Przyjmując je, otwarcie przyznała się do herezji...

- ...dlatego też od razu została spalona na stosie - przerwał mu ze śmiechem Humbert z Beaujeu, klepiąc się po grubych udach.

- To nie jest temat do żartów - duchowny przywołał go do po-

rządu ostrym tonem. - Zbyt wielu ludzi odrzuca chrzest i sakrament ciała i krwi Pańskiej, sprowadzając tym samym nieszczęście na kraj, Kościół i siebie samych. Jest to w najwyższym stopniu godne ubolewania. Kilka tygodni temu na soborze w Narbonne podjęto dwadzieścia postanowień, zgodnie z którymi kacerze, Żydzi i hrabia Tuluzy mają być w przyszłości bezlitośnie ścigani. To nie do przyjęcia, żeby bogaci przekazywali swój majątek heretykom, zostawiając im w spadku nawet całe zamki. Kościołowi nie pozostaje nic innego, jak tylko postępować ze wzmożoną surowością.

Wyjaśnił krótko, że od tej chwili testament bez podpisu katolickiego duchownego będzie uznawany za nieważny i do każdej, nawet najmniejszej parafii, zostanie przydzielony inkwizytor.

Twarz Klary w czasie tego wywodu stawała się coraz bledsza. Nagle wzrok biskupa zatrzymał się na niej.

- Nie jesz mięsa, moje dziecko? - zapytał przyjaźnie.

- Nie służy mi - odrzekła.

- Może trochę ryby? - zapytał mnich, wskazując na pieczone pstrągi.

Klara potrząsnęła głową. Zupełnie straciła apetyt.

- Przed dwoma dniami spadła z konia - szybko wtrącił Tybald, jak gdyby chciał wytłumaczyć, dlaczego Klara zjadła tak skromny posiłek.

- Podróżowanie może być bardzo niebezpieczne, szczególnie w tych stronach - rzekł inkwizytor, po czym dodał: - Kacerzy można rozpoznać także po tym, że nie jedzą mięsa. Posilają się natomiast rybami, gdyż te, zgodnie z ich heretyckim rozumowaniem, nie zostały spółdzone, lecz pochodzą z morza, a zatem nie może w nich przebywać żadna biedna, umęczona dusza.

Ponownie zwrócił się do Klary. - Chciałbym ci, drogie dziecko, udzielić pewnej rady. Noś suknie w bardziej radosnych barwach! Twoja ciemna szata może ci przysporzyć wielu zmartwień, a w tych

okolicach możesz się nawet stać przez nią ofiarą fatalnej pomyłki.

- Ja s n e stroje, niestety, łatwo się brudzą - wtrącił Tybald. - Ubła-
gałem doń Klare, by na czas podróży zrezygnowała ze swojej ka-
stylijskiej białej, jedwabnej sukni i ubrała na drogę coś bardziej od-
powiedniego. Śpieszymy się i nie chcieliśmy trwonić czasu na
czyszczenie odzieży.

Uważał, że tą uwagą zasłużył bodaj na przyjazne spojrzenie. Kla-
ra jednak w ogóle nie zwróciła na niego uwagi.

- Właśnie, wcale mi się nie podoba, że jest wam tak spieszno
- zabrał głos gospodarz, rozczarowany brakiem poczucia humoru
swych gości. W skrytości ducha pomyślał, że jego krotochwilne hi-
storie mogły wywołać o wiele większą wesołość. W końcu na jego
posterunku było zazwyczaj mało okazji do śmiechu.

Po odwróceniu wojsk królewskich i śmierci króla znów zaczęła się
rozpowszechniać herezja. Na południowych krańcach Carcassonne
powstała nawet nowa diecezja katarska. Moźni panowie, złożywszy
przed rokiem przysięgę na wierność królowi, szybko powrócili do
dawnych zwyczajów, nie płacili dziesięciny i wspierali kacerzy, któ-
rzy pilnie dla nich pracowali i pomnażali ich majątek. Drobną
szlachta całkiem otwarcie mówiła o tym, że „doskonali” znakomi-
cie sprawdzają się jako wychowawcy chłopców, gdyż są surowi, po-
siadają - przy całkowitym braku potrzeb - ogromną wiedzę i potra-
fią prowadzić zajmujące dysputy filozoficzne.

Humbert z Beaujeu ciągnął ze swoją armią przez cały kraj, tępiąc
herezję, tropiąc kacerzy, przypominając opieszłym panom o ich
obowiązках względem królestwa Francji i walcząc z Rajmundem
z Tuluzy. A przy tym raz za razem musiał wysłuchiwać, że Langwe-
docja nie należy do Francji i nigdy nie będzie do niej należała.

Nieustannie zwracał się do królowej z żądaniem wsparcia jego
wojsk nowymi oddziałami, ale prośby te trafiały w próżnię. Teraz
jednak przybył do niego hrabia Szampanii, który, o czym powszech-

nie wiadomo, był w bliskich stosunkach z niewiastą zasiadającą na królewskim tronie. Nawet jeśli nie zważała na apele swego namiestnika na południu, tego człowieka z pewnością wysłucha.

- Jeśli cię, hrabio, czas nagli - kontynuował - nie zdołamy, niestety, omówić wszystkich najważniejszych kwestii, jednakże chcę ci powiedzieć o kilku sprawach, co może okazać się dla ciebie przydatne.

A potem popełnił ogromny błąd. Biskup, który miał do królowej te same prośby i żale, ale potrafiłby je znacznie zgrabniej sformułować, usiłował powstrzymać konetabla, gdy ten z wyraźną pretensją w głosie burknął: - Królowa Blanka...

- ...którą miłujemy i czcimy - podszeptał mu czym prędzej dominikanin, Humbert z Beaujeu nie dał sobie jednak nic podpowiedzieć, zmienił ton głosu i zagrzmiął: - Królowa Blanka postąpiła haniebnie, łamiąc słowo i pozostawiając nas własnemu losowi!

Tybald skoczył na równe nogi.

- Jak śmiesz, panie, mówić tak o naszej władczyni! - zawołał z poczerwieniałą z wściekłości twarzą. Inkwizytor pochylił głowę. Na dyplomację było już za późno, bez wątpienia padną gniewne słowa. Ale to dobrze, również one mogą niekiedy pomóc. Żaden duchowny nie lekceważy potęgi słowa.

Konetabl również się podniósł. Zaciśnął pięść i jął wygrażać nią Tybaldowi.

- Ja k sądzisz, hrabio, co my tutaj robimy? I czym to opłacamy? Królowa ściąga dziesięciny z dóbr kościelnych, ale nie kontynuuje wojny z kacerzami! Te daniny zostały jej przyznane wyłącznie w tym celu! Ona jednak trwoni pieniądze na prywatną wojnę z baronami! By utrzymać władzę, poświęca nie tylko Langwedocję, lecz całe południe, za które zginął jej mąż i o które teraz tak ciężko walczyliśmy! Królowa Blanka grzeszy przeciwko pamięci króla Ludwika, przeciwko Kościołowi, swojemu ludowi i wszystkiemu, co dla uczciwego Francuza jest święte!

Tybald o mało nie skoczył gospodarzowi do gardła, przeszkodził mu w tym jednak duchowny, który podniósł się szybko i stanął pomiędzy nimi.

- Posunąłeś się stanowczo zbyt daleko, hrabio! - napomniał ostro gospodarza. - Nasza szlachetna królowa jest bogobojną osobą i zna swoje obowiązki. Jest pełna współczucia dla swych poddanych, doskonale zdaje sobie sprawę z naszej sytuacji i z pewnością najszybciej, jak to będzie możliwe, wyśle zbrojne oddziały do Langwedocji, nie sądzisz, hrabio Tybaldzie?

Ten zaczerpnął głęboko powietrza.

- Przekażę jej waszą prośbę, czcigodny ojcze - mruknął.

- Niczego więcej nie żądamy - powiedział uspokajającym tonem dominikanin.

Tybald, który jeszcze kilka sekund temu był zdecydowany opuścić zamek na znak protestu i przenocować gdzieś pod gołym niebem, mimo wewnętrznych oporów postanowił działać dyplomatycznie: - Żadna istota na tym bożym świecie nie jest poddana większym próbom niż królowa Blanka. Jeśli zbuntowani baronowie wydrą jej koronę Francji, nikt nie wyśle zbrojnych oddziałów do Langwedocji i hrabia Tuluzę będzie po wieczne czasy panować w swej jaskini grzechu. Na Boga, zrozumcie, panowie, że królowa musi najpierw poczynić odpowiednie przygotowania, by zmusić Tuluzę do ustępstw, czy to na drodze układów, czy poprzez kontynuowanie krucjaty. Potrzebuje pomocy od was wszystkich, by wypełnić zadanie, które wyznaczył jej Bóg.

„Raczej szatan - pomyślała Klara - bo jak prawdziwie dobry Bóg mógłby wzywać do całej tej rzezi i przelewu krwi?”

Rajmund z Tuluzę zdecydował, że lekcje jego siedmioletniej córki Joanny będą się odbywać pod kwitnącym drzewkiem cytrynowym w zamkowym ogrodzie. Z własnego doświadczenia wiedział,

że na świeżym powietrzu, pośród budzącej się do życia natury, nauka lepiej wchodzi do głowy.

- Robi ogromne postępy, przede wszystkim w łacinie - zauważył nauczyciel Joanny, młody *perfectus* Aleksander, podążając z hrabią Rajmundem za podskakującą dziewczynką do ogrodu. - Tylko często błądzi gdzieś myślami.

- Nic dziwnego - odparł ponuro hrabia. - Brakuje jej matki. Z synem mógłbym iść na polowanie, ale o czym mam rozmawiać z dziewczynką?

- Może grecka tragedia? - zaproponował Aleksander. - Joanna jest zachwycona *Oresteją*. A ponieważ ty, hrabio, również cenisz Aj-schylosa...

- Czy ona nie jest za młoda na ten dramat?

- Jak i ż wiek uważasz, hrabio, za odpowiedni, by uświadomić człowiekowi jego bezsilność w obliczu wyższej siły?

Hrabia przystanął i powąchał zerwany kwiat migdałowca.

- Aleksandrze - powiedział ostrzejszym tonem - powierzyłem ci jedynie wykształcenie Joanny, o jej wychowanie zatroszczę się sam.

- A gdzie przebiega granica między nimi? - młody nauczyciel nie mógł się powstrzymać, by nie zadać tego pytania.

- Tam, gdzie w grę wchodzi kwestie wiary - odrzekł stanowczo Rajmund. - Twoim zadaniem jest przekazywać jej wiedzę. Tradycyjną, poświadczoną, powszechnie uznawaną wiedzę, którą może zrozumieć i przyswoić dziecko. Wiedzę, która w przyszłości będzie użyteczna dla mojej córki. Nie zamierzam teraz wdawać się z tobą w dyskusję o płynności granic i wzajemnych powiązaniach wszelkich rzeczy.

Dziewczynka przystanąła nagle i odwróciła się, spoglądając na ojca i nauczyciela lekko skośnymi, jasnoszarymi oczami, które wypełniły się łzami.

- Co ci jest, Joanno? - spytał zaniepokojony Rajmund. Piekiel-

nie ciężko było wychowywać córkę bez matki. Rzecz jasna, mógłby tak niewiele znaczące stworzenie jak mała dziewczynka powierzyć wyłącznie opiece kobiet ze swojego dworu i zapomnieć o niej, lecz Joanna była jego jedynym dzieckiem, jego jedyną nadzieją na przyszłość. I kochał ją.

Żona Rajmunda, Sancha Aragońska, miała w pogardzie małżeńskie łożo i po urodzeniu córki zakomunikowała mężowi, że już nigdy więcej nie chce przez coś takiego przechodzić. Najpierw opuściła wspólną alkowę, a potem zamek w Tuluzie. Wyrzekła, że wszystkim winna jest jego niewiarygodna wyrozumiałość wobec kacerzy. Naraził się królowi Francji, który spustoszył jego ziemię, ich wspólnej kuzynce Blance i Ojcu Świętemu, tylko po to, by jacyś obdarci ludzie z osobliwym wyobrażeniem o świecie mogli zachować swą heretycką wiarę.

- Co ja mam robić, przecież to ludzie, za których jestem odpowiedzialny - odparł zrozpaczony, błagając ją, by nie wracała na dwór swojego ojca, króla Alfonsa Aragońskiego.

- Tam przynajmniej jest pod dostatkiem jedzenia - odrzekła i kazała spakować swoje rzeczy.

- I twoja córka jest tutaj - argumentował.

- J e s t mi zupełnie obca - odparła chłodno jego żona - sprawiała mi niewiarygodny ból i nie dała żadnej radości. To krew z twojej krwi, Rajmundzie, mnie tylko wykorzystywała do ssania mleka.

To straszne zdanie sprawiło, że w sercu Rajmunda zaczęło się rodzić uczucie do córki. Sancha zniknęła z jego życia, nad czym teraz niekiedy bardzo ubolewał. Z porzuconego przez matkę niemowlęcia wyrosła energiczna istotka, która sprawiała mu wiele radości. Sancha sama pozbawiła się tego pięknego doświadczenia życiowego.

Joanna odgarnęła z twarzy kilka ciemnych kosmyków i spojrzała z rozpaczą w oczach na ojca i nauczyciela, mówiąc: - J a k mogę iść dalej po trawie, skoro pod moimi stopami umiera tyle małych żyjątek?

Aleksander był zachwycony, Rajmund wstrząśnięty

- Nie możesz tak po prostu poszybować w powietrzu. To nie leży w naturze człowieka, Klaro! - powiedział.

- Nie nazywam się Klara!

- Oczywiście, że nie - rzekł przestraszony. - Wybacz, Joanno, ale twoja ciotka, a moja siostra Klara, dawno temu powiedziała dokładnie to samo. Była wtedy mniej więcej w twoim wieku.

„Co się mogło stać z tą kobietą - zastanawiał się Aleksander. - Czyżby przyłączyła się do naszej wspólnoty? Czy dlatego nigdy o niej nic nie słyszałem?”

- Dlaczego ciocia nigdy nas nie odwiedza? - zapytała Joanna.

- Była raz tutaj. Na krótko przed twoimi narodzinami - odparł Rajmund, opanowując gniew, który ogarniał go zawsze na wspomnienie ówczesnych towarzyszy Klary. - Przebywa u naszej kuzynki, królowej Blanki, w Paryżu i ma inne rzeczy do roboty, niż składać nam wizyty.

- Czy jest do mnie podobna? - zapytała dziewczynka z ciekawością.

- Nie - odparł krótko Rajmund. Joanna nie była podobna do Klary, była jej lustrzanym odbiciem. Wewnętrznie i zewnętrznie. Ta myśl sprawiła, że przebiegł go dreszcz.

Hrabia Szampanii był zapowiedziany. Natomiast kobiety, która wjechała u jego boku do Tuluzy, nikt się nie spodziewał. Hrabia Rajmund stał na schodach prowadzących do pałacu, ze wszystkich sił starając się nie stracić panowania nad sobą.

Klara promieniała.

Jej brat ze swoją szlachetną, mroczną urodą niewiele się zmienił. Być może był teraz szczuplejszy, a rysy jego twarzy stały się nieco ostrzejsze, nadal jednak otaczała go aura człowieka, który czuł się dobrze sam ze sobą i potrafił zauroczyć innych.

Zeskoczyła z konia i pośpieszyła do mężczyzny, przygotowanego na to, by godnie przyjąć wysłannika królowej, broniąc równocześnie swojego terytorium.

- Ja k ż e jestem szczęśliwa, że znów cię widzę! - wykrzyknęła, obejmując brata. Nareszcie, nareszcie była w domu!

Tybald trzymał się z tyłu. Potrafił wyobrazić sobie, co działo się z hrabią Tuluzy podczas tego wybuchu czułości siostry i delektował się dramatyzmem chwili.

Mała dziewczynka prześlizgnęła się obok dworzana hrabiego, którzy z mieszanymi uczuciami lustrowali niewielką, przybyłą z północy grupę ludzi.

- Ojczy, czy to jest ciocia Klara?

Klara wypuściła brata z objęć, przykucnęła, popatrzyła na małą dziewczynkę z kruczoczarnymi włosami i jasnoszarymi oczyma, czując się tak, jakby ujrzała w lustrze przeszłość, po czym zapytała szeptem: - Jak masz na imię?

- J o a n n a . Czy ty jesteś moją ciocią Klarą?

Klara skinęła głową.

- I też się boisz chodzić po trawie, żeby małe żyjątka nie musiały umierać? - zapytała Joanna.

Klara podniosła dziecko i przycisnęła je do piersi, spoglądając pytająco na brata.

- Jesteś my taką dziwną rodziną, w której wszystko się powtarza. Najwyraźniej przyłączyłaś się, jak niegdyś twoja matka, do katarów...

- dotknął rękawa jej czarnej sukni. - Moja córka lęka się, tak jak ty, chodzić po łące, by nie zdeptać owadów, a ja, tak jak nasz świętej pamięci ojciec, muszę bezustannie walczyć z Kościołem i Koroną.

- Westchnął i dodał: - A teraz nadszedł już czas, by z należną czcią powitać hrabiego Szampanii.

Odrzucił się do Tybalda. Klara spojrzała na niego zatrwożona.

- Myślałam, że moja matka nie żyje - szepnęła.

- Może tylko gdzieś sobie poszła i kiedyś do ciebie wróci - powiedziała dziewczynka w jej ramionach. - Tak jak moja.

Rzadko się zdarza, by dwaj mężczyźni z miejsca poczuli do siebie taką sympatię jak Tybald i Rajmund. Chociaż reprezentowali różne interesy, już pierwszego wieczoru odkryli, że wiele ich łączy. Rajmund, który przez całe życie walczył przeciwko temu, co popierał Tybald, musiał przyznać, że siedzący naprzeciw niego człowiek w innych okolicznościach mógłby zostać jego najbliższym przyjacielem.

Tybald, widzący dotąd w Rajmundzie jedynie cierń tkwiący w ciele królestwa Blanki, rozpoznał w nim pokrewną duszę, co go całkowicie zdezorientowało.

Klara zajęła się wraz z Aleksandrem Joanną, która podbiła jej serce; Rajmund odesłał służbę, Tybald swoich rycerzy. Pierwszego wieczoru obaj mężczyźni zasiedli naprzeciwko siebie przy rzeźbionym stole z niemal czarnego drzewa. Byli sami w wielkiej sali.

- Moja siostra bardzo cię ceni, hrabio - przemówił pierwszy Rajmund, podnosząc puchar.

- Ja również ją szanuję - odparł Tybald. - Nauczyła mnie patrzeć na świat innymi oczami. - Prawdziwość tych słów zaskoczyła jego samego.

- Czy było to mylne spojrzenie?

- Być może. Bądź co bądź jest heretyczką.

- A mimo to, hrabio, chroniłś ją?

- J a k można by było jej nie chronić? - zapytał Tybald z pewnym rozdrażnieniem. - Mogłeś ją, hrabio, również wydać.

Spojrzenie, które Tybald rzucił Rajmundowi, powiedziało mu wszystko. Przy stole hrabiego Tuluzy siedział prawy człowiek.

Tybald myślał o wieczorze spędzonym w Castelsarrasin, o Humbercie z Beaujeu i biskupie inkwizytorze. O tym, jak źle się czuł

w towarzystwie ludzi reprezentujących poglądy, które on również podzielał i w obronie których wyruszył na wojnę. Jak mało wspólnego miał z ludźmi dążącymi do tego samego celu; o wiele mniej niż z ich wspólnym przeciwnikiem Rajmundem, który rozumiał piękne rzeczy, jakie miał do zaoferowania świat - muzykę, literaturę i sztukę - podobnie jak on. I który obcinał pojmanym Francuzom nosy i uszy. Dopiero później miał skonfrontować Rajmunda z tym faktem i przemóc się, by ze swej strony nie usprawiedliwiać okrucieństwa Francuzów.

Hrabia Szampanii pozostał bowiem w Tuluzie znacznie dłużej, niż planował, czy też niż wymagała tego jego misja. Skinał aprobejuco głową, gdy Rajmund wyraził się z uznaniem o kunsztownym piśmie swej kuzynki, o jej dyplomatycznych, ba, niemal serdecznych słowach i głęboko ubolewał, że wskutek zaistniałych okoliczności jest zmuszony traktować tę godną podziwu kobietę jak wroga. Prosił Tybalda, aby przekazał szlachetnej królowej odpowiedź, którą ciągle przyrzekał napisać, a czego w końcu nie robił.

- Nie mogę wdawać się w negocjacje - z ubolewaniem oznajmił po kilku tygodniach. Tybald miał wrażenie, że słyszy dźwięczące w wypowiedzi Rajmunda słówko „jeszcze”. Z własnej inicjatywy przedstawił staremu wrogowi i nowo pozyskanemu przyjacielowi pewną propozycję.

- Jeśli potrzebujesz czasu do namysłu, jedź ze mną na północ, Rajmundzie. Byłby to dla mnie wielki zaszczyt, gdybym mógł cię powitać jako gościa w moim kraju. Zastanowilibyśmy się wówczas wspólnie, jak bez ognia i miecza zakończyć ten nieszczęsny spór, jak pojednać się w sposób, który każdej ze stron pozwoli zachować twarz.

Rajmund ze smutkiem potrząsnął głową.

- Nie chodzi mi o moją twarz - odpowiedział. - Tę wobec sytuacji w moim kraju najchętniej bym zasłonił. Chodzi mi o ludzi.

O to, by każdy, dopóki to nie zagraża powszechnemu pokojowi, mógł żyć tak, jak tego pragnie, i wierzyć w to, w co pragnie wierzyć. A przede wszystkim chodzi mi o niezależność od Francji, która nie dopuszcza takiego sposobu życia. Obaj wiemy, że jeśli nie stanie się jakiś cud, istnieje tylko jedno rozwiązanie tego konfliktu. I temu tak zwanemu rozwiązaniu będę sprzeciwiał się ze wszystkich sił, jak długo się da. - Ostatnie słowa niemal wykrzyczał.

Obaj mężczyźni w milczeniu pogrążyli się w myślach. Kiedyś Rajmund będzie musiał ustąpić przed przeważającymi siłami Korony i Kościoła, rozpocząć prześladowania heretyków i oddać swój kraj francuskiej Koronie. Koniec suwerenności hrabiów Tuluzy był jedynie kwestią czasu.

- Sprawiałeś nam ogromną radość swoją muzyką dziś wieczorem, drogi przyjacielu - zmienił temat Rajmund. - Wydaje mi się, że jesteś ostatnim trubadurem, który tworzy w naszym języku. Trudno byłoby zgadnąć, że nie pochodzisz z Langwedocji - pomijając kilka wyrażeń, właściwych dla północy, na które z pewnością nikt prócz mnie nie zwróciłby uwagi, mówisz i śpiewasz w naszej mowie niemal jak w ojczystej. Jesteś wielkim poetą. Przyszłe pokolenia niewątpliwie cię docenią.

- Dziękuję - odparł Tybald, szczerze wzruszony. - Starłem się sprostać oczekiwaniom miłośników mego śpiewu na południe od Loary i uznałem, że nie wypada mi występować tu jako truver, którym właściwie jestem. A jednak... - westchnął głęboko - ... możliwe, że jestem kimś zupełnie innym, niż przypuszczałem do tej pory. Wasi trubadurzy są mi bardzo bliscy. Chociaż chyba nigdy nie zrozumieć, co łączy piewców miłości z heretykami, którzy wyrzekają się wszelkiej cielesności. Czy to ze względu na nich zamilkli?

- *Twój las woła o słowiki* - Rajmund zacytował pieśń Tybalda. - Dlaczego? Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się nad tym? Czy tylko ułożyłeś ten wers dlatego, że tak pięknie brzmi?

Tybald w zamyśleniu patrzył przed siebie. - Nie dlatego, że tak pięknie brzmi - wyszeptał - lecz dlatego, że brzmi tak prawdziwie, choć nie mogę ci powiedzieć, dlaczego tak jest.

Rajmund, uśmiechając się, chwycił lirę korbową, zaintonował pieśń, która w gospodzie stała się zgubą Tybalda, i powiedział cicho: - Twój las, każdy las, jest symbolem wolności. A pewien konkretny las został spustoszony z nakazu świętego Kościoła rzymskiego! Wolność domaga się słowików, wolnych pieśniarzy, a nie takich, którzy będą w klatce ćwierkać pod dyktando Korony.

Odłożył lirę, sięgnął pod kaftan i wręczył Tybaldowi rulon pergaminu.

- Odpowiedziałem na list mojej dostojnej kuzynki, królowej Blanki - oznajmił. - Na negocjacje nie jestem jeszcze gotów, ale chciałbym utrzymywać z nią kontakt listowny i czekam na szybką odpowiedź, o ile znajdzie na to czas wśród sporów ze zbuntowanymi baronami. Mój Boże, Tybaldzie, ta nieszczęsna kobieta walczy na tyłu frontach, co niegdyś Cezar! To doprawdy godne ubolewania, że los uczynił z nas przeciwników i nie możemy połączyć się!

- Rzeczywiście - odparł Tybald, zmierzył Rajmunda pochmurnym wzrokiem i zapytał wprost: - A więc mam wyjechać?

- Byłoby to wskazane - odparł zwięźle Rajmund.

Hrabia Szampanii zrozumiał. Jego wywiadowcy zwrócili mu raniem uwagę na przemieszczanie się oddziałów zbrojnych w kierunku Castelsarrasin.

Hrabia Tuluzy planował więc atak na Humberta z Beaujeu. Gdyby Tybald pozostał dłużej na południu, musiałby pośpieszyć na pomoc kuzynowi swej małżonki, Agnieszki, namiestnikowi Blanki i wystąpić przeciwko Rajmundowi. Tego hrabia Szampanii nie miał najmniejszej ochoty uczynić.

- Królowa wyśle niebawem następne oddziały wojska do Langwedocji - ostrzegł przyjaciela, chowając list. - Ja również będę mu-

siał jej tak poradzić. Przykro mi, ale znalazłeś się w sytuacji bez wyjścia, Rajmundzie.

„Jemu naprawdę jest przykro” - pomyślał Rajmund, jednak kiedy się odezwał, w jego głosie nie było ani śladu serdeczności: - Musimy się teraz pożegnać, mój przyjacielu. Przede mną długi dzień, a ty powinieneś przygotować swoich ludzi na powrót do Paryża.

Tybald podniósł się.

Obaj mężczyźni stali przez chwilę w milczeniu naprzeciw siebie.

- Nie wracajcie tą samą drogą - poradził w końcu Tybaldowi Rajmund. - Drogą biegnącą nieco dalej na południe będziecie mogli jechać dużo szybciej. Poza tym w przydrożnych gospodach podają lepsze wino.

Tybald stłumił uśmiech. Mężczyzna, którego w ostatnich tygodniach nauczył się tak cenić, nadal mu nie ufał. Nie mógł mu tego mieć za złe. Ostatecznie Tybald pozostawał wrogiem, najeżdżcą z północy, choć teraz na właściwy mu sposób wyjawił hrabiemu z Tuluzy, o czym wie, i ty samym niefrasobliwie kolejny raz zdradził rodzinę panującą.

- Postąpię zgodnie z twoją radą, Rajmundzie - rzekł do niego.
- Tobie i twoim ludziom życzę wiele szczęścia w Castelsarrasin.
- Sam się zdumiał szczerością swoich słów. Klara była bardzo rada, że wróciła do domu. Do rodziny, do swoich. W Tuluzie kacerze nie skradali się potajemnie na wspólne zebrania, lecz modlili się wspólnie w publicznych miejscach, nie obawiając się ani inkwizytorów, ani stosów. Gdy Klara spotkała na ulicy „doskonałą”, mogła, jak gdyby nigdy nic, przed nią uklęknąć i w oksytańskiej mowie poprosić o udzielenie *melioramentum*.

- Możesz praktykować swoją wiarę, tak jak ci wygodnie - oświadczył Rajmund w wieczór wieczorem przed swoją ostatnią rozmową z Tybaldem, gdy Klara zapytała go, czy może się udać z Aleksandrem na mszę. - Domagam się jedynie, byś nie zaznajamiała z nią

Joanny, inaczej będę ci musiał zabronić kontaktów z moją córką. Pragnę, by pozostała katoliczką, tak jak ja.

- Ale przecież Rzym cię ekskomunikował! - rzekła ze wzburzeniem Klara. - Papież jest także twoim wrogiem!

- Hrabiowie Tuluzy byli wielokrotnie, w zależności od sytuacji politycznej, wykluczani z Kościoła i przyjmowani do niego z powrotem - odparł Rajmund beznamiętnym tonem. - Jednak w żaden sposób nie ma to związku z moją wiarą. Nie jestem katarzem; Jezus Chrystus jest moim Zbawicielem, nie wierzę, że świat jest dziełem szatana, a koncept, że dusze mogą wędrować, uważam za niedorzeczny. Wierzę w zmartwychwstanie i muszę chronić córkę przed waszymi mylnymi przekonaniem. Sprowadziły już dość nieszczęść na kobiety z naszej rodziny, także na ciebie.

- Moja matka - powiedziała Klara bez tchu. - Opowiedz mi o mojej matce! Co o niej wiesz?

Może w końcu zaczniesz o niej mówić! Od dnia, w którym przybyła do Tuluzy i Rajmundowi wymknęło się, że jej matka przyłączyła się do katarów, każda próba rozmowy na ten temat spełzała na niczym. Tak jak wcześniej ojciec, tak teraz Rajmund nie przyjmował do wiadomości, że w ich rodzinie ktoś jest katarzem.

- Powiedz, bracie, jak trafiła do „dobrych ludzi”? - dopytywała się Klara.

- Przez ciebie - odrzekł bez namysłu Rajmund. - Urodziłaś się śmiertelnie chora i nikt nie wierzył, że przeżyjesz. Twoja matka Ermine w rozpacz poprosiła o pomoc biegłą w sztuce leczenia katarów. Ta kobieta uratowała ci życie i zdołała przekonać Ermine, aby pożegnała się ze swoim „grzesznym” życiem i przystąpiła do wspólnoty „czystych”. Aby to uczynić, twoja matka musiała się jednak rozstać z owocem swego grzechu, czyli z tobą. Jako prosta „wierząca” Ermine nie musiała tego robić, ale chyba wierzyła, że za uratowanie twego życia winna jest Bogu swoje. Dlatego też koniecznie mu-

siała zostać „doskonałą”. Widzisz zatem - dodał wzdychnąwszy - że masz to poniekąd we krwi.

- Dlaczego nasz ojciec nigdy o tym nie mówił?

- Ponieważ o tym nie wiedział - odparł Rajmund. - Miał myśleć, że po prostu opuściła dwór, gdyż obrzydło jej życie z nim samym i z tobą.

- Dlaczego utrzymywano go w niewiedzy? - zapytała Klara ze zdziwieniem.

- Aby nie obarczał winą heretyków i przyjął cię pod swój dach - odrzekł Rajmund. - Tak w każdym razie powiedziała mi nasza ciotka Esclarmonda - również jedna z waszych „doskonałych”.

Delikatnie pogłaskał siostrę po policzku. „Jakie to dziwne - pomyślał - że tak wiele kobiet, i to tych obdarzonych przez naturę urodą i rozumem, przyjmuje tę pozbawioną radości wiarę. I jakie smutne”.

Jeśli niewiastom z jego rodu było pisane wyznawać tę wiarę, to mężczyznom było pisane zakochiwać się w kobietach, należących do wspólnoty katarów.

Rajmund przez długie tygodnie bezskutecznie ubiegał się o względy pewnej młodej, pięknej katarzki, która uciekła z Francji na południe. Po śmierci męża chciała pracować na zamku w Tuluzie. Jej doskonałe maniery, szlachetne rysy i niemal wielkopański wygląd wprawiły Rajmunda w prawdziwy zachwyt. Patrząc na nią, można było pomyśleć, że wzrastała w pałacu. A, jak się dowiedział, była jedynie żoną prostego paryskiego kamieniarza.

Przyjęła propozycję troszczenia się o garderobę dam dworu, jednak zdecydowanie odrzuciła jego ostrożne próby zbliżenia, oznajmiając mu uprzejmym głosem, że wyrzekła się grzechu. Nigdy żaden mężczyzna nie nazwie jej swoją, nigdy nie będzie cenić się wyżej od innych, wywyższać się, gdyż właśnie to nieomal przywiodło ją do zguby i było przyczyną śmierci jej męża.

Na pytanie Rajmunda, jak to się mogło stać, powiedziała tylko, że ludzie króla „rozpoznali” ją, kiedy po długich poszukiwaniach odnalazła swego męża. Uwięziono go, poddano torturom i w końcu skazano na stos.

- A jak ty zdołałaś uciec? - chciał się dowiedzieć Rajmund. Jeszcze długo potem zachodził w głowę, co mogła oznaczać jej odpowiedź: - Wzięli mnie za kogoś innego.

Więcej nie chciała wyjawić.

A potem nagle zniknęła. Po raz ostatni widział ją tego dnia, gdy do Tuluzy przybył hrabia Szampanii z Klarą.

Być może przestraszył ją widok rycerzy z ojczystej północy. Rajmund wiedział, z jaką zaciekłością ścigano katarów we Francji, i wyrzucał sobie, że nie wypytał jej dokładniej o okoliczności ucieczki i kłopoty, w jakich się znalazła.

Za wszelką cenę musi ją znów zobaczyć! Jeśli przeżyje atak zbrojny na Humberta z Beaujeu, zrobi jej propozycję, której nie będzie mogła odrzucić. Nie była „doskonałą”, mogła zatem wyjść za mąż. Rozwód z Sanchą tak czy owak był jedynie formalnością.

Liczył na pomoc Klary. Chodziła na zebrania heretyków; mogłaby zatem odszukać dla niego tę kobietę.

- Droga siostrzyczko - powiedział - jutro wyjeżdżam na jakiś czas; czy zechciałabyś załatwić dla mnie pewną drobnostkę?

Pojednanie

Blanka wykorzystała widocznie jakieś sprzyjające okoliczności, zważywszy, że wszystko odbyło się w czasie, kiedy walka z baronami toczyła się na dobre i kiedy obawiano się rychłego lądowania króla Anglii. W każdym razie jej interwencja w tej tak uciążliwej wojnie, w którą przed nią próbowały ingerować wszystkie albo prawie wszystkie autorytety chrześcijańskiego Zachodu, okazała się najskuteczniejsza. Podczas gdy jej małżonek potrafił tylko wystąpić zbrojnie, czego następstwa były albo katastrofalne jak pod Marmande, albo tragiczne jak pod Awinionem, Blanka zapewniała ludziom pokój.

Régine Pernoud w biografii Blanki Kastylijskiej *Królowa Blanka*

Listopad 1228

Każdego dnia pod bramą zamku w Tuluzie gromadziło się coraz więcej przymierających głodem ludzi, do Klary i Joanny wyciągało się coraz więcej rąk i coraz więcej głosów żebrało o strawę.

- Dlaczego Bóg nie ześle nam chleba? - zapytała nieszczęśliwym głosiakiem Joanna, kiedy wraz z Klarą rozdzieliły wśród potrzebujących skromne resztki z hrabiowskiego stołu. Dziewczynka prawie nic nie zjadła, by mieć później więcej pożywienia do rozdania, teraz jednak zrozumiała, jak niewiele znaczyła jej ofiara w obliczu powszechnej nędzy. - Dlaczego Bóg pozwała ludziom głodować, skoro jest dobry?

- Być może na ziemi nie jest tak wszechmocny, jak chciałby być - mruknęła Klara. - A może to prawdziwy pan świata stworzył ciało, by wydać je na męki.

- Ale przecież Bóg jest miłosierny i kocha ludzi!

W okrzyku Joanny słychać było błaganie o potwierdzenie, strach, gniew i rozpacz. Klarę kosztowało wiele wysiłku, by dotrzymać danego hrabiemu słowa. Jakże chętnie wykorzystałaby tę sprzyjającą chwilę, by objaśnić bratanicy świat z punktu widzenia katarów. Ale tak czy inaczej zaszła już daleko.

„Zbyt daleko” - pomyślała, gdy wieczorem Rajmund poprosił ją o rozmowę w cztery oczy. Pełna obaw, że z powodu nieposłuszeństwa zostanie odesłana z zamku, weszła do sali obrad swego brata. - „Ach, dlaczegoż nie mogłam utrzymać języka na wodzy!”

Rajmund siedział na niewyściełanym krześle, ze wzrokiem skier-

rowanym ku drzwiom. Olejna lampa i zatknięte na ścianach pochodnie rzucały więcej cienia niż światła na jego udręczoną twarz, na której malowała się bolesna melancholia.

Klara usiadła na ławie naprzeciw brata i czekała. Rajmund przez dłuższy czas nie wyrzekł ani słowa. W końcu uniósł długie, kościste ręce, spoczywające nieruchomo jak dwa przyczajone zwierzęta na jego udach. Zetknął końce palców obu dłoni na wysokości ust i szepnął:
- Klaro, poddaję się. Wszystko stracone. Zostaliśmy pokonani.

Nie chodziło o jej przewinienie. Klara jednak wolałaby usłyszeć słowa nagany niż wiadomość, którą teraz przekazał jej brat - otóż postanowił podporządkować się władzy królewskiej.

- Wysłałem list do hrabiego Szampanii - powiedział głucho - że może podjąć układy z kuzynką Blanką. Gdy tylko się odezwie, wyruszam na północ. Jeżeli kiedykolwiek wrócę do Tuluzy, to tylko jako wasal króla Francji.

Klara zerwała się z ławy.

- Nie możesz tego zrobić! - krzyknęła. - Zdradzisz swoich ludzi!

- Twoich, chciałaś powiedzieć - odparł zmęczonym głosem Rajmund. Podniósł się także, o ciężale jak starzec. - Mój lud umiera. Humbert z Beaujeu spustoszył kraj, skazując nas na śmierć głodową. W końcu osiągnął swój cel. Nie jesteśmy już w stanie dłużej mu się opierać.

- Pomyśl o Castelsarrasin! - zawołała Klara. - Udowodniłeś przecież, że możesz pobić wojska króla!

- To było już ponad rok temu i jak wiesz, hrabia Beaujeu od tego czasu odbierał nam jeden okręg po drugim. Padła nawet twierdza Termes. To już koniec. Wolę poddać się mojej kuzynce niż temu człowiekowi.

Podszedł do siostry i położył jej rękę na ramieniu.

- Mówię ci o tym teraz, byś mogła przedsięwziąć odpowiednie kroki i znaleźć schronienie.

Klara położyła dłoń na rękę brata, popatrzyła na niego przerażonymi oczami i zapytała z niedowierzaniem: - Będziesz nas ścigał i skazywał na śmierć?

- Złożę przysięgę i będę musiał jej dotrzymać - odrzekł Rajmund głosem pełnym rozpacz. - Dlatego musisz stąd zniknąć. Przenieś się wraz z Aleksandrem i innymi do Montsegur. Tam będziecie bezpieczni. Ślubuję ci na wszystko, co jest mi święte, że nie będę was ścigał na tej skale w Pirenejach, bez względu na to, co niebawem będę obiecywał Francji.

- Nie ruszę się z miejsca, dopóki nie otrzymasz odpowiedzi od Tybalda - oświadczyła Klara z godnością i zwróciła się ku drzwiom.

- Poczekaj... - Rajmund zawahał się na chwilę. Na jego zwykle tak bladym obliczu wykwitł rumieniec, gdy zapytał: - Powiedz mi prawdę, Klaro, czy naprawdę nie dowiedziałaś się, gdzie teraz jest szwaczka Lisette?

- Czyżby ona jako pierwsza miała spłonąć na stosie? - syknęła mu Klara w twarz.

Rajmund spuścił głowę.

- Niekiedy... - wyszeptał - niekiedy także skłaniał się ku pogładowi, że Bóg nie jest tak wszechmocny, jak chciałby być. A prawdziwy pan świata stworzył ciało tylko po to, by wydać je na męki i pozwolić mu umierać z tęsknoty.

- Oby dobra pamięć twojej córki nie stała się kiedyś przyczyną jej zguby - odparła twardo Klara i opuściła salę obrad.

Wprawdzie nie udało jej się odnaleźć śladu Lisette, słyszała jednak opowieści o bogatej niegdyś paryżance, której mąż zginął na stosie i która przekazała Kościołowi katarskiemu cały swój majątek. Po przyjeździe hrabiego Szampanii nikt już jej więcej nie widział. Klara domyślała się, jak wielka trwoga musiała ogarnąć Lisette, gdy rozpoznała wysłanników królewskiego dworu. Bolała ją myśl, że Lisette uciekła także ze strachu przed nią, Klarą.

- Poddaje się bez walki? - zapytała z niedowierzaniem Blanka. Przynęła bliżej lampę, by przestudiować pismo, które położył przed nią hrabia Szampanii.

- J a k to bez walki? - odparł Tybald, wdychając głęboko zapach fiołków, który roztaczała Blanka. - Walczy od lat i jest już u kresu sił. Na ile zdołałem go poznać, dotrzyma przysięgi wierności, jeśli ją złoży. Tylko... - niespokojnie wiercił się na ławie.

- Tylko? - dopytywała się Blanka.

- Nie powinien zostać pozbawiony wszelkich praw, by nie stracić całkowicie twarzy, pani. Jeśli wolno mi udzielić ci rady, pozostaw mu większą część jego ziem. Jest dobrym władcą.

- Tacy władcy nie zawsze są dobrymi wasalami. A Rzym z pewnością również będzie chciał dostać swoją część.

Tybald wskazał na kolejny pergamin leżący na stole, którego pochodzenie zdradzała ołowiana pieczęć na cienkim konopnym sznurku. Zwrócił uwagę na pismo z Rzymu, kiedy tylko wszedł do komnaty i przez cały czas zastanawiał się, jaką wiadomość mógł przesłać Blance papież Grzegorz.

- Czy Ojciec Święty przedstawił w tej bulli konkretne warunki? - zapytał z napięciem w głosie.

Blanka sięgnęła szybko po pismo i ukryła je pod szatą.

- Nie - odparła krótko, nie mając najmniejszego zamiaru zaspokoić ciekawości Tybalda. List z Rzymu był natury prywatnej: papież Grzegorz zwalniał ją od przysięgi, chociaż nie znał jej treści. Blanka wyjawiała mu jedynie, że przed laty nieopatrznie złożyła obietnicę, która okazała się niemożliwa do spełnienia, gdyż stało to w sprzeczności z dobrem jej kraju i Stolicy Apostolskiej. Dlatego też zwrócił się do Ojca Świętego z prośbą, by uwolnił ją od wyrzutów sumienia. Co też papież, bez dalszych pytań, uczynił.

- Papieżowi powinny na razie wystarczyć prawa do marchii Prowansji - zauważył szorstko Tybald. Każdą tajemnicę królowej trak-

tował jak atak na własną osobę. Blanka spojrzała na posępne oblicze swojego najwierniejszego wasala. Zdecydowała, że rzuci mu okrucieństwo, którą przedstawiciel Francji w Rzymie przesłał jej przez tego samego posłańca i która również była jakoś związana z jej słowami: - Niebawem odbędzie się kanonizacja Franciszka z Asyżu.

Szczera radość Tybalda miała związek nie tyle z przyszłym świętym, co z błogim wspomnieniem, jakie przywołała w nim ta wiadomość. Jego serce zabiło żywiej na myśl o dniach, spędzonych w pachnącym ogrodzie wokół Porcjunkuli, o nocach, kiedy czuwał nad snem ukochanej kobiety, a raz nawet potajemnie ucałował jej powieki. Nigdy przedtem i już nigdy potem nie cieszył się takim zaufaniem królowej i nie czuł się tak swobodnie w jej towarzystwie. Nigdy przedtem i już nigdy potem nie zezwoliła mu na taką bliskość.

Blanka znów pochyliła głowę nad pergaminem. Gdy czytała list, Tybald nie mógł oderwać od niej wzroku. Kilka kosmyków włosów wymknęło się spod nakrycia głowy. Pośród brązowych pasm srebrzyły się gdzieś siwe nitki. „Od jak dawna ją kocham - pomyślał Tybald w zadumie. - Przez ten czas zdążyła już posiwieć. I nie stała się przez to ani trochę mniej godna pożądania.”

Właściwie już od tygodni był w radosnym nastroju. Nie bacząc na krążące wciąż plotki, Blanka nie tylko przywróciła go do łask, lecz uczyniła także jednym z najważniejszych doradców. Był teraz niezwykle rzadkim gościem w stolicy swego kraju, Troyes; niemal stale przebywał w pałacu na wyspie Cite, codziennie ciesząc się towarzystwem ukochanej władczyni.

Jako że oczekiwał listu z Tuluzy i wcześniej często rozważał kwestie związane z zawarciem pokoju z Rajmundem, mógł od ręki przedstawić Blance propozycje dotyczące traktatu.

- Bardzo przejrzysta, doskonała robota - pochwaliła go po przeczytaniu dokumentu i zapytała jakby mimochodem: - Czy hrabia Rajmund ma dzieci?

- Tylko jedną córkę - odparł Tybald - której jest bardzo oddany.
- Ile ma lat?
- Tybald wzruszył ramionami. - To jeszcze dziecko; dokładnie nie wiem, siedem czy osiem...
- Doskonały wiek, aby wychowywać się na francuskim dworze. Powinna jak najszybciej przyjechać z ojcem do Paryża.
- Chcesz, pani, zażądać dziecka jako zakładnika? - zapytał z przerażeniem Tybald.
- A czy ja nim byłam? - odparła ze śmiechem Blanka. - Powinna wyjść za mojego syna Alfonsa. Ich związek zagwarantuje pokój.
- Wszystkie plany zaślubin twoich dzieci, pani, z potomkami baronów spaliły na panewce - zwrócił jej uwagę.
- Dłatego tuluzanka powinna jak najszybciej znaleźć się pod moją opieką. Uwzględnij to w projekcie traktatu. - Blanka uderzyła dłońią w pergamin. - Gdybym tylko nie miała tylu innych problemów! Ten niegodziwiec, Mauclerc! Kiedyż on wreszcie da spokój?
- Twój syn, pani, wezwał go, by stawił się tu ostatniego dnia roku - powiedział Tybald - lecz po zawołanych groźbach zbrojnego ataku z ostatnich miesięcy nie sądzę, aby się pojawił.
- Blanka wręczyła Tybaldowi pergamin.
- To byłoby już otwarte wypowiedzenie wojny - stwierdziła.
- Niech hrabia Rajmund przybędzie do Paryża. A jeśli Mauclerc rzeczywiście ośmieliłby się nie stawić na wezwanie, zażadam pomocy wojskowej od baronów. Są do niej zobowiązani. I wówczas, jeśli już tak musi być, ruszymy wspólnie przeciwko Mauclercowi.
- Chcesz, pani, najechać na Bretanię? - zapytał z niedowierzaniem Tybald. - Teraz, zimą?
- Jeśli już tak być musi - powtórzyła Blanka.
- A hrabia Rajmund?
- Skoro na pewno nie będzie walczył u naszego boku - odparła

sucho Blanka - musi pozostać w odosobnieniu, dopóki nie znajdę czasu, by uregulować jego sprawy.

„To będzie ciężka zima” - pomyślał hrabia Szampanii, opuszczając komnatę. Bardziej niż kiedykolwiek podziwiał królową, która wciąż na nowo wprawiała go w zdumienie swymi niekonwencjonalnymi posunięciami. W młodości oczarowała go jej uroda, teraz doszedł do tego również zachwyt nad jej roztropnością i walecznym sercem. - „Królowi - pomyślał - wojownikowi, nigdy nie przysłoby do głowy, by zaatakować hrabiego Bretanii na jego własnych ziemiach, i to w dodatku zimą”. Szalony pomysł, który tylko dlatego nie był z góry skazany na porażkę, że Mauclerc nie doceniał królowej i był przekonany, iż tylko on umie atakować z zaskoczenia.

Rajmund z Tuluzy liczył się z twardymi warunkami. Z tym, że będzie musiał zburzyć mury twierdzy w Tuluzie, podjąć krucjatę, a także zgodzić się na okupację miasta i obecność francuskiego garnizonu w zamku. Rezygnacja z tytułu hrabiowskiego i części kraju, przede wszystkim okręgów nadmorskich, sprawi mu ogromny ból, był jednak na to gotów. Przysięgnie również, że będzie z całą bezwzględnością, nie zważając na pokrewieństwo czy przyjaźń, ścigać na swoich ziemiach kacerzy

Nie był jednak gotów na to, by oddać jedyną córkę.

- Jest radością moich dni, słońcem mego życia, nadzieją na stare lata - wykrzyknął z rozpaczą, przeczytawszy odpowiedź Tybalda.

- Tego żądania nie mogę i nie chcę spełnić!

- Blanka będzie na to nalegać - rzekła Klara z uśmiechem.

- Nie waż się ze mnie wyśmiewać! - zgromił siostrę Rajmund.

- Ależ wcale się nie wyśmiewam - odparła przestraszona Klara.

- Myślałam tylko o tym, jak ja sama, będąc dzieckiem, lubiłam życie na francuskim dworze. Jaka byłam tam szczęśliwa i beztraska, ile się

nauczyłam. Wierz mi, Rajmundzie, nie ma lepszej matki niż Blanka. A twoja córka potrzebuje matki.

- To Francuzka!

- Ale pochodzi z Kastylii - zauważyła Klara. - A Alfons jest przemiłym chłopcem, dokładnie w tym samym wieku co Joanna. Będą razem dorastać, jak Blanka i Ludwik. Joanna będzie nawet mieć babkę, królową Ingeborgę, prawdziwą rodzinę. Twojej córce będzie się dobrze wiodło na francuskim dworze, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Nie myśl tylko o radości twoich dni, Rajmundzie, o słońcu twego życia i nadziei na stare lata. Pomyśl o przyszłości swojej córki. Co możesz jej zaoferować tu, w Tuluzie? Mogłabym ją naturalnie wziąć ze sobą do Montsegur, ale wolałabym towarzyszyć wam w drodze na francuski dwór.

„Aby się pożegnać - pomyślała Klara. - Aby się ostatecznie pożegnać z dawnym życiem”. W ostatnich tygodniach często i bardzo szczegółowo omawiała tę sprawę z Aleksandrem. Wspólnie doszli do przekonania, że muszą w przyszłości żyć w ukryciu, aby zachować swą wiarę dla przyszłych pokoleń i pracować nad zbawieniem wszystkich dusz. Przedsięwzięcie bez wątpienia nie rokowało większych nadziei, jednak bynajmniej nie jest to powód, by wyrzec się ducha walki i nie wypowiadać wojny Lucyferowi. Obowiązkiem człowieka było przełamać narzuconą przez szatana bezsilność, zwyciężyć słabe, śmiertelne ciało i odzyskać należne duszom królestwo niebieskie. Ktoś musiał rozpocząć to dzieło; dlaczego nie mieliby to być ona i Aleksander? Klara wiedziała, że dla Aleksandra była kobietą, którą kochał, nie pożądam jej cielesnie, ona zaś rozpoznawała w nim wysłannika Felicjana. Klara miała wrażenie, że zmarły namiętnie ją, by wreszcie nadała swemu życiu kierunek, w którym od dawna chciała podążać, lecz ze względu na okoliczności raz po raz z niego zbaczała. Teraz była gotowa zostać „doskonałą” - najpierw jednak musi zawieźć swoją bratanicę do Blanki - i rozliczyć się

z własną przeszłością. Dopiero wtedy będzie mogła odprawić prawdziwą pokutę.

- Wziąć ze sobą do Montsegur! - Rajmund ze wzburzeniem zareagował na jej propozycję. - Cóż to w ogóle za pomysł! Joanna i tak przejęła już zbyt wiele heretyckich poglądów!

- Na co nie będzie narażona na francuskim dworze - zauważyła Klara.

Był to powód warty przemyślenia. Rajmund przypomniał sobie uprzejmy list od Blanki, którego serdeczny ton głęboko go poruszył. Pomyślał o Klarze w tym samym wieku wysłanej na królewski dwór. Dziecko potrzebuje kobiecej ręki, powiedział wówczas stary hrabia, stosownego wykształcenia i możliwości spotkania odpowiedniego kandydata na męża. Ten ostatni cel w przypadku Klary nie został osiągnięty, jednak małżeństwo Joanny było pewne i było warunkiem jej pobytu na królewskim dworze. Lepszego wykształcenia i opieki niż tam jego córka nie otrzyma nigdzie, zwłaszcza teraz gdy będzie musiała obyć się bez lekcji Aleksandra. Szaleńczo ostatecznie przeżyła myśl o jego własnym niepewnym losie. Gdyby już nie miał - obojętnie z jakich powodów - wrócić z północy, Joanna byłaby zdana wyłącznie na siebie i mogłaby się stać pionkiem w grze możnych panów. Musiał ją przed tym ustrzec.

- Przygotujcie się do podróży - polecił Klarze.

Aleksander był przerażony postanowieniem Klary, by towarzyszyć Joannie. Znał już całą jej historię.

- Nie przejdziesz tej próby - szepnął. - Gdy królowa pochwyci cię w swoje szpony, będziesz dla nas stracona. Jak często sprowadzała cię z twojej drogi?

- To prawda - przyznała Klara - ale zawsze działało się to z miłości. Blanka długo była najważniejszą osobą w moim życiu. Dawała mi oparcie. Nieważne, co uczyniłam, kim się stałam; zawsze bezwzględnie mnie kochała i troszczyła się o mnie. Sama narażała się na

niebezpieczeństwo tylko po to, by mnie uratować. Dała mi dom, który teraz czeka na Joannę...

- Traktuje Joannę jak zastaw! - wtrącił ze wzburzeniem Aleksander.
- Być może. Ale będzie jej dobrze u Blanki.

Styczeń 1229

Blanka była dumna ze swego syna. Ach, gdyby tylko jego ojciec mógł zobaczyć, z jak szlachetnym opanowaniem pozdrowia baronów, z których niemal każdy przyprowadził ze sobą dwóch rycerzy.

Tylko dwóch rycerzy!

Gdy baronowie jeden za drugim opuszczali komnatę, królową ogarnęła ślepa furia. Lecz jej syn skłaniał głowę przed każdym z taką łaskawością, jak gdyby wszyscy przywiedli ze sobą potężne wojska. Jej zaledwie czternastoletni syn zachował się w tej sytuacji lepiej, niżby potrafiła to uczynić ona. Wiedział równie dobrze jak matka, jaką wiadomość przesłał im przez tych baronów Mauclerc - dotrzyмали przysięgi, ale nigdzie nie jest napisane, czy wasał na wezwanie króla ma go wspomóc dwoma czy dwoma tysiącami ludzi. Wszyscy przybyli popierali tego matacza Mauclerca, nieodwołalnie zdecydowanego usunąć z tronu dynastię Kapetyngów.

Osiem setek rycerzy, które zaoferował hrabia Szampanii, nie wystarczą aby rzucić na kolana Piotra Mauclerca. Mając do dyspozycji jedynie te wojska, królowa nie zdoła odnieść zwycięstwa nad Bretanią.

Zniechęcona Blanka poszła do sali rycerskiej, gdzie spożywano posiłki, i opadła apatycznie na ławę.

- Zaśpiewaj mi jakąś pieśń, Tybaldzie - poprosiła - taką, która podniesie mnie na duchu! I pozwól zapomnieć ten przeklęty dzień, w którym jedynie ty, mój drogi przyjacielu, dochowałeś mi wierności.

Hrabia Szampanii, który dopiero w południe przybył do Paryża wraz z oddziałami zbrojnymi ze swego miasta Meaux, zbliżył się do królowej. Blanka podała mu łaskawym gestem dłoń. Tybald ujął ją delikatnie i odważył się ucałować koniuszki palców.

- Pani - powiedział lekko drżącym głosem - mam dobre wiadomości.

Chwycił lirę korbową i zaśpiewał:

***Z głębokiego południa na me ziemie
przybył wczoraj, śpiesząc ku mnie niestrudzenie,
niegdyś mieniący się obrońcą kacerzy kuzyn,
Rajmund, co szlachetnym hrabią jest z Tuluzy.***

- Hrabia Rajmund - przerwała mu zaskoczona Blanka. - Zupełnie o nim zapomniałam!

Skinąwszy głową, Tybald śpiewał dalej:

***Pragnie ci w Meaux hołdy, pani, złożyć,
odwiedź go tam, drogi warto nadłożyć;
widok Klary zawsze radował cię wielce,
córka hrabiego także skradnie twe sera.***

- Klara! - wykrzyknęła poruszona Blanka. - Czy ona rzeczywiście przybyła razem z nimi?

Tybald odłożył lirę, usiadł przy stole, wziął wielki kawał gęsiej piersi, wbił w nią zęby, po raz kolejny skinął głową i wymamrotał z pełnymi ustami, z których kapał tłuszcz: - Zobaczymy, czy znów ją będę musiał ratować.

- J u t r o wczesnym rankiem ruszamy do Meaux - zdecydowała Blanka. - Aby najechać na Bretanię, potrzebujemy liczniejszych wojsk, więc po drodze zastanowimy się, jak moglibyśmy zebrać nowe

siły zbrojne, kiedy zawiedli nas baronowie. A na razie nie chcę sły-
szec ani słowa więcej o tej przykrej sprawie! - Spojrzała na Tybalda
w zamyśleniu. - Pomówmy lepiej o wspaniałych perspektywach, ja-
kie otwiera przed nami traktat z hrabią Rajmundem, o Francji, się-
gającej aż po Morze Śródziemne!

Jednak gdy następnego dnia stanęła naprzeciw hrabiego Rajmun-
da w sali rycerskiej zamku w Meaux, nie myślała już o Morzu Śró-
dziemnym. Nie myślała w ogóle o niczym. Jak somnambuliczka
wstała z tronu, ustawionego przez Tybalda pośrodku sali, i podeszła
do człowieka, któremu na jej widok krew odpłynęła z twarzy.

Przeżyła coś podobnego niemal dokładnie co do dnia przed
dwudziestu ośmiu laty. Jak wówczas śliczny, podobny do elfa Lu-
dwik oczarował małą dziewczynkę, tak teraz postawny, śniadolic
Rajmund dojrzała kobietę. Dawno zapomniane uczucia, spotęgo-
wane wspomnieniem radosnych chwil małżeńskich, owładnęły ją
bez reszty. Lekki rumieniec zabarwił jej policzki, gdy ostrożnie sta-
wiała kroki, bojąc się, by zatrwajający zamęt w sercu nie przywiódł
jej do upadku.

Nie zważając na dworską etykietę, Rajmund postąpił w kierun-
ku Blanki i ujął jej ramię. Nie tylko po to, by ją podtrzymać - on
również potrzebował oparcia.

Przed nim stała nie królowa, której chciał się poddać, lecz kobie-
ta, której poddać się musiał. Obraz Lisette, prześladujący go bezu-
stannie przez ostatnie miesiące, zblakł w blasku oryginału. Lisette
była zapowiedzią obietnicy, której spełnienie ucieleśniała stojąca
przed nim kobieta. Najchętniej padłby na kolana i dziękował Bogu
za łaskę, że mógł ją ujrzeć. Nie śmiał nawet marzyć o tym, by do-
tknąć jej ramienia, jej skóry, a właśnie to czynił. Nic by go nie obe-
szło, gdyby za tę niestosowność miał paść trupem na miejscu i przez
całą wieczność smażyć się w piekle. To było warte tej chwili.

Blanka uniosła rękę, tę, której nie trzymał.

- Niech wszyscy wyjdą! - rozkazała. - Chciałabym porozmawiać z hrabią Tuluzy w cztery oczy.

- Pani... - zaczął Tybald.

Zmierzyła go tak lodowatym spojrzeniem, że Tybalda przebiegł dreszcz. Jako jedyny od razu pojął, co się stało. I ona wiedziała o tym. W jednej chwili ogromna sympatia, jaką darzył Rajmunda, zmieniła się w równie wielką nienawiść. Jak ten przybłęda, nieudacznik z heretyckiej Langwedocji ma czelność wywierać na królowej wrażenie, nad którym on, Tybald, od dziesiątków lat niestrudzenie pracował? Dla którego żył? Oto wchodzi ten przystojny, smukły mężczyzna do sali, patrzy tylko na Blankę, a ona, ta nieprzystępna kobieta, z miejsca traci dla niego głowę? Topnieje jak sopleń lodu w słonecznym żarze południa? Posyła mu spojrzenie, jakim do tej pory obdarzała jedynie króla Ludwika! To niesłychane!

Tybald spisał zupełnie inny pakt niż ten, który spojrzenia i ciała tych dwojga zawarły właśnie na oczach wszystkich! Cóż za porażka, cóż za zdrada! I to ich obojga!

Mimo że wewnętrznie pienił się ze złości, nie dał nic po sobie poznać i zagrał swoją ostatnią kartą.

- Muszę pozostać, pani, gdyż tylko ja znam szczegóły porozumienia, z którego powodu zebraliśmy się tutaj i które teraz musimy negocjować.

„I ponieważ ten zamek należy do mnie - dodał gniewnie w duchu. - I ty, Blanko, powinnaś należeć tylko i wyłącznie do mnie! Jak hrabia Rajmund śmie budzić w tobie takie uczucia? Jak mogłaś dać się zwieść jego heretyckiemu urokowi?”

- Ty również masz odejść, hrabio - rzekła królowa. Jej głos zdawał się dochodzić z daleka. - Układ może poczekać, w przeciwieństwie do zbrojnej wyprawy do Bretanii. Twoich ośmiuset ludzi, hrabio Tybaldzie, jest dla nas ogromnym wsparciem. Ale jak sam wiesz,

hrabio, to nie wystarczy. Wpadłam właśnie na pomysł, jak możemy wzmocnić nasze oddziały. Pomyślałam o mieszkańcach miast, którzy już raz mi pomogli i złożyli przysięgę na wierność. Wyjedź, hrabio Tybaldzie, zwołaj mieszczan i przypomnij im o przyrzeczeniu. Jutro wracam do Paryża, pojutrze rozpoczynamy kampanię. Nie mamy ani chwili do stracenia! A zatem w drogę, hrabio!

Tybald gniewnie wodził wzrokiem od Rajmunda do Blanki, od Blanki do Rajmunda. Miał wrażenie, że stojącą przed nim parę otacza niewidzialny krąg, z którego została wykluczona cała reszta świata, łącznie z nim samym. Jako trubadur powinien głośno radować się tak oczywistą manifestacją miłości od pierwszego wejrzenia. W innych okolicznościach poświęciłby takiemu triumfowi najwznośniejsze z uczuć i pełne uniesienia wersy, lecz dla tych dwojga znajdował w sobie jedynie prozaiczny gniew. Był wściekły również na samego siebie; w końcu to on doprowadził do tego spotkania i je zorganizował. Chciał jednak poznać ze sobą kuzyna i kuzynkę, a nie mężczyznę i kobietę.

- A co z Joanną? I Klarą? - zapytał, nie ruszając się z miejsca.

- One również mogą poczekać! - odparła Blanka ostro. Ciepłota dłoni Rajmunda zdawało się już niemal parzyć jej ramię. Przez długi czas nie będzie zdolna myśleć, ani mówić. - Zejdź mi z oczu, hrabio Tybaldzie, i staw się u mnie dopiero wtedy, gdy zbierzesz zbrojne oddziały!

„W każdym razie nie zamyśla urządzić się z nim wygodnie na dłuższy czas w moim zamku” - pocieszał się Tybald, opuszczając salę.

W czasie jazdy zastanawiał się, jakie kolejne upokorzenia mógłby jeszcze zawrzeć w traktacie z Rajmundem. Jego najokrutniejsze wizje dotyczyły Klary. Werbując ze swymi ludźmi mieszkańców miast na wyprawę wojenną do Bretanii, widział oczyma wyobraźni, jak zmusza hrabiego Tuluzy, aby zaprowadził własną siostrę na stos

i własnoręcznie go podpalił. Wyparł przy tym z umysłu świadomość, że Blanka nigdy by do tego nie dopuściła. Starał się nie myśleć również o wszystkich tych bezeceństwach, które bez wątpienia wyprawiali teraz w murach jego zamku Blanka i hrabia Rajmund. „Czysta jak lilia” - przypomniał sobie ze wzburzeniem słowa pieśni, którą niegdys jej poświęcił. Przepęłniony gniewem jął układać nowe wersy. O zwiędłych, cuchnących zgnilizną, oleisto czarnych kwiatach lilii, brukających Blankę niczym nierządnicę z Babilonu!

Następnęj nocy przewracał się bezsennie na swym samotnym łożu w Paryżu. Za zamkniętymi powiekami widział, jak nagi Rajmund pieści piersi Blanki, wpija się w jej usta i wprowadza przyrodzenie między ochoczo rozwarte uda kobiety, której, on, Tybald, umożliwił to swobodne, to niewiarygodnie zuchwałę zachowanie! Przygotował grunt, zabijając króla, a teraz hrabia Rajmund zbiera żniwo. Tak jak wcześniej przemieniał się w nocnych fantazjach w Ludwika, który namiętnie obejmował królową, tak tej nocy stał się hrabią Rajmundem z Tuluzy, znajdując w tych rojeniach bolesne spełnienie.

Gdy za Tybaldem i pozostałymi dostojnikami zamknęły się drzwi, rozgorączkowany Rajmund wyszeptał: - Tylko ta jedna noc!

- Której nikt nie może nam odebrać! - odparła Blanka. Podała mu usta, po czym całkowicie zatonegli w sobie na zimnej kamiennej posadzce, istniejąc tylko jedno dla drugiego. Ich intymności nie zmąciło ani jedno słowo, ani jeden gest, ani jedna myśl. Dusze obojga, zrzuciwszy pęta rzeczywistości, znalazły schronienie w boskiej pustce, która pozwoliła ich ciałom stopić się nawzajem tak, że stali się nicością lub jednym.

Po chwili, która wydawała im się wiecznością, podnieśli się w milczeniu, doprowadzili z grubsza do porządku odzienie i ramię w ramię przeszli do prywatnych komnat Blanki. Słudzy, których mi-

jali, padali na kolana bardziej unieżenie niż zazwyczaj i pochylali głowy do ziemi. Królowa zdawała im się dostojniejsza niż kiedykolwiek przedtem, a mężczyzna u jej boku nadzwyczaj godny.

Sama Blanka miała wrażenie, że unosi się w powietrzu. Dopiero teraz przyznała się przed sobą, jak bardzo osamotniona czuła się w ostatnich latach i jak bardzo ciążyła jej samotność. Samotność, która teraz wreszcie zniknęła. Drzwi królewskiej sypialni zamknęły się za nimi, Blanka jednak nie skierowała się do łóża. Ujęła Rajmunda za rękę i pociągnęła go w stronę ławy.

- Porozmawiajmy - poprosiła, przyciągnąwszy go do siebie. - Lecz nie o polityce i traktacie. Chciałabym wiedzieć o tobie wszystko, Rajmundzie.

- Czy ty również opowiesz mi wszystko o sobie? - zapytał Rajmund.

- Wszystko - zapewniła go Blanka.

To, z czego tej nocy zwierzyła mu się królowa Francji, znacznie przekroczyło wszystko, czego jej małżonek Ludwik, zwany Lwem, kiedykolwiek dowiedział się od swej ukochanej żony. Przed Rajmundem nie musiała niczego ukrywać; mogła mu opowiedzieć o heretykach, którzy uratowali jej syna Karola, nawet o mądrej starej kobiecie, do której poszła przed laty, aby wywołać krwawienie.

- Bóg pokarał mnie za to licznymi poronieniami - wyszeptła przez łyzy. Rajmund przyciągnął ją do swej piersi i potrząsnął głową.

- Nie, Blanko - powiedział uspokajająco - to z pewnością było dzieło szatana. Bóg jest kochającym ojcem, który nie karze tak okrutnie swoich dzieci.

Jak na generalnej spowiedzi Blanka otworzyła przed nim serce i oczyściła sumienie. Niczego nie pominęła. Ani tego, jak poleciła Tybaldowi, by uratował Klarze życie, ani tego, jak w przebraniu prostej pątniczki odbyła podróż do Rzymu, by papież zwolnił ją z przysięgi.

Rajmund, który szybko opowiedział własną historię, słuchał jej do głębi wstrząśnięty. Jak udręczone było serce Blanki, jak wielkie brzemiona spoczywały na jej ramionach, jak wiele trosk pokrywało bruzdami jej czoło!

Gdy Blanka w końcu zamilkła, podniósł się. Padł przed nią na kolana i wtulił twarz w jej łono.

- J u ż nigdy nie powinnaś być samotna - powiedział głosem zduszonym przez tkaninę jej sukni. Wyprostował się, dźwignął królową z ławy i zaniósł ją do łóża.

- Taka noc - szepnęła Blanka, gdy świtał poranek - jest warta całego życia!

Spojrzała w kierunku wąskiego, głębokiego okna, przez które wkradały się już pierwsze promienie bladego zimowego słońca.

Rajmund oparł się na łokciu, odsunął kilka szpakowatych kosmyków włosów z twarzy Blanki i odparł: - Nasze życie, moja miła, jest życiem w służbie innych i to oni wyznaczają nasz los. Ci, za których jesteśmy odpowiedzialni, i ci, którzy przyjdą po nas, bo choć ich nie znamy, musimy przygotować im grunt, by mogli po nim kroczyć pewnie do przodu.

Blanka potrząsnęła głową.

- Nie jesteśmy bogami, Rajmundzie, mój ukochany - odrzekła cicho - tylko zwykłymi śmiertelnikami, poszukującymi szczęścia. Znalazłam je w moim małżeństwie. Czy żądam zbyt wiele, chcąc jeszcze raz otrzymać je od losu? Chcąc wyjść za ciebie?

Rajmund pochylił się nad twarzą kobiety, którą dzień wcześniej ujrzał po raz pierwszy, ucałował jej powieki, nos, dołeczki w policzkach, szyję i zamknął w dłoniach jej wciąż piękne, białe piersi.

- Niczego bardziej nie pragnę, Blanko, wiesz o tym - powiedział.
- Ale... - jego głos stał się mroczny - nasze matki były siostrami.

Jesteśmy zbyt blisko spokrewnieni. Żaden papież nie wyrazi zgody na nasze małżeństwo.

- A więc dobrze, niech pobiorą się nasze dzieci, nie my! - skapitulowała Blanka. Delikatnie obrysowała palcem kontury jego ust, po czym go ucałowała.

- Zawrzyjmy pakt - poprosił Rajmund.

Dołeczki Blanki pogłębiły się, przypominając mu, w jakim celu przybył do Meaux.

- Inny, całkowicie prywatny pakt - podkreślił, uśmiechając się równocześnie. - Jeśli się okaże, że ta noc ma następstwa, nie będziemy się przejmować papieżem, krewnymi i innymi ludźmi, tylko się pobierzemy.

- Zgoda - szepnęła Blanka, przysuwając się do niego bliżej. - Sąd Boży szczególnego rodzaju. Ale powinniśmy chyba przekonać Pana Boga o powadze naszych zamiarów, nie uważasz?

Przyciągnął ją do siebie jeszcze bliżej.

- Koniecznie - szepnął jej do ucha, myśląc o tym, że Blanka już za kilka godzin wyruszy na wyprawę wojenną. Tak bardzo chciałby jej towarzyszyć i ją ochraniać, jednak ze względów w najwyższym stopniu absurdalnych w obecnej sytuacji nie mógł tego uczynić.

Klara nie dała po sobie poznać gorzkiego rozczarowania. Blanka przybyła do Meaux w południe i odjechała w zamieci śnieżnej już następnego ranka, nawet nie witając się z nią i z Joanną.

- Królowa jest teraz niezwykle zajęta - usiłowała pocieszyć równie rozczarowaną Joannę, która otulona pledem siedziała przy kominku w swojej komnacie. Widziany po raz pierwszy w życiu śnieg wzbudził zachwyt dziewczynki, jednak do panującego tu chłodu trudno jej się było przyzwyczaić. - Ma wielu zaciekłych wrogów.

- Takich jak mój ojciec? - zapytała Joanna niemal oskarżycielsko i owinęła ciaśniej pledem szczupłe ciało.

- Nie, prawdziwych wrogów - odparła Klara. - Z twoim ojcem musi tylko wyjaśnić kilka spraw. Przecież dlatego przyjechaliśmy tutaj.

Ośmiolatka ze zrozumieniem skinęła głową. - Kiedy poślubię księcia Alfonsa, wszystko będzie dobrze. Ludzie w Tuluzie znów będą mogli uprawiać swoje pola i w końcu najedzą się do syta. - Z niepokojem spozrzała na ciotkę Klarę i zapytała nieśmiało: - Tak będzie, prawda?

- Na pewno - odrzekła uspokajająco Klara. - A ty bardzo polubisz księcia Alfonsa.

- Oczywiście - odparła dziewczynka, spoglądając na Klarę promiennym wzrokiem - przecież ty także go lubisz.

Bezgraniczne zaufanie bratanicy sprawiło, że Klara poczuła ukłucie w sercu. Jak bardzo kochała tę opuszczoną przez matkę dziewczynkę! Czy dlatego, że widziała w niej samą siebie, dziecko z hrabiowskiego dworu w Tuluzie, którego przyszłość miał zabezpieczyć pobyt na francuskim dworze? A może dlatego, że Joanna zbudziła w niej uczucia macierzyńskie? Z ciężkim sercem przyjdzie jej rozstać się z córką brata. Ale czy mogłaby opuścić własne dziecko, by poświęcić się życiu we wspólnocie katarów, tak jak uczyniła to jej matka?

Gdy Rajmund zdradził jej imię matki, Klara podjęła poszukiwania. Aleksander i kilkoro innych „dobrych ludzi” rzeczywiście słyszeli o „doskonałej” o imieniu Ermine, lecz nikt nie wiedział, gdzie przebywa. Nikt z zapytanych nie spotkał jej również w ciągu ostatnich lat, dlatego wydawało się wysoce prawdopodobne, że zginęła na stosie.

„Czy spotka w królestwie niebieskim Felicjana? Czy ich dusze będą czuć nade mną? Czy mogłabym zupełnie wyrzec się córki? Dopóki będę zadawać sobie to pytanie, nie mogę dążyć do tego, by stać się „doskonałą”. Czy nie powinnam jeszcze przez jakiś czas

pozostać na dworze, przynajmniej tak długo, dopóki Joanna mnie potrzebuje? A może to ja jej potrzebuję, gdyż daje mi odczuć, że jestem kimś ważnym w jej życiu? Cóż za pycha! Jakaż to arogancja z mojej strony!"

Przypomniało jej się ostrzeżenie Aleksandra. Jak bardzo się mylił! Nawet nie widziała się z Blanką. „Szpony”, o których mówił, nie należały do innego człowieka, lecz były częścią jej samej, i to one trzymały ją mocno pośród spraw tego diabelskiego świata, od których przecież pragnęła się uwolnić.

- Chodź, Joanno - powiedziała do bratanicy. - Ubierz się ciepło; pójdziemy teraz na dziedziniec i ulepimy bałwana.

- A co to jest? - zapytała zdziwiona dziewczynka.

- To postać, którą zbudujemy z kul śniegowych. To bardzo proste, gdyż śnieg jest teraz mokry i będzie się dobrze lepił.

- Śniegowy człowiek? - Joanna miała wątpliwości. - A dlaczego nie ulepimy psa? Małego słodkiego pieska jak mój Pipó z domu w Tuluzie?

Pierwsze oznaki tęsknoty za domem. Klarze ogromnie brakowało wówczas sójki, która każdego ranka przylatywała do okna, by zjeść wysypane na parapet okruchy.

- Wspaniały pomysł, Joanno! Ulepmy w takim razie pierwszego śniegowego pieska we Francji!

Dziewczynka nadal się wahała.

- Ale mój ojciec go nie zobaczy! Dlaczego nie ma go już z nami?

Jak wytłumaczyć dziewczynce, że jej ojciec aż do oficjalnego wyjaśnienia jego sprawy musi pozostawać w odosobnieniu? Klara dowiedziała się o tym dzisiejszego ranka i sama niezbyt dobrze rozumiała, w czym rzecz. Jej brat wyruszył z Blanką do Paryża, gdzie miał czekać w Luwrze, aż królowa znajdzie czas, by zająć się jego sprawami.

Skąd to więzienie? Rajmund przecież z własnej nieprzymuszonej woli przybył na północ, by się poddać. Dlaczego nie mógł mieszkać

dalej w zamku Meaux jako gość hrabiego Szampanii? Nie istniało przecież niebezpieczeństwo, że ucieknie.

„Prawdopodobnie przemawiały za tym względy praktyczne” - domyślała się Klara. Blanka i jej doradcy musieli układać się z Rajmundem, a do Luwru, warownego zamku, który kazał wznieść teść Blanki, król Filip, dla obrony prawego brzegu Sekwany, można było bez trudu przedostać się z pałacu na wyspie Cite.

Była mowa również o wojnie i wyprawie zbrojnej, jednak dla Klary nie miało to większego sensu. Niestety Tybald wyjechał już wcześniej, była więc skazana na domysły. „Pewnie Mauclerc znów sprawia kłopoty” - pomyślała, lepiąc z Joanną śniegowego psa, który zresztą niezbyt się udał i w rezultacie bardziej przypominał czworo- nożnego bałwana niż wytęsknionego Pipo Joanny.

Bez Tybalda i Rajmunda Klara czuła się na zamku Meaux samotna. Gdyby była tu chociaż jej dawna przyjaciółka Agnieszka, żona Tybalda! Ta jednak pędziła małżeński żywot w Troyes, stolicy Szampanii.

Klara zorientowała się bardzo szybko, że ani Tybald, ani Rajmund nie dali żadnych wskazówek w sprawie dwóch niezajomych z Tuluzy. „Zupełnie jakby o nas zapomniano - pomyślała. - Nie mogę do tego dopuścić; Joannę należy otoczyć szczególną opieką. Jeśli dwór nie przyjeżdża do nas, my same wyruszmy na dwór”.

Joanna, której ani razu nie udało się wygrać regularnej bitwy na śnieżki o zamek, niezwykle się ucieszyła, gdy ciotka oznajmiła jej kilka dni później, że udają się na królewski dwór do Paryża. Z taką pewnością siebie, jak gdyby była panią zamku, Klara nakazała zarządcy zorganizować stosowną eskortę na niemal czterodniową podróż i ruszyła z Joanną w drogę.

Tybald nie był w stanie tak szybko, jak życzyła sobie tego Blanka, zwołać mieszczan pod broń. Jednak w ciągu czterech dni zdołał ze-

brać imponującą liczbę ludzi z miast i ziem związanych z królową przysięgą na wierność. Tylko niewielu z nich miało doświadczenie w walce, ale wszyscy oni kochali królową i w nią wierzyli. Jeżeli zatem planowała kampanię wojenną w zimie, nikt nie chciał sprawić jej zawodu.

Jednak nie ona sama dowodziłaby tą wyprawą. Miała to być pierwsza operacja wojskowa jej syna Ludwika.

- Król Ludwik poprowadzi was do zwycięstwa! - zawołała pewnego mroźnego styczniowego popołudnia do tłumu ludzi, którzy jak niegdyś zgromadzili się przed pałacem na wyspie Cite. - Będziemy oblegać zamek Belleme, w którym prawdopodobnie obwarował się ten zdrajca, ten zły duchowny, Mauclerc! Natychmiast...

Przerwała w pół zdania. Do podwyższenia, przeciskając się przez ciżbę ludzką, zbliżyła się niewielka grupa, prowadzona przez ciemno odzianą kobietę, obok której na małym siwku jechała kilkuletnia dziewczynka.

Blanka, niedościgniona w umiejętności szybkiego orientowania się w sytuacji i błyskawicznego reagowania, w okamgnieniu wzięła się w garść. Ta przerwa była jej bardzo na rękę, gdyż zapowiadając kampanię wojenną, mogła ponadto ogłosić dobrą wiadomość. Wyrzucała sobie, że to nie ona przygotowała tę scenę.

- Powitajcie wraz ze mną, moi drodzy paryżanie, nowego członka rodziny panującej! - zawołała, dając znać nowo przybyłym, by weszli do niej na drewniane rusztowanie.

Klara zeskoczyła z konia i zsadziła Joannę z siodła.

- To jest królowa, twoja przyszła teściowa - szepnęła do niej. - Wejdz na podest i ucałuj rąbek jej sukni.

Joanna zawahała się. Chodź ze mną, błagała oczami. Klara potrząsnęła głową. - To twoja droga, dziecko, nie moja - szepnęła, czując przy tych słowach ukłucie w sercu.

Dziewczynka posłusznie skinęła głową i zwinnie wspięła się po

grubo ciosanych schodach podwyższenia, na którym za Blanką i Ludwikiem stały pozostałe królewskie dzieci, pięciu synów i córka. Joanna nie zdążyła ucałować brzegu sukni królowej, gdyż ta natychmiast wzięła ją w ramiona i serdecznie uściskała.

- Córka hrabiego Rajmunda z Tuluzy! - wykrzyknęła. - Przyszła małżonka mojego syna Alfonsa, brata naszego ukochanego króla!

Tłum zaczął wiwatować.

Blanka skinęła na Alfonsa, by podszedł do niej, i złączyła dłonie dzieci.

- Ta szlachetna panna przyniesie naszemu domowi szczęście, a całemu krajowi pokój - mówiła dalej.

Klara, widząc, że dzieci uśmiechają się do siebie zawstydzone, odetchnęła głęboko.

- Byłam niewiele starsza, gdy po raz pierwszy ujrzałam i z miejsca pokochałam swego małżonka - mówiła dalej Blanka. - Mojemu synowi Alfonsowi i jego przyszłej żonie życzę tyle samo szczęścia!

"Wymów wreszcie jej imię - pomyślała z niecierpliwością Klara. Blanka chętnie posłuchałaby tego niewypowiedzianego wezwania, jednak ujrzawszy dziewczynkę, zapomniała jej imienia. Mogła myśleć tylko o Klarze. „Przede mną stoi Klara. Te same czarne włosy, te same jasnoszare oczy w łudząco podobnej twarzy. Ta sama ujmująca nieśmiałość". Po raz drugi w ciągu kilku dni Blanka poczuła się tak, jakby wróciły lata jej młodości. Znow była odpowiedzialna za córkę hrabiego Tuluzy.

Przeniosła wzrok z dziewczynki na kobietę stojącą obok rusztowania i zadrzała lekko. Klara przybyła do niej, właśnie gdy Blanka opłakiwała drugie dziecko, drugą córeczkę, a teraz przyprowadziła jej dziecięcą kopię samej siebie; w dodatku była to córka Rajmunda z Tuluzy, jej kochanka, który być może uczynił ją, owdowiałą królową, brzemieną. Nie powinna myśleć o tych powiązaniach, nie może pozwolić, by ogarnął ją strach przed złą wróżbą.

Jednakże przez następne godziny nie miała nawet na to czasu.

Powitanie z Klarą było wprawdzie serdeczne, ale nadzwyczaj krótkie.

- Pojedziesz ze mną do Belleme - oznajmiła Blanka, uściskawszy dawną dworkę. - Opowiesz mi po drodze, jak ci się wiodło i jak wyglądają nasze nowe ziemie. Chcę usłyszeć wszystko, co wiesz o swoim bracie Rajmundzie; muszę się dobrze przygotować, zanim podejmę z nim pertraktacje.

Skoro w najbliższym czasie nie mogła spotykać się z Rajmundem, chciała przynajmniej o nim mówić, wypowiadać jego imię. Najbardziej niewinnie wypadłoby to w rozmowie z Klarą; głównie z tego względu pragnęła, by przyjaciółka towarzyszyła jej do Belleme.

Klara, przestraszona, uniosła ręce.

- Nie jestem stworzona do wojny! - próbowała się bronić. Przez jej ciało przebiegł dreszcz.

- A któż jest! - odparła nieporuszona Blanka. - Czyżbyś sądziła, że przypaszę miecz? Musimy jednak obserwować z bliska, jak mężczyźni radzą sobie w boju.

Klara zbladła.

Przypomniawszy sobie nagle, jak dobrze Klara zapoznała się ze sposobem walki Francuzów i jak straszliwe cierpienia wywoływało w niej to wspomnienie, Blanka pogładziła ją delikatnie po ramieniu.

- Być może - powiedziała cicho - zdolamy wpoić coś męczyznom, być może my, kobiety, będziemy potrafiły wnieść do wojny o Bretanię inny element niż tylko prosta przemoc.

Klara wciąż drżała.

- Ty marzniesz - powiedziała Blanka. - Obawiam się, że będzie jeszcze zimniej. Każę podać ci futro. - Pomiędzy jej brwiami pojawiła się zmarszczka. - Powinniśmy wziąć ze sobą więcej wozów z futrami i derkami. Dla oblegających. Wiesz przecież, jak nieroztropni są mężczyźni. Myśl o wojnie sprawia, że gotuje się w nich

krw - a tymczasem odmrażają sobie palce! Muszę zadbać, by nie przyczyniło się to do klęski naszej kampanii.

Właśnie ten pełen rozważli, bardzo kobiecy punkt widzenia zdecydował, że Mauclerc został pokonany na własnych ziemiach.

Jednak początkowo nic nie zapowiadało zwycięstwa. Gdy Blanka ze swym orszakiem dotarła do potężnych fortyfikacji zamku Belleme, sytuacja wydawała się beznadziejna. Jak gdyby natura sprzymierzyła się z Mauclerkiem, nocą nadeszły straszliwe mrozy. Ludzi, którzy pojechali przodem, by przygotować oblężenie i zmontować maszyny wojenne, paraliżowało zimno; nie mieli nawet sił rąbać lodu u wodopojów, a co dopiero dobyć miecza. Opuściła ich wszelka wola walki.

- Są powody ku temu, by przeprowadzać szturm w cieplejszych porach roku - czynił Tybald wyrzuty Blance, która skonsternowana patrzyła na ogromną twierdzę i ludzi, dygoczących z zimna pod jej murami. Żaden z nich nie byłby w stanie obsłużyć katapuły.

- Wi o s n ą Mauclerc spodziewałby się zasadzki - powiedziała królowa. Nie chciała uznać oblężenia za skazane na klęskę jeszcze przed rozpoczęciem. - Teraz ten pies nie ma czasu, by odpowiednio się przygotować. - Wskazała za siebie. - Już ten tłum ludzi, którzy podążają tu pieszo, nauczy mieszkańców zamku, co to strach!

- Ten tłum ludzi, pani - odrzekł sucho hrabia Szampanii - zamrznie na śmierć.

- Można by temu zaradzić za pomocą ognia - wtrąciła Klara, przysłuchująca się rozmowie. - Przejeżdżaliśmy koło lasu. A tam... - wskazała na wschód - widzę sady owocowe.

- A w starych domostwach są belki - dodała Blanka, z uznaniem kiwając głową. - Należy je wszystkie powyrywać! Ogrzejemy porządnie naszych żołnierzy!

Przywołała do siebie syna, króla Ludwika, który zdrętwiałymi z zimna rękoma pracował nad złożeniem tarana.

- Przełóż szturm na później! - zaproponowała mu. - Teraz lepiej pošlij wszystkich po drewno! Niech zetną każde drzewo, wyrwą każdy krzew; również kto z okolicznych mieszkańców znajdzie jakiegokolwiek drzewo zdadne na opał, ma je dostarczyć wojsku. Rozpalimy ogromne ogniska - już sam widok wysoko buchających płomieni napędzi naszym wrogom strachu, przypominając o ogniu piekielnym, który ich czeka po śmierci!

Poleciła sługom rozdzielić przywiezione derki i futra między oblegających i nakazała ugotować w ogromnych kotłach wielkie ilości pożywnej zupy. Mieszkańcy pobliskich wsi mieli upiec tyle chleba, ile tylko zdołają, a ich dzieci polować na króliki i inną drobną zwierzynę.

Plan Blanki się powiódł. W obliczu wciąż napływającej, potężnej armii ludzi i wobec uporczywego szturm na zamek przez sytych i ogrzanych żołnierzy, twierdza, która do tej pory uchodziła za niezdobytą, poddała się już po dwóch dniach.

Mówiliście mi, że ten młody król nie uzyska żadnej pomocy od swoich ludzi, a widzę, że ma więcej żołnierzy niż ja i wyrazem. W tych okolicznościach jestem zmuszony zaniechać planów ładowania we Francji i w korzystniejszym czasie postaram się odebrać to, co nigdy stracił mój ojciec. Tobie, mój panie, radzę, byś zatrudnił zręczniejszych szpiegów.

Piotr Mauclerc z okrzykiem wściekłości zgniótł list od króla Anglii, Henryka, i rzucił go na ziemię. Skąd wzięły się te potężne wojska, zmobilizowane przez Blankę i Ludwika, które nawet nie zdążyły wziąć udziału w działaniach wojennych, gdyż sam ich ogrom przeraził obleżonych w zamku Belleme? Ostatecznie jedna bretońska twierdza po drugiej bez rozlania kropli krwi poddawała się rodzinie panującej. Przestraszeni sukcesem Blanki zbuntowani baronowie odłączyli się od swego przywódcy Mauclerca i zginali kark przed francuskim tronem.

Mauclerc nigdy nie przyznałby ani przed baronami, ani przed królem Anglii, ani nawet przed samym sobą, że został pokonany przez kobietę i dziecko. Ktoś inny musiał stać za tą hańbą, ktoś, kto był obeznany ze sztuką wojenną; ktoś, komu zależało na tym, by umocnić potęgę Korony. W rachubę wchodził tylko jeden człowiek - stary przeciwnik, Tybald hrabia Szampanii.

Temu panu należało w końcu pokazać, gdzie jego miejsce; zawiodły ataki, plotki nic nie działy, uragliwe przysięgi okazały się niewystarczające. Nadszedł czas, by sięgnąć po ostrzejsze środki i uczynić to, co zamierzał Ludwik, zwany Lwem - najechać na Szampanię i obrócić cały kraj w perzynę.

„Dopiero gdy tego dokonam, odpowiem królowi Anglii na jego list - postanowił Mauclerc. - Jako zwycięski dowódca wojsk oświadczę, że chcę zostać jego wasalem, i jako lennik oddam mu Bretanię. Tym sposobem zdołam go nakłonić, by wreszcie zaatakował Francję i zagarnął tron. Wówczas jako najpotężniejszy francuski wasal będę miał w końcu wolną rękę”.

Wszystko to wymagało rozważnego planowania i czasu. Mauclerc przyznał sam przed sobą, że do tej pory działał zbyt pochopnie. Nie docenił swojej przeciwniczki i jej obrośniętego tłuszczem trudnacza. Pierwsze, co musi uczynić, to zwołać baronów, którzy nie chcieli podporządkować się Koronie, i odebrać od nich przysięgę, że będą dążyć do nowego celu - zniszczenia Szampanii.

Przywołał skrybę. List, który mu podyktował, był skierowany do hrabiego Szampanii, a jego odpis wraz z odpowiednimi komentarzami miał zostać wysłany do wszystkich francuskich baronów.

W twoim sercu zamieszkała zdrada, hrabio Tybaldzie - zapisywał skrybajego słowa - sławę przyniosły ci nie rycerskie czyny, lecz - niczym starej tłustej niewieście - wiedza o truciznach. Gdyby żył twój pan, król Ludwik, zostałbyś wszystkiego pozbawiony. Królowa zaś przywróciła cię do łask; zaiste

jest to postępowanie godne kobiety, która tego, kto zamordował jej męża, chętniej widzi niż innych.

„Powinna stać się brzemienną - pomyślał gniewnie Mauclerc - tak, aby świat uświadomił sobie jej błędy i pojął, kto naprawdę, działając podstępnie i niegodziwie, włada królestwem Francji". Miesiącami oczekiwał wiadomości od swego szpiega w kobiecym skrzydle pałacu na wyspie Cite. Jednak służąca miała mu do tej pory jedynie do przekazania, że królowa nadal daje do prania zakrwawione prześcieradła.

Blankę czekały tygodnie niczym niezmaconego szczęścia. Niemal każdego dnia odwiedzała w Luwrze Rajmunda, niekiedy w towarzystwie Klary i Joanny. Te jednak wycofywały się zawsze dyskretnie, by królowa nie niepokojona przez nikogo mogła prowadzić najwyraźniej coraz bardziej komplikujące się pertraktacje ze swoim więźniem.

Jako że pełne wyrzutu spojrzenia hrabiego Tybalda, jego zuchwałe aluzje i zły humor stawały się dla niej nie do zniesienia, Blanka zażądała pewnego dnia, by wrócił do stolicy Szampanii.

- Która nie będzie już długo moją stolicą, jeśli wszystko pójdzie po myśli Mauclerca! - wybuchnął Tybald.

- Nie odważy się najechać na Szampanię - odparła niewzruszona Blanka. - A już z pewnością nie teraz, gdy nawet jego najbardziej znaczący sprzymierzeńcy, hrabiowie Burgundii i Boulogne, wrócili do nas, wyrażając skruczę!

- Mauclerc, co prawda, wciąż liże rany - odparł Tybald - lecz nie ulega wątpliwości, że czeka na sprzyjający moment. - Z niemal szyderczym ukłonem cisnął jej pod nogi pismo z Bretanii i ruszył tyłem ku drzwiom. - A ten moment, pani, nadejdzie bez wątpienia wówczas, kiedy cały świat ujrzy, że nosisz w brzuchu rzekomo mego bękarta.

Blanka z roziskrzonymi z wściekłości oczami zerwała się z tronu i uniosła rękę. Tybald, który był już zbyt daleko, by mogła mu wymierzyć policzek, z hukiem zatrzasnął za sobą drzwi.

- Dziecinna zazdrość - mruknęła Blanka, sadowiąc się z powrotem na tronie i studiując list. Z każdą linijką bladła coraz bardziej. Położyła rękę na łonie. Tybald nie mógł wiedzieć, że jest przy nadziei. A 12 kwietnia lekką wypukłość będzie jeszcze można zamaskować luźnymi szatami. Tego dnia mieli się zjawić u dworu wszyscy dostojnicy, by uczestniczyć w ceremonii zdjęcia ekskomuniki z hrabiego Rajmunda. Ale co będzie potem? Kiedy nie da się już ukryć jej stanu?

Nie mogła tak po prostu oświadczyć, że chce poślubić hrabiego Rajmunda, ojca nienarodzonego dziecka. Koniec końców wciąż jeszcze był związany z inną kobietą, nawet jeśli jego małżonka Sancha stała mu się zupełnie obca i przebywała daleko stąd. Po narodzinach dziecka każdy będzie mógł obliczyć, że Kościół przyjął na swoje łono cudzołożnika. A ona zostanie nazwana ladacnicą.

Blanka ukryła twarz w dłoniach. Aż strach pomyśleć, jakie skutki pociągnie to za sobą dla niej, jej rodziny i Korony!

Wrogowie przypiszą ojcostwo hrabiemu Tybaldowi i podburzą przeciwko niej lud, który był tak oddany królowej. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślała?

„Ponieważ nie spodziewałam się, że przekroczywszy czterdziesty rok życia, zostanę jeszcze matką - przyznała w duchu Blanka. - Ponieważ wydawało mi się absurdalne, że ktokolwiek mógłby pomyśleć, iż otyły Tybald jest rzeczywiście moim kochankiem. I ponieważ miłość do Rajmunda odebrała mi rozum”.

Potrzebowała pomocy. W tej sytuacji był tylko jeden człowiek, któremu mogła zaufać i który mógł jej coś doradzić.

Królowa Ingeborga bardzo się ucieszyła, że może poznać przyszłą wnuczkę, Joannę. Przyjęła Blankę i dziewczynkę w swojej ulubionej, niewielkiej komnacie, urządzonej nad wyraz skromnie. Jedynym wyjątkiem była kosztowna, czerwona tkanina, rozwieszona na północnej ścianie pokoju.

- Zupełnie jakby cofnął się czas - zauważyła z zadumą, gdy Joanna opuściła komnatę, by obejrzeć zwierzyniec, który wdowa po królu Filipie kazała pobudować w pobliżu zamku i którego najwspanialszym okazem był wielki niedźwiedź brunatny. Zwierzę przerażało wszystkich, zwłaszcza dzieci, budząc równocześnie ich zachwyty.

- Jak gdybyś znów przyszła do mnie z małą Klarą. Dziewczynka sprawia ci wówczas trochę kłopotów i byłeś taka smutna.

Spojrzała w zamyśleniu na Blankę, po czym dodała: - To straszna rzecz, stracić dziecko, ale od razu dwoje, jedno po drugim w tak krótkim czasie!

- A teraz też oczekuję dziecka - wyznała Blanka, wybuchając płaczem. - I co ja teraz zrobię?

Bez wahania spełniła żądanie królowej Ingeborgi, by opowiedzieć jej o wszystkim, zakończyła pytaniem, cóż ma teraz, na Boga, uczynić.

Stara kobieta wskazała na drzwi do sąsiedniej komnaty.

- Stoi tam miska z czystą, świeżą wodą. Idź i najpierw obmyj sobie twarz - poleciła Blance, przemawiając do niej przyjaznym tonem.

Gdy Blanka opuściła pomieszczenie, Ingeborga zdjęła kosztowną tkaninę ze ściany, odsłaniając ukryte za nią wgłębienie w murze, gdzie spoczywała drewniana szkatułka. Otworzyła ją zawieszonym pod suknią na szyi kluczem i wyjęła ze środka małą fiolkę. Spokojnie wyspała nieco proszku do wina Blanki i zamieszała zawartość kieli-cha palcem.

- I co ja mam teraz zrobić? - po raz trzeci poskarżyła się na swą niedolę Blanka, gdy znów weszła do komnaty, podniosła kielich z winem i przytknęła go do ust.

- Nic - odparła przyjaźnie królowa Ingeborga. - Nawet najciemniejsze chmury kiedyś odpłyną. Większość rzeczy w życiu rozwiązuje się sama.

„Lub z pomocą innych” - dodała w myślach.

Brzemienny w skutki afekt synowej nie może zagrozić dziełu ukochanego króla Filipa.

Dalsza rozmowa była już niemożliwa, gdyż otworzyły się drzwi i do komnaty wpadła zapłakana Joanna.

- Dlaczego tego biednego niedźwiedzia przykuto łańcuchem? - poskarżyła się przyszej babce. - Dlaczego nie zostawiono go w lesie, gdzie mógłby żyć na swobodzie wśród swoich?

W ten Wielki Czwartek oczy wszystkich były skierowane na hrabiego Rajmunda, który w samych tylko nogawicach i koszuli pokutnej przekroczył bramę paryskiej Notre-Dame. Budująca się katedra nie została jeszcze wprawdzie oficjalnie poświęcona, biskupi jednak pobłogosławili gmach, by syn marnotrawny mógł powrócić na łono Kościoła.

Blanka odwróciła wzrok. Nie chciała patrzeć na ukochanego, gdy stał tak w skąpym odzieniu przed wszystkimi ludźmi. Skierowała wzrok na hrabiego Szampanii, który jak wielu innych wiernych królowi baronów pojawił się na tej ważnej uroczystości. Na jego twarzy dostrzegła wyraźny uśmiezek zadowolenia, do którego, jak w duchu stwierdziła, miał tym razem słuszny powód. Honor, komu honor przystoi. Spisał doskonały pod względem treści, sprawiedliwy dla obu stron traktat, który bez wątpienia jeszcze przez wiele stuleci będzie uznawany za wzorcowy.

I którego precyzja i szczegółowość zapewniła Blance i Rajmundowi niezwykle cenne, spędzone sam na sam chwile.

Traktat został podpisany wczesnym rankiem. Na pytanie wysłannika papieskiego, jaką ma nosić nazwę, Blanka i Rajmund, pomni swego pierwszego spotkania, oświadczyli jednogłośnie: - Traktat z Meaux - Paris. - I właśnie ten traktat wszedł do historii jako świadectwo klęski hrabiego Tuluzy.

Spojrzenie Blanki padło na Klarę.

Już następnego dnia miał wyruszyć na południe orszak, do którego pragnęła się przyłączyć Klara. Królowa niemal ją błagała, by zechciała pozostać w Paryżu, jeśli nie z jej powodu, to choćby ze względu na Joannę.

Klara uśmiechnęła się do niej smutno, mówiąc: - Joanna jest w najlepszych rękach. Ja mam inne zadanie do spełnienia, moja przyjaciółko.

- Na południu nie będę mogła cię ochraniać!
- Dziękuję, Blanko, ale teraz nie potrzebuję na południu ochrony. I serdecznie cię proszę, nigdy więcej nie wysyłaj Tybalda, aby mnie ratował!

Gdy Rajmund przyrzekał przed ołtarzem być w przyszłości zawsze posłusznym Kościołowi, Blanka zamarła. W jej łonie działo się coś dziwnego.

„Moje dziecko - pomyślała zaniepokojona. - Porusza się, ale w nieprawidłowy sposób! Jak gdyby już próbowało wydostać się na zewnątrz. To o wiele za wcześnie!” Błagając Boga o pomoc, spojrzała ku niebu. „Jak cudownie rozświetla katedrę wpadające przez rozetę słońce” - zdążyła pomyśleć, nim straciła przytomność.

Królowa Ingeborga natychmiast znalazła się przy niej i kazała przysiąc chirurgowi, że na wieki zachowa milczenie. W innym przypadku umrze.

- Niestety, straciłaś dziecko - szepnęła do Blanki, gdy ta otworzyła oczy. - To bardzo smutne, wiesz przecież jednak, że błogostawiony stan w twoim wieku może spowodować problemy. Straciłaś wprawdzie dużo krwi, moja córko, ale już niebawem znów będziesz się dobrze czuła.

- Gdzie jest Rajmund? - zapytała Blanka. Nie była w stanie myśleć o niczym innym.

- Czeka przed drzwiami - odparła Ingeborga z uśmiechem. - I jest zdecydowany wyjechać dopiero wtedy, gdy całkiem wyzdrowiejesz. Zresztą to wyjątkowo przystojny i miły mężczyzna - dodała, otwierając drzwi. - Tak szybko się go nie pozbędziesz. Cieszę się twoim szczęściem; przecież widzę, jak bardzo go kochasz. Ale w żadnym przypadku nie może cię ponownie uczynić brzemienną.

O to Blanka w ciągu następnych trzech tygodni, kiedy był Rajmund w Paryżu, umiała się zatroszczyć. Dla kuzyna i kuzynki w pierwszym stopniu pokrewieństwa nie było małżeńskiej przyrzeczności.

Pozostał natomiast problem z Mauclerkiem. Jak również z Tybaldem, który po powrocie do Szampanii zachowywał się zupełnie niedorzecznie. Nikt nie wiedział, z jakiego powodu ogarnęła go taka wściekłość na arcybiskupa Lyonu, że napadł go podczas podróży przez Szampanię i trzymał na zamku jako zakładnika. Nieoczekiwanie sprzeciwił się Tybaldowi jego wierny przyjaciel Henryk z Bar i kazał mu uwolnić duchownego. Dla zbuntowanych baronów zachowanie Tybalda było dodatkowym powodem, by najechać Szampanię i plądrować zamki. Po kraju, docierając również do pałacu na wyspie Cite, zaczęły o nim krążyć nowe, prześmiewcze wiersze i piosenki. Opisywano w nich Tybalda, który wszystko stracił i którego opuścili starzy przyjaciele. Nieszczęsny hrabia Szampanii, tłusty i niechlujny, miał dobijać się do bram zamków, jednakże nigdzie nie został wysłuchany i do żadnego z nich go nie wpuszczono.

- Muszę znów ruszać ze swym synem na zbrojną wyprawę - pożegnała Blanka Rajmunda pewnego ciepłego wieczoru wczesnym latem. - Inaczej Szampania Tybalda przypadnie naszym wrogom. Hrabia zachowuje się obecnie nader nierozsądnie i niestosownie, musimy mu jednak pośpieszyć z pomocą.

- Jest eś mu to winna - zgodził się z nią Rajmund, myśląc o krucjacie do Jerozolimy, którą obiecał Kościołowi. Nie miał na to najmniejszej ochoty i zastanawiał się, jak mógłby się wycofać z obietnicy. Chociaż pragnąłby już na zawsze pozostać w ramionach Blanki, wiosna miłości przeminęła. Dlaczego życie możnych musiało być tak skomplikowane?

Długa podróż na południe była dziecinną igraszką w porównaniu z wejściem na górę Montsegur. Stopy Klary wciąż ślizgały się na ścieżce, która z pewnością nie zasługiwała na to miano. To z powodu tego trudnego do pokonania szlaku Aleksander złożył ślubowanie, że już nigdy nie tknie kobiety.

- Trzymaj się mnie mocno, Klaro - powiedział, podając jej rękę — a z pewnością damy radę!

Z wdzięcznością chwyciła jego dłoń i spojrzała w przyprawiającą o zawrót głowy przepaść.

- Właściwie to dobrze, że wejście na górę jest tak uciążliwe - odparła. - Dzięki temu nikt nie przypuści szturm na zamek! Z pomocą boską będziemy tam mogli spokojnie pracować nad naszą sprawą.

- Mamy na to słowo twojego brata - rzekł Aleksander, któremu dotyk dłoni Klary sprawiał niestosowną jak na „doskonałego” przyjemność. - Tutaj będziemy w końcu bezpieczni; nikt już nas nie będzie ścigał.

Klara przytrzymała się drugą ręką występu skalnego, i spoglądając na rozległą dolinę, na której swawoliły owieczki wyglądające z tej

wysokości jak mrówki, z rozpromienioną twarzą zwróciła się do swego towarzysza: - Jakaż to radość móc znów przebywać wśród swoich, nawet jeśli nikogo z nich nie znamy!

Myliła się jednak.

Gdy w końcu wspięli się na szczyt góry i otwarto im bramę zamku, ukazały się w niej Lisette i *perfecta* z Macón, która postąpiła ku Klarze.

- Jak dobrze znów cię ujrzeć, moje dziecko. Witamy w domu. Nazywam się Ermine.

Epilog

*Pani, za którą wciąż tęsknotą płonę,
Ślę pozdrowienie ci przez morze słone,
O tobie bowiem myślę w dzień i w nocy;
Z innej mieć myśli radość - nie w mojej mocy.*

Z listu Tybalda z Szampanii do królowej Blanki

Styczeń 1241

Blanka z westchnieniem odkłada na bok pismo z Ziemi Świętej. Hrabia Tybald, obecnie także król Nawarry, pozostający po śmierci swojej małżonki Agnieszki w nowym związku małżeńskim, ciągle jest niepoprawnym błaznem, który częściej doprowadza ją do furii niż bawi. Zdusiła śmiech, gdy przed wyprawą krzyżową do Jerozolimy jej syn Robert, ponoć niechcący, wylał na niego cały garnek zsiadłego mleka, wybuchnęła gniewem, gdy Tybald wypowiadał się na temat ponownej ekskomuniki Rajmunda, która zresztą została tymczasem z niego zdjęta.

W każdym razie nie musi się obawiać, że w Ziemi Świętej trubadur rzuci w hrabiego Tuluzy lirą lub nawet czymś cięższym; Rajmund wciąż jeszcze nie przystąpił do obiecanej Kościołowi krucjaty. W tej chwili przebywa w Paryżu, gdzie w ciągu minionych dziesięciu lat pojawiał się nader często.

Tym razem jednak nie przybył tu z własnej woli, lecz został wezwany przez syna Blanki, króla Ludwika. Ponownie grozi mu bowiem wyklęcie z Kościoła. Dawnemu władcy całej Langwedocji zarzuca się, że niedostatecznie wspiera Świętą Inkwizycję, a nawet działa przeciwko niej i nie dość gorliwie ściga heretyków. Najbardziej naganne jednak jest to, że do tej pory nie zniszczył gniazda kaczerzy na górze Montsegur.

Rajmund wchodzi do komnaty Blanki. Gdy nie całując królowej na powitanie, siada naprzeciw niej, Blanka widzi, że wygląda na wyczerpanego i przybitego.

- Odnowiłem złożony twemu synowi hołd lenny - mówi Rajmund bezdźwięcznym głosem. - Nie poprę nowej rebelii przeciwko Koronie w Carcassonne, ale...

- Ale? - niecierpliwie pyta Blanka.

- Ale katarów w twierdzy Montsegur pozostawię w spokoju. I nie pozwolę, by stała im się krzywda. Nie mogę postąpić inaczej, Blanko.

Ostatnie powstanie w Oksytanii rozpoczyna się w maju 1242 roku zamordowaniem członka trybunału inkwizycyjnego w Awinionie, leżącym pomiędzy Tuluzą a Carcassonne. Sprawcy, kilku rycerzy z zamku katarów Montsegur i mieszkańców miasta, przedostają się do wieży zamku, w którym ulokowano członków trybunału. W sypialni wyrzynają w pień inkwizytorów i ich służbę. Kara za zamordowanie dwunastu ludzi była straszliwa. Ekskomunikowano całe miasto. W obliczu przygniatającej militarnej przewagi króla Francji, Ludwika IX, powstanie upadło. Akt końcowy rozpoczyna się wraz z oblężeniem przez wojska francuskie zamku katarów Montsegur wiosną 1243 roku.

Peter Milger

16 marca 1244

- Jeszcze możesz odejść - przekonuje Klara żonę żołnierza, która prosi ją o *consolamentum*. - Jeszcze możesz uratować swoje ziemskie życie. Wyrwałaś z nami przez dziesięć miesięcy, za co jesteśmy ci wdzięczni, nie uczęszczałaś jednak na msze. Należysz do wojskowej załogi zamku, której Francuzi przyrzekli list żelazny, zwolnienie od kary i darowanie winy.

Spogląda przez otwartą teraz bramę tak długo obleganej twierdzy. Od czasu kapitulacji, która nastąpiła czternaście dni temu, przeszło przez nią wielu rycerzy i żołnierzy ze swymi rodzinami, lecz niektórzy z ich zwolenników, tak jak ta kobieta, zdecydowali się pozostać, a tym samym umrzeć.

Kobieta, szlochając, potrząsa głową.

- Chcę ocalić duszę i odejść z wami, „dobrymi ludźmi” z tego świata.

- Spalenie na stosie to straszliwa, bolesna śmierć - odpowiada Klara - i mogą ją poprzedzać męki na torturach. Czy jesteś na to gotowa?

Kobieta spogląda na męża, który przyjmuje właśnie *consolamentum* od Aleksandra i potwierdza skinieniem głowy.

Ze łzami w oczach Klara jako *perfecta* po raz siedemnasty w ciągu dwóch dni udziela katarskiego sakramentu. Dusze wszystkich dwustu trzydziestu ludzi, pozostałych na zamku Montsegur, jeszcze tego samego dnia wrócą do królestwa niebieskiego.

- Kończy się dokładnie tak, jak się zaczęło - mówi Ermine, dotykając lekko ramienia córki. - Zabójstwem na polecenie jednego z hrabiów Tuluzy - za każdym razem po to, by nas ochronić. I za każdym razem z zatrważającym skutkiem. Gdy twój ojciec Rajmund kazał przed kilkudziesięciu laty pozbawić życia papieskiego legata, papież wezwał chrześcijan do krucjaty przeciwko nam. A teraz twój brat Rajmund kazał pomordować inkwizytorów, by nas przed nimi uratować, sprowadzając królewskie wojska.

- Przysiągł mi na życie córki, że nie będzie nas ścigał - szepcze Klara.

- Nie oznacza to jednak, że wolno mu było odebrać komuś życie - zauważa Ermine. - Przemoc, nawet jeśli stosuje się ją w dobrej wierze, rodzi przemoc. Nie ma żadnego usprawiedliwienia dla zbrojnej przemocy. Żadnego.

Klara kątem oka dostrzega, jak kobieta, której udzieliła przed chwilą *consolamentum*, wraz z mężem pośpiesznie wchodzi na zachodnią wieżę zamkową.

- Nie! - krzyczy przerażona do obojga. Kobieta stoi już na blanchach, trzymając męża za rękę i spogląda w dół na Ermine i Klarę.

- Nie chcemy czekać na śmierć w płomieniach - odkrzykuje.
- Skoczmy teraz, by szybciej dostać się do królestwa niebieskiego.

Małżonkowie z rozpostartymi ramionami rzucają się w przepaść.

- Są już wolni! Są wolni! - po dziedzińcu toczy się radosny okrzyk. Pozostali chcą pójść za przykładem pary samobójców i wspinają się na wieżę.

- Posłuchajcie! - krzyczy Klara. - Zwyciężymy Francuzów!

Pośpiesznie wdrapuje się na występ skalny i podnosi ręce. Silny podmuch wiatru zrywa jej chustę z głowy i rozwiewa stalowosiwie włosy, które przez chwilę, nim opadną na ramiona i zakryją twarz, niczym promienisty wieniec okalają jej szczupłe oblicze.

- Nikogo nie będę powstrzymywać przed rzuceniem się w ramio-

na śmierci, w ramiona prawdziwego życia - mówi w nagle zapadłej ciszy, odgarniając z twarzy kosmyki włosów. - Lecz potem stanie się z wami to, co z dwojgiem naszych przyjaciół - Francuzi zabiorą ich ciała, wrzucą je w płomień, umyją potem ręce, wycofają się i ogłoszą, że ostatecznie pokonali katarów.

- Powiedziałaś, że ich zwyciężymy? - z niedowierzaniem pyta Klarę jeden z mężczyzn.

- Tak, zwyciężymy ich naszymi przekonaniem, naszą wiarą i naszą jednością. To moja propozycja, umiłowani bracia i siostry...

Gdy przemawia dalej do katarów, Ermine błyszczącymi oczami spogląda w górę na córkę, z którą od piętnastu lat razem mieszka i pracuje. „To córka hrabiego Tuluzy, odziedziczyła po nim błyskotliwy umysł i zaradność, jego dar zjednywania sobie ludzi - myśli. - Ma za sobą o wiele dłuższą i trudniejszą drogę niż większość z nas, gdyż mogła mieć w życiu o wiele łatwiej. Mogła się ułożyć na przyzwykłym już łożu na królewskim dworze i spokojnie na nim spoczywać. Zdecydowała się jednak pójść drogą, która jest przeciwieństwem jej dawnego życia, lecz w którą głęboko wierzy. Zawsze pozostawała wierną sobie, choć nie raz zdarzało jej się pobłądzić. I nigdy nikomu nie zarzucała winy, nawet mnie, która ją tak wcześniej opuściłam. Klara. Moja córka. Jesteś pierwszą katarą pośród nas. Pójdę za tobą, tak jak wszyscy ci »dobrzy ludzie« tutaj”.

Po swojej przemowie Klara jak młoda dziewczyna zeskakuje z muru i obejmuje matkę.

- Dasz radę? - pyta z troską.

- Z tobą u boku - z uśmiechem odpowiada Ermine. Kości sprawiają jej potworny ból, przeraża ją również strome zejście. Jednakże nie to, co ją potem czeka.

Klara wraz z matką zmierza w kierunku bramy zamku. Idą w milczeniu, wszystko zostało już powiedziane.

Francuzi, patrząc w górę, widzą długi wąż schodzących zboczem ludzi, jedno, nieskończenie długie, milczące zwierzę, które wije się groźnie serpentynami wąskiej górskiej grani. Wąż ze stalowosiwą głową Meduzy.

- Podsyćcie ogień! - woła dowódca. - Jest ich więcej, niż myśleliśmy!

Żołnierze pośpiesznie dokładają drewno do olbrzymiego stosu. Płomienie buchają wysoko w górę.

Z wielkiej grupy inkwizytorów, towarzyszących wojskom, występuje nagle franciszkanin i zaczyna głośno śpiewać. Jeden z dominikanów śpieszy ku niemu i szarpie go za habit.

- Nie czas na to, bracie! Musimy się przygotować do przesłuchań!

Wskazuje głową na oddział, który ma się zająć torturowaniem katarów. Imadła będą w użyciu przez całe dni, by obsłużyć tak wielką liczbę ludzi i przed śmiercią usunąć z ich głów herezję.

Franciszkanin śpiewa coraz głośniej, jego głos niesie się ponad armią i dociera teraz także do głowy węża.

Pochwalony bądź, Panie,

Przez siostrę naszą śmierć cielesną,

Której żaden człowiek ująć nie może.

Biada tym, co konają w grzechach śmiertelnych;

Błogostawieni, którzy znajdują się w Twej najświętszej woli;

Bowiem śmierć wtóra zła im nie czyni.

Chwalcie i błogostawcie Pana, i czyńcie Mu dzięki.

Wąż już niemal dotarł do terenu, gdzie stanęli obozem żołnierze i kapłani.

Klara czeka, aż przebrzmiają słowa Franciszka z Asyżu, posłanie z dalekich stron. Ma wrażenie, że wokół roztacza się zapach drzewka cytrynowego z ogrodu w Porcjunkuli, że czuje obok siebie Blan-

kę i widzi wycieńczone ciało Franciszka z Asyżu. W oczach stają jej łzy. Wyciera je, pokonuje kilka ostatnich kroków, ujmując dłoń matki, odstepuje w bok i woła do idących za nią:

- Teraz! Szybko! Biegnijcie!

Waż rozprasza się bezgłośnie. Ponad dwustu ludzi pędzi ku olbrzymiemu stosowi i rzuca się w płomień. Żołnierze francuskiego króla spoglądają na nich w osłupieniu.

Nikt nie ma odwagi pochwycić bodaj jednego katara.

Dwie kobiety, które pozostały na końcu, jedna już niemłoda i druga bardzo stara, trzymając się za ręce, zacierają powoli do morza ognia.

Gdy obie wstępują na stos w ślad za swymi towarzyszami, spośród płomieni wystrzeliwuje nagle jaskrawy promień światła. Wszyscy ludzie, zebrani na Polu Spalonych, oślepieni na moment zamykają oczy. Wszyscy, prócz franciszkanina, który pośpieszył do stosu, padł na kolana i uniósł ręce, jakby błogosławiąc umierających w płomieniach. Zakonnik nie odrywa oczu od niemłodej już kobiety z płonącymi stalowosiwymi włosami i zdaje mu się, że pomiędzy trzaskiem polan, sykiem topiącego się tłuszczu i odgłosem pękających kości słyszy, jak kobieta bez śladu drwiny w głosie woła: - Niech żyje królowa Blanka!

Postowie

Mam nadzieję, że moi czytelnicy zechcą mi wybaczyć: po raz pierwszy pisząc powieść historyczną, wymyśliłam postać głównej bohaterki - Klary. Jest jednak bardzo prawdopodobne, że córka hrabiego Tuluzy o takim imieniu istniała naprawdę; władca ten miał sporą gromadkę nieślubnych dzieci, z których kilkoro przyłączyło się do katarów. Droga życiowa Klary nie była czymś wyjątkowym wśród szlachetnie urodzonych dam z Oksytanii.

Początkowo powieść ta miała traktować wyłącznie o Blance Kastylskiej. Jednak w trakcie zbierania informacji i pisania zrozumiałam, że aby przedstawić te złożone, zawiłe i burzliwe czasy, potrzeba wielu punktów widzenia. I tak w mojej opowieści pojawiła się Klara, w pewnym sensie druga strona osobowości Blanki.

Wszystkie pozostałe osoby są postaciami autentycznymi, a fakty historyczne pozostały niezmienione, tylko trochę je upiększyłam. Niestety, musiałam zrezygnować z przywołania wielu znaczących osobistości i wydarzeń tej epoki, przede wszystkim dotyczących sporu z Anglią, gdyż rozsadziłyby one ramy opowieści. Fikcyjna jest także podróż Blanki do Rzymu, jak również postać Lisette, natomiast złożenie przez królową sekretnych ślubów, z których potem uwolnił ją papież, jest już faktem historycznym. Badacze dziejów do dziś zastanawiają się nad tym, czego mogła dotyczyć ta przysięga. Jako autorka powieści znalazłam na to odpowiedź.

Otrucie króla Ludwika przez Tybalda nigdy nie zostało dowiedzione, jednak pogłoski o jego winie krążą uparcie od wielu stuleci.

Bezspornym faktem jest uwielbienie Tybalda dla Blanki, udokumentowane w licznych jego pieśniach. Twórczość hrabiego Szampanii, którą nawiasem mówiąc chwalił sam Dante, została opublikowana w oryginalnym starofrancuskim języku przez Prospera Tarbé, wraz z obszernym tekstem o pochodzeniu, życiu i czynach trubadura oraz jego stosunku do Blanki Kastylijskiej. Przekład fragmentów jego utworów i listów umieściłam pod tytułami niektórych rozdziałów, jednak wiersze w powieści pozwoliłam sobie napisać sama w duchu liryki dworskiej. Zredagowany przez Tybalda z Szampanii traktat z *Meaux - Paris* jeszcze dzisiaj uchodzi za prawniczy majstersztyk. I to „w epoce, gdy na ogół wypowiedano się bez większej troski o logikę i w sposób bardzo zawiły”, jak pisze Régine Pernoud w swojej znakomitej biografii Blanki Kastylijskiej *Królowa Blanka*.

Tybard zmarł jako król Nawarry w 1253 roku, sześć miesięcy po tak gorąco wielbionej przez siebie Blance, która zresztą aż do śmierci rządziła sama, bez rady koronnej czy innej instytucji. I właściwie również bez swego syna, króla Ludwika. Jak pisze historyk Gerd Treffer: „Ludwikowi udało się wyrwać spod kurateli matki dopiero z chwilą jej śmierci”. Blanka zresztą była ponoć koszmarną teściową.

Istnieje wiele historycznych plotek o uczuciu łączącym ją z Rajmundem VII, nie ma na to jednak żadnych dowodów. Blance przypisywano też romans z legatem papieskim Frangipanim, co ze względu na jej dobrze udokumentowaną pobożność uważam za nieprawdopodobne i dlatego nie podchwyciłam tego pomysłu. Rajmund spełnił swoją obietnicę w 1249 roku i dopiero wtedy wziął udział w krucjacie, zmarł jednak w drodze na początku wyprawy. Małżeństwo jego córki Joanny z księciem Alfonsem uchodziło za szczęśliwe, chociaż było bezdzietne.

Stara królowa Ingeborga, której postać pozostaje otoczona tajemnicą, zmarła w 1236 roku w Corbeil, gdzie została też pochowana.

O katarach napisano bardzo wiele, dużo też spekulowano na ich temat, jakkolwiek oni sami nie pozostawili po sobie żadnych pisemnych świadectw. Najobszerniejszy wgląd w ich wierzenia i życie codzienne daje, jak na ironię, najzaciętszy wróg katarów - inkwizycja, która sporządzała szczegółowe protokoły z procesów. Wszystkich zainteresowanych tą wspólnotą religijną kieruję do bibliografii na końcu powieści. Jak mogłam stwierdzić podczas podróży po Langwedocji, katarzy w pewnym sensie przeżywają obecnie swój renesans - wszędzie witała mnie na tablicach *Kraina katarów*. W tym miejscu chciałabym podziękować mojej dawnej przyjaciółce szkolnej Sabine Stenger, która mieszka w Carcassonne i przekazała mi wiele użytecznych wskazówek. Podziękowania należą się również moim przyjaciołom, Brigitte Ahrens i Thomasowi Augustinowi, z którymi podróżowałam po Langwedocji i przeżyłam niezapomnianą burzę w ruinach zamku Montsegur. Dziękuję także Claude'owi-Cirillovi Lamentowi, który przeczytał pierwszą wersję rękopisu i nie tylko sprostował pewne nieścisłości dotyczące geografii, ale także wyjaśnił mi różnicę między trubadurami a truverami (patrz: Słownik). Składam też wielkie dzięki Roswicie Follmann, znawczynie średniowiecznych strojów, Julianne Weidener za krzew jałowca i Giseli Leuer, która ma ogromną wiedzę na temat wszystkich religii i która mobilizowała mnie do pisania. Naturalnie podziękowania należą się również moim obu redaktorkom, Christine Neumann i Anji Rüdiger. Przede wszystkim jednak chciałabym podziękować mojemu partnerowi życiowemu Michaelowi. Bez jego usilnej zachęty, krytyki, opartych na znajomości przedmiotu rad, autentycznego zainteresowania tematem i jego miłości byłoby mi o wiele trudniej przetworzyć ogromną ilość materiału na powieść, której pisanie sprawiło mi wiele radości.

Martina Kempff
Lato 2009, Eifel

Tablica chronologiczna

- 1187 5 września: przychodzi na świat Ludwik VIII.
- 1188 4 marca: narodziny Blanki w zamku w Palencii w Kastylii.
- 1197 Narodziny Rajmunda VII z Tuluzy.
- 1198 Papież Innocenty III zakazuje osobom świeckim czytania Biblii.
- 1200 Zimą Eleonora Akwitańska wyrusza z Blanką do Paryża.
23 maja: ślub Ludwika i Blanki.
- 1201 30 maja: narodziny Tybalda z Szampanii.
- 1204 Papież Innocenty pisze do króla Francji: „Musisz wypędzić hrabiego Tuluzy z jego kraju, wydrzeć te ziemie kacerzom i oddać dobrym katolikom”. Umiera Eleonora Akwitańska.
- 1205 Na świat przychodzi córka Blanki, także o imieniu Blanka, która wkrótce potem umiera.
- 1207 Rajmund VI z Tuluzy zostaje obłożony ekskomuniką.
- 1208 14 stycznia: zostaje zamordowany legat papieski Piotr z Castelnau, prawdopodobnie na polecenie Rajmunda VI.
28 stycznia: Arnaud Amaury, opat Cîteaux, zostaje mianowany przywódcą wyprawy krzyżowej.
- 1209 18 czerwca: pojednanie Rajmunda VI z Kościołem.
Początek krucjaty przeciwko albigensom.
22 lipca: rzeź w Béziers, krzyżowcy plądrują miasto.
15 sierpnia: kapitulacja Carcassonne.

- Koniec sierpnia: Szymonowi z Montfort zostaje przyznany tytuł wicehrabiego Beziers i Carcassonne.
- Umiera córka Blanki, Agnieszka.
- 9 września: przychodzi na świat syn Blanki, Ludwik.
- Pasowanie na rycerza następcy tronu, Ludwika.
- 1210 W październiku Otto IV zostaje koronowany na cesarza.
- W listopadzie papież obkłada go ekskomuniką, ustanawiając cesarzem swego protegowanego, Fryderyka II.
- 1211 6 lutego: na soborze w Montpellier Rajmund VI zostaje ponownie ekskomunikowany.
- 1 kwietnia-3 maja: krzyżowcy zdobywają i okupują Lavaur. Na stosach ginie czterystu katarów, kasztelanka Lavaur zostaje wrzucona do studni i ukamienowana.
- Kwiecień: Rajmund Roger hrabia Foix dokonuje rzezi na krzyżowcach w Montgey pod Puylaurens.
- 17-29 czerwca: Montfort rozpoczyna otwartą wojnę przeciwko Rajmundowi VI i bezskutecznie oblega Tuluzę.
- Wrzesień: wezwani przez papieża Innocentego Niemieccy książęta wybierają w Norymberdze protegowanego papieża, Rogera Sycylijskiego, na króla Niemiec.
- 1212 Krucjata dziecięca, na którą wyruszyło dwadzieścia tysięcy dzieci pod przywództwem dziesięcioletniego Mikołaja z Kolonii, kończy się w Brindisi.
- Grudzień: Fryderyk II Hohenstauf (król Sycylii) zostaje ukoronowany w Moguncji na cesarza.
- Zwycięstwo Hiszpanów nad Maurami pod Las Navas de Tolosa.
- 1213 Maj: Jan bez Ziemi, od 1207 roku w konflikcie z papieżem, poddaje się Rzymowi i bierze Anglię w lenno od Ojca Świętego. W ten sposób Innocenty zapobiega najazdowi króla Francji na Anglię.

- Królowa Blanka traci tuż po urodzeniu bliźnięta, Piotra i Henryka, a pod koniec roku córkę.
- 1214 Umierają rodzice Blanki.
25 kwietnia: narodziny syna Blanki, Ludwika.
- 1215 Kwiecień-czerwiec: pierwsza wyprawa wojenna następcy tronu, Ludwika.
15 czerwca: angielscy baronowie wymuszają na Janie bez Ziemi wydanie Wielkiej Karty Swobód (*Magna Charta Libertatum*).
Listopad: IV sobór laterański, zaostrenie prześladowań heretyków; po raz pierwszy pojawia się słowo „inkwizycja”: na soborze zalecono biskupom przesłuchiwanie heretyków (łac. *inquisitio*- badanie, śledztwo).
30 listopada: Innocenty przyznaje Szymonowi z Montfort hrabstwo Tuluzy.
Dżyngis-chan podbija północną część Chin wraz z Pekinem.
- 1216 Dominik Guzman (ur. w 1170 roku w Kastylii) tworzy zakon dominikanów.
16 lipca: umiera Innocenty III, zostaje wybrany nowy papież, Honoriusz III.
25 lipca: krzyżowcy wycofują się z Tuluzy.
Początek września: Szymon z Montfort przejmuje kontrolę nad Tulużą.
19 października: umiera Jan bez Ziemi. Walka o sukcesję w Szampanii: kuzyn hrabiego Tybalda kwestionuje jego prawa do dziedziczenia.
Wrzesień: przychodzi na świat syn Blanki, Robert.
- 1217 Rajmund VI wraz z wojskiem przedziera się w pobliże Tuluzy i przy poparciu ludności zajmuje miasto.
19 maja: kończy się sen Ludwika i Blanki o panowaniu nad Anglią; armia Ludwika zostaje pobita.

- 1218 25 czerwca: podczas oblężenia Tuluzy ginie Szymon z Montfort, jego następcą zostaje syn Amalryk.
25 lipca: krzyżowcy po zwycięstwie Rajmunda wycofują się z Tuluzy.
Umiera syn Blanki, Filip.
- 1219 Druga wyprawa wojenna Ludwika VIII.
12 czerwca: upadek Marmande.
16 czerwca- 1 sierpnia: Ludwik bezskutecznie oblega Tuluzę.
Franciszek z Asyżu wyrusza do Ziemi Świętej.
Przychodzi na świat syn Blanki, Jan Tristan.
- 1220 Listopad: Fryderyk II zostaje ukoronowany przez papieża Honoriusza III na cesarza.
11 listopada: narodziny syna Blanki, Alfonsa.
- 1221 Luty: młody Rajmund zajmuje Montreal.
Dżyngis-chan zdobywa południową Ruś aż po Dniepr, Afganistan i ziemie nad Indusem. Pod panowaniem mongolskim znajduje się cała Azja Środkowa i Persja.
6 sierpnia: umiera święty Dominik.
- 1222 W Tuluzie umiera hrabia Rajmund VI. Rajmund VII zyskuje bezwzględną przewagę nad francuskim najeźdźcą; Amalryk z Montfort prosi go o rozejm. Filip August leży na łożu śmierci, decyzja zostaje odłożona na późniejszy termin. Tybald przejmuje rządy nad swoim krajem.
20 lutego: przychodzi na świat syn Blanki, Filip Dagobert.
- 1223 14 lipca: umiera król Francji, Filip II August. 6 sierpnia: odbywa się koronacja Blanki i Ludwika.
Hrabia Tybald poślubia Agnieszkę z Beaujeu.
Papież Honoriusz III zatwierdza regułę nowej wspólnoty zakonnej - Zakonu Braci Mniejszych (franciszkanów).
- 1224 Styczeń: Rajmund odbija Carcassonne.

- 3 marca: przychodzi na świat córka Blanki, Izabela.
- 1225 Ponowny sojusz pomiędzy królem Anglii a hrabią Tuluzy. Henryk III zobowiązuje się bronić praw i ziem Rajmunda VII przeciwko królowi Francji. Legat papieski Romano Frangipani składa wizytę na francuskim dworze i ponownie nawołuje do krucjaty przeciwko albigensom.
- 1226 Przychodzi na świat syn Blanki, Karol. Ludwik IV umacnia swoją władzę, obsadzając nowe urzędy osobami świeckimi i ograniczając wpływ Kościoła na państwo. Wydanie pierwszych we Francji ustaw konstytucyjnych. Amalryk z Montfort potajemnie przekazuje Ludwikowi VIII prawa do Langwedocji. Na soborze w Bourges zostaje ekskomunikowany Rajmund VII. Papież naciska na króla Ludwika, by wyruszył na krucjatę przeciwko Rajmundowi. Krucjata Ludwika VIII. 10 czerwca-9 września: oblężenie Awinionu przez armię francuską. 4 października: umiera Franciszek z Asyżu. 8 listopada: umiera król Ludwik. 29 listopada: Koronacja Ludwika IX w Reims. Blanka przejmuje rządy.
- 1227 Bunt baronów przeciwko Blance. 16 marca: traktat z Vendôme. Papieżem zostaje Grzegorz IX. Nakłada ekskomunikę na cesarza Fryderyka II, który podejmuje ślubowaną krucjatę, jednak rzekomo z powodu zarazy po opuszczeniu Brindisi wraca do kraju.

Na południe od Carcassonne powstaje kolejna diecezja katarska.

7 grudnia: papież zwalnia Blankę ze złożonego przez nią ślubu, którego nie jest w stanie dotrzymać.

Umiera Dżyngis-chan.

- 1228 Humbert z Beaujeu pustoszy ziemie wokół Tuluzy.
Kanonizacja Franciszka z Asyżu.
Pod koniec roku Rajmund VII nawiązuje kontakt z Blanką.
- 1229 W styczniu Rajmund przybywa do Paryża.
12 kwietnia: traktat pokojowy z Meaux - Paris.
Na skutek tego porozumienia król Anglii czuje się oszukany. Następuje zerwanie stosunków dyplomatycznych z Tulużą. Zakończenie krucjaty przeciwko albigenom oznacza więc zarazem koniec współdziałania między Anglią a hrabią Tuluzy.
Listopad: na soborze w Tuluzie zostaje ustanowiona inkwizycja.
- 1231 Papież Grzegorz IX określa zasady prawne odnośnie ścigania i badania kacerzy.
- 1232 Apogeum prześladowań heretyków w Niemczech w okresie działalności inkwizytora „magistra” Konrada z Marburga. Montségur staje się główną siedzibą Kościoła katarskiego.
- 1233 Papież Grzegorz przekazuje urząd inkwizycji w ręce dominikanów.
- 1234 Kanonizacja Dominika Guzmàna.
- 1235 Rajmund VII zostaje ponownie ekskomunikowany.
- 1236 Zdjęcie ekskomuniki z Rajmunda.
- 1242 Maj: wyjęci spod prawa rycerze zbierają się w zamku Montségur, w którym od lat chronią się katarzy. Rycerze

podżegani przez Rajmunda dokonują rzezi na inkwizytorach. Rajmund zdobywa większość ziem, ponownie przybiera tytuł hrabiego, lecz w lipcu znów zostaje pozbawiony władzy Prosi Blankę o łaskę i przyrzeka jej zniszczyć zamek Montsegur.

- 1243 Biskupi zarzucają Rajmundowi zbytnią wyrozumiałość w stosunku do katarów. Wiosną postanawiają przeprowadzić oblężenie Montsegur.
- 1244 Pada twierdza Montsegur.
Utrata Jerozolimy przez krzyżowców.

Słownik

Albigensi: określenie katarów, pochodzące od nazwy miasta Albi w południowej Francji, dawnej ostoji wspólnoty.

Biel ołowiana: sztucznie wytwarzany pigment, stosowany w średnio-wieczu jako kosmetyk do rozjaśniania skóry. O trujących właściwo-ściach ołowiu wiedzano już w czasach starożytnych, jednak w śre-dniowieczu wiedza ta została zapomniana.

Baron: „wolny człowiek”; we wczesnośredniowiecznej Francji wywo-dzący się ze szlachty wasale, najczęściej z tytułem hrabiowskim, byli zazwyczaj nazywani baronami.

Bogomiłowie: wspólnota religijna reprezentująca dualistyczną wersję chrześcijaństwa, powstała w X wieku na Bałkanach. Mieli się z niej wywodzić nie tylko katarzy, lecz także patareni i waldensi.

Consolamentum (łac. pocieszenie): główny obrzęd katarski, chrzest duchowy, symbolizujący przyjęcie zwykłego „wierzącego” do grona „doskonałych”. Sakramentu, stanowiącego kombinację chrztu, bierz-mowania, wyświęcenia, spowiedzi, pokuty i rozgrzeszenia, udziela-no także leżącym na łożu śmierci „wierzącym”, by mogli dostąpić zbawienia duszy. **Consolamentum** było elementem jednoczącym cały ruch katarski.

Credens, credentes (łac. wierzący): prosty członek Kościoła katarskiego, który przystępując do wspólnoty, uroczyście zobowiązywał się považać „doskonałych” i służyć im pomocą. ***Credentes*** starali się przestrzegać chrześcijańskich reguł pokory, skromności, niestosowania przemocy wobec ludzi i zwierząt oraz prawdomówności. Byli najliczniejszą grupą wśród katarów, czyniąc z Kościoła katarskiego największy ruch ludzi świeckich w średniowieczu.

Endura (łac. wytrwanie): zagłodzenie się na śmierć „doskonałego”. Ta interpretacja jest jednak dyskusyjna. W niektórych przekazach ***endura*** jest określana także jako trzydniowy rytualny post; zazwyczaj jednak oznaczała uroczyste ślubowanie powstrzymania się od jedzenia w celu zachowania czystości ciała. Katarzy poddawali się ***endurze*** również po to, by uniknąć oskarżenia o herezję i śmierci w męczarniach.

Fide et opere (łac): przez wiarę i pracę.

Franciszek z Asyżu (1181 - 1226): założył Zakon Braci Mniejszych, w 1209 roku udał się do Rzymu, by prosić papieża Innocentego III o zatwierdzenie napisanej przez siebie Reguły tej niewielkiej wspólnoty. W okresie walki z heretykami było to niezwykle trudne do uzyskania, gdyż kuria z ogromnym sceptycyzmem odnosiła się do wszelkich nowych ruchów. W 1223 roku zakon został ostatecznie zatwierdzony - prawdopodobnie dlatego, że Franciszek i jego bracia określali się jako wędrowni kaznodzieje, którzy byli - w przeciwieństwie do pozostałych ruchów głoszących ubóstwo - akceptowani przez Kościół.

Inkwizycja: organizacja kościelna powołana w celu zwalczania kacerzy. Papież Innocenty III od 1212 roku opracowywał procedury postępowania inkwizycyjnego, a w 1224 roku został zatwierdzony edykt

wydany przez cesarza Fryderyka II, głoszący, że najwyższe władze świeckie powinny traktować ściganie heretyków w obronie wiary i palenie na stosie tych, którym udowodniono winę, jako obowiązek, nałożony na nie przez Boga. Papież Grzegorz IX powołując do życia w 1227 roku papieską Inkwizycję, otworzył nowy rozdział w walce z herezją. Po raz pierwszy wyznaczył papieskich pełnomocników, którzy mieli pełnić funkcję inkwizytorów i ścigać heretyków. Po soborze w Tuluzie w 1229 roku utworzono w diecezji Tuluzy gęstą sieć trybunałów inkwizycyjnych pod przywództwem dominikanów. Ich członkowie mieli poszukiwać zwolenników heretyckiej wspólnoty we wszystkich miejscowościach.

Kacerze: nazwa ta wywodzi się prawdopodobnie z greckiego słowa *katharoi* - „czyści”.

Konetabl (fr. conetable): oznaczał początkowo „nadzorcę stajni” - od średniołacińskiego *constabularius* - urzędnika dworskiego, odpowiedzialnego za stajnie. Od średniowiecza do początku XVII wieku tytuł ten nosili naczelnicy wodzowie francuskich wojsk królewskich.

Krzyżmo. mieszanina oliwy z oliwek i balsamu, używana w Kościele rzymskokatolickim. Namaszczeni krzyżmem mieli rozsiewać miłą woń Chrystusową.

Lira korbowa: popularny w XIII wieku instrument smyczkowy w kształcie skrzypiec, w którym umieszczone w korpusie koło, poruszane za pomocą korby, pociera kilka strun jednocześnie. Zmiana wysokości dźwięku następuje przez mechaniczne skracanie części strun, pełniących funkcje melodyczne, za pośrednictwem klawiatury.

Luwr. dzisiejsze muzeum sztuki było niegdyś zamkiem warownym, wzniesionym w XII wieku przez króla Francji, Filipa Augusta, dla obrony prawego brzegu Sekwany.

Melioramentum: rytualne pozdrowienie katarów.

Oksytania: południowa część Francji, zwana z języka oksytańskiego Langwedocją (*langue d'oc*). Podczas trzech krucjat przeciwko katarom (1209-1244) najważniejsze państwa oksytańskie zostały zdobyte przez baronów z północnej Francji, w następstwie czego oksytańska kultura i język zaczęły być stopniowo wypierane.

Patena: naczynie liturgiczne, używane podczas komunii.

Petfectus/petfecta: petfecti (łac. „doskonali”) byli duchownymi katarskimi, którzy otrzymali *consolamentum* i sami mogli go udzielać. Spośród swego grona wybierali biskupów. **Petfecti** praktykowali surową ascezę, zgodnie z przekonaniem, że tylko dusza uwolniona od wszystkiego, co cielesne, może wejść do królestwa niebieskiego. Rezygnowali całkowicie z ziemskich przyjemności, spożywania mięsa i jakiegokolwiek własności. Nie wolno im było kłamać ani składać przysięg, obowiązywało ich życie w celibacie, post trzy razy w tygodniu i obrona dogmatów wiary katarskiej. Nauczali chrześcijaństwa opartego na miłości i tolerancji bez dogmatyzmu, autorytetów czy strachu przed karą. Z wyjątkiem chrztu duchowego odrzucali wszystkie sakramenty jako zbędne. Wzbraniali się również przed otaczaniem czią krzyża z wizerunkiem umęczonego Jezusa. Kobiety miały równe prawa z mężczyznami. „Doskonali” cieszyli się także ogromnym poważaniem wśród zwykłych mieszczan i chłopów, katolików, Żydów, muzułmanów i szlachty oksytańskiej. Uchodzili za znakomitych nauczycieli, znali się na ziołach leczniczych i wielu

ludziom zastępowali lekarza czy akuszerkę.

Pieczczę ołowiana: pieczęć urzędu papieskiego, zwana także bullą. Na znak skromności wykonana jest z ołowiu i zawieszona na konopnym sznurku. Z jednej strony pieczęci widnieje imię aktualnie urzędującego papieża, z drugiej podobizna świętych Piotra i Pawła.

Podwijka: średniowieczne nakrycie głowy zamężnych kobiet. Był to pasek materiału, najczęściej lnu, przechodzący pod brodą i mocowany na czubku głowy, który uzupełniała przepaska na czoło, często zdobiona obszywką. Podwijka przylegała tak ściśle, że kobiety ledwo mogły otworzyć usta. Publiczne rozluźnienie paska uchodziło za nieobydajne.

Septymania: terytorium w południowo-wschodniej Francji pomiędzy Pirenejami a Rodanem.

Tkacze (łac. *textores*): określenie katarów, przede wszystkim pochodzących z Flandrii.

Trubadur: średniowieczny poeta-śpiewak, tworzący w języku oksytańskim (*langue d'oc*; *oc* oznacza w południowej Francji *oui*, „tak”). Z *langue d'oc* została nazwana również cała południowo-zachodnia część Francji - Langwedocja. Trubadurzy uchodzą za twórców sztuki poetyckiej Zachodu w języku narodowym. Pierwsi trubadurzy tworzyli w XII wieku.

Truwer: średniowieczny poeta-śpiewak, działający na północ od Loary i tworzący w *langue d'oïl*. W średniowiecznym języku francuskim *oïl* oznacza *oui*, „tak”. Twórczość truwerów zaczęła się rozwijać w XII wieku pod wpływem poezji trubadurów z południa. Tybald

z Szampanii był więc właściwie truverem. Jego pieśni, jak piszą autorzy *Brockhaus Riemann Musiklexikon*, były „godne uwagi ze względu na swoją wirtuozerię i zawartą w nich ironię”.

Ungo te in regem (łac): „Namaszczam cię na króla”. Ten religijny element koronacji przyznaje królowi status równy statusowi kapłana, podkreśla, że został on władcą z Bożej łaski.